TŁÓMACZENIA ODYŃCA

I

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ANTONI EDWARD ODYNIEC

TŁÓMACZENIA

TOM I

DZIEWICA Z JEZIORA
PIEŚŃ OSTATNIEGO MINSTRELA
BALLADY I BAŚNIE

WYDANIE TRZECIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1897

Дозволено Цензурою.
Варшава 29 Мая 1895 г.

DO CZYTELNIKA.*)

Tłómacząc i wydając razem obok siebie wybrane dzieła trzech największych współczesnych poetów angielskich, głównem usiłowaniem mojem było, aby oprócz wierności w oddaniu myśli, zachować w przekładzie charakterystyczne zwroty i odcienia stylu każdego z nich i przez to, gdybym mój zamiar podług chęci wykonać zdołał: dać uczuć czytającym rozmaitość albo różnicę ogólnej barwy i tonu ich poezyi; na czem właśnie cały zewnętrzny jej urok i wartość tłómaczenia zawisły. Ton bowiem w poezyi, jest to samo, co ton głosu ludzkiego w mowie. Sam dźwięk jego mocniej nieraz mówi do serca, niżeli najdobrańsze, najsztuczniej ułożone wyrazy. Samo najwierniejsze powtórzenie słów czy-

*) Jest to przedmowa do pierwszego wydania dwóch pierwszych tomów *Tłómaczeń* w Lipsku (1838), zawierających: *Dziewicę z Jeziora* Waltera Skotta, *Narzeczoną z Abydos* Byrona i *Czcicieli Ognia*, Moora; ale to, co się w niej mówi, stosuje się zarówno i do wszystkich innych przekładów, w niniejszem wydaniu zawartych.

ich, nie da nam jeszcze odgadnąć uczucia, z jakiego poszły, jeśli zarazem nie powtórzymy tonu, jakim wymówione zostały. Podobnież w tłómaczeniu poezyi, samo najściślejsze oddanie myśli autora, nie przejmie nas jeszcze jego uczuciem, jeśli je tłómacz nie jego tonem powtórzy. Stąd najlepsze nawet tłómaczenia prozą, nie będą nigdy w stanie czynić innego wrażenia nad te, jakiego się doznaje, słysząc tylko deklamacyą pieśni.

Te były zasady, podług których starałem się wykonać przedsięwziętą pracę; jak dalece skutek odpowiedział chęci, sąd do czytelnika należy.

DZIEWICA Z JEZIORA

POEMAT

WALTERA SKOTTA

W SZEŚCIU PIEŚNIACH.

PIEŚŃ PIERWSZA.

ŁOWY.

Arfo północna! długo w mroku zapomnienia
Nad źródłem San-Fillanu zwieszona z gałęzi!
Wiatr chyba z gór rodzinnych zbudzi twoje brzmienia,
Nim bluszcz zawistny pnąc się po strun twych nawięzi
Ujmie każdą, i w pętach milczenia uwięzi.
Arfo bardów! czyż głos twój nie zasłynie szerzej,
Jak cichy szelest liści albo szmer strumienia?
Nigdyż mistrz biegłą dłonią strun twych nie uderzy,
Budząc westchnienia dziewic i uśmiech rycerzy?

Nie tak było za dawnych czasów Kaledonu,
Gdy Minstrel z tobą w ręku na ucztach przewodził;
Gdy nucąc bój lub miłość rycerskiemu gronu,
Ośmielał bojaźliwych, lub dumnych łagodził.
Za każdą przerwą pieśni, grzmotem się rozchodził
Zmieszany z strun twych brzmieniem głośny poklask gości;
Wszystkie ich czucia tchnęły echem twego tronu:
Bo treścią każdej pieśni był tryumf miłości,
Wielkie dzieła rycerzy, lub chwała piękności.

O! obudź się raz jeszcze! — lubo dłoń niewprawna,
Którą cię z grobu mistrzów ima wieszcz zuchwały;
Obudź się! choć w niej może twa potęga dawna
Ozwie się ledwo echem swojej dawnej chwały.
Niech jedną pierś rycerskie przenikną zapały,
Jedno serce poczuje wieszczych natchnień dreszcze,
Przed jednem okiem z grobu wstanie przeszłość sławna:
Nie daremnie już będą brzmieć twe struny wieszcze.
Sam tu więc, czarodziejko! obudź się raz jeszcze!

I.

Jeleń wieczorem napił się do sytu,
Gdy księżyc wschodząc drżał w nurtach Teitu;
I w głębi mrocznej Glenartnu doliny,
Usnął na wrzosach, pod cieniem leszczyny.
Lecz ledwo blaskiem słonecznej purpury
Szczyt Benworlichu zapalił się góry,
Śród przepaścistych wąwozów i jarów
Zabrzmiało gęste szczekanie ogarów,
I tuż za nimi, zwiastujące łowy
Trąbki myśliwców i jeźdźców podkowy.

II.

Jak wódz, gdy leżąc w bezpiecznej ustroni
Usłyszy nagle krzyk straży: „do broni!“
Z łoża miękkiego spoczynku i wczasu,
Porwał się mocarz pustyni i lasu.

Lecz nim bieg chyży rozpuścił przez wrzosy,
Trzykroć wprzód z rannej otrząsnął się rosy,
I jakby oręż gotując na wrogów,
Potrząsł ku niebu koroną swych rogów.
Przez chwilę bystro przeglądał gąszcz krzewów,
Przez chwilę wietrzył woń rannych powiewów,
Przez chwilę słuchał hałasów straszliwych
Coraz to bliższych i psów i myśliwych;
Aż najpierwszego ogara gdy zoczył,
Porwał się, pomknął, przez wierzchy drzew skoczył,
I z ścieśnionego wyrwawszy się jaru,
Pędził na dziki szczyt gór Uam-waru [1]).

III.

Jękły psy, zwierza porwawszy na oko.
Wrzaskliwą wrzawą wre parów głęboko;
Tysiącem dzikich, zmieszanych hałasów,
Zabrzmiały echa gór, dolin i lasów.
Tysiąc psów razem ujada i goni,
Tętni po skałach tysiącznych cwał koni;
Wrzask trąb, trzask biczów, i szczwaczów odgłosy
Brzmią po przepaściach i biją w niebiosy.
Pierzchliwa sarna uciekła przed wrzawą,
Łania w gęstwinie przypadła z obawą;
Spłoszył się sokół, i wzbiwszy się w chmury,
Krącząc, w dolinę wpatruje się z góry;
Aż cały łowów huragan przeminął,
I pędząc dalej, z przed oczu mu zginął.

Ciszej, i coraz to ciszej wiatr niesie
Echo po skałach, dolinach i lesie,
Aż znów jak przedtem milczenie ponure
Osiadło wąwóz, i lasy i górę.

IV.

Mniej głośne echa myśliwskiego gwaru
Zmąciły ciszę szczytów Uam-waru,
I owych pieczar, gdzie między opoki
Żył niegdyś olbrzym jak skała wysoki.
Bo już w pół góry, wprost wisząc nad głowy,
Ciskało słońce swój żar południowy.
Niejeden jeździec, złorzecząc skwarowi,
Musiał rad nie rad dać wytchnąć koniowi,
I z psiarni, spiekłem zziajanej pragnieniem,
Połowa ledwo szła wciąż za jeleniem.
Tak skwar i zapęd podgórnej pogoni
Znużył wytrwałość psów, ludzi, i koni.

V.

Zwierz nieprzyjaciół zostawiwszy w tyle,
Zdyszany biegiem, zatrzymał się chwilę,
I z południowej pochyłości szczytu
Ku różnobarwnym polom Menteitu,
Obłędnem okiem, ważąc się w nadziejach,
Wodził po wzgórzach, bagniskach i kniejach,
Gdzieby ujść pewniej niebezpieczeństw tylu,
W lasach Lochardu, czy Aberfoilu? —

Lecz czyż nie bliższy przytułek ma w gaju,
Ocieniającym brzeg wód Loch-Achraju?
Czyż nie pewniejsze rokują schronienie
Zamierzchłe bory na skalnym Benwenie? —
Z nadzieją w sercu, i rzeżkość wracała,
Pomknął na zachód i leciał jak strzała,
Im bliżej celu, tem śmielej i żywiej,
Tem dalej za nim i psy i myśliwi.

VI.

Długoby mówić, jak, albo kto z łowców,
Wśród Kambus-moru zabłądził manowców;
Kto wstrzymał konia, lub czyj koń padł wtedy,
Gdy przyszło piąć się na górę Benledy;
Kto próżno pieszo chciał dobiedz do szczytu,
Kto nie śmiał przebrnąć strumienia Teitu: —
Bo go dziś jeleń, by zatrzeć ślad biegu,
Dwakroć przepływał od brzegu do brzegu.
Niewielu było tych, co już wieczorem
Nad Wennacharu ustali jeziorem;
I gdy zwierz dalej szedł wciąż skróś parowów,
Ścigał go tylko sam jeden — wódz łowów.

VII.

Sam, w obcem miejscu, bez śladu i drogi,
Pędził, nie szczędząc bicza i ostrogi.
Bo już tuż przed nim, zziajany, podbity,
Zgarbiony, znojem i kurzem okryty,

Robiąc bokami białymi od piany,
Wlókł się zaledwo jeleń spracowany.
Tuż dwa psy czarne, wytrwałe na skwary,
Z gniazda świętego Huberta ogary,[2])
Ślad w ślad za zwierzem, w ciasnocie parowu,
Wróżą kres blizki i zdobycz połowu.
O krok już ledwo za sobą śród ciszy
Z rozpaczą jeleń szczekanie ich słyszy,
Lecz ni sam od nich odsadzić się chyżej,
Ni psy nie mogą doścignąć go bliżej.
I tak ku brzegom Achraju, przez jary,
Między zarośle i dzikie pieczary,
Pędził myśliwiec, i zwierz, i ogary.

VIII.

W poprzek przed niemi, nad brzegiem jeziora,
Stroma, skalista wznosiła się góra;
Tam jeleń dalszej nie mając już drogi,
Musi się zwrócić i bić się na rogi.
Z dumą myśliwiec, rad pewnej zdobyczy,
Sęki ich okiem rozmierza i liczy,
Na hymn tryumfu i na cios zbójecki
Gotując trąbkę i nóż swój strzelecki.
Lecz gdy z wzniesionem nad głową ramieniem
Przypuścił konia, by starć się z jeleniem,[3])
Chytry zwierz w porę grożący cios zoczył,
Zwrócił się nagle i w stronę uskoczył,
I w ciasny wąwóz śród skał na uboczu,
Runął przed psami, i znikł im z przed oczu,

Aż resztę siły wzmagając z przestrachu,
Zapadł w najdzikszych zakątach Trosachu*).
Tam już na wonne rzuciwszy się wrzosy,
Rzeźwiąc się chłodem wilgoci i rosy,
Słuchał bez trwogi, jak w głębiach parowu
Psy rozjuszone szukały go znowu,
Skowycząc z gniewu i wyjąc na skały,
Co ich szczekaniem nawzajem szczekały.

IX.

Tuż po za psami, przez głazy i krzewy
Drąc się myśliwiec, poduszczał ich gniewy;
Wtem koń — nim pośpiał zawściągnąć mu wodze,
Drgnął, zarył nozdrzem, i runął na drodze.
Próżno go jeździec, by podnieść na nogi,
Targa munsztukiem, nie szczędząc ostrogi:
Wysilon znojem pogoni i spieki,
Legł dzielny rumak, by spocząć na wieki.
Wtedy zbyt późną zgryzotą ruszony,
Zsiadł, i tak nad nim rzekł pan zasmucony:
„Mógłżem ja myśleć, mój koniu kochany!
„Gdym cię dosiadał na brzegach Sekwany,
„Że nad twem ciałem, wśród dzikich wądołów,
„Pastwić się będzie dziób szkockich sokołów?
„Przeklęte łowy! przeklęta pogoni!
„Coś mię zbawiła najlepszego z koni!“

*) Nazwisko wąwozu, rozciągającego się między dwoma jeziorami: Loch-Katrinen i Loch-Achrajem.

X.

Rzekł i zatrąbił, by z błędnego lasu
Psy swe przynajmniej odwołać zawczasu.
Kulejąc, zwolna, i z okiem spuszczonem,
Wyszły, z podgiętym pod siebie ogonem,
I jakby pana sromały się wzroku,
Nie śmiąc się głaskać, stanęły przy boku.
On trąbił jeszcze; dźwięk rogu chrapliwy
Napełnił wąwóz, i lasy, i niwy.
Zbudzone w lochach krzyknęły puszczyki,
Orzeł w powietrzu powtórzył ich krzyki.
Dźwięk coraz dalej szedł z wiatru oddechem,
Aż jak sto rogów ozwało się echem.
Z westchnieniem jeździec z tych miejsc nieszczęśliwych
Odszedł, by szukać orszaku myśliwych,
Lecz idąc, często wstrzymywał swe kroki:
Tak trudna droga, tak piękne widoki.

XI.

Już blaski dzienne, jak odpływne wały,
Z całego nieba na zachód spływały;
Nagie skał szczyty i lesiste góry
Tlą jeszcze resztą słonecznej purpury,
Kiedy już z głębi zapadłej doliny,
Jak mgła nad wodą, powstawał mrok siny,
Ćmiąc wązką ścieżkę, co brzegiem strumienia,
Wijąc się różnie i ginąc śród cienia,
Wiodła po sękach i odłamach skalnych,
U stóp tysiąca skał piramidalnych,

Co ostrym szczytem wybiegłszy nad chmury,
Jak ostrza wieżyc gotyckiej struktury,
Sterczą po rogach, jakby twierdz wysokich,
Mass granitowych, olbrzymich, szerokich,
Jako ów pomnik grzesznego zamiaru,
Czyn dumy ludzkiej, w dolinach Szinaru*).
Czoła i boki tych dzikich ogromów,
Rozpadłe wiekiem, strzaskane od gromów,
Noszą kształt dziwny miast, świątyń, lub domów.
Ówdzie się zdają, wypukłe u grzbietów,
Wierzchołkiem kopuł lub wschodnich meczetów;
Tam nastrzępione, jak chińskie pagody;
To znów jak baszty, lub wałów obwody,
Lub w fantastyczne połamane łuki —
Dzikość natury, wzór arcydzieł sztuki!
Ani tym zamkom zbywa na sztandarach:
Tu bluszcz swe sploty rozwiesił po szparach,
Tam bujne krzewy, tam zielone drzewa,
Lub chwast wysoki z wiatrami powiewa.

XII.

Z dziką hojnością natura wesoła
Rozsiała spodem i kwiaty i zioła.
Tu polna róża szkarłatem rumieńca
Płonie w objęciach głogu oblubieńca;
Tam przy fijołku konwalia dzika
Śnieżystem czołem nad mchy się wymyka.

*) Wieża Babilońska.

Bluszcze, powoje, wrzos, czabry i ślazy,
Ścieląc się, wisząc, lub pnąc się na głazy,
Mieszają różnie swe barwy i wonność,
Barwiąc skał nagość, lub darni zieloność.
Z wierzbami brzoza płacząca pospołu
Liśćmi z traw rosę zamiata u dołu;
Wyżej dąb, wiatrów wojownik wysoki,
Krętym korzeniem rozsadza opoki;
A wyżej jeszcze piętrzące się jodły
Szczyt swój posępny ku niebu wywiodły,
Lub zgięte burzą od skały do skały,
Nad przepaściami jak mosty wisiały.
Aż gdzie najwyżej wierzchołki skał wzbite,
Tłące się słońcem, lub śniegiem okryte,
Podróżny ledwo mógł dojrzeć u szczytów
Tło zwierciadlane niebieskich błękitów.
Wszystko tak dzikie, tak cudne zarazem,
Że snów czarownych być zda się obrazem.

XIII.

Środkiem wąwozu, wązki, zabrzeżysty,
Sączył się strumień, spokojny i czysty.
Głąb jego zrazu i płytka, i kręta,
Ledwoby dzikie uniosła kaczęta;
Ale wnet ginąc pod niskich wierzb szczytem,
Zasilon źródłem w ich gęstwie ukrytem,
Szerszem już z cienia wychodzi korytem,
W ciemno przejrzystych malując kryształach
Skały, i drzewa rosnące po skałach.

I coraz szerszy, im coraz szedł dalej,
Ryjąc się głębiej i błyszcząc wspanialej,
Wzbiera nad brzegi i wkoło oblewa
Nadbrzeżne skały, pagórki i drzewa,
Tak, że zdaleka wydają się z wody
Jak gruzy zamków, lub wysep ogrody.
Strumień grunt coraz bystrzejszym rwąc prądem,
Co krok to dalej rozłącza je z lądem,
Aż wszystkie strugi złączywszy znów w biegu,
Zalewa wąwóz od brzegu do brzegu,
I połyskując wód gładkich przestworem,
Małem Trosachu staje się jeziorem.

XIV.

By wyjść z wąwozu, strzelec pełen trwogi
Nie widzi żadnej ni ścieżki, ni drogi,
Chyba się musi, z potrzeby zuchwały,
Piąć po urwiskach przepaścistej skały?
Po drzew korzeniach, jak szczeblach drabiny,
Chwytając ręką gałęzie jedliny,
Wdarł się nakoniec na szczyt — skąd u spodu,
Tuż pod nim, w blasku jaskrawym zachodu,
Jakby ze stali zwierciadło ogniste,
Widać Katrinu jezioro przejrzyste:
Pomiędzy wzgórza, rosnące po bokach,
W kształtnie kręconych rozlane zatokach,
Pocieniowane cieniem wysp kwitnących,
Na tle błękitu wód zieleniejących,
I gór, co jakby olbrzymy-strażnicy,
Z dwóch stron zaklętej strzegą okolicy.

Z południa Benwen, zamglony u szczytów,
Piętrząc się w masy skruszonych granitów,
Zwala na brzegi swe gruzy i głazy,
Istne zniszczenia i ruin obrazy,
I czarnym borem nawisły po wierzchu,
Mroczy się cieniem przedwczesnego zmierzchu;
Gdy od północy, nad białe obłoki
Wzbity Benanu wierzchołek wysoki,
Nagi, lecz kształtem powabny dla oczu,
Kąpie się w jasnem powietrza przeźroczu.

XV.

Długo podróżny, wzruszony, zdumiały,
Patrzał na wszystko z wierzchołka swej skały.
„O! co za cuda w tych miejscach — zawołał —
„Kunszt albo przepych potworzyćby zdołał!
„Na tejby górze stanął zamek zbrojny,
„W tym dole niewiast pałacyk spokojny;
„Z owej dąbrowy, z za drzew tego boru,
„Błysłyby wieże białego klasztoru!
„O! jak wesoło dźwięk trąby myśliwej
„Budziłby z rana te lasy i niwy;
„Jak wdzięcznie piosnka miłosna wieczorem
„Brzmiałaby z arfą nad cichem jeziorem!
„Lub gdy śród nocy, w swej pełnej pogodzie
„Księżyc w zamglonej przegląda się wodzie,
„Jak uroczyście, z za mrocznych drzew boru,
„Płynąłby z echem daleki śpiew chóru,
„Gdy dzwon posępny, brzmiąc głucho w dąbrowach,
„W tychby gdzieś górach, lub na tych ostrowach

„Budził świętego pustyni mieszkańca
„Do rozmyślania i modłów różańca! —
„Wtedyby trąba, i arfa, i dzwony,
„Wtedy uprzejma gościnność w te strony
„O każdej porze nęciłyby co dnia
„Obłąkanego, jak dziś ja, przychodnia!...

XVI.

„Ha! wtedy mógłbym cieszyć się z obłędu.
„Lecz dziś! — przeklęta porywczość zapędu! —
„Jak ów pustelnik, com roił w marzeniu,
„Muszę pomyśleć o nocnem schronieniu,
„I wodę suchym zakąsiwszy chlebem,
„Spać gdzieś na ziemi pod gwiaździstem niebem.
„Ale to mniejsza! na łowach i wojnie,
„Fraszka o miękkość, byle spać spokojnie!
„Noc letnia w świeżym przepędzona lesie
„Rzeźwość i ciału i myślom przyniesie.
„Lecz wiem, że w dzikich tych górach i kniejach,
„Nie brak na zbójcach i śmiałych złodziejach;[4])
„Spotkać ich nocą wśród tego ustronia,
„Gorsza, niż stracić jelenia lub konia! —
„Zatrąbię! — może kto z mych towarzyszy —
„Lecz jeśli horda trąbienie posłyszy?...
„Ha! darmo!... ufam w ostatecznej toni
„Że mię odwaga i miecz mój obroni!“

XVII.

Ujął więc trąbkę, i zagrał w nią znowu.
Wtem patrz! — wprost z wyspy naprzeciw parowu,

Cichej i pustej, z za nagich skał zrębu,
Z pod cienia liści zielonego dębu,
Wybiegła łódka, polotna i szparka.
W niej jedna tylko dziewica-żeglarka,
Zręcznem się wiosłem sterując w swej drodze,
Gnała ją szybko ku bliskiej odnodze,
Gdzie wierzb zielonych rozwisłe warkocze
Fala w swem łonie odbija i płócze,
I z cichym szmerem pluskając o brzegi,
Kona na piaskach, błyszczących jak śniegi.
Właśnie pod łodzią zaskrzypiał żwir biały,
Gdy strzelec szybko zstąpiwszy ze skały,
Stanął zakryty pomrokiem wieczora,
By się przypatrzeć tej Nimfie jeziora.
Dziewica zda się czekała śród ciszy,
Aż znów powtórny dźwięk trąbki usłyszy.
Z wzniesionem czołem, z wytężonym wzrokiem,
Jakby coś słysząc w milczeniu głębokiem,
Z powiewnym włosem, rozwianym w pośpiechu,
Z otworzonemi usty — bez oddechu,
Stała jak posąg; — z postawy, z oblicza,
Rzekłbyś, że grecka bogini dziewicza,
Czarownych brzegów Najada strażnicza.

XVIII.

Lecz nigdy nawet dłut greckich rzeźbiarzy,
W Gracyach, w Nimfach, w boginiach ołtarzy,
Nie stworzył cudnej kibici ni twarzy!
Cóż stąd, że słońca gorące pogody
Tłem jakby cienia powlokły jagody?

Trud co jej lica zapalał płomieniem,
Sprawiał zarazem, że z prędkiem westchnieniem,
Nad rąbek szaty, jak fala z za brzegu,
Błyskała coraz pierś bielsza od śniegu.
Cóż, że uczony mistrz sztucznych poskoków
W muzyczne miary nie wkładał jéj kroków?
Nigdy krok szybszy migając przez wrzosy,
Lżej porankowej nie otrząsł z nich rosy;
Najmniejszy kwiatek, jak wiatru tchem zgięty,
Z pod stóp jej znowu powstawał niezmięty.
Cóż, że z ust czasem, z wdzięcznemi ich słowy
Zabrzmi ton prosty góralskiej wymowy?
Głos jej tak słodki, tak miły dla ucha,
Że słuchacz nie śmie odetchnąć, gdy słucha.

XIX.

Wodza być córką zdaje się dziewica.
Lśniąca przepaska, co skroń jej oświeca,
I pled jedwabny płynący z jej ramion,
I złota klamra, należą do znamion.
I rzadko wstążka wiła się śród cieniów
Tylu i takich warkocza pierścieniów,
Jak te, z pod których łabędzia jej szyja,
Jak śnieg z pomiędzy piór kruczych przebija.
Rzadko pled w swoje fałdy tajemnicze
Tulił cudniejsze powaby dziewicze:
A nigdy klamra, swym blaskiem gwiaździstym,
Nie połyskała nad sercem tak czystem.
By zgadnąć w głębi skarb uczuć bez ceny,
Dość jest raz spojrzeć w źrenice Heleny.

Nie tak Katrinu zwierciadło przejrzyste
Odbija jasno swe brzegi kwieciste.
Jak się w tych źrenic swobodzie dziecinnej,
Maluje każda myśl duszy niewinnej;
Czy się w niej radość zaśmieje wesoła,
Czy żal lub litość łzę z oka wywoła,
Czy prędka wdzięczność doznanej dobroci
Myśl rozrzewnioną ku niebu obróci;
Czy powieść krzywdy, lub widok przemocy
Oburzy wolny duch córek północy.
Jedno jest tylko czucie, co trwożliwa,
Z dziewiczą dumą, dziewica ukrywa,
Choć nie mniej czysty blask jego płomienia —
Trzebaż to czucie nazywać z imienia?

XX.

Zniecierpliwionej okolnem milczeniem,
Z ust korałowych głos zabrzmiał ze drżeniem:
„Ojcze!“ krzyknęła; a wiatry na skały
Harmonijnemi dźwiękami powiały.
Słucha — nic wzajem nie mąci milczenia.
„Tyżeś Malkolmie?“ — dźwięk tego imienia
Z tak niewyraźnym z ust wypadł pośpiechem,
Że skały złowić nie mogły go echem.
— „Jestem podróżny“ — rzekł strzelec nieśmiało,
Wychodząc z miejsca gdzie krył się za skałą.
Szybko dziewica, za wiosła zamachem,
Na głąb w swej łódce odbiegła z przestrachem,
I zapłoniona, na piersi wzburzonej
Stuliła rąbek rozwianej zasłony;

Tak pierzcha łabędź spłoszony od brzegu,
Tak gładząc pióra wstrzymuje się w biegu.
Bezpieczna wtedy, choć jeszcze nie śmiała,
Wsparłszy się wiosłem, na gościa patrzała.
Nie taką postać, nie takie miał lice,
By się go długo lękały dziewice.

XXI.

Na wzniosłe czoło i na twarz namiętną,
Wiek męzki włożył rozmyślania piętno,
Nie starł z nich jednak swobodnej szczerości,
Ani zapału i ognia młodości.
W rysach tchnie trefność i wesołość pusta,
Dumę zdradzają śmiejące się usta,
I widać z oka, co błyska i gore,
Serce do gniewu i miłości skore.
Wzrost kształtny, w miarach zarówno stosownych
Do zręcznych igrzysk i trudów gwałtownych.
I chociaż strzelcem jest tylko z ubioru,
Choć nie ma broni, prócz strzelca klajmoru: *)
Wyniosłość oczu i wzrok ich płomienny,
Tak znaczą męztwo i zapał wojenny,
Że rzekłbyś w mitrze lub zbroi rycerza,
Na polu bitew być wodzem zamierza.
Krótko swe dzienne wspomniawszy przygody,
Mówił o braku gościnnej gospody.

---

*) Szeroki pałasz, używany przez góralów szkockich w bitwach i na łowach.

W łagodnym głosie i mowie dobornej
Tchnął wdzięk i gładkość zalotności dwornej,
Lecz z tonu, z giestów — choć to chciał pokrywać
Znać, że nie prosić zwykł — lecz rozkazywać.

XXII.

Dziewica grzecznej wysłuchawszy mowy,
Wdzięcznemi wzajem ozwała się słowy,
Że dla zbłąkanych śród gór tych wieczorem,
Domy góralów są zawsze otworem.
„Ani sądź, gościu, że niespodziewanie
„Nasze samotne nawiedzisz mieszkanie!
„Od rana dzisiaj, nim wiatr owiał rosy,
„Łoże miękkiemi nasłano ci wrzosy;
„Na twoją ucztę, liść owych modrzewi
„Zlała krew głuszców i dzikich cietrzewi,
„I nasze sieci szerokie o wschodzie
„Nie nadaremnie brodziły po wodzie". —
— „Z żalem", rzekł strzelec, „lecz czuję powinność,
„Bym twoją w błędzie oświecił gościnność.
„Obcy, nie roszczę praw do uprzejmości,
„Z jaką znać czekasz zaproszonych gości.
„Rzucony trafem śród tego ustronia,
„Straciwszy drogę, przyjaciół i konia,
„W górach tu waszych nieznany nikomu,
„Nie miałem wstąpić do żadnego domu.
„Ażem obaczył ze skał tych wyżyny,
„Czarowną Wróżkę tej czarów krainy". —

XXIII.

— „Wierzę,“ odparła dziewica z uśmiechem
Łódź swą do brzegu zbliżając z pośpiechem
„Wierzę, żeś z rana nie myślał wieczorem
„Nad Loch-Katrinu nocować jeziorem.
„Ale jest człowiek, co przyjście twe wiedział.
„Allan-Ban wczora już je przepowiedział;
„Bard białowłosy, któremu widzenia
„Zwiastują przyszłość i blizkie zdarzenia[5]).
„Wczoraj on widział zły koniec twych łowów,
„Śmierć twego konia śród dzikich parowów;
„Opisał, mówiąc że zbłądzisz w te strony,
„Rysy twe, postać, i strój twój zielony,
„I złotą trąbkę z jedwabnym kutasem,
„I nóż myśliwski, co nosisz za pasem,
„I tę twą czapkę z piór czaplich ozdobą,
„I dwa psy czarne, co idą za tobą.
„W domu też kazał nie szczędzić zachodu,
„By uczcić gościa z wysokiego rodu.
„Ja, wyznać muszę, nieskora do wiary,
„Choć nieraz jego sprawdziły się mary,
„Słysząc dźwięk trąbki, myślałam wesoła,
„Że to mój ojciec, jak zwykle, mię woła“. —

XXIV.

Gość się uśmiechnął. — „Jeżeli wiedziony
„Wyższym wyrokiem, przychodzę w te strony,
„Ufam, że prorok zapytać pozwoli,
„W czem mam dopełnić przeznaczenia woli?

„Na tysiąc przygód ważę się ochoczy,
„Skoro twe piękne zachęcą mię oczy.
„Tymczasem, pozwól, jeżeli się godzi,
„Bym cię wyręczył w sterowaniu łodzi!“ —
Z przekąsem Nimfa — gdy wziąwszy jej wiosło,
Znać że mu nowe rozpoczął rzemiosło —
Śmiała się patrząc, jak ramię wysilał.
I jak się wstydził, że czółnem przechylał.
Lecz męzka siła brak wprawy zmniejszała:
Łódź, choć się chwiejąc, leciała jak strzała,
A w ślad jej, skomląc, nie rade z ochłody,
Szły wpław ogary, pysk wznosząc nad wody,
Nie wiele razy dłoń w pracy swej skora,
Rozbiła wiosłem zwierciadło jeziora,
Gdy łódź, przemknąwszy około skał zrębu,
Wbiegła w cień liści zielonego dębu.

XXV.

Gość szybko wyspę obejrzał tymczasem.
Brzeg był zarosły murawą i lasem,
Lecz nigdzie domu, ni ścieżki, ni drogi,
Żadnego śladu rąk ludzkich, ni nogi.
Aż mu dziewica wskazała tor mały,
Przez las w głąb wyspy wiodący na skały,
I z skał w zieloną schodzący dąbrowę,
Pomiędzy wierzby i gaje brzozowe.
Tam pod ich cieniem, ktoś, znać niespodzianie,
Na prędce wiejskie zbudował mieszkanie.[6])

XXVI.

Dom był przestronny, lecz dziwny z pozoru,
Prostą strukturą, bez sztuki, ni wzoru,
Stawiony z drzewa, jakie w okolicy
Najłatwiej mieli śpieszni budownicy.
Pnie smolnych sosen i surowych dębów,
Sklutem zaledwo ściosane u zrębów,
Ocięte z sęków, lecz korą odziane,
Na wzrost wysoką tworzyły w krąg ścianę,
Której szerokie czeluście i szpary,
Zmieszany z gliną zatykał mech szary.
Z drzew cieńszych sosen, odartych z swej kory
Belki i krokwie, spojone u góry,
Dzierżą nad domem dach jego poziomy,
Wiązany z snopków gałęzi i słomy.
Obok drzwi domu, dwa z darni siedzenia
Wiejski nad gankiem przysionek ocienia,
Pokryty korą z gładkich lip surowych,
Wsparty na białych kolumnach brzozowych,
Po których dłonie Heleny pieszczone
Puściły wiankiem powoje zielone,
I girlandami osnuły w około
Bluszcz i barwinek kwitnący wesoło,
Co się tak wdzięcznie swym kwiatem rumieni,
Że go lud prosty zwie: Panną w zieleni;
I inne ziela, co liśćmi wiotkiemi
Pną się do góry, lub pełzną po ziemi.
Pod tym przysionkiem stanąwszy dziewica,
Rzekła, z uśmiechem odwracając lica:

„Wzywaj, rycerzu, swej Damy i Świętych,
„I wstępuj śmiało do progów zaklętych!“ —

XXVII.

— „Idąc za tobą, innego Anioła,
„Ni innej Damy nikt wzywać nie zdoła!“ —
Rzekł, i wszedł za nią; — wtem głośny brzęk stali,
Jakby szczęk miecza, rozległ się po sali.
Warem krwi serce przychodnia nabiegło;
Lecz wnet ze wstydem omyłkę spostrzegło,
Gdy tuż u wnijścia, na cegłach podłogi,
Ujrzał miecz nagi, przyczynę swej trwogi,
Wypadły z pochwy, zwieszonej z niechcenia
Na sękowatych rosochach jelenia.
Bo w krąg po ścianach, za gmachu sprzęt cały,
Wojny i łowów trofea wisiały:
Tu hełm, tam puklerz, tam oszczep strzelecki,
Ówdzie łuk, kołczan, lub miecz staroświecki.
Tu dzik kłem błyska z pod zbroi rycerza,
Dalej wilk białe swe zęby wyszczerza;
Ponad pstrym rysiem rozpiętym na dole,
Sterczą łby łosie lub rogi bawole.
Obok wojenne chorągwie podarte,
Z których znać jeszcze krwi ślady niestarte,
I skóry różnych barw, kształtów i cieniów,
Sarn, żubrów, lisów, niedźwiedzi, jeleniów,
Porozwieszane dziwnie, rozmaicie,
Tworzyły dzikie ścian szorstkich obicie.

XXVIII.

Gość rzucił wkoło oczyma bystremi,
Gdy się schylając, podnosił miecz z ziemi;
I musiał dobrze natężyć moc dłoni,
By dźwignąć ciężar i długość tej broni.
Ważąc ją w ręku i mierząc oczyma:
„Jednego tylko, rzekł, znałem olbrzyma,
„Coby bez czarów, ramieniem człowieczem,
„Mógł wpośród bitwy wywijać tym mieczem!“ —
Twarz się dziewicy rumieńcem powlekła,
I wpół z westchnieniem, wpół z uśmiechem rzekła:
„Widzisz, rycerzu, miecz czarnoksiężnika,
„Co mię w tym zamku zaklętym zamyka;
„A tak nim łatwo wywija nad głową,
„Jak ja wachlarzem, lub rószczką wierzbową.
„Postać też jego równaćby się warta
„Z wzrostem Ferraga, albo Askabarta[7]).
„Ale się nie bój — w jaskini olbrzyma,
„Prócz sług i niewiast, nikogo dziś niema“. —

XXIX.

I w tejże chwili weszła do komnaty
Znać pani domu; poważna już laty,
Lecz której postać i wdzięk snać za młodu,
Mogłyby zdobić sam dwór Holyrodu*).
Helena ciotkę, z czcią matce powinną,
I z wesołością ściskała dziecinną,

*) Pałac królów Szkockich w Edynburgu.

Gdy ta, spokojnie, bez dumy ni sromu,
Uprzejmie gościa witała w swym domu,
Nie szczędząc względów należnych dowodu
Ani śmiąc badać imienia lub rodu [1]).
Bo taką wówczas cześć wzbudzał przychodzień,
Że choćby nawet zabójca lub zbrodzień
Przyszedł na ucztę do domu swych wrogów,
Niezapytany wyjść mógłby z ich progów.
Lecz z własnej woli gość odkrył swe miano:
Jakób Fitz-Jakób z Snowdunu go zwano;
Dziedzic skał nagich i pastwisk obfitych,
Krwią przodków jego i mieczem nabytych.
Broniąc ich właści, ojciec poległ w boju;
On sam — Bóg widział, jak pragnął pokoju —
Za młodu jednak był nieraz zmuszony
Użyć oręża dla praw swych obrony.
Dziś z rana, w Lorda Moraja orszaku,
Goniąc za zwierzem, na rączym rumaku,
Prześcignął strzelców, i trudem znużony,
Stracił tor, konia, i zbłądził w te strony.

XXX.

Mówiąc to, wzajem myślał pokryjomu
Wybadać imię i stan panów domu.
Starsza matrona, ze słów i z pozoru,
Widać że znała ton miasta i dworu;
Helena, chociaż w wesołej źrenicy
Jaśniał swobodny wdzięk wiejskiej dziewicy,
Z rysów jej, z mowy, z postaci, z ruszenia,
Znać było cechę wyższego plemienia;

Bo gdzieżby w gminie znaleźć w owym czasie
Umysł i duszę, jaka w niej być zda się?
Lecz ile razy gość zręcznemi słowy
Zwracał ku temu tok zwykłej rozmowy:
Wnet pani domu, twarzą obojętną
Zdała się karcić ciekawość natrętną,
Lub ją Helena, z przekornym uśmiechem,
W żart obracając, przerwała z pośpiechem:
„Jesteśmy wróżki! w tych górach i borach,
„Żyjem nie wiedząc o miastach i dworach.
„Latamy z wiatrem, po wodzie żeglujem,
„Błędnych rycerzy spojrzeniem czarujem,
„Lub im przy dźwięku arf ręką nietkniętych,
„Nucim, by uśpić, rym pieśni zaklętych!“ —
Rzekła, wtem arfa w niewidomej ręce,
Zabrzmiała, wtórząc góralskiej piosence [9]).

XXXI.

PIEŚŃ.

„Śpij, żołnierzu! śpij po znojach!
Pod urokiem snów łagodnych,
Przestań marzyć o krwi, bojach,
Dniach gorących, nocach chłodnych!
Tu rój Sylfów nam znajomych
Rozpromieni myśl twą senną;
Tu dźwięk arf ich niewidomych
Uśpi w sercu troskę dzienną.
Śpij, żołnierzu! śpij po znojach,
Przestań marzyć o krwi, bojach;

Śpij, zapomnij w snach pogodnych,
Dni nużących, nocy chłodnych!

Nie usłyszysz w tej ustroni,
Śród samotnych gór i lasów,
Szczęku broni, rżenia koni,
Huku bębnów, trąb hałasów.
Chyba słowik lub skowronki
Zabrzmią z rana i wieczorem;
Chyba z bagien między łąki
Bąk zabębni nad jeziorem.
Innych dźwięków, trąb ni broni,
Nie zna echo tej ustroni;
Nic nie przerwie lubych wczasów,
Śród samotnych gór i lasów".

XXXII.

Umilkła chwilkę — i dając znak ręką,
Że gościa dalszą chce uczcić piosenką,
Wzrok wziosła w górę, i płonąc jak róża,
Z brzmieniem strun arfy ton śpiewu przedłuża,
Aż wnet myśl wiążąc z poprzednią osnową,
Z natchnienia śpiewać zaczęła na nowo.

„Śpij myśliwcze! śpij po łowach!
Sen ci zwabi piosnka nasza.
Śpij nie marząc, że w dąbrowach
Już ci trąbka dzień ogłasza.
Jeleń skrył się gdzieś w ustroniu,
Psy twe wierne śpią przy nodze,

Przestań tęsknić po swym koniu,
Po obłędnej spocznij drodze!
Śpij, zapomnij o złych łowach,
O przepaściach, o parowach,
Niech nagrodzi wdzięk marzenia
Stratę konia i jelenia“.

XXXIII.

Ledwie się skromna skończyła wieczerza,
Obiedwie damy żegnały rycerza.
W sali mu łoże usłano z nawięzi
Wonnego wrzosu i młodych gałęzi,
Gdzie nieraz przed nim gość równie zbłąkany
Znajdował spokój i wczas pożądany.
Lecz próżno świeżość gałęzi i wonie
Kwitnących wrzosów chłodziły mu skronie;
Próżno Heleny głos grał w jego uchu:
Nie uśpił burzy ni w myśli, ni w duchu.
Coraz je dziksze trapiły marzenia,
Obrazy trudów, przygód, udręczenia.
To raz koń pod nim upada gdzieś w borze,
To się łódź jego pogrąża w jeziorze,
A on ni stąpić, ni płynąć nie może.
To z wrogiem niby tocząc bój uparty,
Widzi swą klęskę, i sztandar wydarty,
To znów — o! niechby na wieki przepadło
To najstraszniejsze ze wszystkich widziadło! —
Stają mu w oczach dni pierwszej młodości,
Dni szczerej wiary i ufnej miłości;

Znowu się duszą podziela na poły
Z rozpierzchnionymi dawno przyjacioły.
Wszyscy wkrąg niego gromadą się zbiegli,
Zmienni, zdradzieccy, lub w grobach polegli;
Wzrok ich tak tkliwy, dłoń ściskać tak skora,
Jakby z nim ledwo rozstali się wczora.
Z trwogą sam przez sen zapytał się nieraz:
Co sen, co prawda? czy dawniej, czy teraz?
Czy widmem była ich śmierć lub niewiara?
Czy to, co widzi, jest tylko snu mara?

XXXIV.

W końcu, z Heleną błądząc między gajem,
Miłośnie, zda się, rozmawiał z nią wzajem.
Lica jej płoną, lecz usta się śmieją;
Słucha z westchnieniem, on błaga z nadzieją.
Wtem, gdy chce ścisnąć miękką dłoń dziewicy,
Uczuł żelaznej zimno rękawicy.
W miejscu jej męzkie stanęło widziadło,
W błyszczącym hełmie, z przyłbicą zapadłą;
Zmienia się, rośnie w postawę olbrzyma:
Olbrzym hełm podniósł i błysnął oczyma;
Twarz jego groźna, ponure wejrzenie,
Straszny, a jednak podobny Helenie. —
Zbudził się rycerz, i z dreszczem przestrachu,
Sny wspominając, spozierał po gmachu.
Czerwone głownie w przygasłem ognisku
Pełgały łuną krwawego połysku,
Wpół ukazując, wpół kryjąc śród cienia,
Dzikie ozdoby i ścian i sklepienia.

Wpośród nich rycerz napotkał oczyma
Ów miecz, jak gdyby swych marzeń olbrzyma;
I tysiąc myśli, tysiąc mar trwożących
Powstało w duszy i w oczach iskrzących,
Aż, by rozproszyć widma gorączkowe,
Powstał, i z domu wyszedł na dąbrowę.

XXXV.

Gwiazdami ciche pałały niebiosa,
Po łąkach lśniąca srebrzyła się rosa;
Nocna woń kwiatów i rozkwitłych krzewów,
Tchnęła w oddechu rzeźwiących powiewów;
Wkrąg dolin, w mroczne ściskając się masy,
Słały cień drzewa i milczące lasy,
Gdy pełne światło miesięcznej pogody
Lało się z niebios na góry i wody.
Dzikichby nieszczęść potrzeba lub duszy,
By jej ten widok nie ulżył katuszy!
On uczuł spokój — i patrząc po niebie,
Wpół myślał w sobie, wpół mówił do siebie:
„Cóż to? czyż nigdy, pomimo mej chęci,
„Rodu wygnańców nie zbędę z pamięci?
„Nie mogęż spotkać dziewczyny śród lasów,
„By się nie zdała mieć wzroku Duglasów?
„Nie mogęż ujrzeć starożytnej broni,
„By wnet nie wspomnieć o Duglasa dłoni?
„Nie mogęż marzyć, by zaraz sen krwawy
„Nie przybrał groźnej Duglasa postawy? —
„Nie! nie chcę marzyć! — mocna wola męża,
„Doznam, czy nawet i we śnie zwycięża?

„Zmówiwszy pacierz, muszę wczasu zażyć,
„Wrócić na łoże i spać, a nie marzyć!“ —
Zmówił pacierze, stanąwszy na łące,
Znacząc ich liczbę na złotej koronce;
I z niebem myśli i duszę kojarząc,
Wrócił na łoże i zasnął, nie marząc,
Aż rannych ptasząt zbudziło go pienie,
Gdy już blask słońca błyszczał na Benwenie.

PIEŚŃ DRUGA.

WYSPA.

I.

Wschód jutrzenki, jest wschodem życia i wesela:
Wszystko co kwitnie, wonią tchnie z kwiatów kielicha;
Wszystko co żyje, radość czuje i podziela:
Ptak śpiewa, zwierzę pląsa, człowiek się uśmiecha.
I gdy po wód zwierciadle mknęła łódka cicha,
Z gościem, co jeszcze ręką dawał pożegnanie:
Ożywczy wpływ poranku natchnął pierś Minstrela[1],
I z brzmieniem arfy, słodkie wzniosło się śpiewanie,
Twoje, o! białowłosy wieszczu Allan-Banie!

II.

PIEŚŃ.

„Nie prędzej z wioseł żeglarzy dłonie
Strząsają pianę u brzegu;
Nie prędzej w wodzie znika i tonie
Ślad, co na gładkiem jeziora łonie
Łódź chyża ryje w swym biegu:

Jak człowiek w szczęściu, z myśli swej ściera
Pamięć dobrodziejstw, które odbiera
W nieszczęścia chwili przelotnej.
Bądź więc zdrów, gościu! bądź zdrów na wieki!
Żyjąc szczęśliwy, błądząc daleki,
Zapomnij wyspy samotnej!

„Pierwsze ci miejsce przy królów tronie,
Pierwsze niech będzie na bitwach:
Pierwsze na łowach charty i konie,
Najpierwszym wieńcem twoje niech skronie
Piękność uwieńcza w gonitwach.
Niech miecz w twej dłoni, towarzysz w rzędzie,
Przyjaciel sercu wierny niech będzie,
W chwili pogodnej czy słotnej;
Przy tkliwej, pięknej, cnotliwej żonie,
Kochany wzajem, w kochanych gronie,
Zapomnij wyspy samotnej!

III.

„Lecz jeśli kiedy pledem odziany,
Stanie u wrót twych gościnnych
Pielgrzym ubogi, błędny, wygnany,
I tęsknić będzie, łzami zalany,
Do gór, do progów rodzinnych:
Wtenczas, o! gościu! niech mu z twej duszy
Błyśnie pociecha, która osuszy
Łzy z jego twarzy wilgotnej;
Wtenczas przypomnij własne przygody,
Gdyś sam błądzący, szukał gospody
Na naszej wyspie samotnej.

„Lub gdy na morzu życia o skały
Wichry twą nawę rozkruszą:
Gdyś próżno mądry, cnotliwy, śmiały —
Nędza, wygnanie, potwarzy strzały
Zachwieją sercem i duszą:
Nie roń łez męzkich na próżną żałość,
Niewdzięczność dworów, losów niestałość,
Na zmienność zgrai przewrotnej;
Lecz wracaj, gościu, wracaj z pośpiechem,
Gdzie cię uprzejmość z łzą i uśmiechem
Spotka na wyspie samotnej!“ —

IV.

Ostatnie dźwięki konały w powiewach,
Gdy łódź u lądu stanęła przy drzewach.
Lecz długo jeszcze, nim zniknął w ich cieniu,
Gość w stronę wyspy poglądał w milczeniu,
Gdzie jeszcze śpiewak z ubielonym włosem,
Wysilon pieśni uczuciem i głosem,
Stał nad jeziorem, pod drzewem strzaskanem,
Jak on, burzami i wiekiem złamanem.
Pogrążon w wieszcza dumy tajemnicze,
Podniósł ku niebu szlachetne oblicze,
Jakby w ognisku wschodniego płomienia
Duch szukał iskry nowego natchnienia;
Jakby dłoń jego oparta o strony,
Czekała siły, by zabrzmieć w ich tony.
Stał tak poważny z postawy i wzroku,
Jak ów, co słucha czytania wyroku;

Tak nieruchomy, że szemrząc po drzewie
Wietrzyk mu włosa nie zachwiał w powiewie,
Że zda się usta nie tchnęły oddechem,
Że duch uleciał z ostatniem strón echem.

V.

Tuż na murawie, przy stopach Minstrela,
Siedzi Helena z uśmiechem wesela.
Cóż ją cieszyło? czy zwinność pławaczek,
Dzikich w jeziorze kąpiących się kaczek,
Na których stado płynące szeregiem,
Mały jej piesek wył skacząc nad brzegiem?
Lecz gdy to tylko cieszyło dziewicę,
Powiedz, kto mniemasz znać serce kobiéce,
Czemu rumieniec wystąpił na lice? —
Przebacz, ach! przebacz, aniele wierności!
Jeśli powodem uśmiechów radości
Był gość, co dotąd, jakby na coś czekał,
Stojąc nad brzegiem, odejście swe zwlekał,
I już chcąc odejść, zwracał się i stawał,
I ręką znaki pożegnania dawał.
Lecz wy, dziewice! — nim w mej bohaterce
Winić zechcecie lekką myśl lub serce —
Wskażcie mi jedną z was, która nie życzy,
Coby w swem sercu nie czuła słodyczy,
Z podobnych zwycięztw, i z takiej zdobyczy!

VI.

Póki stał w miejscu, Helena udała,
Że go nie widzi, lub widzieć nie chciała;

Lecz gdy odchodząc już znikał za gajem,
Ręką ku niemu skinęła nawzajem.
I nigdy jemu, jak potem wyznawał,
Żaden się tryumf tak chlubnym nie zdawał,
Choć go najpierwsze bogactwy i rodem,
Uprzejmych względów darzyły dowodem.
Nawet gdy schodząc zwycięzcą ze szranek,
Z rąk najpiękniejszej zwycięzki brał wianek,
Nie doznał w duszy takiego wzruszenia,
Jak na te proste i nieme skinienia. —
Naówczas z danym przewódzcą góralem,
Z psami przy boku, oddalił się z żalem.
Ona patrzała jeszcze, jak pod górą,
Z poza drzew czaple migało się pióro;
Aż gdy już więcej wzrok dojrzeć nie zdołał,
Anioł-stróż gromiąc w jej sercu zawołał:
„Toż jest twa wierność? — o! dziewczyno płocha! —
„Z takąż to wzajem twój Malkolm cię kocha?
„Malkolm swej duszy nie łechtałby słowy
„Gładkiej, pochlebnej, lecz nie twej rozmowy;
„Malkolm ciekawym nie goniłby wrokiem
„Za lekkim, zręcznym, lecz nie twoim krokiem!“...
— „Dość, dość tych dumań, wieszczu Allan-Banie!“
Krzyknęła, własne by przerwać dumanie.
„Gdy ci duch jeszcze nie gore natchnieniem,
„Ja go szlachetnem zapalę imieniem;
„I jeśli zechcesz usłuchać mych namów,
„Śpiewaj, o! mistrzu! cześć rodu Grahamów!“ [2])
Ledwo Helena to imię wyrzekła,
Twarz się jej nagłym rumieńcem powlekła,

Bo każdy wiedział, że z męztwa, z urody,
Pierwszym w tym rodzie, był Malkolm jej młody.

VII.

Po trzykroć Minstrel, ze wzrokiem płomiennym,
W struny swe taktem uderzył wojennym,
I trzykroć, pełen wesela i pychy
Dźwięk, skonał mdlejąc, jak smutku jęk cichy.
„Próżno, dziewico!“ — strwożony tem brzmieniem,
Rzekł bard, i ręce opuścił z westchnieniem.
„Próżno wesołej chcesz pieśni odemnie,
„Ty, co mię o nic nie prosisz daremnie!
„Możniejsza ręka snać arfy mej strony
„Na insze dzisiaj nastroiła tony.
„Nutę wesela brać chciałem bez skutku,
„Sam, niebudzony, brzmi cichy jęk smutku;
„Hymny tryumfu wznieść chciałem ku niebu,
„Słyszałaś sama ton pieśni pogrzebu.
„Obyż przynajmniej mnie tylko, nie komu,
„Dźwięk ten złowrogi zagrażał w tym domu!
„Jeśli, jak głosi wieść u bardów znana,
„Arfa ta, niegdyś świętego Modana [3]),
„Brzmiąc tak, śmierć tylko panu swemu wróży:
„Ja dość już żyłem, bym pragnął żyć dłużej! —

VIII.

„Lecz ach! Heleno! — tak właśnie zabrzmiała
„W dzień, gdy twa święta matka umierała;
„To był ton, pomnę, który, gdym wśród gości
„Chciał nucić pieśni chwały i miłości,

„Ze strun jej echem zabrzmiawszy złowieszczem,
„I mnie i wszystkich zimnym przejął dreszczem,
„I urągając biesiady weselu,
„Jęczał żałośnie po salach Botwelu *),
„Przedtem, nim Duglas śród nieszczęść pogromu,
„Tułacz, ujść musiał z przodków swoich domu [1]). —
„Ach! jeśli jeszcze w burzy przyszłych czasów,
„Nowy grom grozi rodzinie Duglasów:
„Jeśli raz jeszcze ponure to brzmienie
„Żal lub nieszczęście wywróży Helenie: —
„Złowroga arfo! w niczyjej już dłoni,
„W niczyjem uchu twój głos nie zadzwoni!
„Raz tylko jeszcze, przed własnym swym zgonem,
„Krótkim, płaczliwym odezwiesz się tonem,
„I legniesz w prochu, na szmaty skruszona,
„I mistrz twój na nie upadnie, i skona!“ —

IX.

Ciesząc go, rzekła Helena: „Uspokój,
„Mój przyjacielu, czczy myśli niepokój!
„Wszak wiem, że niema muzyki na świecie,
„Słynącej kiedy na arfie lub flecie:
„Niema piosenki od Twidu do Spei,
„Którejbyś nie znał, nie śpiewał z kolei!
„Cóż za dziw, jeśli niekiedy wbrew chęci,
„Z tysiąca tonów zmąconych w pamięci,

*) Botwel, zamek, siedlisko rodu Duglasów.

„Wypadnie sprzeczny z twą myślą lub słowy,
„W środku weselnej, ton pieśni grobowéj? —
„Ojciec mój, duszą wyższy nad cierpienie,
„Choć stracił wielkość, potęgę i mienie,
„Zniósł mężnie burzę zawziętej fortuny,
„Jak ów dąb wichry i niebios pioruny:
„Koronę liści wiatr rozmiótł dokoła,
„Lecz pnia nie ugiąć, ni zachwiać nie zdoła.
„Ja zaś“ — umilkła, i dłońmi drżącemi
Polny fiołek uszczknęła na ziemi —
„Ja, której świetne dzieciństwa wspomnienia
„Tkwią ledwo w myśli jak senne marzenia,
„Chętnie ten kwiatek, co rośnie w ukryciu,
„Za wzór i godło obieram w mem życiu!
„Tak żyje rosą i blaskiem niebieskim,
„Jak dumna róża w ogrodzie królewskim;
„Ci, co go znajdą, lubią jego wonie;
„A gdy go w wieniec uplotę na skronie,
„Nie prawdaż? każdy bard przysiądzby gotów,
„Że od koronnych piękniejszy klejnotów?“ —
Rzekła, i sama śmiejąc się wesoło,
Kwiat między włosy włożyła na czoło.

X.

Jej wzrok, jej słowa, jej uśmiech wesela,
Rozpogodziły ponurość Minstrela.
Z uśmiechem, z jakim pokutnik za grzechy
Wita w widzeniu Anioła pociechy,
Spoglądał na nią — aż cicha i miła
Łza rozrzewnienia wzrok jego zaćmiła.

Wtedy — bo długo słów znaleźć nie zdołał: —
„O! najpiękniejsza! najlepsza!“ — zawołał.
„Nie znasz, nie czułaś w dziecinnych twych latach,
„Strat swych wielkości, ni żalu po stratach.
„Lecz ja, niestety! — o! gdyby me oczy
„Mogły raz jeszcze, nim je śmierć zamroczy,
„Ujrzeć cię w blasku należnym ci z rodu,
„Na dworze królów, śród uczt Holyrodu,
„Lecącą w tańcu za muzyki dźwiękiem,
„Zachwycającą pięknością i wdziękiem,
„Gwiazdę serc wszystkich i oczu młodzieży,
„Przedmiot uwielbień i westchnień rycerzy,
„Cel pieśni bardów, i wieszczych zapasów,
„Na cześć twych wdzięków, i rodu Duglasów!“ —

XI.

— „Sny to są piękne“, — dziewica zaczęła
Mówić z uśmiechem, lecz mówiąc, westchnęła: —
„Ale darń świeża i cień drzew tych wonnych,
„Zastąpią miejsce tych komnat koronnych;
„Anibym mogła na dworskiej zabawie
„Pląsać weselej, jak teraz po trawie;
„Ani tam bardów królewskich śpiewanie.
„Może być milsze, jak twoje, Allanie!
„Co do rycerzy, którzyby z westchnieniem,
„Przed mem, jak rzekłeś, klękali spojrzeniem,
„Wyznaj, pochlebco! czy próżna ma pycha,
„Czyż do mnie Rodryk i tutaj nie wzdycha?
„Rycerz tak straszny, tak głośny z swych czynów,
„Ów bicz Saxonów, wódz klanu Alpinów,

„Czyżby, sam powiedz, nie wstrzymał się dla mnie
„Od swych łupieży, — dzień jeden przynamnie?“

XII.

Bard zwrócił na nią spojrzenie surowe.
— „Złą do twych żartów wybrałaś osnowę;
„Bo któż w tym kraju, na sto mil w około,
„Wspomniał Rodryka, i śmiał się wesoło?
„Pomnę, jak w gniewie z błahego powodu,
„Zabił rycerza w progach Holyrodu [5]).
„Widziałem, z trupa gdy miecz swój wyciągał,
„Z jak dumną wzgardą obecnym urągał;
„Widziałem, jak go dworacy struchleli,
„Czyniąc mu przejście, zatrzymać nie śmieli.
„Odtąd w tych górach zawarłszy się zbrojnie,
„Trwa w ciągłej z królem i z prawami wojnie.
„I gdyby nie to — gniew pali mą duszę,
„Gdy tę sromotną prawdę wyznać muszę; —
„Któżby śród nawet tych pustyń i lasów,
„Śmiał był przytulić rodzinę Duglasów?
„Gdy jak zwierz dziki od kniei do kniei,
„Ojciec twój błądził bez wsparcia nadziei [6]);
„Gdy się go dawni znajomi wyparli,
„Gdy przyjaciele drzwi przed nim zawarli;
„On jeden, klanu łupieżców wódz krwawy,
„Ujął się waszej niedoli i sprawy.
„I dziś mu za to, jak kwiat w jego rękach,
„Słodka nagroda rozkwitła w twych wdziękach.
„Co chwila z Rzymu spodziewany goniec,
„Przeszkodom ślubów przynieść może koniec.

„Duglas naówczas, przy zięciu swym mężnym,
„Może znów stać się strasznym i potężnym.
„Lecz ty, dziewico! — jeśli się twej woli
„Rodryk dziś czasem ugłaskać pozwoli,
„Niech się tem nazbyt twa duma nie szczyci: —
„Pomnij, dzikiego lwa wiedziesz na nici!“ —

XIII.

— „Minstrelu!“ rzekła Helena, a z oka
Zabłysła z dumą jej dusza wysoka.
„Wiem ja, com winna domowi Rodryka,
„I słuszna wdzięczność me serce przenika.
„Wszystko, co córka mieć może od matki,
„Radę, opiekę. czułości zadatki,
„Wszystko to miałam w Lady Małgorzacie;
„Gdy po nieszczęsnej matki mej utracie,
„Ona po siostrze sierotę na świecie
„Wzięła mię, płacząc, za własne swe dziecię.
„Syn jej, co kryjąc Duglasa w swym domu,
„Gniewów królewskich nie uląkł się gromu,
„Większą, gdy można, wdzięczność znajdzie we mnie.
„Niech wskaże porę, niech żąda wzajemnie
„Ofiar, poświęceń: — nie słowa, nie dzięki,
„Krew, życie oddam — wszystko, prócz mej ręki. —
„Córka Duglasów, w zakonnej komorze
„Wprzód w Maronańskim zamknie się klasztorze:
„Wprzód jak tułaczka, pod obce gdzieś nieba,
„Pójdzie żebrając o suchy kęs chleba,
„Gdzie nikt nie pojmie jej szkockich słów brzmienia,
„Gdzie nikt nie słyszał Duglasów imienia,

„Pójdzie z ojczyzny, za góry i morze,
„Nim odda rękę — gdy serca nie może“.

XIV.

„Ty wstrząsasz głową, i wzrok twój przygania
„Zbytniej ostrości słów moich i zdania.
„Lecz cóż innego sam powiesz? Niestety!
„Umiem ja cenić Rodryka zalety.
„Mężny jest, skory do wielkiego czynu,
„Ale gwałtowny, jak fala Braklinu [7]);
„Szlachetny — prawda — nim gniew go nie wzruszy,
„Albo nim zawiść nie zatli się w duszy.
„Dla swych przyjaciół, w złej czy dobrej toni,
„Wiem, że jest wierny, jak miecz jego dłoni,
„Ale ach! pierwej ów miecz z twardej stali,
„Niż się pan jego nad wrogiem użali.
„Znam jego hojność — z jak chętną szczodrotą
„Rozrzuca drugim bogactwa i złoto,
„Gdy z krwawych wypraw, do dzikich swych leży
„Powrócą z łupem zbójeckiej łupieży,
„I gdzie po drodze kraj kwitnął wesoły,
„Zostawią gruzy i krwawe popioły.
„Dłoń uzbrojoną w ojca mego sprawie,
„Z wdzięcznością córki czczę i błogosławię,
„Lecz czyżbym mogła ścisnąć, będąc żoną,
„Dłoń, krwią bezbronnych wieśniaków zbroczoną? —
„Nie! — same nawet Rodryka przymioty,
„Jak błyskawice śród nocnej ciemnoty,
„Lśnią wprawdzie jasno, lecz tem bardziej trwożą:
„Rokują burze i piorunem grożą!

„Dzieckiem ja jeszcze — a Bóg w dzieciach budzi
„Dziwną przenikłość złych i dobrych ludzi: —
„Płakałam, widząc twarz jego ponurą,
„Czarny pled jego i czapkę, i pióro.
„Gdym wzrosła, ścierpieć nie mogłam widoku
„Wzgardy w uśmiechu, i dumy we wzroku.
„Lecz gdy ty dzisiaj, z obrazem Rodryka
„Łączysz nie żartem imię zalotnika,
„Czuję wstręt w sercu, a nawet — gdy mogę,
„Córka Duglasa, rzec to słowo: — trwogę.
— „Lecz poco wcześnie przyszłością się straszym? —
„Co myślisz raczej, o tym gościu naszym?“ —

XV.

— „Co myślę o nim? — bodaj był daleki
„Od wyspy naszej pozostał na wieki! —
„Miecz twego ojca, co z dawnych go czasów,
„Dla Archibalda, trzeciego z Duglasów,
„Sławnego równie zwycięstwy jak klęski,
„Ukuł mistrz, biegły w sztuce czarnoksięzkiéj,
„Wypadłszy z pochwy, gdy on stał u progu,
„Czyż nie dość ostrzegł o blizkim nas wrogu? [5]) —
„Jeśli szpieg dworski przejrzał to ukrycie,
„Czyż drżeć nie mamy o Duglasa życie,
„Lub o tę wyspę, co zdawna w Alpinie
„Za najpewniejszą twierdzę jego słynie?
„Jeśli nas nawet nie zdradzi przed nikiem,
„Co przed zawistnym powiemy Rodrykiem? —
„Nie, nie! nie śmiej się tym śmiechem szyderczym!
„Przypomnij raczej o boju morderczym,

„Co się już wszczynał na miejscu tem samem,
„Gdzieś wiodła taniec z Malkolmem Grahamem.
„Dotąd, choć Duglas waśń pierwszą umorzył,
„Rodryk swej z serca zawiści nie złożył.
„Strzeż się! — Lecz cóż to? — słyszałaś te głosy? —
„Żaden wiatr nigdzie nie powiał na wrzosy,
„Żaden nie zachwiał jeziora kryształem,
„Nie wzruszył listka — a jednak słyszałem. —
„Ha! słyszę znowu! — głośnieje po trochu —
„To dźwięk kobz naszych i nuta Pibrochu“ *).

XVI.

W końcu jeziora, postrzegli w oddali,
Coś na kształt czterech czarnych plam na fali,
Co się zbliżając i rosnąc na wodzie,
Wnet w cztery zbrojne zmieniły się łodzie,
I choć bez wiatru, pod wiosłem rąk tylu,
Szły pędem strzały od strony Glengylu.
Lecz ominąwszy Briankoil, nagle
Wiatr dmąc z wąwozów, uderzył w ich żagle,
I rozwiał z masztów, szeleszczący głośno,
Sztandar Alpina, z malowaną sosną. —
Coraz im bliżej, tem jaśniej od słońca,
Błyska stal siekier i włóczni tysiąca;
Widać, puszczone na wiatry niepewne,
Wieją tartany i pióra powiewne;

*) Imię właściwej muzyki góralów szkockich, granej zwykle na kobzach, i naśladującej spadkiem tonów, różne obroty wojenne.

Czapki wioślarzy, siedzących po brzegach,
To się schylają, to wznoszą w szeregach,
Gdy z pod ich wioseł, spieniona i wrząca
Woda się we mgłę iskr srebrnych roztrąca.
U sztaby*) stoją grajkowie z kobzami,
Strojnemi w wieńce z długiemi wstęgami,
Co jak chorągwie wiewając na przodzie,
Końcami pianę zmiatają po wodzie,
Gdy ci bez przerwy ruszając ramiony,
Grają góralom ich śpiew ulubiony.

XVII.

Im bliżej coraz, tem głośniej wzdłuż brzega
Dźwięk się Pibrochu po skałach rozlega [9]).
Z początku, zdala tchnąc z wiatru oddechem,
Cichem w powietrzu rozpływał się echem,
I mięknąc zwolna w przelocie nadwodnym
Zdawał się uchu być śpiewem łagodnym.
Ale co chwila, im głośniej, tem bardziej
Brzmi pełniej, mocniej, przeraźliwiej, twardziej;
Znać hasło, które Alpinów klan zbrojny
Gromadzi w hufce i wiedzie do wojny.
Bije takt gęsty, że rzekłbyś po ziemi
Tysiąc stóp tętni krokami prędkiemi,
Że już szeregi stąpają z pośpiechem,
A ziemia głuchem odzywa się echem.
Takt zwolniał nieco; brzmią tony wesela,
Marsz! — znać, że idą na nieprzyjaciela.

*) Przód okrętu.

Wtem wszystkie dźwięki zmięszały się razem,
Jakby mąż z mężem, żelazo z żelazem.
Słychać szczęk mieczów, i chrzęsty pancerzów.
Świst strzał, zgrzyt włóczni, i trzaski puklerzów —
Ucichły nagle — wrzask tłumi się, głuchnie;
Przeszła utarczka, nim bitwa wybuchnie.
Brzmi znak, znów zbrojnych szeregów znać starcie,
Uparty odpór, i szybkie natarcie;
Wzmaga się hałas wrzaskliwy i dziki,
Jęki boleści, tryumfu okrzyki;
Pierzchają tony, jak wrogi śród klęski —
Alpinów tylko brzmi już hymn zwycięzki.
Ani tu koniec; lecz coraz koleją
Wyniosłe tony zniżają się, mdleją,
Aż w cichych jękach powiały ku niebu,
Na cześć poległych smutną pieśń pogrzebu.

XVIII.

Ucichły kobzy; nad wody i góry
Brzmi tylko echem dźwięk długi, ponury.
Umilkł zaledwo, gdy znów nad jeziorem
Nowym powietrze zatrzęsło się chórem.
Z ust żeglujących pieśń głośna i dzika,
Wzniosła się na cześć ich wodza Rodryka —
Wioslarze wiosły w takt bijąc po fali,
Szybkim ich szumem wtór pieśni trzymali,
Tak zmiennej w spadkach, tak dzikiej w swych [chórach,
Jak w listopadzie szum wichru po borach.

Próżno bard z razu, nie śmiejąc oddychać,
Słuchał słów pieśni — ton tylko był słychać;
Lecz gdy ku brzegom zbliżyły się łodzie,
Wiatr takie słowa rozwiewał po wodzie:

XIX.

Pieśń w łodziach.

„Cześć, chwała wodzowi zwycięzkich Alpinów!
Cześć drzewu naszemu, cześć sośnie!
Niech zdobna wieńcami nabytych wawrzynów
Zieleni się, krzewi i rośnie!
Ziemia ją łonem swem,
Niebo niech poi dżdżem,
A wiatry jej wonią dokoła niech tchną!
Niech na cześć jej śród gór,
Brzmi nasz zwycięzki chór:
Rodryk Vich Alpin Dhu, hoho, hoho, hoho!“ [10])

„Nie wiotka latorośl, nie szczep to poziomy,
Co lada wiatr kruszy lub zgina;
Nie zlęknie się burzy, przed wichry ni gromy
Nie ugnie się sosna Alpina!
Choćby w nią piorun grzmiał,
Klan pod nią będzie stał,
Nie zadrży, nie pierzchnie, lecz zginie wraz z nią;
Lub urągając z chmur,
Zwycięzki wzniesie chór:
Rodryk Vich Alpin Dhu! hoho, hoho, hoho!“ —

XX.

„Gdy miecz nasz zwycięzki grzmiał wczoraj w doli-
Lud pierzchał przed echem Pibrochu; [nach
Glen-Fruin i Ross-dhu dziś dymią w ruinach,
Loch-Lomond krwią spłynął w popłochu[11])
W Glen-Luss brzmieć muszą znów,
Płacz sierot, jęki wdów;
Bannochar nas przyjął z bojaźnią i czcią;
Lenox i Lewen-glen,
Zbudził się na głos ten:
Rodryk Vich Alpin Dhu! hoho, hoho, hoho!“

„Cześć, chwała wodzowi zwycięzkich Alpinów!
Cześć drzewu naszemu, cześć sośnie!
O! gdyby do wieńca nabytych wawrzynów
Wpleść różę, co w cieniu jej rośnie!
Oby szczep przyszłych drzew,
Młody z niej wykwitł krzew,
I wzrastał szczęśliwie, i zrównał się z nią!
Jak słodko na ich cześć
Byłoby głos nasz wznieść:
Rodryk Vich Alpin Dhu! hoho, hoho, hoho!“

XXI.

Z orszakiem niewiast, gdy syna postrzegła,
Nad brzeg wnet Lady Małgorzata zbiegła.
Na wiatr puszczone pływały ich włosy,
Gdy wszystkie razem giestami i głosy,

Witały wodza, i ręce do góry
Podnosząc, pieśni powtarzały chóry.
Ona tymczasem, jako matka tkliwa,
Co naprzód każdą chęć syna zgadywa,
Woła Helenę, aby gdy wysiądzie,
Mógł ją najpierwszą powitać na lądzie.
„Pójdź, krwi Duglasa! pójdź! twoje niech dłonie
„Zwycięzcy wieniec położą na skronie!“ —
Z drżeniem Helena, niechętnie i zwolna
Szła, niemiłemu wezwaniu powolna;
Gdy w sam czas właśnie, z wierzbowej zatoki,
Nagły dźwięk trąbki zatrzymał jej kroki.
„Słyszysz Allanie! to ojciec mój wraca!
„Śpieszmy po niego! wszak nasza to praca.
„Rodryk wybaczy; wie, że mię nikt inny
„W tej powinności nie ubiegł dziecinnej!“ —
I jak błysk słońca śmignęła i wkrótce
Na głąb ze starcem wybiegła w swej łódce.
I kiedy Rodryk, stanąwszy na brzegu,
Szukał jej wzrokiem po niewiast szeregu,
Ona już zbytnim znużona pośpiechem,
W objęciach ojca spoczęła z uśmiechem.

XXII.

Są czucia w ludziach, z któremi wspólniczy
Więcej niebieskiej niż ziemskiej słodyczy;
Są łzy tak słodkie, tak czyste w swej treści
Od ziemskich mętów i ziemskiej boleści,
Że niemi nawet z rozkoszą weseli
Płakaćby mogli niebiescy Anieli.

Jest to ta radość, ta łza, którą tkliwy
Ojciec oblewa skroń córki cnotliwej.
Takie — gdy Duglas objąwszy w ramiona
Lube swe dziecię przytulał do łona —
Z ócz bohatera łzy, jak krople rosy,
Na jej rozwiane stoczyły się włosy.
Niemniej nawzajem wzruszona dziewica,
Na piersiach ojca ukrywszy swe lica,
Próżno coś chciała przemówić wesoło.
I gdyby Duglas, podnosząc jej czoło,
I twarz zroszoną i pełną rumieńca,
Nie wskazał obok obcego młodzieńca,
Długoby może nie dostrzegła sama
Miłego gościa: Malkolma Grahama.

XXIII.

Allan tymczasem oparty o wiosło,
Zważał Rodryka, jak z dumą wyniosłą
Wstępował na brzeg — i starca oblicze
Zdradzało myśli tajemnych gorycze,
Gdy na krzyk każdy zwycięzkiego klanu,
Z żalem ku swemu wzrok obracał Panu,
I znów, jak gdyby znieść nie mógł widoku,
Spozierał w niebo, by łzę wstrzymać w oku. —
Widział to Duglas stojąc przy Grahamie,
I rzekł doń z cicha, dłoń kładąc na ramię:
„Ciekawyś pewnie, młody przyjacielu,
„Co budzi smutek w mym wiernym Minstrelu?
„Ja ci to powiem: — wspomina dzień chwały,
„W którym najświetniej pieśni jego brzmiały;

„Gdy mię na czele współbraci swych wielu,
„Witał zwycięzcą u bramy Botwelu;
„Gdy przed mym koniem powiewał niesiony
„Sztandar normandzki, krwią Percych zbroczony,
„A w mym orszaku z szlachetnej młodzieży,
„W pełnym rynsztunku, dwudziestu rycerzy,
„Z których najniższy i rodem i chwałą,
„Z wodzem Alpinów mógł mierzyć się śmiało,
„Za mną, jak wodzem i panem jechało!...
„Lecz wierz, Malkolmie, nie tylem był dumny,
„Kiedy mi drogę zabiegał lud tłumny;
„Gdy się półksiężyc przede mną ukorzył;
„Gdy lord i rycerz rad orszak mój tworzył;
„Gdy lutnie bardów mojemi pochwały,
„A hymny za mnie po kościołach brzmiały;
„Mniej czułem w sercu wesela i pychy,
„Jak gdy ten starca wiernego żal cichy,
„Jak gdy tej biednej dziewczyny uśmiechy,
„Wróżą mnie miłość serc szczerszych i tkliwszych,
„Niż co mieć mógłem w mych dniach najszczęśliwszych.
„Helena moja — przebacz ojca dumie! —
„Jedna mi wszystko wynagrodzić umie". —

XXIV.

Słodka pochwało! Jak zorza rumiana,
Gdy na pogodę zaiskrza się z rana,
Na twarz dziewicy rumieniec wybuchał:
Ojciec ją chwalił, a kochanek słuchał! —
Kryjąc wzruszenie, zaczęła wesoła
Głaskać ojcowskie to psy, to sokoła.

Skomląc ogary i liżąc jej rękę,
Zdały się pieszczot oznaczać podziękę.
Trzykroć wzleciawszy około jej skroni,
Bijąc skrzydłami, siadł sokół na dłoni,
Wyciągnął szyję, i patrzał w jej oczy,
Znać że łaskawy, i słuchać ochoczy.
I gdy tak, sokół na ręku, psy przy niej,
Stała jak grecka Dyanna łowczyni,
Kształtem i licem podobna bogini:
Chociażby nawet ojcowska pochwała
Nieco jej zalet i wdzięków przydała,
Czyżby kochanek, w uniesień zapale,
Kładł je oziębłej na rozwagi szalę,
Gdy za jej każdem tajemnem wejrzeniem,
Twarz mu i oczy gorzały płomieniem?

XXV.

Kształtnej postaci i smukłej urody
Był Malkolm Graham, nadobny i młody.
Pled krótki, pasem ściągnięty u stanu,
Rozkrywał spodem obuwie z tartanu.
Włos jego jasny, drobnymi kręgami
Wił się w krąg czapki błękitnej z piórami.
Wprawny do łowów wzrok jego sokoli,
Mógłby skowronka dośledzić na roli;
Przez wszystkie góry, wąwozy i wody,
Znał wszystkie ścieżki, przesmyki i brody;
Próżny lot ptaka, lub sarny skok śmiały,
Gdy na nie Malkolm wypuścił swe strzały;

A ledwo sarna pierzchając przed chartem,
Mogła go ubiedz na polu otwartem.
Twarz jego, z duszą podobna i zgodna,
Wesoła, żywa, otwarta, łagodna;
Uśmiech w niej tylko swe ślady wytłoczył,
Bo nigdy — póki Heleny nie zoczył,
Weselsze serce nie biło w góralu;
Nie znając westchnień miłości, ni żalu,
Tak lekko w piersiach igrało z myślami,
Jak jego pióro powiewne z wiatrami.
Lecz przyjaciele, z powierzeń braterskich,
Znając w nim głębiej chęć czynów rycerskich,
I miłość cnoty, i prawdy gorliwość,
I gniew na przemoc i niesprawiedliwość;
Ale bardowie, z ócz jego płomiennych,
Gdy słuchał dziejów lub pieśni wojennych,
Przepowiadali, że skoro dorośnie
Dorówna męstwem Alpinowej sośnie,
I że jej sława, dziś jak słońce sama,
Zgaśnie przed wschodem Malkolma Grahama.

XXVI.

Już łódź zwracając pruła wód zwierciadła,
Gdy — „O! mój ojcze!“ — Helena zagadła,
„Gdzie że tak długo bawiłeś na łowach?
„Czyś się gdzie w dzikich nie zbłąkał dąbrowach?
Gdzie?“ — wzrok domówił, co nie śmiała w słowach.
— „Córko! rzekł Duglas, nawykłem do znojów,
„I lubię łowy, jako obraz bojów,

„Jedyne dzisiaj Duglasa wyprawy,
„Jedyne pole do zwycięztw i sławy.
„Malkolma trafem spotkałem śród lasu,
„Gdym się kryć musiał w kniejach Glenfinlasu,
„Słysząc że wszędzie królewscy leśnicy,
„Tropiąc zwierzynę, krążą w okolicy.
„Zacny ten młodzian, choć w króla opiece
„Zostaje dotąd; choć wie, jak dalece
„Gniewby i zemstę na siebie obraził:
„Gwałtem się dla mnie na wszystko naraził,
„I choć ścigany, przez góry i brody,
„Sam tu, jak widzisz, przywiódł mię bez szkody.
„Rodryk dziś z serca dawną niechęć zdejmie,
„I musi dla mnie przyjąć go uprzejmie;
„A jutro, skoro dzień błyśnie na niebie,
„Malkolm znów skrycie powróci do siebie“.

XXVII.

Rodryk spotkawszy, na widok młodzieńca
Nie mógł powściągnąć nagłego rumieńca,
Lecz żadnem słowem, wzrokiem, ni obliczem,
Praw gościnności nie obraził w niczem.
W miłych rozmowach, zasiadłszy na ganku,
Spędzili resztę letniego poranku.
Lecz o południu, stróż z nad kresów klanu
Przybiegł, i długo zdawał sprawę panu.
Znać było z oczu Rodryka i z miny,
Że niepocieszne usłyszał nowiny;
Znać było z dumań, nawet wśród biesiady,
Że jakieś ważne snuł w myśli układy.

I gdy wieczorem, powstawszy od stołu,
Wkrąg przed ogniskiem zasiedli pospołu,
Obok Heleny pani domu sama,
I Duglas obok Malkolma Grahama:
Rodryk stał w środku, i wzrok swój ponury
To spuszczał w ziemię, to wznosił do góry,
To w rozżarzone wpatrując się głownie,
Zdał się namyślać, jak zacząć stosownie,
Aby niemiłą nie razić zbyt wieścią.
Długo wprzód igrał z miecza rękojeścią,
Aż wkońcu, z dumą wzniósłszy wzrok surowy,
Spojrzał w przytomnych, i rzekł, temi słowy:

XXVIII.

„Krótko mam mówić — bo i chwile drogie,
„I nie mój zwyczaj plątać słowa mnogie.
„Matko i ojcze! jeżeli to imię
„Duglas uprzejmie z ust Rodryka przyjmie:
„I ty, o! siostro! co nie wiem dlaczego
„Zdajesz się wzroku obawiać mojego;
„I ty, Malkolmie! w którym, czas odsłoni
„Czy walecznego towarzysza broni,
„Czy wroga znajdę, gdy twe męzkie ramię
„Dźwignie miecz wodza w szlachetnym Grahamie;
„Słuchajcie wszyscy! — Nie tajno nikomu,
„Jak się król dumnie przechwala z pogromu
„I z mordów — jakby ze zwycięztw swych licznych —
„Zwiedzionych zdradą klanów nadgranicznych*) [12]).

*) *Borders,* klany pograniczne między Anglią i Szkocyą.

„Wiecie, jak wodze ich, słodkiemi słowy
„Sproszeni dzielić z monarchą swym łowy,
„Przybyli śmiało w ufności i wierze,
„Z psy i sokoły polować na zwierze,
„I jak zwierz sami w sieć wpadłszy zwodniczą,
„Krwawą tyrana stali się zdobyczą.
„Lub gdy go przodków zwyczajem wspaniali,
„W otwartych zamkach z ucztami czekali,
„Wiecie, jak zdrajca swą wdzięczność okazał:
„Na własnych bramach powieszać ich kazał! —
„Krew ich szlachetna, wylana bez wstydu,
„Z lasów Jarrowu i z nadbrzeży Twidu,
„I z łąk Megatu, i z Tewiotu fali,
„Woła o pomstę do braci górali:
„Gdy na ich grobach, śród ich bujnych łanów,
„Gdzie niegdyś jazda wojowniczych kłanów
„Grzmiała w przelocie, urągając zda się,
„Morderca pasterz stada owiec pasie! —
„Lecz to rzecz dawna; — teraz przeniewierca,
„Nie wart szkockiego ni tronu, ni serca,
„Do nas przybywa z wojskami i dworem,
„Z tymże zamiarem, pod łowów pozorem.
„Chce, by się także wodzowie górali
„W moc wiarołomcy na ślepo oddali,
„A on się chełpił, że jak Pogranicze,
„I Góry ujął w karby niewolnicze!
„Co więcej — słychać, że zawczoraj rano
„Ciebie, Duglasie, w Glenfinlas widziano;
„Wiem to od szpiegów posłanych na zwiady.
„Co czynić na dal, twojej czekam rady“.

XXIX.

Helena blada jak rąbek jej szaty,
Spojrzała w oczy Lady Małgorzaty,
I obie szukać zdały się wyroku,
Każda — ta w ojca, a ta w syna wzroku.
Malkolm sprzecznemi myślami miotany,
To się czerwienił, to bladł naprzemiany:
Znać było trwogę: lecz wzrok dość objawiał,
Że nie o siebie Graham się obawiał.
Naówczas Duglas, przerwawszy milczenie,
Wstał, i rzekł smutnie, lecz nieustraszenie:
„Mężny Rodryku! choć niebo się chmurzy,
„Bywa, że chmury mijają bez burzy;
„Lecz ja nie mogę pozostać w tym domu,
„Abym zgubnego nie ściągnął nań gromu.
„Bo wiesz sam dobrze, że na ten włos biały
„Król rzuci pierwsze gniewu swego strzały.
„Lecz ty, co jako wódz możnego klanu,
„Z użytkiem w wojnach możesz zdać się panu,
„Rozbroisz łatwo przez hołd i pokorę,
„Gniewy, mniej może zawzięte, niż skore.
„Ja z moją biedną Heleną tymczasem,
„Pójdę gdzie między górami i lasem
„Kryć się jak zwierzę, lub żebrać gościny,
„Widokiem starca i łzami dziewczyny,
„Póki w tych stronach król z dworem popasa,
„Polując w górach na starca Duglasa“.

XXX.

„Nie!“ krzyknął Rodryk, „nie! to być nie może!
„Tak mi dopomóż mój mieczu, i Boże!
„Nie! choćby gromy po gromach trzaskały
„W sosnę Alpina, to godło mej chwały,
„Nigdy wśród burzy nie dam wyjść z jej cienia
„Ostatnim szczątkom Duglasów plemienia!
„Słuchaj, co powiem: — daj mi tę dziewicę
„Za żonę; radą wesprzyj mą prawicę;
„A wtenczas Duglas złączony z Rodrykiem,
„Ani się ugną, ni zadrżą przed nikiem.
„Wtenczas nas obu ujrzawszy na czele,
„Z ziemi nam nowi powstaną mściciele;
„A naprzód, z królem już dawno niezgodni,
„Wybuchną klanów wodzowie zachodni.
„Hymn mój weselny po kraju Saxonów
„Jękiem pogrzebnych odezwie się dzwonów,
„Aż trząść się będą Holyrodu sale;
„A gdy weselną pochodnie zapalę,
„Sto łun czerwonych na sklepie niebieskim
„Zaświeci wkoło przed oknem królewskiem!...
„Lecz nie! Heleno! nie! wyjdź z przerażenia! —
„Proszę cię, matko! porzuć te skinienia!
„Nie wszystko myślę, com rzekł z uniesienia. —
„Na co nam wojna, mord, albo pożoga.
„Gdy inny sposób mieć możem na wroga.
„Niech tylko Duglas, z mądrości swej znany,
„Pojedna wodzów góralskich i klany,

„Aby zgodnymi wzmocnili zastępy,
„Każdy swe zamki i gór niedostępy,
„Dość będzie na tem, by ów tyran krwawy,
„Z niczem z swej na nas powrócił wyprawy“.

XXXI.

Są, którzy we śnie, o nadludzkiej mocy,
Na sam szczyt wieży wdzierają się w nocy,
Lub na wierzchołku skał, u których stopy
Ryczące bez przerwy, wrą morskie zatopy,
Stoją i marzą: dopóki blask zorzy,
Padając na twarz, ich ócz nie otworzy.
Wtenczas, gdy spojrzą na siebie, zalśnieni
Ognistym blaskiem słonecznych promieni:
Widząc dokoła przepaście bez końca,
Słysząc huk ciągły, jak gromów tysiąca,
Czując jak śliski głaz, na którym stali,
Drży pod ich stopą od uderzeń fali: —
Śród tego blasku, widoku, łoskotu,
Śród wszystkich zmysłów i myśli zawrotu,
Cóż za dziw, jeśli rozpaczą przejęci,
Uczują w sercu pęd rozpacznej chęci,
Zasłonić oczy i w przepaść się rzucić,
I śmierć przyśpieszyć, by trwogę jej skrócić. —
Tak i Helena, na poły umarła,
Jakby się otchłań wkoło niej otwarła,
Niebezpieczeństwem Duglasa przejęta,
Widząc dlań zewsząd śmierć, nędzę, lub pęta,
Uczuła w sercu rozpaczne natchnienie,
Szczęściem swem ojca okupić zbawienie.

XXXII.

Zamiar ten, Malkolm odgadnął w dziewicy,
Z drgania ust sinych i błędnej źrenicy,
I powstał prędko, by mówić; — lecz wprzódy,
Nim umyślone mógł wtrącić przeszkody,
Duglas już poznał, jak w sercu jej skrycie
Ze śmiercią zda się łamało się życie:
Bo na jej twarzy, to widać raz cała
Krew gorączkowym płomieniem buchała,
To się cofając, jak fala wezbrana,
Znów zostawiała ją bladą jak ściana.
„Dość, dość, Rodryku!“ rzekł, „wszystko skończono!
„Helena twoją nie może być żoną.
„Nie to rumieniec lic oblubienicy,
„Nie to jest bladość trwożliwej dziewicy.
„Przebacz jej, wodzu, że nie jest dla ciebie!
„Ani chciej dla nas narażać sam siebie.
„Nigdy ja, choćbym miał wyjść ze złej toni,
„Przeciw królowi nie wzniosę mej broni:
„Ja, com go uczył jak w boju być mężem,
„Jak toczyć koniem i władać orężem;
„Com go jak ojciec wychował z chłopięcia,
„Ani mniej kochał od swego dziecięcia!
„Kocham go dotąd, choć podli oszczerce
„Goryczą ku mnie zatruli w nim serce,
„Choć mu zbyt skory gniew prawdę zamącił,
„Choć wziął mi wszystko, i w przepaść potrącił:
„Nie mogę mścić się; — i ty przyjm me rady:
„Złóż gniewy z serca, zgładź dawnych win ślady,

„Zrób krok do zgody, i żądaj przebaczeń,
„Z losem mym swoich nie wiążąc przeznaczeń“. —

XXXIII.

Dwakroć w krąg gmachu obchodził wódz gniewny.
Wiejący za nim pled czarny, powiewny,
Nad czapką czarne chwiejące się pióra,
I pod ich cieniem twarz groźna, ponura;
Gniew po nad brwiami, i w oku blask pychy,
W ustach śmiech wzgardy, i razem jęk cichy,
Wszystko to, w świetle czerwonem ogniska,
Raziło widmem nocnego zjawiska.
Rzekłbyś, widomie zły geniusz nocy,
Niepewny jeszcze swych celów i mocy,
Probując siły swych zaklęć i rymów,
Krąży przy ogniu nocleżnych pielgrzymów.
Lecz, nie wzajemna miłości! twe strzały
Głębszy, niż duma, ból sercu zadały!
Wódz dłużej ukryć nie mogąc go w sobie,
Porwał Duglasa dłoń w ręce swe obie,
I z ócz, przed chwilą iskrzących tak gniewnie,
Dwa łez strumienie puściły się rzewnie.
Wybuch gwałtownej, tłumionej boleści,
Znać, że się w piersiach wzburzonych nie mieści,
Nie śmiąc się jednak ulżyć narzekaniem,
Wewnętrznem tylko ozywał się łkaniem,
A każde łkanie, śród wszystkich milczenia,
Szło dzikiem echem wzdłuż ścian i sklepienia.
Litość niewieścia w Helenie przemogła,
Widząc łzy wodza, swych wstrzymać nie mogła;

Wstała, by odejść, a blizkiej omdlenia
Graham chciał swego użyczyć ramienia.

XXXIV.

Ujrzał to Rodryk, — jak wybuch ogniska,
Długo w mgłach dymu to ćmi się, to błyska,
Wijąc kłębami swe tęcze czerwone,
Aż w jedną, jasną, wyiskrzy się łonę:
Tak w nim gniew, duma, obraza i zawiść,
W jedną gwałtowną wybuchły nienawiść.
Zwrócił się, porwał, z wściekłością zawzięty,
Za pled Malkolma, na piersiach zapięty:
„Precz chłopcze!“ krzyknął; — a w ręku i głosie
Znać było drżenie: — „precz szkolny młokosie!
„Tak się to uczysz! że widzę, daremnie
„Wziąłeś już jedną naukę ode mnie!
„Dziękuj tym damom, i twojej gościnie,
„Jeśli cię jeszcze dziś kara ominie“. —
Chyżej niż rączy chart z żubrem lub dzikiem,
Porwał się Malkolm i starł się z Rodrykiem:
„Dobywaj!“ krzyknął, „nic nie zabezpiecza
„Wodza Grahamów, prócz ręki i miecza!“ —
Już groźni twarzą i wzrokiem zuchwali,
Za rękojeści swych mieczów porwali,
I śmierćby była; — wtem Duglas olbrzymi,
Z groźną powagą stanął między nimi.
„Stójcie!“ zawołał, „kto pierwszy dobędzie,
„Chce albo nie chce, mnie wrogiem mieć będzie!
„Szaleńcy! skończcie dzikie widowisko!
„Cóż to? czy Duglas upadł już tak nisko,

„Że w jego oczach, i o jego dziecie,
„Jak o łup zbójców, broń dobywać śmiecie?“ —
Wstyd przejął obu, lecz chociaż rozjęci,
Żaden znać z serca nie złożył niechęci,
I grożąc okiem, każdy stał jak wryty,
Krok dany naprzód, i miecz wpół dobyty.

XXXV.

Gościnność domu szanując w Grahamie,
Matka Rodryka ujęła za ramie;
I Malkolm słyszał w początku tej sceny
Krzyk przerażenia strwożonej Heleny.
Aż w końcu Rodryk, gniew kryjąc udaniem,
Schował miecz w pochwę, i rzekł z urąganiem:
„Śpij tu do jutra! — trefione te włosy,
„Szkoda, by miały zwilgotnieć od rosy [13]).
„A jutro — umiesz biedz prędzej od charta —
„Bież do obozu Jakóba Stuarta,
„Donieś, że Rodryk lud zbrojny zaciąga,
„Łaską pogardza, a z gróźb się urąga,
„I póki żyje, nie będzie z swym klanem
„Za żadnym ziemskim służebniczył panem.
„Lub jeśli większe pozyskać chcesz względy,
„Sprowadź go tutaj — przejrzałeś już kędy! —
„Hola! Malizie!“ — wszedł sługa popleczny [14]). —
„Dać Grahamowi glejt przejścia bezpieczny!“ —
Z wzgardą rzekł Malkolm: „Nie troszcz się daremnie,
„Król się twych składów nie dowie ode mnie.
„Pobyt anioła jest zawsze świątynią,
„Choćby był razem i zbójców jaskinią.

„Glejt twój i grzeczność zachowaj dla siebie,
„Lub świadcz ją dla tych, co się boją ciebie.
„Ja nie dbam o nie; i bez twej pomocy,
„Wiem jak przejść kędy, czy we dnie, czy w nocy,
„Ani się zlęknę, póki miecz mam w dłoni,
„Twoich zasadzek, ni twojej pogoni. —
„Bądź zdrów, Duglasie! Heleno, bądź zdrowa! —
„Lecz nie! to nie są pożegnania słowa.
„Niema tak dzikich ni puszcz, ni parowu,
„Bym was nie znalazł, nie powitał znowu.
„I my też, wodzu! będziem się szukali". —
Rzekł, i z powagą wyszedł za próg sali.

XXXVI.

Allan szedł za nim aż nad brzeg jeziora,
(Tak kazał Duglas), w pomroce wieczora
Wskazując drogę, i z czuciem boleści
Dnia dzisiejszego powiadając wieści:
Jak Rodryk rano wysłuchawszy gońca,
Przysiągł w zapale, że wraz z wschodem słońca,
Jutro ognisty krzyż poszle po klanie,
Zwołując zbrojnych na wspólne zebranie.
Nadto, że dawno już krąży wieść dzika,
Że Malkolm Graham obraził Rodryka.
Jeśli więc zwykłą powracać chce drogą,
Mściwi Alpini napotkać go mogą.
Bezpieczniej zatem, dziś jeszcze wieczorem,
Klan ich wzdłuż brzegu opłynąć jeziorem.
Męstwu się przez to nie uczyni plama;
On, Allan, będzie sternikiem Grahama.

Tak radził starzec; lecz próżno zachęcał.
Malkolm tymczasem broń pledem okręcał,
Zwój ściągnął pasem, i widać z postawy,
Że się do wodnej gotuje przeprawy.

XXXVII.

„Bądź zdrów!“ rzekł prędko — „lecz nie miej bo-
„Wzorze wierności i dawnej przyjaźni!“ [jaźni,
Mówiąc, dłoń starca ściskał rozrzewniony.
„Obym mógł dla was wyszukać zachrony!
„Król, mój opiekun, jest zamków mych panem,
„Stryj w mem imieniu dowodzi mym klanem.
„By przyjaciołom dopomódz w złej toni,
„Malkolm nic nie ma, prócz serca i broni.
„Lecz jeśli w mężnem Grahamów plemieniu,
„Są jeszcze wierni swych wodzów imieniu,
„Wkrótce szlachetny bohater Duglasów
„Przestanie błądzić jak jeleń śród lasów.
„I nim ów zbójca, co dumą się puszy...
„Zamilczę resztę — las mówią, ma uszy.
„Lecz ty mu powiedz, że Graham niczego
„Nie potrzebował, nie przyjął od niego,
„Nic — nawet czółna, by przebyć przez wody. —
„Nie trwóż się o mnie! przepłynę bez szkody“.
Rzekł, w tył się nieco cofnął dla rozbiegu,
I śmiałym skokiem wpław rzucił się z brzegu.
Wzruszone fale o brzeg zapluskały.
On, w jednej ręce pled wznosząc nad wały,
Odpływał drugą; gdy drżący z obawy,
Allan wzrok za nim wytężał ciekawy:

Śledząc, jak coraz mniej znaczny w oddali,
To się wynurzał, to znikał śród fali,
I gdy ją księżyc oświecał pogodny,
Czernił się na niej, jak drobny ptak wodny.
Dopłynął brzegu, na hasło wykrzyknął,
Wdział pled, przypasał swój oręż, i zniknął.
Minstrel usłyszał okrzyk, i wesoły
Szedł zaspokoić wspólne przyjacioły.

PIEŚŃ TRZECIA.

KRZYŻ OGNISTY.

I.

Czas leci niewstrzymany! — Ludzie, co niedawno
Na kolanach dzieciństwo nasze piastowali,
I lub dziejami przodków, lub bajką zabawną,
Duch w nas wieszczy i miłość kraju zapalali:
Gdzież są? — Znikli ze świata; zmarli lub zgrzybiali,
Ż myślą znużoną, z sercem wpół skrzepłem już w łonie,
Jako szczątki rozbicia nad brzegami fali,
Czekają zda się, rychło, jak morze w swe tonie,
Wieczność ich coraz bliższa zajmie i pochłonie.

Żyją jednak, co jeszcze pomną owe czasy,
Gdy skoro wódz góralski w róg łowczy uderzył,
Głos ten ożywiał góry, doliny i lasy,
Zwoływał na ochotę i sam radość szerzył;
Gdy skoro wróg zagroził, lub wódz bój zamierzył,

Cały klan, jak mąż jeden, rzucał dom spokojny,
Śpiesząc gdzie wbity sztandar śród pola się jeżył;
A wszystkie kobzy w górach grały pochód zbrojny,
A krzyż ognisty krążył, jak meteor wojny [1]).

II.

Wschód letniej zorzy, w jeziorze odbity,
Purpurą wodne powłóczył błękity;
Poranny wietrzyk, w niepewnych powiewach,
To tchnąc po kwiatach, to szemrząc po drzewach,
Wstrząsał nie marszcząc wód gładkie oblicze,
Jak lekki uśmiech jagody dziewicze.
Na tle jeziora góry malowane,
Ni zbyt spokojne, ani zbyt miotane,
Chwieją się tylko we zwierciadłach wody,
Jak obraz szczęścia w wyobraźni młodej.
Z wiatrem ku niebu tchnąc lilija wodna,
Kielich swej woni wytrząsa aż do dna.
Po skał urwiskach, przez mgły rzedniejące,
Błyszczą się słońcem wód spady szumiące;
Zbudzona łania na paszę, na łąki,
Skaczące przy niej prowadzi jelonki;
Tysiąc skowronków, wirując w mgle rannej,
Brzmi harmonijnie jak hymn nieustanny;
Szczebioty gilów i głośny świst szpaków,
Wtórują chórem ze trzciny i krzaków;
A gdzieś turkawka, w posępnej czułości,
Grucha pieśń zgody, pokoju, miłości.

III.

Nie miłość zgody, nie żądza pokoju
W sercu Rodryka; gdy w czarnym swym stroju,
Dzierżąc oburącz miecz w pochwach szeroki,
Szybkimi wkoło przechadzał się kroki,
I niecierpliwy, to na wschód poglądał,
To wstrząsał mieczem, jakby grozić żądał.
Opodal nieco, z pośpiechem lenniki
Gotują obrzęd, tajemniczy, dziki,
Co trybem przodków, musi uroczyście
Poprzedzić krzyża ognistego wyjście.
Wódz krążył wkoło; nieraz zgraja cała
Na widok jego zamilkła, i drżała,
Gdy na niej gniewne zatrzymał wejrzenie: —
Tak dziki orzeł na skalnym Benwenie,
Patrzy znudzony; i tak, kiedy w chmurach
Na roztoczonych kołysze się piórach,
Samym swym cieniem rzuconym na lasy,
Gwarliwych ptasząt ucisza hałasy.

IV.

Już u stóp skały złożono stos spory
Z wonnych jałowców i z smolnych drzew kory,
I z świeżych sosny gałęzi, zmieszanych
Z drzazgami dębów od gromu strzaskanych.
Brian pustelnik, w milczeniu ponurem,
Stał obok boso, w habicie z kapturem.
Śnieżysta broda i włos rozczochrany
Ćmiły twarz srogą i wzrok obłąkany;

Z blizn nagich ramion, z wyschłego oblicza,
Znać dziką ostrość pokuty i bicza;
Lecz ni w tej twarzy świętości kapłańskiej,
Ani w tem oku skruchy chrześcijańskiej.
Z wejrzenia jego i z postawy całej,
Rzekłbyś, Druida z grobu zmartwychwstały,
Gotów dziś jeszcze dla bóstw leśnej dziczy,
Broczyć w krwi ludzkiej swój nóż ofiarniczy.
W jaskini, w głębi mrocznego parowu,
Żył na pustyni, śród skał Benharrowu.
Wieść nawet biega, że pogańskie błędy
Z chrześcijańskiemi śmie łączyć obrzędy,
I w najstraszniejszych tajemnicach wiary
Szuka sposobów na gusła i czary.
Każdy się jego obawiał przekleństwa,
Nikt nie chciał modłów, ni błogosławieństwa.
Z przestrachem wieśniak unikał go trwożny,
Próg jego pielgrzym omijał pobożny;
Strzelec pewnego wyrzekał się łowu,
Gdy go miał ścigać śród skał Benharrowu,
I wracał śpieszno, psy wiodąc na sforach;
A jeśli czasem w wąwozach lub borach,
Napotkał zblizka, lub ujrzał zdaleka,
Tego dzikiego tych pustyń człowieka,
Modląc się w duchu, i korząc się z trwogi,
Żegnał się milcząc, i schodził mu z drogi.

V.

Dziwne są wieści o rodzie Briana [2]), —
Raz matka jego, od zmroku do rana,

Strzegła owczarni śród pastwisk odległych,
W odludnem polu; gdzie kości poległych,
W bitwie przed wieki, pamiętnej u wieszczów,
Leżą zbielałe od skwarów i deszczów.
Wstyd zdjąłby dumne wojownika serce,
Widząc te kości w takiej poniewierce!
Tu dłoń, co może rwała szyki bitne,
Leży spętana w zielska pasożytne;
Tam kość piersiowa, co zamiast pancerza
Zbroiła serce odważne rycerza,
Dziś w niej, jak gdyby na urągowisko,
Lękliwy ptaszek założył siedlisko.
Noga, co niegdyś wyścigała sarny,
Po nieruchomej, pełzał ślimak czarny!
A dalej czaszka, znać wodza orszaku,
Zamiast wawrzynów i piór na szyszaku,
Porosła chwastem, walając się w trawie,
Uczy żyjących, co myśleć o sławie! —
Śród tego pola noc całą dziewica
Siedziała, pledem zakrywszy swe lica,
I, jak mówiła, żaden człowiek żywy,
Ni żaden pasterz, ni żaden myśliwy,
Nie był z nią w owej nocy tajemniczej,
Ni zdjął z jej czoła przepaski dziewiczej [3]);
Lecz nią już nigdy, wróciwszy do domu,
Nie śmiała zakryć dziewiczego sromu.
Ponury smutek i w oczach strach dziki,
Zajęły miejsce uśmiechów Aliki;
Żal w niej budziło rówiennic wesele,
W mdłość wprawiał organ i śpiewy w kościele;

I nigdy odtąd, mówili sąsiedzi,
Nie była na mszy, ani u spowiedzi.
Próżno ją badał i ksiądz, i rodzice,
Zamknęła w sercu straszną tajemnicę,
I bez odpustu, bez modłów kapłana,
Umarła, na świat wydając Briana.

VI.

Samotny między swymi rówienniki,
Rósł od dzieciństwa syn biednej Aliki.
Każdy go stronił, i każdy odpychał.
On, ani płakał, ani się uśmiéchał,
I znosił cicho, choć pełen goryczy,
Wymiatających mu ród tajemniczy.
Po całych nocach, posępny, ponury,
Błądził po lasach, lub szedł między góry:
Tam nad wezbranym usiadłszy strumieniem,
Z rozpaczą dumał nad swem urodzeniem;
Aż obłąkany, sam w końcu uwierzył
Strasznej powieści, co lud o nim szerzył.
I odtąd co dzień, w mgle jezior i borów,
I odtąd co noc, w świetle meteorów,
Lub tam, gdzie matkę noc owa zapadła,
Szedł szukać ojca swojego — widziadła! —
Próżno, by zleczyć duszę zakrwawioną,
Klasztor go święty przyjął na swe łono;
Próżno, by uśpić myśli niepokoje,
Mądrość mu księgi otworzyła swoje.
W zakonnej ciszy zamknięty przez lata,
Zdziczał tem więcej od ludzi i świata;

Z nauk to tylko wyczerpnął, co drażni
Gorączkę myśli i szał wyobraźni.
W zawiłych księgach zatopiony cały,
O czarnoksięstwach i gusłach kabały,
Ginął w badaniach, których tajemnica
Jątrzy ciekawość i dumę podsyca.
Aż wysilony daremnym zapałem,
Z zbłąkaną myślą i sercem schorzałem,
Porzucił klasztor, i sam jeden znowu,
Osiadł w pustyni śród skał Benharrowu.

VII.

Tam syn widziadła, sam wierząc w swe czary,
Wywołał z pustyń ich duchy i mary [4]).
W nocach, przy świetle księżyca promieni,
Marząc nad spadem wezbranych strumieni,
Patrzał w nie póty, aż z pary lub z piany,
Nie powstał przed nim duch wywoływany.
We mgłach porannych, on widział nad skały
Olbrzymią wiedmę gór, w szacie swej białej;
Lub w zapłonionych rumianą jutrzenką,
Rycerza-Ducha z zakrwawioną ręką.
W poświstach wichrów, on słyszał z pod ziemi
Głosy umarłych, i rozmawiał z niemi;
Albo na przyszłych polach bitw odległych,
Przeglądał klęski i stosy poległych.
Tak gardząc światem, od świata wzgardzony,
Tworzył sam sobie swój świat niewcielony.
Jedno go tylko, nie dzielone wzajem,
Uczucie z ludzkim łączyło rodzajem:

Matka się jego rodziła w Alpinie.
Kochał Alpinów, których krew w nim płynie.
Niedawno w wieszczem usłyszał marzeniu
Jęk strażniczego ducha w ich plemieniu[5]:
Widział go nawet, jak w szacie błękitnej
Stał płacząc u stóp sosny starożytnej.
Niedawno w nocy Benharrowu szczyty,
Zabrzmiały nagle końskiemi kopyty.
Choć nigdy jeździec śmiertelnym rumakiem
Nie śmiał i nie mógł czwałować tym szlakiem.
Niedawno piorun roztrzaskał pień sosny,
Pod którą właśnie stał duch ów żałosny.
Wszystko na jawie, i wszystko w widzeniu
Groziło klęską Alpinów plemieniu.
Wziął więc kij w rękę, i wybrał się w drogę,
Niosąc im wczesną złej wróżby przestrogę.
I stał, wezwany, by obrzęd odprawić,
Gotów zarówno kląć i błogosławić.

VIII.

Stos już gotowy: — z poblizkiej zagrody
Prowadzą kozła, patryarchę trzody.
Kładą na stosie: — mnich wodą go skropił,
Wódz po rękojeść miecz w piersiach utopił.
Krew się po stosie polała strumieniem;
Cierpliwe zwierze, z błagalnem wejrzeniem,
Konając zwolna, patrzyło na wrogów,
Gdy stos ze czterech zapalali rogów.
Naówczas Brian, nad ciałem ofiary
Szepcąc naprzemian modlitwy i czary,

Ułożył, strzegąc ścisłych miar przepisu,
W krzyż, łokieć długi, dwie gałęzie cisu,
Wzięte z drzew, które na Inch-Kaliachu [6]),
Wiejąc nad szczytem kościelnego gmachu,
Mrocznym swym cieniem, jak kirem żałoby,
Klanu Alpina okrywają groby,
I szum swój łącząc do jeziora szmerów,
Słodzą sen wieczny dawnych bohaterów. —
Brian oburącz krzyż wznosząc do góry,
Wzniósł razem lica i wzrok swój ponury,
A strach i zapał słuchaczów przeniknął,
Gdy taką klątwę ku niebu wykrzyknął:

IX.

„Hańba i biada z ojca na syna!
„Kto krzyż ten widzi, a zapomina,
„Że rósł na grobach klanu Alpina,
„Gdzie dawnych wodzów jego rodzina
„Śpi w cieniu drzew tych opieki,

„Niech zdrajca w nędzy wlokąc swe lata,
„Nieopłakany schodzi ze świata,
„Prochami jego wiatr niech pomiata,
„Przekleństwo ojca, syna i brata,
„Niechaj go ściga na wieki!“

Umilkł — lennicy stojący kołem,
Z ognistym wzrokiem, z licem wesołem,
Błyszczące miecze wstrzęśli nad czołem,
Tarczę o tarczę zabrzękli społem —
I szmer, jak burzy dalekiej,

Rósł coraz bardziej, jak burza grzmiąca,
Jak w pośród burzy fala huczącą,
Gdy się o twarde brzegi roztrąca,
Aż okrzyk jeden z ust ich tysiąca
Zabrzmiał: „Przekleństwo na wieki!"

Wstrzęsły się echem Benwenu skały,
Zawył w wąwozach wilk wygłodniały,
Spłoszone sępy wkrąg zakrakały,
Przeczuły z hasła żer, co mieć miały:
Trupy, i świeżej krwi rzeki.

X.

Ledwo wojenne umilkły okrzyki,
Mnich kończył obrzęd i pacierz swój dziki.
Cichy, posępny, był ton jego głosu,
Gdy krzyż z trzech końców zapalał u stosu.
Ze słów niewielu, co doszły do grona,
Choć w nich najświętsze wspominał imiona,
Z takim je gorzkim wymawiał przyciskiem,
Jakby je bluźnić śmiał z urągowiskiem.
Aż krzyż ognisty wstrząsając nad głową,
Rym dalszej klątwy rozpoczął nanowo:

„Hańba i biada! kto w biegu spocznie,
„Bieżąc z tym krzyżem; kto go niezwłocznie,
„Widząc, nie porwie za miecz i włócznię:
„Krzyż ten ognisty niech mu widocznie
„Rokuje zemstę Alpina!

„Nad dachem jego ognista łona
„Świecić się będzie, jak wstyd czerwona;
„Krwawym jej blaskiem zarumieniona
„Córka i siostra, matka i żona.
„Niech wiecznie zdrajcę przeklina!“ —

Umilkł — niewiasty stojące gronem,
Z iskrzącem okiem, z bijącem łonem,
Podnosząc dzieci, płaczliwym tonem,
Jak dzikie gęsi w polu zamglonem,
Wzniosły chór groźby Alpina:

„Niech dachy zdrajców spłoną jak słomy!
„Niechaj przekleństwo, zemsta, i gromy,
„Spadną na góry, lasy, i domy,
„Gdzieby przyjaciel albo znajomy
„Skrył, kogo Alpin wyklina!“ —

Zabrzmiały echem klątwy i grozy
Kojr-Uriskinu dzikie wąwozy,
I wkrąg białemi zarosła brzozy,
Beala-nam-bo dolina.

XI.

Dłużej tym razem czekano słów mnicha:
Widać jak długo, jak ciężko oddycha.
Zgrzytał zębami, dłoń zżymał gwałtownie,
Zbłąkane oczy iskrzyły jak głownie:
Znać, że najgorsze gotował przekleństwa,
Na tych, co widząc znak niebezpieczeństwa,
Niewierni braciom, nieposłuszni panu,
Nie przyjdą dzielić prac wodza i klanu.

Krzyż dotąd ogniem płonący po bokach,
Zgasił, maczając w krwi wrzącej potokach,
I gdy go znowu podnosił nad czoło,
Dzikszy niż kiedy głos zabrzmiał wokoło.

„Gdy krzyż ten zacznie krążyć po klanie,
„Przeklęta noga, co z nim ustanie!
„Przeklęta ręka, co go odrzuci!
„Przeklęte oko, co się odwróci,
„I serce, co się przelęknie!

„Niech nieuczczone ziemskim pogrzebem
„Czerw zwłoki zdrajcy toczy pod niebem!
„Sęp niech mu serce, kruk oczy wyje;
„Jako ta ziemia stosu krew pije,
„Krew jego w ziemię niech wsięknie!

„Jako ta we krwi iskra błyszcząca,
„W nocy bez słońca, w mękach bez końca,
„Niech zgasną zdrajcy powieki!

„Niech ten krzyż, godło ludzkiej pociechy,
„Co wszystkie ziemskie odkupił grzechy,
„Jego potępi na wieki!“ —

Skończył — słuchacze stali w milczeniu,
Z przestrachem w sercu, z zgrozą w spojrzeniu,
Nikt, nawet echo w tem złorzeczeniu
Nie powtórzyło: „na wieki!“ —

XII.

Zniecierpliwiony wódz, z dumnym uśmiechem,
Krzyż z ręki mnicha pochwycił z pośpiechem,

Dał Malizowi: „Kto Alpin, do szyku!
„Miejsce zebrania na łące Lanriku,
„Czas, co najrychlej! — pośpieszaj lenniku!“ —
Chyżej niż kaczka lot czując jastrzębi,
Łódź z portu wyspy pomknęła po głębi.
Na samym przodzie stał Maliz ze krzyżem,
Wioślarze wiosłem naparli tak chyżem,
Że jeszcze bańki i wody szum biały
Kipiały w porcie i wkrąg wirowały,
Gdy się już, ledwo ślad znacząc po drodze,
Łódź ku wierzbowej zbliżała odnodze.
Trzy sążnie jeszcze być mogło przestrzeni
Od przodu łodzi, do białych kamieni,
Gdy już z niej na brzeg, jak ptak niespokojny,
Skoczył zwiastunnik pożogi i wojny.

XIII.

Śpiesz, śpiesz, Malizie! po skałach i darni
Niech jako sarna mknie obów twój sarni!
Śpiesz, śpiesz, Malizie! jak łuk twój myśliwy,
Natęż u kolan żył cięgłych cięciwy;
Chyl się jak jeździec, gdzie droga się wzgórzy,
Pędź w dół z gór szczytu, jak potok po burzy;
Z kępy na kępę, gzygzakiem błyskawic,
Migaj jak ognik nad grzęzią trzęsawic;
Sadź przez strumienie, jak jeleń przed chartem,
I jak chart śmigaj po polu otwartem!
Choć głąb bezdenna, choć przestwór szeroki,
Skacz! nie czas mijać rozpadlin opoki;

Choć tchu brak w piersiach, choć mdlejesz od znoju,
Bież! nie czas w chłodzie spoczywać u zdroju;
Zwiastunie wojny, krwi, żalu i trwogi,
Pędź wprost przed siebie, bez śladu i drogi! —
Nie łani drogę zabiegasz na łowach,
Nie za dziewczyną uganiasz w dąbrowach,
Nie rówieników wyścigasz do mety,
Nie w ich oklaskach czczej szukasz podniety! —
W ręku twym wojna i niebezpieczeństwo,
W pośpiechu twoim śmierć albo zwycięstwo:
Śpiesz, śpiesz, Malizie! pamiętasz przekleństwo? —

XIV.

Pośpiesza Maliz; — na widok znajomy
Brzmią szczękiem broni wsie, pola i domy;
Z gór, z wysp, z wąwozów, zewsząd w okolicy,
Kupią się zbrojno posłuszni lennicy.
Nie staje Maliz, ni kroku wstrzymuje;
Krzyż pokazuje, czas, miejsce mianuje,
I pędząc dalej zostawia za sobą,
Głuche zdumienie, i przestrach z żałobą.
Z ręki rybaka sieć w wodę wypadła,
Kowal w pół gotów miecz porwał z kowadła;
Nie skończył kosarz zamachu swej kosy,
Śpieszy ciąć wrogów jak trawę lub kłosy;
Pasterz bez stróża trzód odbiegł na woli,
Oracz w pół skiby pług rzucił na roli;
Sokolnik na wiatr otrząsnął sokoła,
Rzuca łup strzelec, i psów swych nie woła.

Płacz żono męża, płacz matko po synu!
Ujrzeli gońca i godło Alpinu,
Każdy broń chwyta, i staje do szyku,
Każdy szyk śpieszy na łąkę Lanriku.
Szczęk broni, kobzy, i hasła po gaju,
Brzmią wkrąg po brzegach jeziora Achraju.
Piękne jezioro! trzebaż by krzyk wojny
Zakłócał nawet twój sen tak spokojny!
Góry i gaje nad wód twych przeźroczem
Drzemią w milczeniu tak cichem, uroczem.
Że śpiew skowronka w najwyższym obłoku,
Zbyt zda się głośny przy twoim widoku!

XV.

Śpiesz, śpiesz, Malizie! — Ominął jezioro,
Wieś Dunkraganu już widać za górą:
Na wpół ukryte, na poły widome,
Sterczą z zarośli jej dachy poziome.
Śpiesz, śpiesz, Malizie! tam trudów twych koniec,
Dziedzic wsi dalej biedz musi jak goniec.
Jak za zdobyczą sokół prędkopióry,
Ku wiosce Maliz wprost puścił się z góry. —
Jakieżto z wiatrem brzmią echa boleści? —
Pogrzebne śpiewy, głos płaczu niewieści!
Wódz Dunkraganu, dziedzic jego ziemi,
Idzie w niej spocząć z ojcami swojemi.
Sławny myśliwiec zakończył gonitwy,
Mężny wojownik nie stanie do bitwy!
Któż cię na łowach i w bojach, Dunkanie!
Zastąpi teraz przy wodzu, i w klanie? —

W izbie zaćmionej czarnemi zasłony,
Przy świetle gromnic, na marach złożony
Spoczywa Dunkan: — nieszczęśliwa wdowa,
Tłumiąc jęk w ustach, twarz oburącz chowa;
Milczy ponuro najstarszy syn jego,
Najmłodszy płacze, nie wiedząc dlaczego;
Kiedy tymczasem stojące po stronach,
Niewiasty smutny tak nucą Koronach: *)

XVI.

KORONACH.

„Zniknął z domu, ze świata,
Nasz wódz, nasza opieka,
Jak zdrój wyschły śród lata,
Gdy skwar właśnie dopieka.

„Chmura z deszczem nadśpieszy,
Woda w zdroju powróci;
Lecz my! kto nas pocieszy?
Lecz on! kto go ocuci? —

„Kosa w ręku żniwiarza
Tnie kłos tylko dojrzały;
Śmierć skosiła mocarza,
W kwiecie wieku i chwały.

„W jesień tylko wiatr zmiata
Zżółkłe liście z gałęzi;
Dunkan zwiędnął w pół lata,
Spadł jak owoc w zawięzi!

*) Pieśń pogrzebowa.

„O! najmędrszy w naradach,
O! najskorszy do czynów,
O! najśmielszy w napadach,
Któż ci zrówna z Alpinów?

„Jako rosa o wschodzie,
Jak dżdżu kropla śród rzeki,
Jako bańka na wodzie,
Znikł nasz Dunkan — na wieki!“ —

XVII.

Patrzcie Stumacha! jak zcicha skowycze,
Patrząc na pana wybladłe oblicze.
Biedny psie! próżno z tych ust zawołania,
Próżno z tej ręki czekasz pogłaskania! —
Jakiż znać odgłos słuch jego uderzył?
Warknął, nastawił uszy, grzbiet najeżył...
Słychać krok ludzki: — nie krok to żałoby,
W dom umarłego idącej osoby;
Nie krok wesela, co pląsa wśród drogi:
Lecz prędki, krótki — pośpiechu czy trwogi.
Czekają wszyscy: — wtem drzwi się otwarły,
Pędem do izby, gdzie leżał umarły,
Wpadł Maliz — spojrzał na mary i ściany,
Wzniósł ponad zmarłym krzyż krwią obryzgany:
„Dunkragan z ojca przechodzi na syna,
„Synu Dunkana! śpiesz z krzyżem Alpina!
„Miejsce zebrania na łące Lanriku,
„Czas, co najrychlej; — pospieszaj lenniku!“ —

XVIII.

Poskoczył Angus, i gotów do drogi,
Z rąk popleczníka krzyż porwał złowrogi.
Łzy się w młodzieńca zakręciły oku,
Gdy miecz ojcowski przypasał do boku;
Ale gdy spotkał wzrok trwogi niewieściej,
Wzrok niewymownej matczynej boleści,
Wrócił od progu, i padłszy na łono,
Pocałowaniem pożegnał strapioną.
„Śpiesz!“ rzekła z płaczem, żegnając skroń syna,
„Synu Dunkana! śpiesz z krzyżem Alpina!“ —
Spojrzał raz jeszcze ku ojcowskiej trumnie,
Otarł łzy z oczu, czołem wstrząsnął dumnie,
I jako źrebiec, gdy z ciasnej zagrody
Z wiatrem po polu puszcza się w zawody,
Wypadł, i cały odziany żałobą,
Biegł, godło wojny trzymając przed sobą.
Oschła twarz matki z gorących potoków,
Póki w jej uchu brzmiał głos jego kroków;
A gdy we wzroku posłańca złej wieści,
Postrzega litość i podział boleści:
„Ziomku! raz pierwszy na głos swego klanu
„Nie powstał, rzekła, Dunkan z Dunkraganu.
„Skończyła ziemski swój bieg noga chyża,
„Coby biedz miała z posłannictwem krzyża.
„Ale się nie bój o godło Alpina!
„Bóg sierot będzie stróżem mego syna.
„A wy, doznanej wierności i dłoni,
„Wy, towarzysze Dunkana, do broni!

„Śpieszcie, i w bojach zasłońcie krew jego!
„Niewiast jest rzeczą opłakać zmarłego".
Okrzyk wojenny i głośny szczęk stali
Razem w pogrzebnej odezwał się sali.
Gdy wszyscy razem, na ścianach wiszące,
Chwytali tarcze i miecze brzęczące,
Krótka, przelotna pociecha i siła
W oczach się wdowy przez łzy zaświeciła,
Jakby myślała, że na te wołania
Dunkan, jak niegdyś, zerwie się z posłania! —
Lecz prędko zgasły chwilowe zapały,
Żal swoje prawa, łzy bieg odzyskały.

XIX.

Góra Benledi ujrzała znak trwogi:
Jak błysk przeleciał Strat-Iru rozłogi.
Przez pola, lasy bagniska i wody,
Gnał bez wytchnienia Dunkana syn młody.
Łzy w jego oku pęd wiatru osuszał,
Żal w jego sercu szum wiatru zagłuszał:
Aż po za wodą strumienia Teitu,
Na wzgórzu, lasem porosłem u szczytu,
Ujrzał kres biegu, wydziału granicę,
Świętej Brygidy gotycką kaplicę.
Choć nurt wezbrany, choć most był daleko,
Nie zboczył Angus, ni stanął nad rzeką:
Choć płomień we krwi, choć zawrót czuł w oku,
Rzucił się w przepaść wrącego potoku.
Krzyż w prawej ręce podnosił nad czoło,
Lewą bród mieczem gruntował w około.

Potknął się dwakroć — rozprysły się piany,
Nad głową jego huknęły bałwany —
Gdyby był upadł — i godło i goniec
W głębiach zawodu znaleźliby koniec.
Lecz wciąż, jak gdyby kotwicę w złej toni,
Tem mocniej jeszcze krzyż ściskał w swej dłoni;
Aż na bezpiecznym otrząsłszy się brzegu,
Wprost ku kaplicy przyśpieszył znów biegu.

XX.

Tłum w niej wesoły, od samego ranku,
Tłoczył się we drzwiach i stał na krużganku.
Głośny w Alpinie z urody i sławy,
Norman, bogatej dziedzic Armandawy,
Po długiej westchnień i cierpień kolei,
Zaślubiał piękną Maryę z Tombei.
Właśnie z pod sklepień gotyckich przysionków,
Wychodził orszak szczęśliwych małżonków,
W dwóch długich rzędach szli zwolna po stronach,
Mężczyźni w piórach, niewiasty w zasłonach;
Dziewice wstydem płonęły z pod wieńców,
Słuchając żartów przybocznych młodzieńców;
W koło nich dzieci, śród skoków i krzyków
Po drodze kwiaty rzucają z koszyków;
A w ślad minstrele, tuż przed parą młodą,
Grając na kobzach, weselny chór wiodą.
Ubrana w bieli i w zielonym wianku,
Z łzą i rumieńcem, jak róża w poranku,

Widna jak we mgle przez zasłonę białą,
Oblubienica stąpała nieśmiało.
Obok młodzieniec, wzrok chlubny zdobyczą
Zwracał na wdzięki i skromność dziewiczą,
A za nią matka, z łzawemi uśmiechy,
Szła szepcąc ścicha wyrazy pociechy.

XXI.

Któż ich spotyka u świątyni progów? —
Goniec, zwiastunnik łez, krwi, i pożogów!
Znak wojny w ręku, żałoba w odzieniu,
Surowość w twarzy, i boleść w spojrzeniu.
Sącząc się wodą, zziajany pośpiechem,
W ustach głos tłumiąc chwytanym oddechem,
Ku Normanowi wyciągnął krzyż krwawy;
„Kolej na ciebie władzco Armandawy!
„Miejsce zebrania na łące Lanriku,
„Czas, co najrychlej; — pośpieszaj lenniku!“ —
Ach! czyliż Norman odepchnie dłoń lubej,
Dłoń wieczystemi spojoną z nim śluby,
Dla tego znaku morderstwa i zguby?
Czyż dzień weselny, co wschodził tak jaśnie,
Co tyle szczęścia rokował nim zgaśnie,
Dzień co kochanków cierpienia miał skończyć,
Maż-li małżonków tak prędko rozłączyć? —
O! srogi losie! — Daremnie, daremnie!
Norman Alpinu nie zdradzi nikczemnie:
To sprawa klanu, to wodza wezwanie,
To wola nieba! — pośpieszaj Normanie!

XXII.

Powoli jednak pled zrzucał weselny,
Zlękły widokiem bladości śmiertelnej
Lic swej małżonki, i błędnym jej wzrokiem;
Aż łzy jej wreszcie lunęły potokiem,
Łzy zdolne serce kamienne rozczulić,
Których on nie mógł ni dzielić, ni tulić
Więc by nie spotkać drugiego spojrzenia,
Puścił się z góry wzdłuż brzegów strumienia,
I ani pierwej obejrzał się w biegu,
Aż gdzie zdrój wpada w jezioro Lubnegu,
Lecz ach! co w sercu, co w duszy się działo!
Gdy wspomniał szczęście, co dziś go czekało:
Jej z rana piękność, nadzieje i radość,
I łzy co widział, i rozpacz, i bladość! —
Z rzewnym się żalem kochanka mieszały
Obrazy bojów, i męzka chęć chwały,
I dzikie męstwo, co serce górala
Na widok wroga wściekłością zapala,
I pamięć braci i niebezpieczeństwa,
I ach! nadzieja, że z pola zwycięstwa
Wróci okryty chubnemi znamiony,
Spocząć w objęciach kochanki i żony! —
W tych myślach Norman, przez bagna i niwy,
Pędził wciąż prosto, jak strzała z cięciwy,
Aż smutne myśli i chlubne marzenia,
Zlały się w piosnkę wspólnego natchnienia.

XXIII.

PIEŚŃ.

„Na mchu pod drzewem moje dziś łoże,
Na twardej tarczy skroń chyba złożę,
Do snu wojenni zanucą stróże,
Ach! nie przy tobie, Maryjo!

A jutro może głębiej uśpiony,
Łożem mi będzie pled mój skrwawiony,
Pieśniami żal twój nieutulony,
Na moim grobie, Maryjo!“

„Nie śmiem, nie mogę, wspomnieć się boję
Na miłość twoję, na boleść twoję,
Na szczęście, cośmy dzisiaj oboje
Roili z rana, Maryjo!

Bo nie w czas dla mnie żałość i trwoga,
Gdy klan Alpina idzie na wroga,
Jak stal być musi ręka i noga,
I pierś Normana, Maryjo!“

„Przyjdzie kres kiedyś łzom i rozstaniu!
Bo czy to legnę w krwawem spotkaniu:
Duch mój natenczas wnet po skonaniu,
Do ciebie wróci, Maryjo!

Lub gdy jak wróżę, sam wrócę może,
Gdy mi weselne uścielesz łoże,

O! jak nam słodko do snu na dworze
Słowik zanuci, Maryjo!“

XXIV.

Nie tak, Balkwidrze! wzdłuż zeschłych twych ja-
Szerzy się płomień pastuszych pożarów,[9]) [rów
Gdy jako morze wichrami pędzone,
Tocząc kłębami swe fale czerwone.
W ciemnościach nocy, tłem krwawej purpury
Rumienią lasy, jeziora i góry:
Jak dziś w tych jarach, gdzie Norman przebiega,
Wieść się o wojnie i krzyk jej rozlega.
Ujrzały gońca i godło Alpinu,
Smug Loch-Voilu i bór Loch-Doinu;
Pędził jak biegacz do mety wyścigu,
Po grząskich brzegach strumienia Balwigu;
Znikł w gęstych gajach zielonej leszczyny,
W głębi szerokiej Strat-Gartnu doliny,
I biegł, aż póki, jak jeden mąż zbrojny,
Cały klan Alpin nie powstał do wojny:
Od starca, który, choć młodzian z zapału,
Wsparty na włóczni krok sunie pomału,
Do pacholęcia, co strzałą i łukiem
Wojował chyba z gołębiem lub krukiem.
Z gór, z dolin, z lasów, w pół chodem, w pół biegiem,
Śpieszą z osobna, kupami, szeregiem:
I jak potoki, wezbrane po burzy,
Łączą w dolinach swój nurt i śród wzgórzy

Pędzą z rosnącą potęgą i szumem:
Tak ci, mąż z mężem, tłum łączy się z tłumem,
Aż w końcu razem sprawieni do szyku,
Stanęli wszyscy na łące Lanriku:
Każdy z kolebki wprawiony do znojów,
Nie znając innej zabawy prócz bojów,
Innej miłości, prócz swego plemienia,
Innej przysięgi prócz wodza imienia,[10])
Innego prawa, prócz jego skinienia.

XXV.

Rodryk tymczasem przez ranek ten cały,
Przeglądał przejścia Benwenu i skały,
I mnogie czaty rozesłał od świtu,
Wzdłuż granic klanu od pól Menteitu.
Wróciły wszystkie z wieściami pokoju:
Klan Brus ni Graham nie myślą o boju;
W twierdzy Rednoku nie słychać trąb głosu,
Nie tkwią chorągwie na basztach Kadrosu,
Nie błyszczy Duchraj ogniskiem czerwonem,
Czaple jak zawsze drzemią nad Loch-Konem,
Wszystko spokojne; — któż zgadnie dla czego
Wódz, zamiast śpieszyć, gdzie na rozkaz jego
Ze wszech stron klanu biegną wojownicy,
Sam, z taką trwogą w sercu i źrenicy,
Niezagrożonej pilnuje granicy? —
Śród skał Benwenu, w najgłębszem ukryciu,
Został skarb jego, najdroższy mu w życiu.
Bo Duglas, w słowie rzeczonem stateczny,
Rzucił na wyspie przytułek bezpieczny,

I śród zakrętów skalistej pustyni.
Ukrył się w głębiach najdzikszej jaskini.
Zdawna u bardów celtyckich i gminu,
Głośny jest wąwóz Kojr-nan-uriskinu,
I grota, którą z krążących posłuchów,
Lud łatwowierny zwie jaskinią duchów.

XXVI.

Była to ustroń ponura i dzika,
Godna zbrodniarza albo pustelnika.
Rowem w pół góry rozpadła opoka
Czerni się z wierzchu, jak rana głęboka
W piersiach olbrzyma; boki tej szczeliny
Nawisłe mroczną gałęzią jedliny:
A na dnie bryły strzaskanych granitów,
Burzą potopu strącone ze szczytów,
Piętrząc się dziko w bezładnej ruinie,
Tworzyły niską, sklepioną jaskinię.
Dęby i sosny, rosnące po wierzchu,
We dnie tam nawet rzucały cień zmierzchu,
Chyba że promień z ukosa zbłąkany,
O krzemieniste odbiwszy się ściany,
Błysł nagłem światłem, i zgasł śród ciemności,
Jak wzrok proroka w krainach przyszłości.
Żaden głos zwykle, prócz szmeru strumienia,
Miejsc tych głuchego nie budził milczenia:
Ale gdy burza, z piorunami w chmurach,
Po okolicznych rozległa się górach,
A wicher z gęstym pasując się borem,
Ciskał o brzegi zhukanem jeziorem:

Naówczas łoskot zwaśnionych żywiołów,
Prąc się bez przerwy w głąb ciasnych wądołów,
Wstrząsał, jak wulkan wybuchem podziemnym,
Ścianami groty i sklepem jej ciemnym.
Z takich wąwozów wilk czyha na stada,
W takich jaskiniach ryś gniazdo zakłada,
Lub nocnych zbójców kryje się gromada.
Tam jednak Duglas, z Heleną i bardem,
Spoczywał leżąc na posłaniu twardem,
Póki nie minie huragan huczący
Nad głową jego i dachem obrońcy.
Stary zabobon wieść czarów i zgrozy
Postawił strażą przed tymi wąwozy;
Bo tam, jak mówią, gór leśne potwory,
Tam czarownice trzymają swe dwory,
I biada ludziom, błądzącym tą drogą,
Ktoby je ujrzał, albo one kogo!

XXVII.

Już długie cienie letniego wieczora
Słały się z góry po falach jeziora,
Gdy Rodryk, z kilku wiernymi przy boku,
Zchodził z Benwenu, z zadumaniem w oku.
Już byli gaje przechodząc bronzowe
Beala-nam-bo minęli dąbrowę,
Gdy orszak naprzód pośpieszył się w biegu,
By wczas na wodę łódź zepchnąć ze brzegu:
Bo przez Loch-Katrin najprędzej pośpieszą
Dziś jeszcze z bratnią połączyć się rzeszą.

Sam tylko Rodryk, wstrzymawszy się chwilę,
Rzecz niesłychana! wódz pozostał w tyle,
Z jedynym giermkiem, co łuk jego niesie,
I drogę przed nim rozgarnia po lesie:
Reszta dróg bliższych świadoma i skora,
Stanęła wkrótce nad brzegiem jeziora.
I był to widok wart oczu patrzących,
Ktoby ich widział z gór otaczających,
W świetle promieni poziomo błyszczących!
Olbrzymy z wzrostu, wybrani śród klanu,
W pełnym rynsztunku, w odzieży z tartanu;
Ich pledy wiały, ich pióra pływały,
Lśniące ich tarcze raz po raz błyskały,
Gdy czółno z brzegu zepchnąwszy na wały,
Stali nad wodą, na odłamach głazu;
Żyjące grono dzikiego obrazu!

XXVIII.

Rodryk tymczasem, jak w pętach uroku,
Stał zadumany, nie ruszając kroku,
Tam, gdzie się ścieżka skręcając w gęstwinie,
Wiodła w posępną Duglasa jaskinię.
Dziś jeszcze Rodryk poprzysiągł swej dumie,
Pokonać miłość, i w dzikich bitw tłumie
Zagłuszyć w sercu boleśne wspomnienie,
I o niewdzięcznej zapomnieć Helenie.
Lecz ktoby piaskiem tamował rzek drogę,
Albo kądzielą mógł stłumić pożogę,
Jeśli trudniejszej dokazać chce rzeczy,
Niech się rozumem z miłości uleczy! —

Zmierzcha — a jeszcze wódz krąży po boru,
Jak duch na straży zaklętego zbioru;
I chociaż duma oczom jego wzbrania
Smutnej rozkoszy i łez pożegnania,
Nastawia ucha w milczeniu, i czeka,
By choć głos luby usłyszeć zdaleka.
Próżno! wiatr tylko w niepewnych powiewach,
Szemrze, szeleści, lub szumi po drzewach. —
Lecz jakież dźwięki? — to muzyka znana!
To brzmienie arfy starego Allana!
Jakiż głos cichy z jej nutą się zlewa? —
To głos Heleny! lub to anioł śpiewa!

XXIX.

Hymn do Najświętszej Panny.

„Zdrowaś Maryo! Matko zbawienia!
Wejrzyj na nędzę tułaczy!
Ty możesz ulżyć zbytku cierpienia,
Ty możesz wyrwać z rozpaczy!
Wejrzyj! pod strażą twojej źrenicy,
Ulężem próżni tęsknoty;
Panno! wysłuchaj modłów dziewicy!
Matko! wysłuchaj sieroty!*)
Zdrowaś Maryo!“

*) Dwa te ostatnie wiersze wzięte są z tłómaczenia tejże piosnki przez Karola z Kalinówki; umiałem je na pamięć, a lepszych ani chciałem, ani mógłbym był znaleźć. *P. T.*

„Zdrowaś Maryo! Panno bez zmazy!
Dla wspartych twoją opieką,
Czarne te lasy, dzikie te głazy,
W rajską się piękność obleką.
Tchnąć będą wonią po okolicy
Mroczne wyziewy tej groty:
Panno! wysłuchaj modłów dziewicy!
Matko! wysłuchaj sieroty!
Zdrowaś Maryo!“

„Zdrowaś Maryo! Niebios królowo!
Przed oblicznością twej mocy,
Pierzchną nieszkodząc w otchłań grobową,
Duchy pustyni i nocy.
Bez szkody ziemscy prześladownicy
Wypuszczą na nas swe groty:
Panno! wysłuchaj modłów dziewicy!
Matko! wysłuchaj sieroty!
Zdrowaś Maryo!“

XXX.

Zmilkł śpiew i arfa w ręce niewidomej,
Wódz słuchał jeszcze, i stał nieruchomy,
Wsparty na mieczu; — aż dwakroć, nieśmiało,
Paż wskazał słońce gasnące za skałą.
Zbudził się Rodryk, brew dziko nachmurzył:
„Toż więc ostatni! ostatni!“ powtórzył,

„Ostatni w życiu głos mego anioła?
„Stało się!“ — umilkł, dłoń przymknął do czoła
Porwał się nagle, ręką naprzód skinął,
Ścisnął miecz w dłoni, pierś pledem obwinął.
I tuż za giermkiem, krok nagląc do biegu,
Pędził wprost na dół, aż stanął na brzegu.
Rzucił się w łódkę; — wnet szybka jak strzała,
Po fal wierzchołkach jak ptak przeleciała.
Wysiedli na ląd w wierzbowej odnodze,
I szli, znużonej nie folgując nodze;
Aż przy ostatnim zachodnim promyku,
Stanęli wreszcie na wzgórzach Lanriku,
Skąd widać u stóp na szerokiej łące,
Obóz Alpinów, i ognie błyszczące.

XXXI.

Na różne grona dzieląc się bezładnie,
Ci siedzą, stoją, ci chodzą gromadnie;
Najwięcej jednak płaszczami okrytych,
Odpoczywając po trudach odbytych,
Leży na ziemi, na bujnej murawie,
Okiem zdaleka niedojrzani prawie,
Tak z zielonością zarośli i łanów,
Łączy się barwa zielonych tartanów:
Chyba że czasem jak świetlik w pomroce,
Tu lub tam włócznia lub miecz zamigoce.
Lecz gdy po czarnych i płaszczu i piórach,
Zdaleka wodza poznali na górach,
Skoczyli wszyscy, i okrzyk potrójny
Rozległ się hasłem wesela i wojny.

Za każdym razem ech muzyka dzika
Szła brzmiąc po górach imieniem Rodryka,
Umilkła wreszcie na Benledi wierzchu,
I cichość wzięła panowanie zmierzchu. —

PIEŚŃ CZWARTA.

WYROCZNIA.

I.

Najpiękniejsza jest róża, gdy w cierniach rozkwita,
Najwonniejsza gdy rosą połyska się z rana;
I nadzieja najmilsza, gdy śród nieszczęść świta,
I miłość najmocniejsza, gdy łzami oblana.
Piękna różo! ty odtąd bądź godłem Normana,
Powiewaj na mej czapce — i śród wojen wrzawy,
Wróż nadzieję i miłość, gdy pokój zawita!“ —
Tak mówił młody Norman, dziedzic Armandawy,
Gdy fale Wennacharu złocił świt jaskrawy.

II.

I w tych marzeniach, natchnionych koleją:
Żalem, miłością, i słodką nadzieją,
Smutny małżonek, ze łzą mimowolną,
Zrywał śród cierni młodą różę polną.

Oręże jego, łuk, puklerz i strzały,
Rzucone za nim, na ziemi leżały;
Tu bowiem stróżem postawion od wczora,
Strzegł przez noc lasu i brzegów jeziora. —
Lecz cyt! krok ludzki zatętnił po błoni.
Porwał się Norman, i skoczył do broni:
„Kto? stój! bo zginiesz! — Ha!“ — poznał Maliza.
(Maliz skończywszy posłannictwo krzyża,
Szedł był na zwiady, czy się wróg nie zbliża).
„Witaj Malizie! tak rychło z podróży?
„Pośpiech twój bliskich nieprzyjaciół wróży“. —
— „Wskaż mi, rzekł Maliz, gdzie wódz śpi w obo-
[zie?“ —
— „Wódz śpi sam jeden w tym mglistym wąwozie.
„Chcesz? mnie samego masz za przewodnika“. —
Rzekł, pled spiął klamrą, i na współstrażnika,
Śpiącego wpodle pod rozrosłym bukiem,
Krzyknął, napiętym trącając go łukiem:
„No! Glentarkinie! wstań! dość miałeś wczasu!
„Ja idę, pilnuj jeziora i lasu!“ —

III.

Oba z pośpiechem szli w stronę parowu.
„Cóż słychać?“ Norman zapytał się znowu.
— „Różne pogłoski, a każda odmienna.
„To jednak pewno, że siła wojenna
„Stoi zebrana na równinach Dunu,
„Czekając wodza, jak chmura piorunu.

„Król zaś tymczasem, pod łowów pozorem,
„W zamku Stirlingu uczтuje z swym dworem.
„Wkrótce z tej chmury, co ku nam się sunie
„Grom zagrzmi w górach, i krwawy deszcz lunie,
„Myśmy nawykli do takich kąpieli,
„Okryć się pledem będziemy umieli;
„Lecz ty, Normanie, gdzie znajdziesz zachronę,
„Byś w niej twą młodą zabezpieczył żonę?“ —
— „Jak to? czyż nie wiesz? że Rodryk już wczora
„Na swoją wyspę rozkazał z wieczora
„Zgromadzić wszystkich, nim słońce zaświeci,
„Zgrzybiałych starców, niewiasty i dzieci?
„I aby wszelkiej zabieżeć przygodzie,
„Zalecił, wszystkie będące na wodzie
„Przewozy, czółna i rybackie łodzie,
„Ściągnąć ku wyspie, i ukryć w ustroni,
„Aby wróg z niskąd nie dostał się do niej.“ —

IV.

— „Mądra przezorność! — z tego wodza planu
„Znać, że jak ojciec dba o dobro klanu.
„Ależ dlaczego sam dziś tak samotny,
„Obrał na nocleg ten parów wilgotny?“ —
— „Oto, że wczoraj Brian śród tych jarów,
„Rozpoczął oprzęd nowych wróżb i czarów,[1])
„Tagerm,*) wiesz! mówiąc, że przezeń odgadnie,
„Na czyją stronę los wojny wypadnie. —
„Wołu Dunkana zabito w ofierze...“

*) Patrz w objaśnieniach.

MALIZ.

— „Ach! znałem dobrze to szlachetne zwierze![2])
Najdzikszy buhaj w całem owem stadzie,
Cośmy to, pomnisz, wzięli w Gallangadzie.
Czarne miał rogi, choć sam jak śnieg biały,
Czerwone oczy jak węgle gorzały.
Cośmy też mieli z nim bied i kłopotu,
Gdy przyszła kolej śpiesznego odwrotu!
Trud był dla wszystkich i praca nie błaha.
Idąc już nawet przez las Beal'maha,
Miotał się jeszcze i gził się jak dziki;
Lecz jak go sparły nasze pikowniki,
Tak spuścił z tonu, że przy końcu drogi,
Lada go dziecię wziąć mogło za rogi". —

V.

NORMAN.

— „Zabił go Brian i świeżo odartą
Skórę na ziemi włosem rozpostarto,
Nad wodospadem, co wiesz, między lasem
Wali się w przepaść z głuszącym hałasem,
I jakby piorun na dwoje rozdziera
Grzbiet skały zwanej Tarczą Bohatera.
Tam rozesłano tę skórę; a na niej,
Nad samym brzegiem bezdennej otchłani,
W którąbyś spojrzeć nie mógł bez zawrotu,
Na skale drżącej od wałów łoskotu,

Czarownik wczoraj, gdy noc już zapadła,
Uległ, czekając na sny i widziadła.
Wódz śpi w pobliżu. — Lecz patrz! patrz na prawo!
Widzisz go, mnicha! z jak dumną postawą
Pnie się na ową skałę przed wąwozem,
I stanął we mgle nad śpiącym obozem!
Patrz! czyż się istnym nie zdaje szatanem
Nad polem bitwy trupami zasłanem,
Lub czarnym krukiem, co patrząc jak szczwacze
Płatają w lesie sarny lub rogacze,
Czeka swej części, i ważąc się kracze“?[3])

MALIZ.

— „Dość już, dość tego! — kto inny, Normanie,
Za złąby wróżbę wziął twe przyrównanie.
Lecz dla mnie wróżba i wiara jedyna,
Jest w dzielnym wodzu i w męstwie Alpina,
A nie tam w jakimś obrządku pogańskim,
Albo, co gorsza, w tym synu szatańskim! —
Lecz któż to przy nim? — Ha! wódz, wsparty dzidą!
Patrz! schodzą na dół — naprzeciw nam idą“.

VI.

I gdy schodzili, wpół mową, wpół krzykiem,
Mnich uroczyście tak mówił z Rodrykiem.
„Rodryku! straszna to rzecz i zuchwała,
„Dla duszy w pętach śmiertelnego ciała,
„Kiedy krew w sercu wre ogniem lub krzepnie,
„Gdy wzrok z przestrachu słupieje i ślepnie,

„Gdy wszystkie włosy jeżą się jak włócznie,
„Świat przyszłych rzeczy obaczyć widocznie!
„Jednak, patrz na mnie! ta bladość na twarzy,
„To drganie w ustach, ten wzrok co się żarzy,
„I ten, co w duszy czuję szał rozpaczy,
„Żem to dla ciebie uczynił, niech świadczy.
„Tego com widział, w żadnej ludzkiej mowie,
„Żaden żyjący człowiek nie wypowie;
„Bo żaden, chyba przeklęty lub święty,
„Lub jak ja, z ojca nie-człeka poczęty,
„Mógłby tak ludzką naturę pokonać,
„By, com ja widział, widzieć, i nie skonać.
„Ja żyję, alem com cierpiał! — aż w końcu,
„Przyszła odpowiedź, jak w gromie, jak w słońcu:
„Nie przez wzrok w piśmie, nie w słowach przez uszy,
„Lecz powiedziana, wypalona w duszy: —
„„Strona, co pierwsza krew wroga przeleje,
„„Zwycięstwa w boju mieć może nadzieję““ [4]).

VII.

— „Dzięki, Brianie! dzięki za twe służby!
„Klan Alpin lepszej nie może chcieć wróżby.
„W którymże boju, on pierwszy śród szyków
„Nie pokosztował krwi swych przeciwników?
„Lecz los, jak gdyby chciał wzmódz naszą wiarę,
„Sam nam pewniejszą nastręcza ofiarę.
„Szpieg dzisiaj do nas ma przyjść pokryjomu;
„Żadne go jutro nie obaczy w domu.

„Gdzie się bądźkolwiek najpierwej ukaże,
„Wszędzie już gęste czyhają nań straże.
„Murdoch przewodnik, co mi go sam zdradził,
„Ma dany rozkaz, by go tak prowadził,
„Że gdzieś śród lasu lub w ciasnej dolinie,
„Natrafić musi zasadzkę i zginie. —
„Lecz któż to na nas czeka na rozłogu? —
„Ha! Maliz! witaj! co słychać o wrogu?“

VIII.

— „Na polach Dunu, za królewską władzą,
„Dwaj baronowie lud zbrojny gromadzą.
„Widziałem gwiazdę Moraja sztandaru,
„I w czarnem polu tarcz hrabiego Maru“. —
— „Dobra nowina! sercu wojownika
„Dodaje siły dzielność przeciwnika.
„Kiedyż wyruszą?“ — „Jeśli nie obłudnie
„Szerzą wieść sami, to jutro w południe“. —
— „Ha! więc gorące mieć będziem spotkanie!
„Lecz gdzie? — Nic nie wiesz o Erneńskim klanie?
„Czy się dziś z nami połączy? gdyż wtedy
„Zaszedłbym wrogom na szczytach Benledi.
„Nie wiesz nic? —.mniejsza! więc samym czas radzić.
„Wąwóz Trosachu musimy osadzić,
„I walczyć będziem na brzegach Katrinu,
„W obliczu niewiast i starców Alpinu:
„Każdy za wszystko najmilsze na świecie,
„Syn za rodziców, i ojciec za dziecie,
„Mąż i kochanek za oblubienicę. —
„Lecz cóż to? wiatr mi powionął w źrenice?

„Czy grożącego smutku znak proroczy?
„Że się łza, czuję, po licu mem toczy! —
„Lecz pierwej Saxon z posady wyruszy
„Skałę Benledi, lub szczyt jej pokruszy,
„Niżliby zachwiał potęgą mej duszy!
„Nie! ufam sercu mojemu jak tarczy,
„Że mi na odpór złych losów wystarczy. —
„Lecz dość! — już słońce daleko od wschodu:
„Naprzód, Malizie! dać znak do pochodu!“ —
Brzmi dźwięk pibrochu, zrywają się męże,
Szumią chorągwie, błyskają oręże,
Stają szeregi, i z głośnym okrzykiem
Rusza się obóz za wodzem Rodrykiem. —
Lecz duch mię wieszczy, od zbrojnego gminu,
Porywa w ustroń Kojr-nan-Uriskinu.

IX.

Gdzież Duglas? — odszedł; — w posępnem milcze-
W bieli, przed grotą, na szarym kamieniu [niu,
Siedzi Helena; łzy błyszczą w spojrzeniu,
I znać z jak smutnem roztargnieniem ducha,
Słów Allan-Bana, słów pociechy słucha.
„Wróci on, wierzaj! niechaj cię nie smuci
„Czcze przywidzenie; — obiecał, powróci.
„Czas też by przecie przed grożącą wojną,
„Gdzieś jaką ustroń wynaleźć spokojną.
„Sami Alpini nie dobrze znać wróżą;
„Chroniąc się przed nią, jak ptactwo przed burzą.
„Widziałem łodzie, przez całą noc wczora,
„Jak z pochodniami po falach jeziora

„Migały zewsząd śród ciemności nocnej,
„Jak latające skry zorzy północnej.
„Widziałem dzisiaj, jak gęsto w szeregu
„Stoją u wyspy, przyparte do brzegu,
„Jak stado kaczek przypadłych do ziemi,
„Gdy w górze sokół szybuje nad niemi.
„Jeśliż to z wojną oswojone plemię,
„Kryje się przed nią i opuszcza ziemię,
„Mógłże twój ojciec, w tak ciężkiej potrzebie
„O bezpieczeństwie nie myśleć dla ciebie?“ —

HELENA.

— „Nie, nie! Allanie! ten pozór wyprawy,
Złowieszczej we mnie nie uśpi obawy.
Serc kochających przeczucie nie myli.
On sam, w ostatniej pożegnania chwili,
Nie chcąc przedemną swój zamiar objawił,
Kiedy mię żegnał, i gdy błogosławił,
Widziałam, jak się zdobywał na męstwo;
Zgadłam, że idzie na niebezpieczeństwo! —
Allanie! jestem niewiastą, lecz umiem
Pojąć duch męża; myśl wielką rozumiem,
Duszę Duglasa czuję w mojej duszy:
Jak woda, którą lada wiatr poruszy,
Odbija jednak w swem łonie ruchomem,
Góry i skały niezachwiane gromem. —
Zgubny cios wisi nad rodem Alpina.
W nim, sądzi Duglas, tej wojny przyczyna.
Widziałam, cały jak stanął w płomieniu,
Gdyś mu o swojem powiadał widzeniu,

O owych więzach, com niby ja sama
Kładła na ręce Malkolma Grahama.
Nie wiem, czy wiara w sen twej wyobraźni,
Czy sam czuł bojaźń troskliwej przyjaźni:
Lecz widząc obu przyjaciół swych, którzy
Mogliby zginąć, nas broniąc od burzy —
Nie! bardzie! Duglas nie mógł chwiać się dłużej!
Cóż znaczą słowa, i żal jego niemy:
„Jeśli nie tutaj, tam się zobaczemy?“
Co znaczy rozkaz, by jeśli przed nocą
Nie wróci do nas, za twoją pomocą,
W Kambus-Kennetu klasztornej zaciszy
Skryć się, i ród mój wyznać przeoryszy? —
O! nie! nie płonny mój domysł i trwoga!
Duglas sam poszedł oddać się w moc wroga;
Poszedł swą głowę złożyć u stóp tronu,
By swych przyjaciół ratować od zgonu;
Poszedł uczynić, coby uczyniła
Córka Duglasa — gdyby synem była“. —

XI.

ALLAN.

— „Nie, nie! Heleno! unosisz się w trwodze.
Ojciec twój, zwłoki lękając się w drodze,
Wskazał ci tylko ów klasztor spokojny,
Byś w nim tymczasem ustrzegła się wojny.
Lecz wróci pewnie. — Co zaś o Grahamie —
Niech Niebo krzepi duch jego i ramię!

Widzenie moje choć ziści się w porze,
Jemu ni tobie źle z niego nie wróżę.
Kiedyż mój wieszczy sen nie był prawdziwym?
Przypomnij tylko o gościu myśliwym;
Wspomnij wczorajsze arfy mojej brzmienie,
Co nam dzisiejsze wróżyło cierpienie!
Prawdziwą była wyrocznia złowieszcza,
Zawierz jej śmiało, gdy dobro obwieszcza.
Byle już tylko wyjść z dzikich tych jarów! —
Zgubną jest zawsze dla ludzi moc czarów.
Wiem o tem wiele ciekawych powieści. —
Otrzyj, Heleno, łzy próżnej boleści!
Niegdyś cię moje cieszyło śpiewanie.“ —

HELENA.

„Będzie i teraz. — Lecz przebacz, Allanie,
Że łez mych wstrzymać nie czuję się w stanie.“ —
Bard zaczął prostą pieśń, lecz roztargnione
Myśli Heleny, gdzieś w inną szły stronę.

XII.

BALLADA.

ALIKA [5]).

Pięknie, wesoło w onym lesie zielonym,
Gdy ptaszęta świegocą, śpiewają:
Gdy strzelcy polują, jelenie harcują,
A psy gończe po śladach szczekają.

„Aliko jedyna! mych przodków dziedzina
Stracona przez miłość dla ciebie:
Błądzimy w pustyni, mieszkamy w jaskini,
Bez ulgi, bez wsparcia w potrzebie.

„Aliko jedyna! miłości w tem wina,
Że ciebie i siebie zgubiłem:
Śród nocy, śród sprzeczki, w dzień naszej ucieczki,
Brata twego nie chcąc zabiłem.

„Dziś moja dłoń śmiała, co zbroje rąbała,
Ciąć musi gałęzie i drzewa:
Lub zbierać mech szary, by zatkać skał szpary,
Skąd zimny wiatr na cię powiewa.

„I twoja dłoń biała, co z lutnią igrała,
Do miękkich nawykła atłasów,
Dziś sama się uczy, ze skóry borsuczej!
Szyć odzież na zimę śród lasów!“ —

— „Ryszardzie jedyny! nie z twojej to winy
Brat poległ — zrządzenie w tem losów;
Bo kłótnia wzajemna, bo noc była ciemna,
Bo nikt z was nie mierzył swych ciosów.

„Że teraz śród lasów, ja miękkich atłasów,
Ty nie masz szkarłatu i zbroi:
Zarówno mi luba, ta odzież choć gruba,
Strój łowczy ci równie przystoi.“

„Choć musisz oskardem ciąć w łonie skał twardem,
By zwiększyć pieczarę tę dziką:
Tu za to Alika jest z swoim Ryszardem.
Tu Ryszard ze swoją Aliką.“ —

XIII.

Pięknie, wesoło w onym lesie zielonym.
Gdy nadobna Alika pieśń śpiewa.
A z pieśnią po boru, brzmią szczęki toporu.
Gdy Lord Ryszard tnie sęki i drzewa.

Usłyszał śpiewanie, usłyszał rąbanie.
Król czarów, co mieszkał śród góry?:
Jak wicher w pustyni w ruinach świątyni.
Zahuczał głos jego ponury.

„Kto szerzy hałasy? kto rąbie me lasy?
Kto nosi mój kolor zielony?
Kto w moje dąbrowy śmie chodzić na łowy?
Kto płoszy zwierzynę mej żony? —

„Urganie, mój gnomie! stań przed nim widomie,
Wszak byłeś ochrzczonem dziecięciem?:
Choć będzie cię żegnać, nie zdoła odegnać,
Nie strwoży łacińskiem zaklęciem.“

„Idź, rzuć nań przekleństwa: rozpaczy szaleństwa,
Dni tęsknych i nocy bezsennych:
Niech śmierci pożąda, lecz próżno wygląda,
I żyje w konaniach codziennych!“

XIV.

Pięknie, wesoło, w onym lesie zielonym,
Choć i zmierzchło, i ptactwo nie śpiewa;
W jaskini dziewica, ognisko podsyca,
A Lord Ryszard przynosi więź drzewa.

Wtem Urgan z pod ziemi, wyskoczył przed niemi;
Lord Ryszard jął krzyżem go żegnać.
„Dłoń krwawa, człowiecze!“ gnom szydząc mu rzecze,
„Nie zdoła mię krzyżem odegnać.“

A na to się śmiała Alika ozwała,
Niewiasta z odwagą rycerza:
„Jeżeli krwi jakiej, dłoń jego ma znaki,
To chyba krwi ptaka lub zwierza!“ —

— „Na duszęś skłamała, niewiasto zuchwała!
Za kłamstwo nie minie zapłata;
Najlepiej wiesz sama, krwi czyjej to plama —
Krwi ludzkiej, krwi twojej, krwi brata!“ —

To słysząc Alika, krok naprzód pomyka,
I wprost się do widma przybliża:
„Jeżeli cię ręka skrwawiona nie lęka,
To oto ja robię znak krzyża.

„I zaklinam ciebie, przez Boga na Niebie,
Przed którego piekła drżą mocą,
Ażebyś mi, czarcie, powiedział otwarcie,
Skąd do nas przybywasz, i po co?“ —

XV.

URGAN.

„Pięknie, jasno jak w raju, w czarodziejstw kraju,
Gdy wkrąg ptaki zaklęte śpiewają,
Gdy z królem w dąbrowy, dwór jedzie na łowy,
A ich konie rzędami brzękają.

„I wszystko tam wkoło, lśni zda się wesoło:
Lecz blask to jest martwy i zwodny [8]).
Jak promień co w grudniu, od słońca w południu,
Skrzy w śniegu jak ogień, a chłodny.

„I jako on zmienny, jest kształt nasz codzienny.
Czem chcemy, możemy wnet zostać:
Czy ptakiem, czy zwierzem; dziewczyną, rycerzem;
Olbrzyma, czy karła wziąć postać.

„Popadłem w moc czarów, raniony śród swarów,
O północy, w myślach zawziętych;
Gdym leżał wpół żywy, król czarów straszliwy,
Porwał mię do krajów zaklętych [9]).

„Lecz gdybym miał kogo, co byle nie z trwogą,
Przeżegnałby trzykroć me czoło,
Człowiekiembym ożył, kształt dawny mój włożył,
I żyłbym, nie grzesząc, wesoło.“ —

Nie zwłócząc posługi, raz jeden i drugi
Alika go żegna bez trwogi.
Twarz gnoma zczerniała, jaskinia zadrżała,
Zatrzęsły się ściany i progi.

Nie zlękła się przecie, i żegna po trzecie,
Odważna niewiasta! — O! dziwy!
Gnom zniknął, lecz stoi młodzieniec we zbroi,
To brat jej! brat zdrowy i żywy! —

Pięknie, wesoło w onym lesie zielonym,
Gdy ptaszęta zabrzmiały nad rankiem;
Lecz w zamku Aliki weselsze okrzyki,
Gdy wróciła z bratem, z kochankiem.

XVI.

Ledwo pieśń barda i arfa ustały,
Gość jakiś ku nim szedł pnąc się na skały.
Rycerska postać, na czole wyryta
Myśl, strój myśliwski, i z czaplich piór kita,
I oko bystre jak iskra piorunu,
Budzą wspomnienie: — Fitz-Jakób z Snowdunu!
Jak na zjawienie strasznego widziadła,
Helena nagle struchlała i zbladła.
„O! cudzoziemcze! jakiż los złowrogi
„Przygnał cię tutaj w dniach wojny i trwogi?“ —
— „Nie jest złowrogim los, co mi użycza
„Raz jeszcze blasku twojego oblicza.
„Góral ów, pełniąc obietnicę daną,
„Dawny przewodnik, spotkał mię dziś rano,
„I wskazał, dzięki mym prośbom i złotu,
„Szczęśliwą drogę mego tu powrotu.“
— „Szczęśliwą! — Nic-że nie mówił o wrogach,
„O bliskiej wojnie, o strzeżonych drogach?“ —

— „Nic, ani słowa; i sam w przejściu całem,
„Żadnego wojny znaku nie widziałem.“ —
— „O! śpiesz Allanie, do tego człowieka!
„Patrz, tam z za skały pled widać zdaleka.
„Zbadaj co myśli, proś, żądaj koniecznie.
„By cudzoziemca wiódł nazad bezpiecznie. —
„Po coś, nieszczęsny, wrócił w te pustynie?
„Niema jednego człowieka w Alpinie,
„Coby ujęty chciwością lub trwogą,
„Bez wiedzy wodza wprowadził tu kogo.“ —

XVII.

— „Piękna Heleno! widząc jak cię trwoży,
„Sam odtąd życie będę cenił drożej.
„Lecz cóż jest życie, i na co się zdało,
„Gdy je okupim miłością lub chwałą?
„Posłuchaj, pozwól, bym szczerym wyrazem,
„Cel przyjścia mego objawił zarazem.
„Przychodzę wyrwać i wrócić cię światu,
„Z pustyń, niegodnych tak pięknego kwiatu;
„Przychodzę unieść na łono pokoju,
„Z krwawego pola wojny i rozboju.
„W lasach Bochastlu ukryte rumaki,
„Do bram Stirlingu przelecą jak ptaki;
„Tam cię jak różę, królowę ogrodów,
„Strzedz będę w cieniu od skwarów i chłodów!...“
— „O! przestań, przestań! — nie chcę i nie umiem
„Udawać, mówiąc, że cię nie rozumiem.
„Nadto już przedtem twej gładkiej pochwały
„Płoche me uszy z rozkoszą słuchały.

„Zgadłeś to, wracasz w nieszczęsną godzinę. —
„Czemże, ach! czemże naprawię mą winę? —
„Jeden jest sposób! — niech przejrzy mą duszę! —
„Milcz dumne serce! — wszystko wyznać muszę.
„Grzech swej próżności zgładź wstydem pokuty! —
„Lecz wprzód — mój ojciec jest ze czci wyzuty.
„Wygnany z kraju, wyjęty z pod prawa;
„Posag mój byłby: nędza i niesława. —
„Co? nie dbasz o to! — więc prawdę odkryję.
„Jest jeden młodzian — jeśli jeszcze żyje —
„Narażon dla nas, za nieposłuszeństwo,
„Na gniew królewski i niebezpieczeństwo... —
„Wiesz wszystko; zdrady chcieć nie możesz po mnie.
„Oddal się, przebacz, i zapomnij o mnie!“ —

XVIII.

Fitz-Jakób dobrze znał serc tajemnice.
Zręczne udania i sztuki kobiece;
Ale tu poczuł i poznał różnicę.
Oko jej jasne i patrzące śmiało,
Spokojnie prawdę jej słów potwierdzało;
Ufna niewinność jaśniała z oblicza,
Chociaż je skromność krasiła dziewicza;
A gdy mówiła o swojej miłości,
W głosie brzmiał wyraz tak jawnej żałości,
Takiej boleści, jak gdyby w tej dobie
Przedmiot jej uczuć spoczywał już w grobie. —
Uznał Fitz-Jakób nadziei swych mylność,
Ale z nadzieją nie zgasła przychylność.

Chciał jak brat siostrze być za przewodnika.
— „Nie nie! ty nie wiesz, ty nie znasz Rodryka!
„Musim się rozstać. — Śpiesz! Allan ci powie,
„Czy możesz ufać w przewodnika słowie.“ —
Z ręką na czole, w dumaniu głębokiem,
Znać sprzecznych uczuć miotany natłokiem,
Już chciał był odejść, i postąpił krokiem —
Wtem, jakby nową myśl w sercu ocucił,
Wstrzymał się nagle, i nazad powrócił.

XIX.

„Słuchaj, Heleno! słowo tylko jedno! —
„Los zdarzył niegdyś, że tą ręką biedną,
„W natłoku bitwy ocaliłem króla,
„Gdy mu groziła śmierć albo niewola,
„Wdzięczny monarcha, na znak swej podzięki,
„Dał mi ten pierścień, z własnej zdjęty ręki,
„I rzekł, że jeśli w jakiejkolwiek porze,
„Przyjdę, i pierścień w ręce jego złożę,
„O cobym tylko mógł prosić wzajemnie,
„Król żadnej prośby nie puści daremnie.
„Jam nie jest dworak, śród obozów wzrosłem,
„Żyć z krwi i z miecza jest mojem rzemiosłem;
„Zamkami mymi jest mój hełm i tarcza,
„Plac bitw wygranych za państwo wystarcza.
„O cóżbym prosił dla siebie, ja, który
„Nie dbam o żadne zaszczyty i zbiory? —
„Daj rękę! — pierścień do ciebie należy.
„Uzna go każdy z dworzan i żołnierzy.

„Sama do króla udaj się bez trwogi,
„Pierścień ten wszystkie otworzy ci drogi,
„Proś o co zechcesz, król ci nie odmówi,
„Pomnąc co winien mnie, Fitz-Jakóbowi.“ —
Rzekł — na jej palcu złoty sygnet błysnął —
Ujął jej rękę, do ust swych przycisnął,
I odszedł nagle; — bard osłupiał z trwogi,
Z takim go pędem ominął w pół drogi.
Wziął przewodnika, i oba pospołu,
Zbiegłszy z gór wkrótce stanęli u dołu,
I szli przez Trosach, nad brzegiem ruczaju,
Co łączy Katrin z jeziorem Achraju.

XX.

Wszystko spokojne w głębokościach jaru,
Powietrze tylko migoce od skwaru.
Wtem Murdoch świsnął. — „Co to jest? znak jaki? —
— „Nie! chciałem tylko rozpędzić te ptaki.“ —
Spojrzał Fitz-Jakób, i poznał w ustroniu
Trup konia swego: — „Ach! dzielny mój koniu!
„Lepiejby było i tobie i panu,
„Nie widzieć nigdy Alpińskiego klanu! —
„Murdochu! naprzód! — lecz niechno usłyszę
„Głos twój raz jeszcze — patrz, czem cię uciszę!“ —
Z ręką na mieczu, w milczeniu głębokiem,
Szli, bacząc na się podejrzliwym wzrokiem.

XXI.

Ślad krętej ścieżki, ciasnej i kamiennej,
Wił się nad brzegiem przepaści bezdennej,

Gdy oto! postać znędznionej niewiasty,
Ubrana dziko w łachmany i chwasty,
Z licem zczernionem letniemi upały,
Zaszła im drogę na urwisku skały;
I szybko wzrokiem rzucając w krąg siebie,
Po górach, lasach, przepaściach i niebie,
Zdała się nawpół z radością i trwogą,
Czy bać się czego, czy wyglądać kogo. —
Wieniec z traw dzikich wisiał na jej skroni,
Pękiem piór czarnych powiewała w dłoni,
Piór, co je orły szybując w obłokach,
Gubią po puszczach i stromych opokach;
Tych ona szuka i zbiera do koła,
Gdzie ledwo giemza zaczepić się zdoła. —
Gdy pled górala zdaleka spostrzegła,
Krzykiem jej trwogi przepaść się rozległa;
Ale się nagle zaśmiała jak dziecko,
Widząc Saxona i odzież strzelecką;
Nagle umilkła, i dłoń załamała,
Zaczęła płakać, i płacząc śpiewała.
Śpiewała! głos jej za czasów szczęśliwych,
Słynąć mógł kiedyś przy dźwięku arf tkliwych,
Bo i dziś jeszcze choć twardy, zdziczały,
Wdzięcznem się echem odbijał o skały.

XXII.

PIEŚŃ.

„Spać mi kazali, modlić się kazali,
Bili mię, mówiąc, żem w szaleństwie dzikiem: —

Ja spać nie mogę pod dachem górali,
Nie chcę się modlić góralskim językiem.

„Lecz gdybym była w mojej krainie,
Gdzie czysty Dewan, gdzie Allan płynie,
Takbym słuchała tak się modliła,
Ażby śmierć sama żal mój uśpiła.

„Na mojej skroni tak kiedyś był wianek!
Śpiesz, śpiesz, mówili dobrzy przyjaciele,
Idź do kościoła, tam czeka kochanek,
Wesel się, wesel, dziś twoje wesele!

„Przeklęta zdrada! przeklęte śluby!
Zwiędnął mój wianek, zginął mój luby! —
O! śnie mój piękny! na coś mię łudził?
O! dniu okrutny! na coś mię zbudził?“ —

XXIII.

— „Kto ta dziewczyna? co znaczą jej żale?
„Czemu tak smutna, po urwistej skale
„Czepia się w płaszczu na wiatrach rozdętym,
„Jak czarna czapla nad zdrojem zaklętym? —
— „Blanka z Dewanu“ — rzekł Murdoch zmięszany,
„Branka mająca rozum obłąkany;
„Wzięta w dzień ślubu, gdy na czele klanu
„Rodryk dań zbierał z nadbrzeży Dewanu.
„Jej oblubieniec śmiał stawać oporem,
„I legł pod wodza naszego toporem.
„Dziw mnie, że sama tak włóczyć się waży,
„Musiała uciec z pod Maudlina straży. —

„Precz stąd, szalona!“ — łuk podniósł nad głową. —
— „Wara!“ Fitz-Jakób zakrzyknął surowo.
„Palcem jej tylko śmiej tknąć się, zuchwały!
„A zlecisz w przepaść, jak kamień ze skały! —
— „Dzięki, obrońco! dzięki!“ — Blanka rzekła,
I drżąc do jego boku się uciekła.
„Patrz, co piór różnych zebrałam dla siebie;
„Kochanka mego chcę szukać po niebie!
„Nie dam ich temu krukowi — niech spadnie!
„Niech go tam wilki pożerają na dnie!
„Albo nie! lepiej, niech lecąc wpół drogi
„Pledem się swoim zaczepi o głogi,
„I niech tak wisi, aż sęp wygłodniały
„Przyleci żywcem szarpać go w kawały!“ —

XXIV.

—„Dość,dość!“ rzekł rycerz. —„Ty słodko spoglądasz
„Prosisz mię pięknie: więc zrobię co żądasz.
„Choć już mym oczom nie staje promieni,
„Miły im widok myśliwskiej zieleni;
„Choć rozstrojone struny mego ucha,
„Saxońskiej mowy rade ono słucha.
„I on był łowcem, mój ulubiony,
„Co serce biednej Blanki ułowił;
„Jak ty on nosił kolor zielony,
„Jak ty saxońskim językiem mówił! —
„Lecz ach! nie o tem chciałam ci zaśpiewać...
„Musisz być mądry, więc umiesz zgadywać.“ —
I zaraz zcicha, z obłędnym uśmiechem,
Pieśń nową nucić zaczęła z pośpiechem.

I wciąż na przemian, z przerażeniem w oku,
To na górala poglądała z boku,
To na Saxona mrugała, to znowu
Patrzyła bystro ku głębi parowu.

XXV.

PIEŚŃ.

„I koły zabili, i sieć nastawili,
I sami zasiedli w około;
I łuk natężyli, i nóż wyostrzyli,
Myśliwcy wesoło, wesoło.

„Był jeleń wspaniały, najpierwszy w swem stadzie,
Do góry niósł rogi i czoło;
Biegł prosto doliną, nie wiedział o zdradzie,
Poglądał wesoło, wesoło.

„Ujrzała go łania i drogę zabiegła,
Choć sama raniona straszliwie;
Wiedziała o zdradzie, jelenia ostrzegła,
Ostrzegła życzliwie, życzliwie.

„A jeleń miał oczy, i mógł się wystrzegać —
Niech patrzy troskliwie, troskliwie!
A jeleń miał nogi, i mógł się wybiegać —
Niech bieży szczęśliwie, szczęśliwie!“

XXVI.

Saxon czem innem miotany przez drogę,
Stracił był z myśli Heleny przestrogę;

Lecz świst Murdocha wątpliwość w nim wzniecił,
A śpiew go Blanki do reszty oświecił.
Nie jako jeleń, gdy zoczy obierze*),
Lecz jak lew gniewny gdy zdradę postrzeże,
Wyrwał miecz z pochwy, i naprzód poskoczył:
„Wyznaj swą zdradę, lub giń!“ — Murdoch zoczył
Ruch Fitz-Jakóba, i pomknął skwapliwie,
Puściwszy strzałę co miał na cięciwie.
Świszcząc drasnęła wierzch kity Saxona,
I w piersiach Blanki zadrgnęła utkwiona.
Teraz, Murdochu! daj dowód pośpiechu,
Co siły w nogach, i w piersiach oddechu!
Bo jak grom groźny, a jako wiatr chyży,
Mściciel za tobą! — już bliżej, już bliżej!
Los na twą rączość zdał swe przeznaczenie —
Krok wolniej, zguba! — krok prędzej, zbawienie.
Blisko już, blisko, ukryci ziomkowie,
Czają się w trawach, jak węże w parowie;
Dość, byś ich dobiegł, zawezwał opieki!...
Nie! nie dobieżysz, nie ujrzysz na wieki!
Wróg tuż! już dopadł — miecz świszcze, migoce,
Jak błysk piorunu, gdy sosnę druzgoce,
Spadł — wzrok Murdocha zgasł w wiecznej pomroce.
Ręki i nogi Fitz-Jakób używał,
Gdy z piersi wroga miecz nazad dobywał,
I zgięty nad nim, ze wzgardą spozierał,
I śmiał się patrząc, jak zdrajca umierał.

*) Sieci myśliwskie.

Poczem już wolniej, nad brzegiem jaskini.
Wracał na pomoc ranionej zbawczyni.

XXVII.

Pod gęstą brzozą, tuląc się w łachmanach,
Siedziała, łokcie wsparłszy na kolanach.
Sama już strzałę z swych piersi wyrwała,
Patrzyła na nią, i gorzko się śmiała.
Wieniec jej z chwastów i z piór upleciony,
Leżał przy nogach krwią cały zbroczony.
Rycerz chciał wstrzymać krew, co z rany ciekła. —
„Próżno! daj pokój, cudzoziemcze!“ rzekła.
„Ta chwila śmierci, przed zejściem ze świata,
„Wraca mi rozum stracony przez lata.
„Z krwią zda się razem spływają z przed oka,
„Dzikie widziadła i mglista pomroka.
„Umieram biedną, skrzywdzoną nędznicą. —
„Lecz łzy litości, co w twych oczach świecą,
„Lecz ten blask gniewu, co ogniem z nich strzela,
„Wróżą mi w tobie krzywd moich mściciela. —
„Widzisz te włosy? — masz! daję je tobie.
„Zawsze je, zawsze nosiłam przy sobie.
„W chwilach boleści, rozpaczy, szaleństwa,
„W nich miałam źródło pociechy i męstwa.
„Złotawe niegdyś, jak twoje dziś, były,
„Lecz krew, łzy, lata, blask dawny przyćmiły.
„Nie mogę mówić, kiedy, z czyjej skroni,
„I jak do mojej dostały się dłoni —

„Mózg mi się kręci! — Na pamięć krzywd moich,
„Weź je, na hełmie noś obok piór swoich,
„Aż deszcz i słońce wybielą z nich plamy;
„Wtenczas je odnieś, i oddaj mnie samej!...
„Znów marzę! — Boże! niech choć chwilę jaśnie
„Świeci mój rozum, nim na wieki zgaśnie! —
„O! na krzyż święty, co zdobi pierś twoją,
„Na życie twoje, zbawione krwią moją,
„Zaklinam, jeśli głośny z krwawych czynów
„Spotka cię kiedy wódz zbójczych Alpinów,
„W czarnym swym płaszczu, i z czarnem swem [piórem,
„Z skrwawioną ręką i okiem ponurem,
„Czy będzie jeden, czy na czele klanu,
„Walcz z nim, i pomścij krzywd Blanki z Dewanu! —
„Teraz — o! Boże! już mówić nie mogę —
„Czyhają na cię — strzeż się! — rzuć tę drogę!“ —

XXVIII.

Czułe miał serce Fitz-Jakób waleczny,
Zapomniał na się, że nie był bezpieczny,
I długo, z żalem i gniewem w źrenicy,
Stał, patrząc na śmierć nieszczęsnej dziewicy.
„Niech mi tak Pan Bóg pomoże w potrzebie,
„Jak ja się pomszczę krzywd twoich za ciebie!“ -
Rzekł, i do włosów oblubieńca Blanki,
Dodał splot włosów tak wiernej kochanki,
Zmaczał je razem w krwi ciepłej potoku,
I u piór czapki zawiesił na boku:

„Klnę się na Tego, co jest prawdy źródłem!
„Hełm się mój innem nie ozdobi godłem,
„Aż znak jej krzywdy i przysięgi mojéj,
„Krwią się jej wroga i mego napoi! —
„Lecz cóż to? słyszę krzyk w głębi parowu.
„Psy się, jak widzę, zerwały do łowu.
„Ale poznają, wprzód może, niż życzą,
„Jak lew, choć w sieci, jest trudną zdobyczą!“ —
Rzekł, i ze znanej, lecz strzeżonej drogi,
Bocząc, jął drzeć się przez ciernie i głogi,
I często krążył lub cofał wstecz kroki,
By minąć przepaść lub strumień głęboki.
Aż gdy już słońce gasło u zachodu,
Mdlejąc na siłach ze skwaru i głodu,
Padł na murawę, i ufny w swem męstwie,
Marzył, nie myśląc o niebezpieczeństwie:
„Z wszystkich mych przygód i szaleństw na świecie,
„To już ostatniem powinno być przecie!
„Trzebaż ślepoty, nie przejrzeć zawczasu,
„Że całe gniazdo tych szerszniów śród lasu,
„Ruszy się w pole i żądła wysunie,
„Skoro posłyszy o zbiorze wojsk w Dunie! —
„Jak psy znać teraz rozbiegli się zgrają,
„Słyszę jak świszczą, i hasła podają!
„Jeśli mam dalej brnąć w parów ten ślepy,
„Wpadnę w ich ręce, jak zwierz na oszczepy.
„Wolę tu skryć się, i czekać do zmroku,
„A wtedy oślep iść drogą wyroku“.

XXIX.

Wieczorne cienie ściskały się w masy,
Siną pomroką powlokły się lasy;
Puszczyk się ozwał w skały rozpadlinach.
Szczekanie lisa słychać po dolinach.
Dość jeszcze światła zostało na niebie,
By idącemu widzieć wkoło siebie.
Lecz już nie dosyć, aby go zdaleka
Dojrzało oko drugiego człowieka. —
Szukając drogi to ręką, to okiem,
Zwolna Fitz-Jakób krok stawiał za krokiem.
Nie to są kraje, w których letnie ciepło
Tchem dziennym jeszcze grzeje północ skrzepłą.
Lecz każdy powiew, co go z gór spotykał,
Mrożącym dreszczem do kości przenikał.
Zziębły, zgłodniały, w ustawicznej trwodze,
Środkiem zasadzek, po nieznanej drodze,
Szedł, smutnym myślom popuściwszy wodze;
Aż okrążywszy zrąb skały, tuż blisko
Ujrzał przed sobą płonące ognisko.

XXX.

W świetle od ognia, jasnem i czerwonem,
Stał góral w płaszczu, z czołem nachylonem.
Szmer usłyszawszy, nim broń porwać zdołał:
„Kto? stój! bo zginiesz!“ — głos groźny zawołał.
— „Jestem podróżny“. — „Czego ci potrzeba?“ —
— „Snu, przewodnika, ogrzania i chleba“. —

— „No! teraz śpijmy! — bo już z nad jeziora
„Bąk bębni hasło późnego wieczora“.
Narzucił ogień gałęźmi świeżemi,
I pled swój przed nim rozesłał na ziemi.
Na jednym płaszczu, śmiertelne dwa wrogi,
Jak brat przy bracie, zasnęli bez trwogi;
I spali, aże brzask wschodniej purpury
Zaczął rumienić jezioro i góry.

PIEŚŃ PIĄTA.

WALKA.

I.

Miły oczom blask pierwszy jutrzenki rumianéj,
Gdy się nad czołem nocy burzliwej promieni,
I rozjaśniając pomrok i mgliste tumany,
Poznacza kręte ścieżki i biegi strumieni,
Wróżąc dzień i pogodę, zbłąkanym śród cieni:
Lecz milej stokroć — zorzą zgody i braterstwa,
Ku której ze czcią oczy wznosi świat zbłąkany —
Łagodząc dzikość wojen i bitew morderstwa,
Świecą ludzkość i wiara w Zakonie Rycerstwa.

II.

Pierwszy brzask świtu, niepewny i mglisty,
Przedzierał gąstwę leszczyny krzewistéj,
Gdy obok pod nią uśpieni bez trwogi,
Obaj rycerze powstali na nogi.

— „No! teraz śpijmy! — bo już z nad jeziora
„Bąk bębni hasło późnego wieczora“.
Narzucił ogień gałęźmi świeżemi,
I pled swój przed nim rozesłał na ziemi.
Na jednym płaszczu, śmiertelne dwa wrogi,
Jak brat przy bracie, zasnęli bez trwogi;
I spali, aże brzask wschodniej purpury
Zaczął rumienić jezioro i góry.

PIEŚŃ PIĄTA.

WALKA.

I.

Miły oczom blask pierwszy jutrzenki rumianéj,
Gdy się nad czołem nocy burzliwej promieni,
I rozjaśniając pomrok i mgliste tumany,
Poznacza kręte ścieżki i biegi strumieni,
Wróżąc dzień i pogodę, zbłąkanym śród cieni:
Lecz milej stokroć — zorzą zgody i braterstwa,
Ku której ze czcią oczy wznosi świat zbłąkany —
Łagodząc dzikość wojen i bitew morderstwa,
Świecą ludzkość i wiara w Zakonie Rycerstwa.

II.

Pierwszy brzask świtu, niepewny i mglisty,
Przedzierał gąstwę leszczyny krzewistéj,
Gdy obok pod nią uśpieni bez trwogi,
Obaj rycerze powstali na nogi.

Wlepiwszy oczy w sklep niebios rumiany,
Zmówili każdy swój pacierz poranny.
Gall z suchych liści wznieciwszy stos świeży.
Podzielił z gościem ostatek wieczerzy:
I wierny słowu, wstał, w pled się obwinął,
W milczeniu ręką na Saxona skinął,
I obok niego, sam idąc ponury,
Wskazywał drogę przez lasy i góry.
Dziwaczna podróż! — raz chmurą owiani,
Pnąc się po skałach, nad brzegiem otchłani,
Widzą pod sobą, błyszczące od świtu,
Kręte rzek wstęgi: Forty i Teitu,
I między niemi rozległe doliny,
I aż po Stirling, niknący w mgle sinej;
To schodząc w wąwóz zaległy pomroką,
Na długość włóczni nie widzi w nim oko.
Nieraz tak ślisko na skalistej drodze,
Że ręka w pomoc musi śpieszyć nodze;
Nieraz tak ciasno w zaroślach, że z drzewa
Kroplista rosa jak deszcz ich oblewa,
Rosa tak lśniąca od wschodniej jasności,
Że rzekłbyś brylant, albo łza piękności.

III.

Stanęli wreszcie gdzie stroma i dzika
Ścieżka z gór wierzchu ku głębi się zmyka.
W dole jezioro Wennacharu leży,
W górze piętrzysta Benledi się jeży;
Jedyna ścieżka snuje się głęboko
Między jeziorem i stromą opoką;

Stu ludzi na niej, byle z wodzem śmiałym,
Mogłoby przejścia wzbronić wojskom całym.
Na barkach góry, pomiędzy skał zręby,
Zwisają brzozy i skarlone dęby;
Tu mech szarzeje przyschły do kamieni,
Tam się gdzieniegdzie splot bluszczu zieleni;
Ówdzie chwast z wrzosem bujając wyniośle,
Poziomych krzaków zagęszcza zarośle.
U stóp też góry, jeziora brzeg siny
Zarastał gajem osetu i trzciny.
Nieraz tam ścieżka wstecz pnie się na wzgórza,
Mijając spady potoków, lub łoża
Wyschłych, lecz zimą wezbranych strumieni,
Nasute żwirem i stosem kamieni.
Nużąca droga! — obadwaj przechodnie
Stawali nieraz, by wytchnąć swobodnie;
Aż Gall, po cięższej nad inne przeprawie,
Patrząc na gościa, zapytał ciekawie:
Czem go zwabiła kraina tak dzika,
Że śmiał ją zwiedzać bez glejtu Rodryka?

IV.

— „Gallu!“ — rzekł Saxon z wesołością w oku,
„Glejt mój najlepszy mam zawsze u boku.
„Lecz nie myślałem, wyznaję, tym razem,
„Bym musiał drogę torować żelazem.
„Gdy, trzy dni temu, łowami znużony,
„Straciwszy konia, zbłądziłem w te strony,
„Wszystko tu było tak ciche w tej porze,
„Jak nieruchoma ta mgła na jeziorze;

„Wódz wasz daleko gdzieś zbierał łup krwawy,
„Ani go rychło czekano z wyprawy.
„Tak mówił góral, co mię stąd prowadził;
„Widzę, że kłamał, by tem łacniej zdradził". —
— „Czegożeś wrócił do kraju naszego?" —
— „Jesteś sam żołnierz, a pytasz: dlaczego?
„Czyż chęci nasze, jak martwe sprężyny,
„Z pewnej się tylko ruszają przyczyny? —
„Chciałem się otrząść z próżnowania, z nudów:
„Czułem potrzebę rozrywki i trudów...
„Lada myśl wtedy, lada przywidzenie
„Człowieka z domu dalko wyżenie:
„Stracony sokół, pies zbiegły na łowach,
„Ładna dziewczyna w samotnych dąbrowach...
„Wreszcie dość wiedzieć, że kraj niebezpieczny,
„By już czuć powab i cel dostateczny".

V.

— „Nie chcę cię badać!" — góral odpowiedział.
„Lecz idąc do nas, mów, czyżeś nie wiedział,
„Że Mar z Morajem połączeni razem,
„Grożą nam wojną za króla rozkazem?" —
— „Nie! na mój honor! — że z wojsk swym oddziałem
„Na przegląd króla czekają, słyszałem;
„Lecz żadnej wojny nie było zamiaru.
„Dziś być już może; — znam hrabiego Maru,
„I ani wątpię, że gdy wieść odbierze,
„Że Rodryk w górach gromadzi żołnierze,
„I on sztandary rozwinie ku wojnie,
„Coby inaczej drzemały spokojnie". —

— „Niechaj rozwija! szkoda, gdyby miały
„W pokrowcach swoich popróchnieć w kawały!
„Niechaj rozwija! toć i pod nami
„Sosna Alpina zaszumi z wiatrami! —
„Lecz jeśliś przybył jak wędrowiec cichy,
„Poco przechwałki płochości czy pychy,
„Których, wiesz dobrze, że się nie ustraszym:
„Żeś wrogiem wodza naszego, i naszym?“ —
— „Do wczoraj rana, wierz mi, wojowniku!
„Tom tylko wiedział o waszym Rodryku,
„Że jest wygnaniec, nieposłuszny panu,
„Wódz buntowniczy zbójeckiego klanu,
„I że śród kłótni, co nie wiem skąd wszczęta,
„Zabił rycerza na dworze Rejenta.
„Lecz trzebaż więcej, aby na mordercę
„Oburzyć Szkota i rycerza serce?“

VI.

Ponuro góral wzrok ku ziemi trzymał,
Przygryzał wargę — znać gniewem się zżymał.
I rzekł nakoniec z tajoną obrazą:
— „Wieszże, dlaczego on dobył żelazo?
„Wiesz, jakie słowa i jaka zelżywość
„Wzbudziły w wodzu gniew i zapalczywość?
„Miałże znieść hańbę, i myśleć w tej porze,
„Czy jest w swych górach, czy na króla dworze?
„Nie! mścił się krzywdy, gdzie krzywdy doświadczył;
„Na dworze Niebios byłby nie przebaczył! —
— „Mord zawsze mordem; — prawda, że w tej chwili
„Małoście władzę królewską ważyli;

„Gdy sam Albany, w ustawicznej trwodze,
„Rozkiełznał rządu zwierzone mu wodze,
„A król nieletni, w Stirlingu zamknięty,
„Grał jeszcze w cacka z małemi chłopięty. —
„Lecz dziś, to jego życie rozbójnicze!
„Krwią ludu błahe oblewać zdobycze;
„Mord i pożogę nieść w kmiece zagrody;
„Wydzierać biednym ich żniwa i trzody!... —
„Serce, jak twoje, wzdrygać się powinno,
„Na nocną łupież i na krew niewinną".

VII.

Góral ku mówcy obrócił wzrok hardy,
I rzekł z uśmiechem goryczy i wzgardy:
„Patrzałem na cię, gdyś z gór tych, Saxonie!
„Spoglądał z dumą na szerokie błonie,
„Na bujne łąki, niknące w przestrzeni,
„Przerżnięte tylą i rzek i strumieni;
„Na wdzięczne wzgórza i gaje kwitnące,
„Ku południowi i na wschód leżące!...
„Żyzne te pola, kraj oczom tak miły,
„Naszem dziedzictwem, naszym krajem były.
„Przyszedł wróg Saxon, i przemocą zbójców,
„Wydarł je, zbroczył we krwi naszych ojców.
„Gdzież żyjem teraz? — patrz! to nasze właści:
„Głazy na głazach, i przepaść w przepaści!
„Będziemyż prosić u twardych kamieni,
„Roli na wiosnę i chleba w jesieni?
„Będziemyż błagać te góry piaszczyste
„O tuczne woły i trzody wełniste?

„Nie odpowiedzą kamienie i góry:
„My wam stoimy za twierdze i mury,
„Po ojcach macie broń, siłę i męstwo,
„Co wróg wam wydarł, niech wróci zwycięstwo!“ —
„A my, mrąc głodem w tych twierdzach północy,
„Mamyż nie słuchać, nie użyć swej mocy:
„Nie wydrzeć łupu z rąk naszych wydzierców,
„Nie mścić się mordu nad rodem morderców?...
„Nie, nie! Saxonie! — dopóki wam niwa
„Jeden snop zboża rodzić będzie w żniwa;
„Póki z tysiąca trzód, co się tam błąka,
„Jednego wołu wypasie wam łąka;
„Póty Gall, dziedzic niw, łąk i krainy,
„Iść będzie z mieczem po krwawe daniny! [1])
„Gdzież jest wódz góral, co myśli inaczéj,
„Co w wojnach z wami słuszności nie baczy? —
„Zemsta za ojców, jest powinność synów.
„Innych skarg szukaj na wodza Alpinów!“

VIII.

— „Nie znajdę, myślisz?“ — rzekł Saxon spokojnie.
„Cóż powiesz, nie już o mordach na wojnie,
„Lecz o podstępach uknowanych skrycie,
„O sidłach na mnie i na moje życie?“ —
— „To, żeś je własną ściągnął nierozwagą.
„Gdybyś był przyszedł i rzekł prawdę nagą:
„Szukam sokoła, ścigam za zwierzyną,
„Chcę się obaczyć z góralską dziewczyną:
„Byłbyś szedł wolno, i wrócić mógł śmiele.
„Lecz skryte kroki znaczą zdradne cele.

„A i tak, nie sądź, choć za szpiega miany.
„Że byłbyś na śmierć bez sądu skazany,
„Gdyby nie wyrok — srogi, lecz konieczny". —
— „Więc i to mijam" — rzekł Saxon niesprzeczny,
„Ani chcę, widząc, że to gniew twój drażni,
„Wymieniać dalszych zródeł nieprzyjaźni.
„Dość, żem się związał rycerskiemi śluby,
„Walczyć z twym wodzem, i szukać nań zguby:
„Nie po zdradziecku — lecz jawnie i zbrojnie.
„Dwakroć klan Alpin zwiedziłem spokojnie,
„Jak gość; lecz jeśli przyjdę trzecim razem,
„Przyjdę jak wróg wasz, z ogniem i żelazem,
„Z sztandarem wojny, i z orszakiem dzielnym,
„Na bój śmiertelny, z mym wrogiem śmiertelnym!
„I ani pasterz pod oknem dziewczyny,
„Nie czeka tęskniej zmówionej godziny,
„Jak ja tej chwili, gdy wpośród swej dziezy,
„Stanie przede mną wasz wódz buntowniczy".

IX.

— „Miej więc, co żądasz!" — świsnął — smug i skały
Jak jednem długiem echem się ozwały.
Jak w stadzie hasło strażniczego ptaka,
Świst się powtórzył od krzaka do krzaka:
I oto — z krzaków, z za skał, z nad jeziora,
Wznoszą się dzidy, łuki, czapki, pióra;
Nisko, wysoko, na lewo, na prawo,
Wyskoczył żołnierz ukryty pod trawą.

Z nagich mchów drzewca jak gajem wyrosły.
Z ciemnych drzew ostrza jak gwiazdy się wzniosły.
Jak woda w trzcinie, błysnęły oręże.
I krzaki w zbrojne zmieniły się męże.
Z lśniącym puklerzem, z dobytem żelazem,
Pięćset ich z ziemi powstało zarazem,
Jakby na czarów zaklęcie tajemne,
Wojsko się duchów zjawiło podziemne.
Każdy gdzie powstał, tam stał nieruchomy,
Aż nowe hasło da wódz niewidomy.
Jak nad przepaścią wiszące skał bryły,
Co je wiek strącił, lub gromy w dół zbiły,
Chwiejąc się wiszą na wątłej podporze,
Że lada wietrzyk w głąb strącić je może:
Tak ci, z gotowym orężem i krokiem
By skoczyć — stoją w milczeniu głębokiem. —
Z milczącą dumą. Gall wzrokiem płomiennym
Wodził przez chwilę po tłumie wojennym;
Nagle brew zmarszczył, i ponure skronie
Zwrócił na gościa: „Cóż teraz, Saxonie?
„To jest Klan-Alpin“ — hufce wskazał gestem,
„A wódz ich Rodryk — Saxonie! — ja jestem!“

X.

Saxon był mężny, i choć w nim krew cała
Wrzącym strumieniem do serca zbieżała.
Nie zbladł, twarz zimną uzbroił odwagą,
Wzrok groźby wzrokiem odtrącił z powagą,
I z niezachwianą wyniosłością męża,
Wsparł się o skałę, i dobył oręża.

„Przystąp! przystąpcie! jeden, czy tłumami!
„Głaz ten wprzód pierzchnie, niźli ja przed wami“. —
Patrzał nań Rodryk — a jego spojrzenie
Zdradzało wnętrzną cześć i podziwienie,
I ową radość, co mężnych przenika,
Gdy na godnego trafią przeciwnika.
Poczekał chwilę — i ręką w dół skinął.
Cały tłum zbrojnych jak zjawił się, zginął.
Gdzie kto stał, wszyscy zniknęli zarazem,
W trzcinie, we wrzosach, za drzewem, za głazem.
Sterczące drzewca na mchu się pokładły,
Iskrzące ostrza w gęstwinę zapadły;
Otchłań się, rzekłbyś, skróś ziemi otwarła,
I płód swój zbrojny nanowo pożarła.
Ostatni powiew, zlatując z Benledi,
Kołysał pióra, chorągwie i pledy:
Lecący za nim, już tylko powiewa
Na trawy, liście, zarośle i drzewa.
Ostatni promień, bijący od słońca,
Lśnił w ostrzu mieczów i włóczni tysiąca:
Drugi już tylko, niczem nie odbity,
Świeci na szare mchy, piaski, granity.

XI.

Spojrzał Fitz-Jakób — i ledwo sam wierzył,
Że go ten widok na jawie uderzył:
Tak był podobny sennemu widzeniu,
I znikł z przed oczu, jak sen przy ocknieniu.
Niepewnym wzrokiem myśli wodza pytał,
I wódz myśl jego w tym wzroku wyczytał:

„Nie bój się! — lecz nie! nie trzebać tej rady! —
„Nie wątp, i nie miej podejrzenia zdrady!
„Jesteś mym gościem: przyrzekłem z swej woli,
„Być sam twym stróżem pod bród Kojlantoli;
„Ni sądź, że obcych przyzywałbym broni,
„Przeciwko jednej i walecznej dłoni.
„Nie! choćbym walczył o zwrot wszystkich plonów,
„Co kiedyś Gallom wydarł miecz Saxonów! —
„Więc pójdźmy! — wskazać chciałem ci jedynie,
„Na jak ułomnej wspierałeś się trzcinie,
„Sądząc, że miecz swój mając za strażnika,
„Przejść możesz tędy bez glejtu Rodryka. —
„Pójdźmy!“ — i poszli. — Fitz-Jakób był śmiały,
I jako rycerz, co żyje dla chwały,
Umiał w potrzebie nie baczyć na życie;
Lecz nieraz serce zadrgnęło w nim skrycie,
Gdy obok wodza szedł kwapioną nogą,
Pustą na pozór i spokojną drogą,
Lecz gdzie po stronach, jak żądła wężowe,
Czychały miecze i włócznie, gotowe
Powstać i mścić się, byleby zamarzył
Człowiek, którego, sam czuł, że znieważył.
Nieraz w bok rzucił oczyma bystremi,
By dojrzeć mężów przypadłych do ziemi;
Nieraz się zdało, na lada ruch trawy,
Że się z niej ludzkie podnoszą postawy;
Nieraz na lada lot ptaka pierzchliwy,
Zabrzmiało w uszach brząknienie cięciwy,
Albo świst kani, krążącej w obłoku,
Zdał się być hasłem zgubnego wyroku.

I nie wprzód wolno odetchnął ze zgrozy,
Aż leśne w tyle rzuciwszy wąwozy,
Wyszli na czyste, szerokie równiny,
Gdzie już nie było ni skał, ni gęstwiny,
Chwastów, ni krzaków, by się w nich zdradziecko
Zakraść mógł zbrojny na czatę zbójecką.

XII.

Rodryk szedł milcząc; — aż gdzie w biegu skora,
Rzeka, trzech jezior pełnobrzega córa,
Z bram Wennacharu srebrząc się wytryska,
I przez zielone Bochastlu bagniska
Szumiąc podrywa twierdz owych posadę,
Gdzie Rzym swe niegdyś orły świato-władę [2])
Zatrzymał w locie, i chciwym napaści,
Raz pierwszy kazał swej tylko strzedz właści.
Tam wódz pled z ramion i tarcz swą odrzucił,
Ku Saxonowi twarzą się obrócił,
I rzekł: „Saxonie! Gall słowu nie skłamał,
„Rodryk gościny i wiary nie złamał.
„Ów zbójca krwawy, ów człek bez sumienia,
„Wódz buntowniczy dzikiego plemienia,
„Środkiem czat zbrojnych, przez błędne przechody,
„Wiódł wroga swego, i przewiódł bez szkody!
„Lecz tu bój równy — mąż przeciwko męża:
„Tu doznasz mojej zemsty i oręża.
„Patrz! oto stoję, z mieczem tylko w dłoni —
„To bród Kojlantol! — Saxonie! do broni!“ —

XIII.

— „Gallu!“ Fitz-Jakób rzekł, „nigdym nie zwlekał
„Dobyć oręża, gdy wróg na mnie czekał.
„Śmierć twą, co większa, ślubowałem Bogu.
„Lecz ta szlachetność i wiara we wrogu,
„Wdzięczność za życie i szczerą gościnność,
„Inną mej duszy wskazują powinność.
„Posłuchaj! nie-że oprócz krwi rozlewu
„Nie zgoi w tobie obrazy i gniewu?
„W bitwież się tylko złączą nasze dłonie?
„Nie masz sposobu?..“ — „Żadnego, Saxonie!
„I wiedz, by skrzepłe wzbudzić w tobie męstwo,
„Na tobie leży twych ziomków zwycięstwo;
„Bo tak w proroczem widzeniu natchnięty,
„Rzekł wieszczbiarz, z ojca nie-człeka poczęty:
„„Strona, co pierwsza krew wroga przeleje,
„„Zwycięztwa w boju mieć może nadzieję“. —
— „Czy tak? — więc Niebo przyzywam na świadka,
„Że się już losów rozstrzygła zagadka.
„Tam — każ poszukać! — pod tą ciemną skałą,
„Krzepnie w krwi własnej Murdochowe ciało. —
„Nie zmienić ludziom, co los postanowi.
„Poddaj się, wodzu! nie mnie, lecz losowi!
„Pójdź! pójdźmy razem do króla Stuarta:
„Tam, jeśli niechęć nie zemknie uparta,
„Gdy cię król przyjąć nie zechce uprzejmie,
„Nie wróci łaski, wyroku nie zdejmie:
„Wierz memu słowu, rękojmi, przysiędze,
„Że znów — bez ujmy ni w czci, ni w potędze,

„Chociażbyś z królem chciał w dalszej trwać wojnie,
„Na czoło klanu powrócisz spokojnie“.

XIV.

Szczerym płomieniem zaiskrzył wzrok Galla:
„Tak cię więc płocha duma rozzuchwala?
„Żeś może zdradą zmógł tego nędznika,
„Śmiesz już do jarzma nakłaniać Rodryka?...
„Nie! on się ludziom ni losom nie zegnie,
„Będzie żył wolny, lub wolny polegnie!
„Każde twe słowo gniew tylko mój drażni,
„I śmierć lennika domaga się kaźni. —
„Broń się! — Tyś jeszcze nie gotów? — Na Boga!
„Zbłądziłem widzę, biorąc cię za wroga
„Godnego mojej prawicy i pieczy,
„Żem cię dla gminnych pozazdrościł mieczy!
„Tyś widzę rycerz atłasem podszyty,
„Którego cała chwała i zaszczyty,
„Pstrzyć hełm w kędziory z warkocza kobiety!...“ —
— „Dzięki, Rodryku! dzięki za to słowo!
„Zatliłeś serce, dłoń wzmogłeś na nowo:
„Ślub mój przez ciebie przypomniały losy,
„Bym we krwi twojej umaczał te włosy. —
„A więc do broni! — i nie sądź, Alpinie!
„Że w tobie tylko i w twojej krainie
„Rycerska wiara żyć może jedynie! —
„Chociaż gdy świsnę, z za drzew, z za kamieni,
„Nie wskoczą zbójcy na mord zasadzeni,
„Jeden dźwięk trąbki, co noszę u boku,
„Stałby się hasłem twej zguby wyroku.

„Lecz nie drżyj — nie wątp! — jak ci się podoba
„Spór nasz sam na sam skończymy tu oba“. —
Jeden i drugi wnet mieczów dobyli,
I obaj pochwy na ziemię rzucili;
Jeden i drugi ku niebu spojrzeli,
Jakby go więcej oglądać nie mieli;
I oko w oko, z wzniesionem żelazem,
Wpadli na siebie i zwarli się razem.

XV.

Zapóźno Rodryk błąd poczuł w potrzebie,
Że tarcz warowną odrzucił od siebie [3]).
Z twardych skór zbita, gwoździźni nakowana,
Stokroć śmierć w boju odbiła od pana.
Bo Saxon sztuczny w robieniu żelazem,
W mieczu miał oręż i tarczę zarazem,
Siekł, kłuł, odbijał i ostrzem i płazem:
Gdy Gall mniej zwinny, choć silniej hartowny,
Z trudem na sobie bój dzierżał nierówny.
Trzykroć się zwarli — i trzykroć Saxona
Lśniący miecz struga zaćmiła czerwona;
Nie trysk, nie kropla, lecz wrząca krwi fala
Lunęła z piersi na tartan górala,
Rozżarł się Rodryk — i jak deszcz zimowy
Spuścił na wroga grad ciosów stalowy.
Lecz jak o dachy lub twarde skał szczyty,
Grad się odbija i taje odbity:
Tak Saxon ślepej zawziętości razy
Odbijał sztuką, nie wziąwszy obrazy.

Aż na słabszego, im coraz siekł gęściej,
Natarłszy, oręż wytrącił mu z pięści,
I zemdlonego, i trudem i raną,
Zwalił o ziemię — na jedno kolano.

XVI.

— „Poddaj się!“ — groźnie zawołał tą razą,
Po nad klęczącym podnosząc żelazo: —
„Poddaj się! albo przez Boga na Niebie!
„Ta chwila będzie ostatnią dla ciebie!“ —
— „Łask twych nie pragnę, a groźb się nie boję!
„Zwycięztwo jeszcze ni moje, ni twoje!“ —
I jak wąż w pogoń za ptakiem gdy wzleci,
Jak lew rozżarty wyrwawszy się z sieci,
Jak ryś drapieżny, broniący swych dzieci:
Porwał się z ziemi, wściekłością miotany,
Odniósł cios nowy, lecz nie czuł tej rany,
I poskoczywszy ku piersiom Saxona,
Zachwiał nim, w silne objąwszy ramiona.
Teraz, Saxonie! wzmóż siłę prawicy,
Bo to nie uścisk zalotnej dziewicy!
Przez miedź potrójną, przez zbroję ze stali,
Czułbyś moc jego. — Zwarli się, porwali,
Łamią się, chwieją — upadli pospołu;
Rodryk na wierzchu, Fitz-Jakób u dołu.
Tu Gall za gardło porwawszy go z gniewem,
Przygniótł pierś jego kolanem swem lewem;
Skinieniem czoła odrzucił w tył włosy,
Przetarł wzrok ręką, czy ze krwi, czy z rosy,

I podniósł sztylet; — lecz źle zastąpiły
Gniew i zawziętość stracone już siły;
Zapóźno dopiął nad wrogiem korzyści,
By mógł dokonać dzieła nienawiści.
Bo ledwo sztylet zabłysnął wysoko,
Twarz zbladła nagle, zaćmiło się oko:
Spuścił cios jednak — ale go niekrwawa,
Za piersi wroga, przyjęła murawa.
Sam padł zemdlony; — Fitz Jakób bez rany,
Wstał bez tchu, blady, krwią wroga oblany.

XVII.

Niebu cześć naprzód uczynił i śluby,
Że go tak cudem zbawiło od zguby.
Stanął nad wrogiem, co w krwi swej strumieniach,
W ostatnich z śmiercią pasował się drgnieniach.
Wzrok się zwycięzcy łzą żalu zamroczył,
Gdy we krwi jego włos Blanki umoczył:
„Biedna dziewczyno, krzywda twa pomszczona!
„Lecz w Nim, z łupieżcą i bohater kona.
„Oby na lepsze chciał użyć oręża,
„Świat dzielniejszego nie widziałby męża!“ —
Podumał chwilę, trąbkę do ust złożył,
Zagrał raz — przestał i dwakroć powtórzył.
Odwiązał z szyi chustkę koronkową,
Rozpiął odzienie i z odkrytą głową
Usiadł nad wodą, i czerpając w dłonie,
Obmywał ręce skrwawione i skronie. —

Wtem łoskot jakiś zahuczał po błoni...
Zbliża się, rośnie — to tętent, cwał koni!
I wnet z za wzgórza, po równej przestrzeni,
Pędzą wprost czterej myśliwcy w zieleni.
Dwóch niesie włócznie i puklerze z godłem,
Dwóch wiedzie luzem dwa konie pod siodłem.
Pędzą — aż kurzem i znojem okryci,
Przed Fitz-Jakóbem stanęli jak wryci.
Widząc plac boju, dziwią się, chcą badać: —
„Nie pytać o nic! przed nikim nie gadać!
„Herbert z Lufnesem niech zsiądą wnet z koni.
„Temu rannemu użyczcie swych dłoni:
„Obwiążcie rany! — nie obce wam leki.
„Chcę, by mu czułej nie brakło opieki.
„Wprost do Stirlingu, gdy siła pozwoli,
„Wsadźcie go na koń, i wieźcie powoli.
„Łagodny siwosz nie strudzi go wcale.
„Biedny koń! musi przestać na tej chwale;
„Milszy dziś ciężar miał dostać w podziale! —
„Ja muszę przodem; — godzina już bliska,
„W której się miejskie rozpoczną igrzyska.
„Ale mój Bajard szybko mię przeniesie. —
„Śpieszcie! — wy za mną! De Vaux i Herresie! —

XVIII.

„Stój, stój, Bajardzie!“ — koń grzywę nadyma,
Poryża z cicha i strzyże uszyma:
Znać się z pańskiego raduje widzenia.
Pan nie wziął cugla, nie dotknął strzemienia,

Lecz głaszcząc ręką po grzywie, od ziemi
Wskoczył na siodło nogami równemi.
Dotknął ostrogą, munsztuk ściągnął w ręku,
Koń wspiął się — jeździec nie zachwiał się w łęku.
Popuścił wodze — a koń niecierpliwy,
Pomknął się z miejsca, jak strzała z cięciwy.
Przebrnął przez potok, prześmignął po błoniu,
I zarżał głośno na wzgórzach Karhoniu.
Jeździec go znowu połechtał ostrogą,
Giermkowie za nim zdążają jak mogą.
Brzegiem Teitu cwałują w zawody,
Pęd ich bystrzejszy, niż w rzece nurt wody.
Już Torry, Lendrik i Dunstan za nimi:
Kurz tylko w kłębach po drodze się dymi.
Błysły z wież Dunu chorągwie zatknięte,
I za las nagle zapadły jak ścięte.
Na Bler-Drummondzie skry krzeszą ze żwiru;
Jak wiatr przemknęli wszerz pół Ochtertiru.
Mignęła tylko i znikła z przed oka,
Bodąca chmury Kieru opoka.
Do brzegów Forty przypadli i płyną,
Pianami wodę posrebrzając siną;
Parskają konie, aż na brzeg pochyły
Wspięły się przodem i rżąc, wyskoczyły.
Krek-Fort na prawo minęli jak z procy —
I już sędziwa warownia północy,
Stirling, rozsiadły na dzikich skał czole,
Widzi ich z góry pędzących przez pole.

XIX.

Już pną się w górę po skalistej drodze:
Gdy pan Bajarda, ściągając mu wodze,
Skinął na giermka: — posłuszny skinieniu,
Wnet ku pańskiemu poskoczył strzemieniu. —
„Widzisz tam, De Vaux! owego człowieka,
„Co się ku miastu przebiera zdaleka?
„Olbrzym z postawy, w ubogiej odzieży.
„Co za krok! patrzaj! przysiągłbym, że bieży
„Prosto pod górę, bez trudu oznaki! —
„Przypatrz się tylko! — nie znasz kto on taki?“ —
— „Nie, na mój honor! — lecz olbrzym prawdziwy!
„Pewno czyjś hajduk, lub sługa myśliwy“. —
— „Wstydź się, wstydź, De Vaux! czyż wzrok nie-
[przyjaźni,
„Czyż zawiść dojrzeć nie umie wyraźniej? —
„Nim wszedł pod górę, zaledwo spojrzałem,
„Zaraz tę postać i krok ten poznałem.
„Równych im niema w całej szkockiej ziemi,
„A któżby z obcych śmiał mierzyć się z niemi? —
„To Jakób Duglas, hrabia na Botwelu! —
„Śpieszmy dwór ostrzedz o nieprzyjacielu!
„Król się też musi namyśleć tymczasem.
„Jak się ma znaleźć i spotkać z Duglasem“. —
Tu zwrócił konia ku murom zamkowym,
I wbiegł do bramy po moście zwodowym.

XX.

Duglas przez pola zdążając bez toru,
Z Kambus-Kennetu powracał klasztoru,

I spoglądając na Stirlingu mury,
Tak z sobą w myślach rozmawiał ponury: —
„Tak! prawda była w Allana widzeniu:
„Szlachetny Graham u króla w więzieniu!
„I wkrótce moja złowroga gościna
„Ściągnie grom zemsty na plemię Alpina.
„Ja, ja sam tylko odkupić ich mogę. —
„Bóg daj! bym późno nie wybrał się w drogę! —
„Ksieni przyrzekła; — tak, ufać jej muszę.
„Helena Bogu poślubi swą duszę. —
„Ach! te łzy moje nie obrażą Boga! —
„Tyś ją dał, Panie! ty wiesz, jak mi droga,
„Jak dobra! — Darmo! — nie czas się ozierać;
„Myślmy, jak Duglas powinien umierać. —
„O! smutne mury! śród których obwodu
„Miecz króla niegdyś pił krew mego rodu![4])
„I ty, o! wzgórze złowrogie! na którem*)
„Śmierć krwawym kaźni śmigając toporem,
„Zmiatała nieraz przed stopami kata
„Głowy słynące u kraju i świata:
„Gotujcie więzy, loch i rusztowanie!
„Duglas sam idzie, aby wstąpić na nie. —
„Lecz cóż to? — słyszę gwar wesołych tonów:
„Muzyka! bębny! odgłos wszystkich dzwonów!...
„Patrz! lud się sypie! — wesołe maszkary!
„Trębacze, cechy, rozwite sztandary,
„Strzelcy, tancerze, pobrawszy się w pary! —

---

*) Wzgórek niedaleko miasta, gdzie tracono winowajców stanu.

„Zgaduję powód, znam te widowiska:
„Miasto dla króla wyprawia igrzyska [5])!
„Król na nich będzie: — bo równie mu miła
„Zręczność łuczników i szermierzy siła,
„Jak gdy we zbrojach, przyrosła do koni,
„Szlachta harcuje i na ostre goni.
„Pójdę tam — będę walczył o nagrodę.
„Król mię obaczy: — i może dowiodę,
„Że wiek nie całkiem osłabił te siły,
„Co go chłopięciem tak często dziwiły“. —

XXI.

Otwarto na wściąż dziedziniec zamkowy,
Drżał tętniąc głucho most długi, zwodowy,
I brukowana blokami granitów
Brzmiała ulica od końskich kopytów,
Gdy w dół ku miastu, wolnymi krokami,
Zjeżdżał król Jakób ze swymi panami,
A lud po stronach, ściskając się w szyki,
Witał monarchę głośnymi okrzyki,
Za każdym razem król głowę odsłaniał,
I aż do siodła schylając się kłaniał,
Witając ręką, z wdzięcznymi uśmiéchy,
Mieszczki płonące od wstydu i pychy.
Mogły się pysznić: — bo król, gdy spozierał,
Wzrok same piękne i młode wybierał.
Mieszczan pozdrawiał z powagą, lecz grzeczną,
Wieśniakom odzież pochwalał świąteczną,
I spoglądając to w lewo, to w prawo,
Ośmielał wzrokiem i twarzą łaskawą

Tłum, co mu wzajem wykrzykał bez końca:
„Vivat król Jakób! miast naszych obrońca!“ —
Z tyłu za królem, błyszczący od stali
Pierwsi panowie i dworscy jechali,
I strojne w pióra i złote tkanice,
Poważne panie i młode dziewice,
Co ledwo konie pohamować mogą,
Niechcące zwolna spadzistą iść drogą. —
Lecz w tym orszaku, nie na jednej twarzy
Znać, że się w sercu skryta niechęć żarzy.
Tam szlachta, w duszy tając dumę hardą,
Zabawy mieszczan ogląda z pogardą;
Tam wodze klanów, w zakładzie u króla,
Którym dwór jego gorzki jak niewola,
Marząc o górach rodzinnych i lasach,
O niepodległych zabawach i wczasach,
Sądzą się sami częścią widowiska,
I klną w swej duszy króla i igrzyska.

XXII.

Wpośród zielonej łąki, cała rzesza,
Różnobarwista, plącze się i miesza.
Tu, widać, zgraja murzyńskich tancerzy,
W piórach na głowie, w jaskrawej odzieży,
Z przywiązanymi u pasa dzwonkami,
Kręci się, brzęcząc gołemi szablami.
Tam — co najbardziej gmin wabi i cieszy,
Robinhud stoi na czele swej rzeszy [6]).
W niej Tuk braciszek, z pałką i w kapturze,
Skatelok starzec, wsparty na kosturze;

Sążnisty Skarlet i wesoły Janek,
Do ust chylący beczułkę jak dzbanek;
I tuż kochanka jego, Maryanna.
Jak kość słoniowa biała i rumiana;
A ich trębacze, stojący przy Tuku,
Wzywają strzelców do strzelania z łuku*). —
Przystąpił Duglas, wziął łuk, podniósł, zmierzył,
I pierwszą strzałą wśród celu uderzył;
Nałożył drugą, krok w miejscu ukrzepił,
Puścił, i pierwszą na dwoje rozszczepił.
„Jemu z rąk króla — tłum zgodnie wykrzyka,
„Wziąć srebrną strzałę, nagrodę łucznika!“ —
Lecz próżno Duglas, ukląkłszy w milczeniu,
Szukał współczucia w monarchy spojrzeniu;
Król obojętnie, jak strzelcu prostemu,
Dał mu nagrodę, nie patrząc ku niemu.

XXIII.

Tłum się rozstąpił — ucichły hałasy:
Wyszli szermierze i idą w zapasy.
Dwóch pozostało zwycięzców nad zgrają;
Chełpią się dumnie i lud wyzywają.

---

*) Robinhud (Robinhood), sławny łucznik i rozbójnik, za czasów Ryszarda Lwie Serce. Przedstawianie go z całą bandą było najulubieńszem widowiskiem na igrzyskach miejskich w Anglii i w Szkocyi. Wszystkie wymienione osoby znane są po dziś dzień w tych krajach z wielu bardzo pieśni i powieści gminnych, których Robinhood jest bohaterem.

Wystąpił Duglas i obu przełamał.
Hugo z Larbertu na wieki ochramał;
Nie lepsze przyszło na Jana z Aloi,
Bez tchu do domu odnieśli go swoi.
„Jemu z rąk króla — okrzyk się rozszerza,
„Wziąć złoty pierścień, nagrodę szermierza“. —
Król dając spojrzał; — lecz źrenica chłodna,
Jak w lód błękitny ścięta kropla wodna,
Serce Duglasa zmroziła aż do dna.
Duglas chciał mówić — lecz myśli chaosu
Nie mógł rozwikłać, ni znaleźć dość głosu.
Wzburzony powstał i szedł, gdzie młodzieńce,
Zebrani kołem, zakasawszy ręce,
Ciężkimi kręgi ciskają ku górze.
Gdy już z nich każdy pokazał co może:
Zbliżył się Duglas i dłońmi silnemi,
Kamień od wieków wpół wrosły do ziemi,
Wyrwał, rozwahał i cisnął pod nieba:
Kamień o staje padł dalej niż trzeba.
Dotąd w Stirlingu, w królewskich ogrodach,
Starcy, pomniący o dawnych przygodach,
Wskazują przestrzeń, zwaną: rzut Duglasów,
Skarżąc na słabość teraźniejszych czasów.

XXIV.

Po całej łące oklaski zabrzmiały,
Trzykrotnem echem odbiły je skały.
Król po raz trzeci, z twarzą niezwruszoną,
Podał zwycięzcy kiesę napełnioną.

Duglas z uśmiechem pogardy i dumy,
Powstał i złoto rozsiał między tłumy.
Dziw je ogarnął: z bliska i z daleka
Tłoczą się widzieć dziwnego człowieka.
Aż wkoło szepty powstały przychylne:
Że dłoń tak hojna i ramię tak silne,
Rodu Duglasów są cechy niemylne! —
Starcy zważali, potrząsając głowy,
Na skroniach jego szron włosa zimowy,
I szepcąc z sobą, uczyli swych synów,
Przeważnych zwycięztw i chwalebnych czynów,
Jakie za dawnych i za nowych czasów,
Kraj ich był winien rodowi Duglasów.
Niewiasty postać szlachetną chwaliły,
Choć ją i trudy i lata zgarbiły;
Młódź czcią przejęta, w myślach się zacieka
Nad siłą większą, niż siła człowieka;
A szepty o nim i szmery ciekawe
W coraz głośniejszą zmieniały się wrzawę. —
Lecz nikt ku niemu, w owem całem gronie
Panów i dworzan, co stali przy tronie,
Nie zwrócił nawet wzroku dobrej chęci;
Nikt nie przywołał wygnańca w pamięci;
Nikt — z takich nawet, co niegdyś bez braku
O służbę w jego żebrali orszaku,
I w polu bitew i za jego stołem,
Pod jego tarczą kupili się społem,
Ślady stóp jego zamiatając czołem!... —
Ale któż z łaski monarszej wygnany,
Znajdzie przyjaciół pomiędzy dworzany? —

XXV.

Król, by ożywić radość zgromadzenia,
Kazał wypuścić pięknego jelenia,
Którego w polu, dla większej dnia chwały,
Dwa ulubione charty ścigać miały,
A stąd zwierzyna, przy burgundzkiem winie,
Miały być ucztą strzeleckiej drużynie.
Lecz Lufra — niczem od Duglasa boku
Nieodwołana, nieodstępna kroku,
(Psa jej równego Szkocya nie miała)!
Zoczywszy zwierza, pomknęła jak strzała;
I psy królewskie minąwszy w pół drogi,
Wskoczyła z tyłu na łup pysznorogi,
I ostrym pyszczkiem wpoiwszy się w szyję,
Zwisła ku ziemi, i krew jego pije. —
Łowczy królewski cudzego psa zoczył,
Rozżarł się gniewem, i szybko przyskoczył,
I zaprzątnione zwaloną zdobyczą,
Szlachetne zwierzę okładać jął smyczą. —
Duglas bez gniewu znieść umiał od rana
Pogardę dworzan, i zimny wzrok pana,
I co najbardziej dumne serce boli,
Politowanie gminu w swej niedoli:
Lecz ten pies jego! kochanek rodziny,
Towarzysz łowów, stróż łoża jedyny!
Lufra! — dla której na wysmukłą szyję
Helena codzień świeży wianek wije;
Co z nią tak wzrosła, że samo wspomnienie
Lufry, już budzi pamięć o Helenie!...

Nie! Duglas tego nie zniesie widoku!
Znać, że wre gniewem, znać z twarzy i wzroku.
Jak wały morskie przed łodzią pędzone,
Ciżba się przed nim rozpierzcha na stronę;
On słyszy skowyt swej Lufry — i bieży.
Jeden policzek — już łowczy w krwi leży.
„Takiego razu — krzyknęła gromada,
„Dłoń w rękawicy żelaznej nie zada!“ —

XXVI.

Tu okrzyk powstał w królewskim orszaku,
Miecze i kije wzniosły się bez braku.
„Precz!“ krzyknął Duglas, „komu życie miłe!
„Precz podła zgrajo! — widzieliście siłę,
„Znajcie Duglasa! — Tak królu Jakóbie!
„Jam jest ów Duglas — i z krwi się mej chlubię! —
„Próżno śledzony od sług twego gniewu.
„Dziś, by nie sprawiać krwi bratniej rozlewu,
„Sam dobrowolną przynoszę ofiarę,
„Tę głowę moją — pod jaką chcesz karę,
„Ani śmiem czekać, ni błagać łask twoich,
„Prócz przebaczenia dla przyjaciół moich“. —
— „Tak mi to płacisz — król z gniewem wyrzecze,
„Moją łaskawość, zuchwały człowiecze!
„Żem niepamiętny krzywd moich tak wielu,
„Ciebie jednego, Jakóbie z Botwelu,
„Przez słabość serca, w plemieniu twem całem,
„Długo za wroga policzyć nie chciałem? —
„Lecz czyliż mniemasz, że króla oblicze
„Ścierpi bezkarnie gwałty buntownicze?

„Hej! wodzu warty! miej go w ścisłej straży!
„Niech się nikt zbliżać ku niemu nie waży! —
„Dosyć tych igrzysk!“ — bo wzmogły się huki,
I lud już zaczął porywać za łuki. —
„Dosyć tych igrzysk! i niech jazda nasza —
Dodał brwi marszcząc — „ten gmin porozprasza!“ —

XXVII.

Wnet ciżba, nieład, zgiełk, jęki i wrzawy
Zmieniły pozór wesołej zabawy.
Jeźdzcy w bok koński wciskając ostrogę
Przez tłum przebojem torować chcą drogę,
Dzieci i starców tratują kopyty.
Pierzchają tchórze, w głos krzyczą kobiety:
Śmielsi kamieńmi, maczugą, toporem,
Bronią się w miejscu, i stają oporem.
Widząc bunt jawny, Duglasa niezwłocznie
Lasem królewskie opasały włócznie.
Wiodą na zamek; — rozhukana tłuszcza,
Z tyłu i z przodu kupi się, nie puszcza.
Z boleścią ujrzał Duglas i z obawą,
Że lud za niego powstaje nad prawo,
I by oszczędzić występku i mordu,
Do wodza straży rzekł; — „Janie z Hinfordu!
„Jeżeli pomnisz, że moje to ramię
„Niegdyś rycerstwa przypięło ci znamię,
„Za ten czyn dobry, każ się zastanowić,
„Bym do zbłąkanych mógł słowo przemówić“. —

XXVIII.

„Ludu! ziomkowie! nim dla mej miłości
„Stargacie węzły praw i powinności,
„Słuchajcie! — Duglas pod rozwagę prawa,
„Sam swoje życie i cześć swą oddawa.
„Jestże to prawo w tak słabej niemocy,
„Że mu aż buntu potrzeba pomocy?
„Lub choćbym z krzywdą miał ponieść cios zgubny,
„Żaliż myślicie, że gniew samolubny
„Z miłości kraju tak wyzuł me serce,
„Iż, aby podłe ukarać oszczerce,
„Zechcę być wojny domowej powodem,
„I zerwę miłość krwi mojej z narodem? —
„O! nie! — Pomnijcie, że w ciężkiej niewoli,
„Myśl ta nie będzie osładzać mej doli:
„Że się broń, której nasz wróg niech się boi!
„Krwią własnych ziomków z mej winy napoi;
„Że śród was reszta przyjaciół mych zginie;
„Że dla mnie matka wyrzeka po synie;
„Że dla mnie, słuszną przejęte rozpaczą,
„Sieroty ojców, wdowy mężów płaczą;
„Że obywatel, widząc praw zniewagę,
„Zdeptaną wierność i tronu powagę,
„Kląć musi w duszy, jak złego przyczynę,
„Imię Duglasa i jego rodzinę! —
„Nie ludu! przestań! pozwól, bym i dalej
„Ja was mógł kochać, i wy mnie kochali!“ —

XXIX.

Rzekł, a gniew ludu, po wzdęciu złowieszczem
Skończył się łzami, jako burza deszczem.
Wkoło Duglasa otoczyli zgrają
Podnoszą oczy i ręce. wzywają
Błogosławieństwa dla szlachetnej głowy,
Co niepamiętna na śmierć i okowy,
Woli znieść krzywdę, niż szukać mścicieli.
Z krzywdą ojczyzny i obywateli! —
Starcy przed chwilą drżąc o byt spokojny,
Wielbią rozjemcę bratobójczej wojny;
Niewiasty dzieci podnosząc, zdaleka
Wskazują ze czcią wielkiego człowieka.
Co wolał raczej znieść śmierć i sromotę.
Niż jedną w kraju uczynić sierotę.
Żołnierze nawet wzruszyli się sami.
I czując oczy zachodzące łzami,
Jakby za wodza trumną ulubioną,
Szli za nim zwolna, i z bronią spuszczoną,
Aż nie bez żalu, u bramy zamkowej,
Chlubnego jeńca zdali straży nowej.

XXX.

Król wrzasków tłuszczy słuchając ze wstrętem,
Jechał w milczeniu i z sercem zawziętem,
Ni się dał prosić, by tymże znów szlakiem,
Przez miasto z swoim powracał orszakiem.
„Słyszysz? Lennoxie! — sądź, czy warte trudu,
„Władza nad ludem, i miłość u ludu?

„Słyszysz ten tryumf, ten okrzyk wesela,
„Jak sławią imię Duglasa-Botwela,
„Te same gardła, co dziś przez dzień cały,
„Darły się wrzeszcząc na króla pochwały? —
„Ogłuchłem niegdyś od takich hałasów,
„W dniu, kiedym skruszył potęgę Duglasów;
„Takiżby hałas w tym samym brzmiał tonie! —
„Gdyby dziś Duglas na moim siadł tronie! —
„Rządźże ten motłoch, ten potwór stugłowny,
„Niepewny, zmienny, dziwaczny, gwałtowny!
„Niepewny drogi, jak liść na strumieniu,
„Zmienny w uczuciach, jak obraz w marzeniu.
„Dziwaczny w chęciach, jak myśl białogłowy,
„A gwałtowniejszy, niż szał gorączkowy! —
„Litości godne jest życie i dola
„Tego, co musi wam służyć za króla!“ —

XXXI.

„Lecz patrzcie! cóż to za chyży posłaniec
„Pędzi w cwał polem pod zamkowy szaniec? —
„Goniec od wojska... ciekawym zamiaru! —
„Cóż nam donosi nasz krewny, Jan z Maru?“ —
— „Błaga cię, panie, byś podczas igrzyska
„Bezpieczną strażą otoczył się zbliska,
„Bo skryty podstęp, czy jawne szaleństwo,
„Zdają się godzić na twe bezpieczeństwo.
„Rodryk wygnaniec, wódz Alpińskiej dziczy.
„Zebrał pod bronią swój klan buntowniczy,
„Mówią, że w sprawie Duglasa-Botwela,
„Tobie się, panie, przeciwić ośmiela.

„Lord Mar z Morajem, na czele swych szyków,
„Wyszli rozproszyć zgrają buntowników,
„I wnet o bitwie przyjść musi nowina. —
„Tymczasem, wódz nasz błaga i zaklina,
„Abyś, o! królu! póki bunt się waży,
„Nie raczył nigdzie wyjeżdżać bez straży". —

XXXII.

— „Poselstwo twoje błąd mój przypomina! —
„Byłem zapomniał o klanie Alpina.
„O tymże jeszcze złe wstrzymać był w stanie! —
„Wróć, skądeś przybył; a śpiesz, co tchu stanie!
„Nie dbaj o konia, pędź! choćby padł w pędzie,
„Najlepszy z moich nagrodą ci będzie.
„Powiedz hrabiemu, by cofnął krok zbrojny,
„Że zakazujem kończenia tej wojny.
„Rodryk dziś rano w szczególnem spotkaniu
„Raniony, jeńcem jest w naszem pojmaniu;
„I Jakób Duglas, pod sąd nasz i prawa,
„Sam swą osobę i sprawę oddawa.
„Wieść straty wodzów, co gmin ośmielali,
„Rozproszy sama zebranych górali;
„A nie pragniemy, ażeby lud niski,
„Za winy wodzów czuł zemsty pociski. —
„To jest nasz rozkaz — pośpieszaj Brakonie!" —
— „Będę pośpieszał — lecz niźli to błonie
„Przelecieć zdołam, boję się, ażeby
„Tam już do krwawej nie przyszło potrzeby!" —
Rzekł; — koń z pod kopyt darń w górę wyrzucił —
Król zamyślony na zamek powrócił.

XXXIII.

Nie w smak królowi szły tego wieczoru
Pieśni minstrelów i uczta u dworu;
Wcześnie pożegnał dworaków tłum cały,
I pieśni w zamku przed nocą ustały.
Ani weselej nad miejskiemi mury
Osiadał ze mgłą mrok siny, ponury.
Mieszkańcy z igrzysk wracając tłumami,
Śpieszą do domów, lub stają przed drzwiami,
I wkoło siebie patrząc niespokojnie,
Szepcą po cichu o domowej wojnie,
O wojskach, zbliska grożących nawzajem,
Klanu Alpina, i Mara z Morajem;
O strasznych skutkach, co z tego być mogą.
I o Duglasie, skaranym zbyt srogo,
Zamkniętym w wieży, gdzie za dawnych czasów,
Miecz króla niegdyś pił już krew Duglasów!... —
Tu mowca umilkł, i jakby się trwożył
Słów swoich, palec na ustach położył,
Wszedł prędko we drzwi, lub kroku przysporzył. —
O zmierzchu jeźdźców ujrzano na błoniach,
Pędzili w zamek na spienionych koniach;
I wnet pogłoski gruchnęły śród gminu,
O bitwie zaszłej na brzegach Katrinu:
Trwała z południa do zachodu słońca,
Krwawa z obustron — niewiadomo końca.
Tak wieść niepewna głosiła po mieście.
Aż noc znużonych uśpiła nareszcie.

PIEŚŃ SZÓSTA.

WARTA.

I.

Słońce wschodząc nad miastem, przez mgły dymu [bure
Patrzy smutnie na szczyty kamiennych pałacy,
Budząc, nie z snu do życia wesołą naturę,
Lecz z ludzi z ciężkich marzeń do trosk i do pracy;
Kończąc ucztę, gdzie wrzeszczą gracze i pijacy,
Płosząc zbójcę, skąd w nocy czyhał na przechodnia;
Lub zaglądając w mędrca mieszkanie ponure,
Walczy z światłem, co blada rozrzuca pochodnia
Na bladą twarz i księgi, w których czytał do dnia.

Co za obrazy cierpień, choć różnie odmienne,
Ogląda wzrok ów słońca po mieszkaniach ludzi!
Tu konający łazarz, klnąc nocy bezsenne,
Klnie ostatni dzień życia, że go blaskiem trudzi;
Tam nędzarz mrący głodem z rozpaczą się budzi;

Tam bogacz, jeszcze nie wstał, już z nudów poziewa;
Uwiedziona dziewczyna drży na światło dzienne;
Ówdzie nad chorem dzieckiem matka łzy wylewa,
I tuląc je noc całą — tłumi żal, i śpiewa.

II.

W zamku Stirlingu, po wałach i wieży,
Brzmią szczęki broni i kroki żołnierzy,
Gdy bęben głosząc dnia hasło poranne,
Znużonej straży zapowiedział zmianę.
Przez kraty w oknach i strzelnic otwory,
Do kordygardy dzień wciskał się z góry,
Ćmiąc zżółkłe światła świec i smolnych szczepów,
Co tkwiąc po szparach zakopconych sklepów,
Lub tu i ówdzie lepione po ścianach,
Błyszczą się w dymie, jak gwiazdy w tumanach,
Wpół ukazując, wpół kryjąc w pomroku,
Dzikie postaci, skupione w natłoku,
Brodate twarze i oczy zbłąkane,
Bezsenną nocą i trunkiem pijane.
W środku dębowy stół, winem oblany,
Pobite szklanki, wywrócone dzbany.
Świadczą na jakich noc przeszła zabawach,
Jedni już chrapią po ziemi i ławach,
Ci kończą jeszcze dopijać się winem;
Ci zziębli strażą, przed wielkim kominem
Grzeją się, ręce trzymając nad żarem
Węgli, tlejących w popielisku szarem;
A z każdym ruchem dokoła się szerzy,
Albo brzęk ostróg, albo chrzęst pancerzy.

III.

Nie są to kraju własnego obrońcy,
Z ziem lennych oręż za panem noszący; [1])
Ani ich miłość lub ojcowska władza
Wodzów, pod jedną chorągiew zgromadza.
Zbiegi, przybylce z różnych świata krajów,
Różnych języków, krwi, i obyczajów,
Z wojen na wojny, z przygód na przygody,
Idą szukając śmierci, lub nagrody.
Tu Włoch, rodzinnem ogorzały słońcem,
Tu Hiszpan, z okiem jak iskra błyszczącem;
Tu Szwajcar, tęskny do gór swych ojczystych,
Oddycha wolniej w krainach górzystych;
Tu dumny Flamand, co pracy się lenił,
Pług lub rzemiosło na oręż zamienił;
Tu syn Sekwany, tu Renu mieszkaniec.
I Anglik, z własnej ojczyzny wygnaniec,
Z nędzy u wrogów przyjął służbę twardą,
Za żołd płacony, i brany z pogardą.
A wszyscy mężni, wprawieni do znojów,
Gardzący życiem, tęskniący do bojów;
W obozach hardzi, niekarni, swarliwi,
W wojnach łupieżcy okrutni i chciwi;
Dziś, na cześć igrzysk i uczty u dworu,
Wolni od służby i starszych dozoru.

IV.

Mówią o bitwie wojsk króla z Alpinem,
Ponad Achrajem i ponad Katrinem;

Twierdzą i przeczą: a każdego słowa
Dłoń zaraz mieczem dowodzić gotowa.
Ani ich wrzawy na chwilę uciszy
Wzgląd na spokojność rannych towarzyszy,
Co z tejże bitwy, oblani krwią świeżą,
W rękach lekarzy po za ścianą leżą,
A jęk ich głośny, z modłami zmięszany
Brzmi, jak wtór sprzeczny biesiady pijanej. —
Wtem wstał Jan z Brentu, kapral wielce wzięty,
Najlepszy łucznik z ponadbrzeża Trenty,
Człek nieznający co strach i sumienie:
Niegdyś ochotnik na cudze jelenie,
W obozach pierwszy do nieposłuszeństwa
Lecz niezrównanej odwagi i męstwa,
Gdy szło o trudy i niebezpieczeństwa.
Zły był, że w kości przegrywał noc całą,
I że dnia hasło grę dalszą przerwało.
Wstał więc i krzyknął: „Hej! szklanki nalewać!
„Chce mi się piosnkę wesołą zaśpiewać;
„A niech mi każdy wtóruje nie zcicha,
„Kto mój towarzysz broni i kielicha!“ —

V.

PIEŚŃ.

„Nasz klecha nam prawi koszałki, opałki,
Że Paweł czy Gaweł zakazał gorzałki;
Że pełna baryłka lub gąsior pękaty,
Pęcznieją grzechami jak szatan brzuchaty: —

Ej! fraszki! czart z flaszki za nos nas nie złowi!
Wypijmy, użyjmy! a figa mędrkowi!“

„Nasz klecha nam grozi, że ścisnąć dziewczynę,
To znaczy leźć w piekło po samą czuprynę;
Że w oczach jej siedząc djabłęta z rogami,
Zdaleka na człeka rzucają iskrami: —
Obcesem, z tym biesem, jak tylko się złowi,
Tańcujmy, całujmy! a figa mędrkowi!“

„Nasz klecha tak uczy, boć mądrą ma głowę,
By na te łakocie mieć oczy popowe;
Nas straszy od flaszy, sam djabła chrzci z beczki,
Sam dla się on pasie niewinne owieczki: —
Ej! drwijmy, użyjmy, dopókiśmy zdrowi!
Tańcujmy, całujmy! a figa mędrkowi!“ —

VI.

Głos straży zewnątrz przerwał pieśń i wrzawę.
Ku drzwiom się oczy zwróciły ciekawe;
Przemknął je żołnierz oparty na dzidzie:
„Cicho! panowie! Bertram z Gentu idzie:
„Ale mu werbel zabębnić nie wadzi,
„Bo nam dziewczynę i barda prowadzi!“ —
Wszedł Bertram, starzec poznaczony blizny,
Poważny Flamand, jeden ze starszyzny;
Z nim bard, i młoda góralska dziewica,
Pledem po oczy zakrywając lica,
Weszła, i nagle cofnęła się w kroku,
Chroniąc się zgrai spojrzeń i widoku. —

„Co słychać?“ wrzaśli. — „Wiem, żeśmy się wczora
„Od pół dnia z wrogiem tłukli do wieczora,
„Z obu stron darmo strugi krwi przelano,
„Żadna się chlubić nie może wygraną“. —
— „Po tobie nie znać, żeś darmo pracował;
„Jeńcy nie lada! — Dość jużeś wojował,
„Na starość lepsza gratka ci się zdarza:
„Jesteś sam Niemiec, masz teraz arfiarza,
„Dziewczyna widać nieszpetnie wygląda:
„Kup sobie jeszcze małpę i wielbłąda,
„Wsadź mu to wszystko na garb między juki,
„I jedź niemieckie pokazywać sztuki!“ —

VII.

— „Nie, towarzysze! ci nie są jeńcami;
„Po bitwie zaraz przyszli do nas sami.
„Mar ich wysłuchał, i wydał rozkazy
„By im nikt żadnej nie czynił obrazy;
„I mnie polecił, bym koni nie szczędził,
„I co tchu starczy wraz z nimi tu pędził. —
„Dość więc tych żartów! bo nie dam nikomu
„Czynić im żadnej ni krzywdy. ni sromu“. —
— „Ho ho!“ — Jan z Brentu ozwał się śród gwaru,
Zawsze najpierwszy do bójki lub swaru:
„Patrz go, jak groźny! — Myślisz, że kto zniesie,
„Byś nam zwierzynę strzelał w naszym lesie,
„I jeszcze mruczał, broniąc nam udziału?...
„Nie tobie, bratku, uczyć nas morału!
„Sam ja część moją wziąć umiem dla siebie,
„Mimo twych Marów, Morajów, i ciebie“. —

Z mieczem na drodze stanął Bertram z Gentu,
I Allan, drżący z obrazy i wstrętu.
Choć i niewprawny i słaby do broni,
Ujął za sztylet, i zżymał go w dłoni.
Gdy wtem Helena, co za nim się kryła,
Dała krok naprzód, i pled swój zrzuciła —
Tak zwykło nagle z mglistego chmur wianku,
Wychodzić słońce w majowym poranku, —
Dzikie żołdactwo zamilkło dokoła
Jak na cudowne zjawienie anioła;
Nawet Jan z Brentu stanął niezwruszony,
Wpół zachwycony, wpół upokorzony.

VIII.

„Żołnierze!“ rzekła — w „czasach niebezpiecznych,
„Ojciec mój niegdyś był wodzem walecznych;
„Wiódł ich do boju, do męstwa zagrzewał
„Dzielił trud z nimi, i krew swą przelewał:
„Dziś jest wygnańcem — lecz czyż od żołnierzy
„Córce się jego krzywd lękać należy?“ —
Na to Jan z Brentu, w złem czy dobrem dziele
Zawsze najskorszy, by stanąć na czele:
„Przebacz!“ — zawołał — „zbłądziłem, jak widzę.
„Żal mi słów moich, sam siebie się wstydzę,
„Córkaś wygnańca! — ach! wie, kto doświadczy,
„Jak na tym świecie gorzki chleb tułaczy! —
„Jam też wygnaniec i tułacz od młodu;
„Przyczynę tego wie knieja Nidwodu.

„I moja Rózia! — biedne moje dziecie!
„Jeżeli jeszcze żyje gdzie na świecie.
„Biedna sierota! — w twem być musi lecie...“ —
Żelazną ręką przetarł wzrok i czoło,
I dodał, groźnie spoglądając w koło:
„Hola! kamraci! ja po wodza idę,
„A tu na ziemi kładę moją dzidę;
„Kto mi się przez nią jednym krokiem ruszy,
„Ostrzem mu w piersiach domacam się duszy.
„Znacie mnie, wiecie, że na wiatr nie mówię.
„Wara od żartów! — słyszycie, panowie!“ —

IX.

Przyszedł wódz straży, udatny młodzieniec,
Tullibardinów rodu pokrewieniec;
Nie nosił jeszcze rycerskiej ostrogi;
Wesołej myśli i serca bez trwogi,
I choć grzeczności nie uchybiał w niczem,
Swobodny mową i śmiały obliczem.
Nie łatwo było znieść skromnej dziewicy
Wzrok przenikliwy badawczej źrenicy,
I uśmiech w ustach; — spłonęła rumieńcem. —
A jednak Ludwik zacnym był młodzieńcem;
Lecz twarz Heleny i postać jej cała,
Tak źle się z miejscem i strojem zgadzała,
Że mimowolnie krzywdzące domysły,
Jak w myślach jego, i w oczach zabłysły.
„Witaj!“ rzekł, „piękna! w tych twierdzach północy!
„Jeśli przybywasz szukając pomocy,

„Z sędziwym bardem, na białym dzianecie,
„Jak niegdyś błędne królewny po świecie:
„Mów, czy rycerskiej chcesz włóczni lub tarczy,
„Czy do twych usług i giermek wystarczy? —
Wzrok jej zaiskrzył — lecz westchnęła cicho:
„Ach! nie mnie teraz unosić się pychą! —
— „Śród niebezpieczeństw i wojny po drodze,
„Sierota, błagać za ojcem przychodzę,
„O wstęp do króla i o posłuchanie.
„Dziwi cię, widzę, zbyt śmiałe żądanie;
„Lecz oto pierścień, co za mną przemówi;
„Sam go monarcha dał Fitz-Jakóbowi". —

X.

Ujrzawszy pierścień, Ludwik się zapłonił,
Zmienił oblicze i czoła nakłonił,
I rzekł: „Znam pierścień, i przebacz, o! pani!
„Jeślimy prości, w obozach schowani,
„Zmyleni kształtem twej odzieży gminnej,
„Chybić w czem mogli czci tobie powinnej! —
„Skoro się pańskie otworzą podwoje,
„Niosę mu pierścień i żądanie twoje,
„Tymczasem, pani! w zamkowych pokojach
„Racz spocząć z drogi po trudach i znojach:
„Znajdziesz na rozkaz niewiasty służebne,
„Ranny posiłek, i stroje potrzebne;
„I jeśli względu spodziewać się mogę,
„Pozwolić raczysz, bym wskazał ci drogę". —
Lecz nim odeszła, z uśmiechem powabnym,
Kilka sztuk złota w woreczku jedwabnym,

Oddała, prosząc, aby jak należy
Rozdał je równo pomiędzy żołnierzy.
Przyjęli wszyscy z kornem dziękczynieniem:
Ale Jan z Brentu, z nieśmiałem spojrzeniem,
Odepchnął złoto i rękę Ludwika;
„Przebacz! rzekł, dumie wolnego Anglika,
„I ach! zapomnij o żołnierza błędzie.
„Próżny ten worek niech działem mym będzie.
„Na czapce mojej, mam kiedyś nadzieję,
„W tłumie on bitew tam nieraz powieje,
„Gdzie się niejeden hełm z piórem zachwieje!“ —
Helena z wdzięcznym uśmiechem i słowy,
Przyjęła dowód grzeczności marsowej.

XI.

Skoro odeszła za śladem Ludwika,
Allan się z prośbą zwrócił do łucznika;
„Dzięki! rzekł, za twą opiekę waleczną!
„Pani już moja jest widzę bezpieczną.
„Mężny żołnierzu! pozwól mi też żądać,
„Bym mógł dziś pana mojego oglądać!
„Jam jest bard jego: do grobu z powicia
„Przeznaczon dzielić losy jego życia.
„Dzisiąty z rodu, po ojcach bez sromu,
„Piastuję arfę w świetnym jego domu;
„A nie był żaden, coby się znieważył,
„Że dobra panów nad własne nie ważył. —
„Z życiem wraz wodza bard służbę zaczyna:
„Przy pieśniach jego usypia dziecina;

„On żądzę chwały zaszczepia w młodzieńca,
„Uczy dzieł przodków, i w ślad ich zachęca;
„W pokoju, w wojnie, nierozdzielny z mężem,
„Sławi go pieśnią, i wspiera orężem;
„I nie opuści, aż w szczerej żałobie,
„Pieśń mu ostatnią zanuci na grobie.
„Dziś pan mój w więzach; przychodzę mu służyć.
„To prawo moje; — pozwól mi go użyć!“ —
— „Mało my wiemy, rzekł Brent, w naszym kraju,
„O naszych przodkach i ich obyczaju,
„Ani pojmujem, jak imię, czcze brzmienie,
„Trzyma w poddaństwie całe pokolenie.
„Lecz i mój zwierzchnik — błogosław mu Boże!
„Lord z Bodesertu, nie był złym — i może,
„Gdybym to umiał czuć w młodszych mych czasach,
„I zamiast sarny płoszyć mu po lasach,
„Szedł raczej z pługiem za wołem oraczem:
„Latbym mych nędznie nie styrał tułaczem! —
„Pójdź dobry starcze! nie prosisz daremno.
„Obaczysz wodza swojego; — pódź ze mną!“ —

XII.

Rzekł, i ze ściany zdjął pęk zardzewiały
Kluczów, co u drzwi na haku wisiały;
Zatlił pochodnię, i sam idąc przodem,
Wiódł starca ciasnym i krętym przechodem.
Szli mimo okien z żelaznemi sęki,
Skąd słychać w głębi jęk kajdan i brzęki;
Przez ciemne lochy i ponure sale,
Gdzie tu i owdzie rzucone niedbale

Leżą i wiszą, rdzą krwawą okryte,
Katnie topory i miecze zużyte,
I różne sprośnej tortury narzędzia,
Na których wzmiankę blednie kat, i sędzia;
Dzieła rąk mistrzów, co przez wstyd sumienia
Sami im nadać nie śmieli imienia. —
Stanęli wreszcie u nisko sklepionych
Drzwi, na wrzeciądze i rygle zamkniony ch;
Brent w ręce barda pochodnię swą złożył,
Dobrał klucz, zgiął się, i zamek otworzył.
Weszli do środka: — było to więzienie,
Posępne ściany i mroczne sklepienie,
Nie loch jednakże: bo dzień do komnaty
Z okien u góry wciskał się przez kraty.
I na podłodze kobierzec rozpięty,
I starożytne obicia i sprzęty,
Świadczą, że wpośród tych murów obwodu,
Jest miejsce więźniów wysokiego rodu.
„Zostań tu śmiało! nikt cię nie pośledzi —
Rzekł Brent, — „aż lekarz znowu go odwiedzi.
„Sam król, jak słychać, przykazał surowie
„Jaknajtroskliwiej dbać o jego zdrowie“. —
Spojrzał ku łożu, potrząsł smutnie głową,
I wyszedł; — rygle skrzypnęły na nowo.
Zbudzon ich brzękiem ze snu, czy z dumania,
Chory pół ciałem podniósł się z posłania;
Zdziwiony Allan, w twarzy niewolnika
Poznał — nie pana swego, lecz Rodryka!
Bo przybyłego z gór pytać o panu,
Wzięto za barda Alpińskiego klanu.

XIII.

Jak wielki okręt, co burzą strzaskany
Walczyć już więcej nie będzie z bałwany,
I na mieliźnie piaszczystych wybrzeży
Od swych żeglarzy opuszczony leży:
Na niskiem łożu, leżał Rodryk śmiały.
Pierś i ramiona konwulsyjnie drgały,
Jak boki nawy, gdy szumiąc dokoła
Fala nią wstrząsa, lecz ruszyć nie zdoła. —
Gdzież dziś jej lotne bujanie po morzach!
Gdzie szybkość jego po polach i wzgórzach! —
Skoro go poznał — wzrok topiąc w Allanie:
„Cóż o twej pani?“ — rzekł — „co o mym klanie?—
„O mojej matce? — Duglasie? — mów śmiało!
„Czy i ich moje nieszczęście spotkało? —
„Ach, tak! przyjść tutaj nie mógłbyś inaczej! —
„Lecz mów! mów! — podłej nie bój się rozpaczy“. —
(Bo Allan znając zapał jego gniewny,
Wahał się, milczeć czy mówić niepewny).
„Starcze! mów prędko! — chcę, żądam koniecznie“.—
„Kto walczył mężnie? kto dotrwał statecznie?
„Kto pierzchnął? — mogli! bez wodza, bezemnie! —
„Mów! kto legł z chwałą? kto żyje nikczemnie?“ —
— „O! bądź spokojny!“ rzekł bard „bądź spokojny!
„Helena żyje daleko od wojny“. —
— „Dzięki ci za to!“ — „Duglas w dobrym stanie,
„Matka twa zdrowa; — co zaś o twym klanie:
„Nigdy pieśń bardów, ni bitwy tak śmiałej,
„Ani świetniejszej nie głosiła chwały.

„Wiele gałęzi ubyło twej sośnie,
„Lecz nie upadła i wysoko rośnie!“ —

XIV.

Z dumnym uśmiechem wódz podniósł swą głowę,
Ogniem błysnęły oczy gorączkowe,
Choć sina bladość i twarz wycieńczoną,
Bliskiej już śmierci nosiły znamiona.
„Starcze! pamiętam, śpiewałeś mi nieraz,
„Tam... na tej wyspie zielonej... gdzie teraz...
„Gdzie nigdy więcej bardów moich pienia
„Nie będzie słuchał wódz z mego plemienia! —
„Pomnisz tę nutę — hymn chwały Alpinów, [2])
„Pieśń o pogromie Dermidowych synów?
„Graj ją! a razem wojennym jej tonem
„Nuć mi bój klanu mojego z Saxonem!
„Będę cię słuchał, aż słuch mój usłyszy
„Miły szczęk mieczów, głos mych towarzyszy;
„Aż przed mem okiem te kraty, te mury,
„W wolne, rodzinne zamienią się góry,
„A duch mój wtedy, swobodny i śmiały,
„Uleci w górę, jakby z pola chwały!“ —
Nie mógł się oprzeć minstrel rozrzewniony.
Długo wprzód, długo trącał zcicha struny;
Ale wnet pamięć widoku, na który
Sam okiem wieszcza spoglądał był z góry,
I to, co słyszał w Saxonów obozie,
O bitwie, w ciasnym zakrytej wąwozie:
Zatliły duszę natchnieniem płomiennem,
I myśl uniosły nad polem wojennem.

Tak łódź na rzekę puszczona od brzegu,
Odpływa zwolna, i chwieje się w biegu,
Lecz niech ją porwie prąd wody — wnet śmiała,
Przestaje chwiać się, i leci jak strzała.

XV.

Pieśń barda.

BITWA[3]).

„Raz ostatni przed rozstaniem,
Na Benwenu szczyt ponury
Wstąpił minstrel, i dumaniem
Kraj rodzinny żegnał z góry.
Gdzież on znajdzie w cudzym kraju,
Takie wody jak Achraju!
Takie góry nad wodami,
Takie niebo nad górami!...

„Żadnym listkiem wiatr nie wiewa,
Żadnej fali nie muśnie;
Ptaszek w lesie nie zaśpiewa,
Rybka w wodzie nie pluśnie;
Sęp pod skrzydło głowę chowa,
Jeleń w gęstwę ucieka:
Taka straszna, krwisto-płowa,
Chmura dżdżysta, piorunowa,
Od Benledi nawleka. —

„Słyszę, słyszę! huczy w górach,
Jak wezbranych szum potoków:

Czy to echo gromu w chmurach,
Czy od zbrojnych ziemia kroków? —
Widzę, widzę! mgłę prześwieca,
Wężem błysło po tle fali:
Czy krzyżowa błyskawica,
Czy słoneczny blask od stali? —
Patrz, patrz! wioną z głębi jaru
Herb Morajа, sztandar Maru!
I za niemi, wzdłuż po brzegu,
Stąpa szereg po szeregu. —
Rycerz chciwy igrzysk zbrojnych,
Bard wojennym tchnąc zapałem,
Dałby dziesięć lat spokojnych,
Za ten widok, co ja miałem!

XVI.

„Zbrojna w łuki strzelców rota,
Straż i czata, przodem bieży:
Środkiem sunie krok piechota,
Las to włóczni, mur puklerzy!
Z pod piór hełmów stal migota,
Gdzie straż tylną jazda dzierży:
A na czele Mar z Morajem
Jadą obok nad Aehrajem.

„Cicho, głucho między niemi,
Ni zabębnią, ni zagrają:
Z chrzęstu zbroi, z huku ziemi,
Słyszysz tylko, że stąpają.

Niema wiatru zachwiać piórem,
Rozdąć sztandar, co w dół płynie;
Ledwo chyba nad jeziorem
Liść gdzie zadrży na osinie. —
Pusto! — nigdzie żywej duszy!...
Próżne szpiegi, czaty marne!
Nic się nie mknie, nic nie ruszy.
Prócz, gdzie w krzakach spłoszą sarnę.
I szeregi, jako wały,
Co skał jeszcze nie spotkały.
Idą równe, groźne, czarne.

„Już minęli brzeg Achraju,
Na równinę wyszli z gaju,
Przed Trosachu ciasne wrota.
Znać się boją zdrad górali —
Obaj wodze rozkaz dali,
Staje jazda i piechota.
Mar z Morajem szlą łuczniki,
By przejrzeli wąwóz dziki.

XVII.

„Nagle powstał wrzask tak srogi
Gniewu, zemsty, groźby, trwogi,
Jakby całe piekło wrzasło
Na powszechnej wojny hasło.
I w przestrachu, wstecz z Trosachu,
Jak dym wiatrem popędzony,
Tłum łuczników, już bez szyków,
Wypadł, pierzcha w różne strony:

„W pomoc! w pomoc!“ — ciżba, wrzawa,
Jęki, szczęki, bitwa krwawa.
Tuż, tuż wali, tłum górali —
Chmura pledów, błyski stali:
„Śmierć Saxonom! sromota!“
Biegną, walczą, pomieszani
Ścigający i ścigani,
Gdzie kto może, śmierć miota. —
Tej ucieczce, tej pogoni,
Czyż się oprze, czy obroni
Jak mur wryta piechota? —
— „Wróg czy swoi, w tył!“ — Mar woła.
„Włócznie na sztych, w dół!“ —
Jak przed wichrem puszcza goła,
Jak na polu kłosów czoła,
Las się włóczni zgiął.
Chrzęszczą zbroje, szyk się zwęża,
Tarcz do tarczy, mąż do męża,
Jak z żelaza mur.
„Na tych włóczniach“ — dumnie krzyczą,
„Dzicz góralów buntowniczą
„Wtłoczym do ich gór!“

XVIII.

„Rot łuczników błahe szczęty
Prąc przed sobą — jako wzdęty
Wał po przedzie miece piany —
Pędzi Alpin niewstrzymany.
Za nim, nad nim, jakby chmura,
Wzdęte pledy, czarne pióra,

Mieczów, tarczy blask;
I jak w burzy morskie wały,
Wpadł na wroga, jak na skały —
Ciżba, łoskot, wrzask! —
Jęczą drzewca, jako w boru
Suche sosny od toporu;
Huczą zbroje, jakby razem
W sto kowadeł grzmiał żelazem;
Alpin wygra bój! —
Lecz ach! widzę chmurę pyłu —
Moraj jazdę ruszył z tyłu:
„Naprzód sztandar mój!
„Naprzód! woła, naprzód śmiało!“ —
Zabrzęczało, zatętniało,
Jeźdzcy lecą wskok;
Z dwóch stron razem, za rozkazem,
Z kopiami i żelazem,
Wpadli w pieszych tłok.
Jak jelenie wprost przez krzaki,
Wcwał tratują ich rumaki:
Widać tylko pył;
Miecz tnie z góry, spisa kole —
Próżno, próżno stawić pole!
Alpin pierzcha wtył.
Ale jeszcze, jeszcze w szyku —
„Gdzieżeś, gdzieżeś, o! Rodryku!“
Krzyczą dzieci twe:
„Twój głos chyba, twoje ramię,
„Wstrzyma popłoch, wroga złamie; —
„Gdzież jest Rodryk, gdzie?“ —

Do Trosachu tłum się wali:
Włócznie, pióra, błyski stali,
Widać z pyłu chmur;
Jezdni, piesi, pomieszani,
Ścigający i ścigani,
Prą się w paszczę gór.
Jak w Braklinu otchłań mglistą,
Niezgłębioną, przepaścistą,
Wściekłej wody szum:
Jak w podziemny wir bałwany:
W wąwóz ciasny, niedojrzany,
Zapadł wrzask i tłum.
A na polu, jak po burzy,
Widać tylko mgłę rozwianą;
Nikt nie został — prócz tych, którzy
Już na wieki nie powstaną.

XIX.

„Coraz dalej echem grozy,
Coraz ciszej brzmią wąwozy: —
Nuże! bardzie, przyśpiesz kroków!
Pójdź oglądać grę wyroków,
Gdzie się Trosach drugą stroną
W wód Katrinu patrzy łono,
I na wyspę ich zieloną! —

„Szczyt Benwenu'm wstecz przebieżał,
U stóp moich Katrin leżał.

„Słońce zgasło, chmury wstały —
Pełzną, dymią, po skał wierzchu;
Pod ich cieniem brzeg i wały
Leżą sine, jak o zmierzchu.
Wiatr to nagle świśnie w borze,
To zakręci po jeziorze,
To znów cisza; i jak wprzódy,
Milczą chmury, brzeg i wody. —

„Ja nie baczę chmur ni burzy,
Sroższą burzę Trosach wróży,
Słyszę tylko huk ponury,
Jakby z posad wstrząsał góry.
Nad wąwozu ciasną szyją,
Huczą wrzaski, jęki wyją,
I zmieszane grzmią ku niebu,
Jak dzwon trwogi i pogrzebu.

„Coraz bliżej, coraz bliżej,
Grzmi szczęk mieczów, trzask paiży —
Cóż to? nagle ustały! —
Słyszę tylko okrzyk mściwy:
Trzeszczą łuki, brzmią cięciwy —
Zaświstało — to strzały!
Czekam, patrzę — wtem z parowu
Wybiegają, pędzą znowu:
Lecz nie razem w natłoku.
Bo górale w pledach, w piórach,
Po urwistych pną się górach,
Szyk ściskają w obłoku;

A u dołu, nad jeziorem,
Saxon gęstym włóczni borem
Zaćmił brzegi potoku.

„Obie strony, z gniewną pychą
Grożąc wzajem, stoją cicho,
Jedna drugiej znać strzegą.
Każdy sztandar rozpostarty,
Jak śród burzy żagiel zdarty;
Nieład w szykach, luźne konie,
Ścięte włócznie, krwawe bronie,
Świadczą dzieło dnia tego.

XX.

„Ruch w Saxonach: — krąg gromadzą,
Wodze w środku — znać że radzą;
Po jeziorze wzrok prowadzą.
Moraj wyszedł, wznosi włócznię,
Wskazał wyspę i niezwłocznie
Gniewem zdjęty mówić pocznie:
„Patrzcie! wyspy nikt nie broni:
„Tam się plemię zbójców chroni,
„Tam swe skarby mają oni!
„Kiesę złota daję temu,
„Pławaczowi odważnemu,
„Co przebrnąwszy wpław przez wodę,
„Z czółnem wróci po nagrodę.
„Tem uskromim bunt tej dziczy:
„Wilk nam u stóp zaskowyczy,
„Po swych dzieciach, po zdobyczy!“ —

Młody łucznik wskok wybiega.
Zrzucił odzież, i wprost z brzega
W wodę nurka dał.

Gall i Saxon zamiar baczy:
Głos tryumfu, krzyk rozpaczy.
Wzniósł się z głębi skał.

Płacz niewieści i jęk w dali.
Poklask zbrojnych rąk po fali.
Na powietrzu wrzask górali,
Jednem echem brzmiał.

Jakby hasła czekał w chmurze,
Piorun błysnął, zagrzmiał w górze.
Wiatr zaświstał: — Katrin cały
Wre i kipi, jak śnieg biały.

Dla pławacza szczęściem fala.
Wziąć go na cel nie dozwala;
Bo wraz z deszczem Gallów strzały.
Jak deszcz gęsto, wkrąg padały.

Próżno, próżno! on uchodzi!
Wprost ku wyspie, wbrew powodzi
Już dopłynął — sięga łodzi.

Wtem błysnęło; — błyskawica
Cały wyspy brzeg oświeca.
I ujrzałem — w porcie stała
Dunkragana wdowa śmiała,
W prawej ręce stal błyszczała.

Pociemniało; — wtem zdaleka
Usłyszałem jęk człowieka.
Błysło znowu; — trup Saxona
Pływa z falą, a matrona
Stoi nad nim, krwią zbroczona.

XXI.

„Zemsta! zemsta!“ Saxon wrzasnął,
Gall z tryumfem w ręce klasnął.
I z obu stron krzyk „do broni!“
I z obu stron miecz już w dłoni.
Zemsty chciwe, na krew skore —
Nic im burza! — w dół i w górę
Biegną, lecą... — Wtem ujrzałem,
Jeździec zdala pędzi cwałem;
W mgle od konia, jakby w chmurze,
Biały sztandar trzyma w górze;
Dwóch trębaczów posłał wprzódy,
Trąbią rozejm, hasło zgody;
Goniec w króla imieniu:
Każe wstrzymać bój śmiertelny,
Bo już Duglas, Rodryk dzielny,
Są u króla w więzieniu.“ —

Tu zmilkły nagle i śpiew, i strun dźwięki,
I arfa z barda wymknęła się ręki. —
Często on patrzał, w ciągu swej powieści,
Na twarz Rodryka, jak znosił jej treści.
Z razu wódz, słysząc wojska pochód zbrojny,
Wzniósł dłoń, i zlekka znaczył takt spokojny.

Ruch ten wnet ustał; — lecz gwałtowne czucie,
Przy każdej w twarzy zmieniało się nucie.
W końcu znać było, że w uchu stępionem
Pieśń nie wyraźnym brzmi już tylko tonem.
Wtem twarz zadrgała — ścisnęły się palce,
Jakby w rozpacznej z boleściami walce;
Ścięły się usta; obumarłe oko
W słup nieruchome stanęło wysoko;
I w tej postaci, bez mąk, bez jęczenia,
Rodryk ostatnie wyzionął westchnienia! —
Z drżeniem Allana cześć przejęła głucha,
Jakby czuł przejście potężnego ducha;
Ale wnet, patrząc na śmiertelne zwłoki,
Tak w smutnej pieśni wydał żal głęboki:

XXII.

PIEŚŃ.

„Takżeś skończył, zgasł poranu,
Słońce chwały Bredalbanu!
Gromie wrogów, tarczo klanu!
W więzach u nieprzyjaciela? —
Lecz tyś kochał pieśń minstrela,
Tyś przytulił ród Botwela —
Cześć twa w pieśni żyć zaczyna:
Bard, ojczyzna i rodzina
Nie zapomną dzieł Alpina.

„Co za boleść w rodzie Gallów,
Co rozpaczy, łez i żalów,

Co za wściekłość twych wassalów,
Zabrzmią w górach twego rodu! —
Legł bohater w pół zawodu,
Dzień nie dotrwał do zachodu! —
Gdzież dom taki, gdzie rodzina,
Coby nie dał ojca, syna,
By mógł ożyć wódz Alpina?

„Smutny, smutny kres twej doli!
Szpak choć w klatce, życie woli,
Lecz dla orła — śmierć w niewoli.
Duchu wielki! usłysz z góry
Pieśń, dziś głuchą między mury,
Pieśń samotną — lecz przy której,
Ta, coś kochał, mąk przyczyna,
Łzy lać będzie twa jedyna,
Słysząc cześć i śmierć Alpina!“

XXIII.

Tymczasem w trwodze o najdroższe głowy,
Helena w izbie czekała zamkowéj,
Gdzie blask słoneczny, tęczą barw zmieszanych,
Wpadał przez szyby okien malowanych.
Lecz próżno igrał z pozłocistym szczytem,
Z drogim marmurem i ścian aksamitem:
Próżno naczyniem złotem nie leniwa
Służba, stół przed nią do uczty nakrywa:
Przepych komnaty, bogactwo zastawy,
Ściągnęły ledwo jeden wzrok ciekawy;

A i ten tylko w duszy zasmuconej
Obudził pamięć tej wyspy zielonej,
Tych dni szczęśliwych, gdy nieraz w poranku,
W myśliwskiej sali, lub na wonnym ganku,
Luby jej ojciec, do skromnego stołu
Z gościem Malkolmem zasiadał pospołu;
Gdy wierna Lufra, z niepokojem w oku,
Strzegła zawistnie miejsca przy jej boku,
A Duglas w męzkich smakując rozmowach,
Wiódł rzecz z Malkolmem o wojnach i łowach:
Choć nieraz w ciągu odpowiedź wspak dana,
Zdradzała inny cel myśli młodziana.
Ci, co tych prostych rozkoszy doznali,
Czują ich wartość, gdy je czas oddali! —
Wtem, patrz! podniosła w dół zwieszone skronie.
Wzrok gore ogniem, twarz rumieńcem płonie;
Wstrzymała oddech, nastawuje ucha,
Ku oknu zwolna zbliża się, i słucha! —
Czyjeż to głosy, czyjej pieśni echo,
Tak ją snać nagłą natchnęły pociechą? —
Z małej wieżyczki, z jej okien widomej,
Z za krat u okna, nucił głos znajomy.

XXIV.

Pieśń uwięzionego myśliwca.

„Smutny mój sokół skrzydłami bije,
Chart mój zamknięty skomli i wyje,
Koń się mój zżyma i rży przy żłobie,
I pan ich w więzach tęskni sam w sobie.

Kiedyż znów, kiedy, w dzikich dąbrowach
Będziem jelenie ścigać na łowach,
Na rączym koniu, z sercem wesołem,
Z swobodną myślą, z psem i sokołem!

„O! jak tu smutno liczyć czas życia
Na pogrzebowe zegarów bicia,
Albo go mierzyć, patrząc na mury,
Jak kirem po nich cień pełza bury! —
W polu skowronek głosił mi zorzę,
Hasło wieczoru gil świstał w borze:
O! piękne lasy! o! czyste pola!
Tu choć król mieszka — dla mnie niewola!

„Kiedyż znów, kiedy, ujrzę blask świtu
Z oczu Heleny, z niebios błękitu?
Kiedyż znów, kiedy, wracając z boru,
Odetchnę wolno wonią wieczoru,
I witający, i powitany,
U nóg jej złożę łup pozyskany,
I znów jak niegdyś, wzrok jej dobroci —
Kiedyż, ach! kiedy, szczęście mi wróci?“

XXV.

Ledwo śpiew przebrzmiał ostatniemi słowy,
Słuchaczka jeszcze nie podniosła głowy,
Nie oschły jeszcze łzy lśniące w jej oku,
Gdy usłyszała szmer blizkiego kroku —
Jakób Fitz-Jakób stanął przy jej boku.

„O! witaj!“ — rzekła, śpiesząc się z rozmową,
Nimby głos więźnia ozwał się nanowo:
„Czemże ci zdołam, w mej doli sierocéj,
„Zawdzięczyć łaskę tak bratniej pomocy?“ —
— „O! nie mów tego! — tyś mi nic nie winna.
„Los twój, niestety! ma w mocy dłoń inna.
„Ja ci do króla wskazać tylko drogę,
„I do próśb twoich przyczynić się mogę.
„Nie jest on tyran — choć może gniew skory
„Nieraz krzywdzące rzucił nań pozory.
„Śpieszmy, Heleno! — to właśnie godzina,
„Gdy król swych dworzan przyjmować zaczyna“.
Drżąca z bojaźni, na poły w omdleniu,
Jakby na brata wsparła się ramieniu.
On dodał męztwa, on otarł łez ślady,
I wiódł przez ganki i mroczne arkady,
Aż na znak jego, złociste podwoje
Królewskie przed nim otwarły pokoje.

XXVI.

Wszystko tam wewnątrz jasne, okazałe,
Bogate stroje, postacie wspaniałe!
Cały ten obraz lśniącego natłoku,
Razem w Heleny wydawał się oku,
Jak zwał obłoków nad zachodniem słońcem,
Połyskujących barw jego tysiącem,
W których złudzony wzrok łatwo dostrzeże
Strojne niewiasty i zbrojne rycerze. —
Drżąc, nieodstępna od Jakóba boku,
Nieśmiało naprzód pomykała kroku,

I wznosząc zwolna zapłonione czoło,
Lękliwym wzrokiem rzuciła wokoło,
Szukając tego pomiędzy natłokiem,
Czyja chęć prawem, a słowo wyrokiem! —
Widziała wielu, z postaci, z pozoru,
Godnych być panem królewskiego dworu;
Widziała wielu strój i przepych drogi...
I wtem struchlała z podziwu i z trwogi:
Bo wszyscy stali z nagiemi głowami,
Jeden Fitz-Jakób miał czapkę z piórami!
Na niego wszystkich oczy obrócone,
Ku niemu wszystkich czoła nakłonione;
Śród blasku złota i drogich kamieni,
On sam stał w prostej myśliwskiej zieleni,
Stał w środku, dworzan otoczon półkolem —
Jakób Fitz-Jakób był Szkocyi królem![4])

XXVII.

Jak wianek śniegu, gdy słońce zabłyśnie,
Zsuwa się z skały, na której zawiśnie,
Biedna Helena, struchlała i zbladła,
U stóp monarchy na kolana padła.
Nie mogła mówić — głos zamarł w jej łonie.
Podniosła pierścień, uderzyła w dłonie... —
O! ani chwili monarcha łaskawy
Nie zniósł jej trwogi i kornej postawy!
Podniósł uprzejmie — i zmarszczeniem czoła
Powściągnął uśmiech obecnego koła,
I na jej głowę kładąc obie dłonie,
Z powagą ojca ucałował skronie,

I rzekł: „Tak, piękna! gość twój z obcem mianem,
„Jest królem twoim i Szkocyi panem.
„Do niego zanoś twe prośby i chęci,
„Król chce odkupić pierścień swej pieczęci.
„Nie proś za ojcem; — od wczorajszej chwili,
„On i król jego wiele przebaczyli:
„On poniósł krzywdę z potwarców przyczyny,
„Jam krzywd doświadczył od jego rodziny.
„Wzgardziłem tłumu niesfornymi wrzaski,
„Gdy się śmiał gwałtem domagać dlań łaski;
„Lecz sam, z pomocą rady mojej wiernéj,
„Z walecznym De-Vaux i lordem z Glenkerny,
„Spokojnie całej wysłuchawszy sprawy,
„Znieśliśmy wyrok śmierci i niesławy;
„I znów w osobie Duglasa-Botwela,
„Tron ma podporę, a król przyjaciela.
„Co? jeszcześ smutna? łzy twe widzę znowu?
„Śmiesz-li nie wierzyć królewskiemu słowu?
„Lordzie Duglasie! wystąp, i za karę,
„Świadectwem swojem zawstydź jej niewiarę!“

XXVIII.

Ukryty Duglas wystąpił z śród grona,
I córka w jego upadła ramiona.
Król patrząc na nich rozrzewnionem okiem,
Poił się władzy najsłodszym urokiem,
Gdy może głosem pociechy anioła
Rzec smutnej cnocie: „Wstań, i bądź wesoła!“
Lecz nie zniósł długo, by obce źrenice
Śledziły świętych uczuć tajemnice:

„Dość, rzekł, Duglasie! czas twe szczęście skrócić!
„Bierzesz mi serce, com ja chciał nawrócić.
„Do mnie należy wyjaśnić rzecz całą,
„Jak nam tę Niebo pociechę zesłało. —
„Tak, wiedz Heleno! gdy przebrany chodzę
„Po życia niższej, lecz szczęśliwszej drodze,
„Przybieram zwykle znajome ci miano:
„Snowdunem Stirling w dawnych czasach zwano,
„A dotąd jeszcze w normandzkiej mnie mowie
„Anglik Jakóbem Fitz-Jakóbem zowie.
„Tym ja sposobem, kosztem mego trudu,
„Czuwam nad prawem i słucham skarg ludu“. —
Potem z uśmiechem szepnął jej do ucha:
„Ty wiesz, zdrajczyni! jak płocha otucha,
„Jak możne czary i cel sercu miły
„W góry mię wasze raz drugi zwabiły;
„Ale pamiętaj! że co bądź król winien,
„Nikt nigdy o tem wiedzieć nie powinien“. —
I znowu głośno rzekł: „Nie myśl o dziękach!
„Talizman łaski masz dotąd w swych rękach.
„Mów, żadna wielka nie zda mi się cena.
„Czego od króla chce piękna Helena?“.

XXIX.

Zgadła dziewica, że król z nią żartował,
I że jej serca słabości próbował;
Lecz wraz z tą myślą, nie postrzegła sama,
Jak przyszła pewność o losy Grahama.

A sądząc raczej, że król gniewem płonie
Przeciwko temu, co buntowne dłonie
Wzniósł przeciw prawu, w jej ojca obronie:
Prosiła, idąc za głosem natchnienia,
Życia Rodryka i win przebaczenia.
— „Próżna twa prośba! sam chyba król-króli
„Konającego z rąk śmierci wyzwoli.
„Znam jego serce, znam moc jego dłoni,
„Doznałem jego gościny i broni:
„Najlepsze hrabstwo państw moichbym łożył,
„By bohaterski wódz Alpinów ożył! —
„Lecz niktże inny, wart twojej przyjaźni,
„O los swój w tobie nie wzbudza bojaźni?“ —
Nie śmiąc wznieść oczu, spłoniła się cała,
I ojcu pierścień królewski oddała,
Jakby żądając, aby on wymienił
Tajemny powód, co twarz jej rumienił. —
„Tak? — więc mój zakład moc swoją utraca,
„I sprawiedliwość do praw swoich wraca!
„Malkolmie! wystąp!“ — i wnet u stóp pana,
Posłuszny Graham uchylił kolana.
„Nikt się za tobą przyczynić nie raczył,
„Sądź sam, czyś godzien, bym ja ci przebaczył?
„Ty, coś przez nasze wychowan staranie,
„Czarną nam zdradą wypłacił się za nie,
„I w pośród wiernych Grahamu mieszkańców,
„Śmiał szukać miejsca dla rodu wygnańców?...
„Nie! — słusznej zemsty dosięgnie cię ramię! —
„Więzów i stróża trzeba ci, Grahamie!“

Rzekł, i z swej szyi, kunsztownej roboty
Na pierś Malkolma rzucił łańcuch złoty,
Zacisnął klamrę, i przy ogniw brzęku,
Z uśmiechem pełnym dobroci i wdzięku,
Podał Helenie, i złożył w jej ręku.

Arfo północna, żegnaj! — mrok osiadł w dolinach,
I purpurowe szczyty gór ciemność odziewa;
Gwiazdy w chmurach, świetliki błyszczą po gęstwi-
[nach,
Zwierz ukrył się w łożysku, i ptactwo nie śpiewa,
Zawieszam cię, skąd wziąłem, na gałęzi drzewa:
Brzmij znów, jak brzmiałaś, z wiatrem nad cichym
[strumieniem!
Niech się z hymnem natury słodki głos twój zlewa:
Z dalekim szumem lasów i wód, i z kwileniem
Nocnej fletni pasterza, i pszczoły brzęczeniem.

Żegnaj raz jeszcze, arfo wieszczów i minstreli!
Raz jeszcze przebacz słabe ręki mej władanie!
Nie trwoży mię sąd świata; ni zdziwi, jeżeli
Lekka pieśń w lekkiej wadze u sędziów zostanie.
Dość miałem, gdym w rozpacznym duszy mojej
[stanie,
Ból niewyjawny światu słodził twymi dźwięki;
Gdy po bezsennych nocach natrętne świtanie
Przymus tylko i nowe zwiastowało męki!...
Żem to zniósł, czarodziejko! jednej tobie dzięki!

Lecz słyszysz! — ledwom odszedł, w ciszy uro-
[czystej
Jakiż duch niewidomy budzi strun twych brzmienie?
To raz jakby w nie skrzydłem bił Seraf ognisty,
To jakby na nie wiało płoche Sylfa tchnienie!... —
Dźwięk rozchodzi się, płynie — echo i milczenie
Chwytają naprzemiany błędne tony wieszcze.
Ucichły — i już tylko jak przedtem, strumienie
Szumią z gór, i po drzewach cichy wiatr sze-
[leszcze. —
Arfo czarownych pieśni! żegnaj mi raz jeszcze!

PRZYPISY AUTORA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 7. Pędził na dziki szczyt gór Uam-waru.

Góra w hrabstwie Mentheith. Nazwisko jej znaczące: Wielką Pieczarę, pochodzi od dzikiej groty, między skałami, będącej niegdyś, jak niesie podanie, schronieniem olbrzyma.

2. Str. 9. Z gniazda świętego Huberta ogary.

Psy te pospolicie są czarne; niezbyt lekkie w biegu, ale wytrwałe i obdarzone najostrzejszym węchem. Nazwisko ich pochodzi stąd, iż gniazdo ich pielęgnowali opaci świętego Huberta, na pamiątkę tegoż świętego, który równie jak święty Eustachy, był lubownikiem i jest patronem myśliwstwa.

3. Str. 10. Lecz gdy z wniesionem nad głową ramieniem
Przypuścił konia, by starć się z jeleniem.

Gdy już psy osadziły były jelenia, natenczas sam naczelnik łowów, pieszo lub konno, uderzał na niego i kordelasem zadawał mu cios śmiertelny; niekiedy obecnym damom ustępował tego zaszczytu. — W pewnych jednakże porach roku, była to rzecz bardzo niebezpieczna; gdyż rana od rogów jelenich uważaną była za gorszą niż od kłów dzika.

4. Str. 17. Lecz wiem, że w dzikich tych górach i kniejach
Nie brak na zbójcach i śmiałych złodziejach.

Górale w dawnych czasach nie mieli za występek, lecz owszem za dzieło chwalebne, napadać i pustoszyć ziemie nieprzyjaznych pokoleń. Zwyczaj ten w okolicach jeziora Katrinu utrzymywał się dłużej niż gdzieindziej, dla różnych okoliczności miejscowych.

5. Str. 23. Bard białowłosy, któremu widzenia
Zwiastują przyszłość i blizkie zdarzenia.

Wiara w zmysł, czyli władzę drugiego widzenia, była i jest dotąd pospolitą w Szkocyi. Jest to coś na kształt ducha prorockiego; pewny gatunek magnetycznego jasnowidzenia na jawie. Osoby posiadające tę własność, widzą, jakby przed oczyma, przedmioty niewidzialne nikomu, albo wypadki mające się zdarzyć w przyszłości. Widzenia te czynią tak mocne wrażenie na wieszczach, którym się objawiają, że ci w tej chwili nic więcej wkoło siebie nie widzą, i żadną inną myślą oderwać się nie dadzą. Są zaś weseli lub smutni, podług przedmiotu, jaki się im przedstawia.

Za zjawieniem się widziadła, oczy wieszcza stają w słup, powieki się podnoszą; a to tak dalece, że kiedy stan ten przeminie, potrzeba użyć niekiedy pomocy palców, aby je znowu nasunąć na oczy.

Jeśli wieszcz postrzeże kogo otoczonego całunem, jest to pewna wróżba śmierci dla tej osoby. Jeśli widzi kobietę po lewej stronie mężczyzny, jest to przepowiednią ich małżeńskiego związku. Jeśli dwie lub trzy kobiety ukażą się po lewej stronie tegoż samego mężczyzny, ten, pomimo wszelkich obecnych okoliczności, zaślubi je jedną po drugiej, itd. (Martin: „Opisanie Szkocyi“).

6. Str. 24. Tam pod ich cieniem, ktoś, znać niespodzianie,
Na prędce wiejskie zbudował mieszkanie.

Wodzowie górali, których życie na tysiączne niebezpieczeństwa wystawionem było, mieli zwykle w najskryt-

szym zakącie posiadłości swoich jakieś pewne schronienie, dom, wyspę, zamek lub groty, gdzieby przed niebezpieczeństwem ujść mogli.

7. Str. 27. Z wzrostem Ferraga albo Askabarta.

Dwaj olbrzymi, synowie Anaka, sławni w romansach rycerskich.

8. Str. 28. Ani śmiąc badać imienia lub rodu.

Górale ściśli niezmiernie w przestrzeganiu obowiązków gościnności, nie śmieli pytać gościa o jego imię lub familię, dopóki wprzód nie przyjął jakiego posiłku. Nieprzyjaźnie familijne tak między nimi zagęszczone były, że przeciwne prawidło nierazby musiało pozbawić gościa uprzejmego przyjęcia.

9. Str. 29. Rzekła, wtem arfa w niewidomej ręce
Zabrzmiała wtórząc góralskiej piosence.

Górale lubią powszechnie muzykę; a mianowicie arfy i kobzy.

PIEŚŃ DRUGA.

1. Str. 35. Ożywczy wpływ poranku natchnął pierś Minstrela

Wodzowie góralów, aż do ostatnich czasów, mieli każdy na usługach swych barda, który się liczył w poczet domowników. Bard musi znać doskonale dzieje i genealogię wszystkich familii mieszkańców gór, a mianowicie własnego pokolenia: niekiedy był nauczycielem młodego wodza i sławił w pieśniach swoich dzieła swych panów i klanu.

2. Str. 39. Śpiewaj, o! mistrzu! cześć rodu Grahamów.

Familia Grahamów, jedna z najznakomitszych familii góralskich, posiadała znaczne majętności w hrabstwach Dum-

bartonu i Stirlingu; i mało jest imion szkockich, któreby miały większą w swym kraju sławę historyczną.

3. Str. 40. Arfa ta, niegdyś świętego Modama.

Św. Modam, równie jak święty Dustan, miał sławę wielkiego muzyka i proroka za życia. Arfa jego, jak świadczą legendy, podzielała prorocką własność swego mistrza, i w różnych razach brzmiąc sama przez się, przepowiadała przyszłość, a mianowicie śmierć właściciela swojego.

4. Str. 41. Przedtem nim Duglas śród nieszczęść pogromu,
Tułacz, ujść musiał z przodków swoich domu.

Rodzina Duglasów zawsze wielka i potężna w Szkocyi, za małoletności króla Jakóba V, doszła była do najwyższego stopnia potęgi. Hr. August Duglas, pojął za żonę matkę małoletniego monarchy, wdowę po Jakóbie IV, królu Szkocyi, a wsparty prawami ojczyma i osobistem znaczeniem, przywłaszczył sobie opiekę nad młodym dziedzicem korony, trzymając go w niej jak w niewoli. Nawet gdy ten już do pełnoletności był doszedł, Duglas w jego imieniu rządził całem królestwem. Przeciwnicy Duglasa czynili wiele otwartych kroków, aby uwolnić króla z pod nienawistnej przewagi; lecz te wszystkie były daremne; zwycięstwo zawsze sprzyjało męstwu i stronnikom Duglasa. Nakoniec, sam król, omyliwszy czujność opiekuna, uszedł w nocy z własnego pałacu, i schronił się do zamku Stirlingu gdzie go nieprzyjazny Duglasowi rządca przyjął z radością. Król zwołał natychmiast do siebie przedniejszych parów państwa, zawistnych zdawna potęgi domu Duglasów. Zapozwano Duglasów i ich stronników do stawienia się przed sądem, czego gdy dopełnić nie chcieli, uważani za nieposłusznych, zaocznym wyrokiem królewskim na wygnanie skazani i za nieprzyjaciół ojczyzny ogłoszeni zostali.

5. Str. 44. Zabił rycerza w progach Holyrodu.

Holyrood nazwisko pałacu królewskiego w Edynburgu. Zabójstwo, o jakie tu Rodryk jest oskarżony, nie

było rzadkiem na dworze szkockim, gdzie obecność monarchy nie była zawsze dostatecznym hamulcem do poskromienia dumy i porywczości, potężnych a dzikich baronów.

6. Str. 44. Gdy jak zwierz dziki od knici do knici,
Ojciec twój błądził bez wsparcia nadziei.

Położenie rodziny Duglasów po wygnaniu, nie jest bynajmniej przesadzone w tych i w następnych wierszach. Nienawiść, którą król Jakób powziął dla całego ich domu, tak była wielką i tak powszechnie znaną, że nikt bez narażenia się na zemstę królewską, nie śmiał im dać przytułku.

7. Str. 46. Ale gwałtowny, jak fala Braklinu.

Jest to jeden z najpiękniejszych wodospadów szkockich, w hrabstwie Mentheith; spada z wysokości 50 stóp z wielką gwałtownością i łoskotem.

8. Str. 47. Wypadłszy z pochwy, gdy on stał u progu,
Czyż nie dość ostrzegł o bliskim nas wrogu?

Dawni wojownicy, których największa nadzieja polegała na mieczu, umieli wyciągać zeń rozmaite wróżby; zwłaszcza z takich, które, jak czytamy w owoczesnych romansach, były ukute przez czarnoksiężników, lub przez nich zaczarowane. — Przytaczamy tu w tym względzie osobliwsze zdarzenie, wyjęte z kronik niemieckich.

Młodzieniec jeden, ze znakomitego domu w Niemczech, zabłąkawszy się wieczorem na przedmieściu stołecznego miasta swego kraju, skrył się przed burzą do najbliższego domu. Gospodarz, który mu drzwi otworzył, był człowiek wysokiego wzrostu, groźnej i ponurej twarzy, w odrażającym nieczystością stroju. Na ścianach w izbie wisiały miecze, topory, i rozmaite narzędzia do tortury znać należące. W chwili gdy młodzieniec wstąpił na próg, jeden z tych mieczów wypadł z brzękiem z pochwy na podłogę. Na ten widok gospodarz domu z tak nadzwyczajną uwagą i dzikim wyrazem twarzy zaczął się wpatrywać w przybyłca,

iż ten nie mógł się wstrzymać od zapytania go nawzajem o jego imię, rzemiosło, i coby miał oznaczać wzrok tak osobliwy? „Jestem, odpowiedział gospodarz, katem tego miasta; przypadek zaś ten, coś widział, jest niewatpliwą przepowiednią, iż kiedyś, pełniąc moją powinność, zetnę ci głowę tym samym mieczem, który teraz wypadł z tej pochwy.“

Młodzieniec opuścił co rychlej złowrogie schronienie; lecz w kilka lat później, wmięszawszy się do pewnego rozruchu, został skazany na śmierć, i ścięty przez tegoż kata i tymże samym mieczem.

9. Str. 49. Dźwięk się Pibrochu po skałach rozlega.

Pibroch, jest to rodzaj symfonii wojennej, właściwy tylko góralom i mieszkańcom wysp szkockich. Gra się tylko na kobzach, i różni się od wszelkiej innej muzyki. Znawcy umieją w nim rozróżniać naśladowcze dźwięki marszu, natarcia, odwrotu, i wszystkich wypadków bitwy.

10. Str. 51. Rodryk Vich Alpin Dhu! hoho, hoho, hoho!

Oprócz imienia i nazwiska, każdy naczelnik klanu miał jeszcze jakiś przydomek, wyrażający patryarchalną godność jego jako wodza klanu, wspólny mu z poprzednikami i następcami jego na tę dostojność; jak np. imię Farao, służyło wszystkim królom egipskim, imię Cezar, wszystkim cesarzom rzymskim.

Przydomki wodzów góralskich pochodziły zwykle albo od imienia jakiego wielkiego przodka, albo od sławnego w familii wypadku, albo od herbu. Lecz oprócz tego familijnego przydomku, wspólnego wszystkim wodzom jednego klanu, każdy miał jeszcze nadane sobie przezwisko od osobistych swoich przymiotów; ten zwał się czarnym lub białym, od koloru włosów lub stroju; ten chudym, tłustym, etc. Wiersz w tekście, który autor bez tłómaczenia na angielskie, w języku gallickim umieścił, i który też dla tego, bez zmiany zachowałem, znaczy:

Rodryk Czarny, potomek Alpina.

Wyraz *Vich* czyta się *Vicz*. Miara pieśni, wiernie zachowana w przekładzie, ma naśladować nutę pieśni łodziowych górali, zastosowanych w takcie do ruchu i uderzenia wioseł.

11. Str. 52. Loch-Lomond krwią spłynął w popłochu.

Hrabstwo Lennox, a zwłaszcza okolice jeziora Lomond, wystawione były najczęściej na napady i łupieże górali. Sławna jest w dziejach szkockich bitwa stoczona pod Glen Fruin w 1602 r. między klanem Mac-Gregor, a rodem Colguhounów. Ostatni zostali zwyciężeni; lecz zwycięzcy nie przestając na tem, wszystkich prawie mieszkańców płci męzkiej, osiadłych na ziemiach nieprzyjaciół, nie przepuszczając nawet dzieciom, w pień wycięli. Okrucieństwo to ściągnęło okropne klęski nie tylko na tych, którzy się go dopuścili, lecz na cały klan Mac-Gregorów. Wdowy pomordowanych stronników familii Colguhounów, w liczbie 60, udały się na skargę do króla, przemieszkującego naówczas w twierdzy Stirlingu. Jechały wszystkie na białych koniach, same ubrane w żałobie; niosąc zawieszone na pikach skrwawione koszule swych mężów. Jakób VI, król ówczesny, tak był wzruszony tym widokiem i sprawiedliwym ich żalem, iż poprzysiągł nieubłaganą zemstę całemu rodowi Mac-Gregorów. Jakoż zebrawszy wojsko, nie tylko ich kraj cały ogniem i mieczem spustoszył; lecz na mieszkańców z psami jak na dzikie zwierzęta polował, i pojmanych bez litości mordować kazał. Imię nawet Mac-Gregorów potępione i z rzędu klanów wymazane zostało.

12. Str. 59. Zwiedzionych zdradą klanów nadgranicznych.

W r. 1529 Jakób V. wskutek postanowienia zgromadzonej w Edynburgu rady państwa, przedsięwziął surowe środki dla poskromienia nadgranicznych klanów, których napaści i łupieże męczyły zdawna spokojność publiczną,

zwłaszcza podczas małoletności królewskiej. W tym celu zebrał obóz z 10,000 wojska, złożonego z przedniejszej szlachty, mającej rozkaz brać z sobą psy i sokoły, aby król podczas wyprawy mógł się zabawiać łowami. W tym orszaku przebiegał on okolice lasów Etryckich, każąc wieszać i ścinać przedniejszych wodzów rozbójniczych klanów, którzy nie spodziewając się bynajmniej takiej surowości monarchy, wychodzili na przeciw niemu na czele swego myśliwstwa, lub zapraszając go na uczty, sami przed nim otwierali swe zamki. Surowość królewska tak przeraziła pozostałych przy życiu wodzów, że przez długie lata potem, jak mówiło przysłowie, same krzaki pilnowały owiec królewskich, których 10,000 utrzymywano na paszy w puszczy Etryckiej.

12. Str. 62. Hymn mój weselny po krajn Saxonów.

Górale wywodzący swój początek od dawnych pokoleń Gallickich, dotąd sami siebie nazywają Gallami *(Gael)*, mieszkańców zaś reszty Szkocyi Saxonami mianują.

13. Str. 67. — trefione te włosy,
Szkoda, by miały zwilgotnieć od rosy.

Zarzut zniewieściałości jest najdotkliwszym dla szkockiego górala:

„Jednej nocy, gdy sędziwy Evan Cameron z Lochielu, spoczywał na śniegu z towarzyszami swoimi, ujrzał, że jeden z wnuków jego, chcąc leżeć wygodniej, podłożył pod głowę zamiast poduszki walec zlepionego śniegu. Cóż to ja widzę — zawołał obruszony starzec, wytrącając mu śnieg z pod głowy: „takżeś to już zniewieściał, że ci potrzeba poduszki?“

„Do pływania tak są przyzwyczajeni od dzieciństwa jak wyżły; gotowi przebywać wpław najbystrzejsze i najszersze rzeki i to o każdej porze roku.“ (Listy o Szkocyi).

14. Str. 67. — wszedł sługa popleczny.

Był to rodzaj adjutanta albo sekretarza przy osobie wodza. Obowiązkiem jego było, być zawsze przy boku pana; stać za krzesłem jago u stołu i spełniać szybko wszystkie rozkazy.

PIEŚŃ TRZECIA.

1. Str. 72. A krzyż ognisty krążył jak meteor wojny.

Gdy wódz górali chciał zwołać klan swój w razie niebezpieczeństwa, zabijał kozła, i zrobiwszy krzyż z cisowego zazwyczaj drzewa, opalał końce jego w ogniu, i gasił je potem we krwi zabitego zwierza. Krzyż taki zwał się „Krzyżem ognistym," albo też „Krzyżem hańby" (Crean Tarigh); albowiem nieposłuszeństwo wezwaniu, które ten krzyż oznaczał, ściągało największą hańbę Powierzano go wiernemu i szybkiemu w biegu gońcowi, który biegł z nim bez wytchnienia do najbliższej wioski, i oddawał go drugiemu wymieniwszy tylko miejsce zebrania. Tym sposobem znak ten ogłaszający wojnę, obiegał okolice z niepojętą szybkością. — Na widok ognistego krzyża, każdy mieszkaniec klanu, zdolny do noszenia broni, od szesnastu do sześćdziesięciu lat wieku, obowiązany był stawić się zbrojno na wskazane miejsce zebrania. Niestający, ulegał karze żelaza i ognia, którą figurycznie wyrażał krzyż, opalony ogniem, i zbroczony we krwi.

2. Str. 74. Dziwne są wieści o rodzie Briana.

Całe następujące w tekście opowiadanie, nie jest wymysłem autora, lecz wzięte jest z gminnego podania w Szkocyi.

3. Str. 75. Ni zdjął z jej czoła przepaski dziewiczej.

Przepaska, albo wstążka, zwana po szkocku Snood, którą dziewczęta szkockie zwykły nosić na czole, była zarazem godłem panieństwa.

4. Str. 77. Tam syn widziadła, sam wierząc w swe czary
Wywołał z pustyń ich duchy i mary.

Cała ta strofa odnosi się do miejscowych podań i przesądów górali szkockich.

5. Str. 78. Jęk strażniczego ducha w ich plemieniu.

Każda ze znakomitszych rodzin góralskich, przypisywała sobie, iż ma opiekuńczego, a raczej domowego ducha, który do niej tylko przywiązany, jej się dobrem szczególnie zajmował, lub żałosnym swym płaczem i jękiem ostrzegał ją o grożącem nieszczęściu.

6. Str. 79. Wzięte z drzew, które na Inch-Kaliachu.

Inch-Kaliach (Incz-Kaliach), co znaczy wyspa mniszek, albo starych kobiet, jedna z najpiękniejszych na jeziorze Loch-Lomond. Kościół należący niegdyś do klasztoru, leży w gruzach; ale otaczający go cmentarz, nie przestaje być używanym dotąd, i zawiera familijne groby naczelników sąsiednich klanów.

7. Str. 83. — — — — — — — po skałach i darni.
Niech jako sarna mknie obów twój sarni.

Obuwie górali szkockich jest często ze skóry dzikich zwierząt, niewyprawnej i włosami obróconej na wierzch; z porobionymi tu i ówdzie otworami, aby przez nie woda wpływać i odpływać mogła.

8. Str. 89. Góra Benledi ujrzała znak trwogi.

Ktoby chciał bliżej poznać kraj, który krzyż ognisty przez Rodryka wysłany obiega, niech raczy rzucić okiem

na kartę geograficzną Szkocyi. Mianowicie na hrabstwo Perthshire, gdzie się właśnie scena poematu odbywa.

9. Str. 94. Nie tak Baldwirze, wzdłuż zeschłych twych jarów,
Szerzy się płomień pastusznych pożarów.

W Szkocyi wypalają zwykle zeschłe trawy i wrzosy na pastwiskach, aby na ich miejsce świeża porosła murawa. Ma to, zwłaszcza w nocy, pozór wulkanicznego wybuchu.

10. Str. 95. Innej przysięgi, prócz wodza imienia.

Religijne uszanowanie, jakie klany góralskie miały i mają dla swych wodzów, przysięgę na imię lub ramię wodza czyniło najuroczystszą i której nikt bez hańby złamać nie śmiał.

11. Str. 96. Głośny jest wąwóz Kojr-nan-uriskinu.

Wąwóz ten, a raczej jaskinia, której wierny opis znajduje się w tekście, położona jest wśród skał góry Benwenu, i należy zdaniem autora do najdzikszych, lecz razem najromantyczniejszych widoków szkockich.

PIEŚŃ CZWARTA.

1. Str. 105. — — — — — Brian wśród tych jarów,
Rozpoczął obrzęd nowych wróżb i czarów
Tagerm. —

Górale szkoccy, równie jak wszystkie ludy wpółdzikie, mieli różne sposoby zgadywania przyszłości. Jednym z najznaczniejszych był tak zwany Tagerm, wzmiankowany w tekście. Obwijano człowieka w surową skórę nowo zabitego wołu, i kładziono w tem spowiciu nad spadem wody, na dnie przepaści, lub w jakiemkolwiekbądź innem dzi-

kiem, samotnem i niezwyczajnem miejscu, gdzie go sam okoliczny widok grozą i przestrachem napełniał. W takiem położeniu ów człowiek, musiał rozważać w myśli zadane sobie pytanie, a wszelkie wrażenia, które na nim rozogniona wyobraźnia sprawiła, uchodziły za tajemnicze natchnienia duchów przebywających w tem miejscu, i stawały się przepowiedniami przyszłości, w których góral ślepą wiarę pokładał.

2. Str. 106. Ach! znałem dobrze to szlachetne zwierzę.

Autor, którego głównym celem w niniejszym poemacie było malowanie okolic, zwyczajów i obyczajów górali szkockich, powiada, że całe to miejsce jest wyjęte prawie dosłownie z ust prostego górala, który z nim często „o dawnych dobrych czasach“ rozprawiał.

3. Str. 107. Lub czarnym krukiem, co patrząc jak szczwacze
Płatają w lesie sarny lub rogacze,
Czeka swej części, i ważąc się kracze?

Wszystkie obrządki myśliwskie odbywały się dawniej z wielką uroczystością; lecz najuroczystszem było płatanie i podział zwierzyny. Leśnicy i dojeżdżacze mieli przeznaczoną sobie pewną część mięsa, stosownie do gatunku zwierzyny; psom oddawano wnętrzności, i aby podział jak najogólniejszym uczynić, część ich zawieszano na drzewach dla ptaków.

4. Str. 108. Strona co pierwsza krew wroga przeleje,
Zwycięstwa w boju mieć może nadzieję.

Przesąd ten, w tekście za wyrocznię Tagermu podany, był powszechnym między góralami, tak dalece, że nieraz przed bitwą zabijano bezbronnych jeńców, lub wieśniaków ze strony przeciwnej, by sobie przez to dobrą wróżbę zapewnić.

5. Str. 113. Ballada. Alika.

Osobliwsza ta powieść, równie w treści jak stylu, jest naśladowaniem dawnej ballady duńskiej. Osnowa jej opiera się na tamecznem mniemaniu gminnem, o kraju czarodziejstw, wspólnem góralom szkockim i wszystkim innym narodom w wiekach średnich.

6. Str. 115. Usłyszał śpiewanie, usłyszał rąbanie
Król czarów, co mieszkał śród góry etc.

Mytologia ludów północno-germańskich obfituje w rozmaite, jedne od drugich dziwaczniejsze podania, o różnego rodzaju duchach, zamieszkujących zaczarowane kraje w głębi ziemi leżące. Podania te, podług mniemania uczonych, pochodzą z czasów Druidów. Wszystkie te duchy, pod różnemi coraz imionami: karłów gnomów, sylfów, wróżek, rusałek etc., w całej Europie znajome, chociaż nie zupełnie złośliwe z natury, były jednakże bardzo obraźliwe i w gniewie skore do zemsty. Szczególniej zaś przestrzegały praw swoich, względem ulubionej sobie zielonej barwy, którą zwykle nosili, i względem zwierzyny, którą za wyłączną własność swą uważali.

7. Str. 115. Wszak byłeś ochrzczonem dziecięciem.

Duchy, składające królestwo czarów, zazdrościły najbardziej ludziom przywilejów przez chrzest nabytych i przeto chrześcijanie dostający się niekiedy pod ich władzę, doznawali od nich szczególniejszych względów. Jeden z podobnych więźniów, w starej balladzie szkockiej tak opisuje swój stopień w orszaku wróżek. „Jadę zawsze najpierwszy, na koniu białym jak mleko, ustępują mi tego zaszczytu, bom był chrześcijańskim rycerzem.“

8. Str. 117. I wszystko tam w koło lśni zda się wesoło.
Lecz blask to jest martwy i zwodny.

Najgłówniejszą cechą królestwa czarów być miało, że cała jego piękność i okazałość, polegała na pozornem złudzeniu oka.

9. Str. 117. Gdym leżał wpół żywy, król czarów straszliwy.
Porwał mię do krajów zaklętych.

Poddani królestwa czarów byli to ludzie śmiertelni, porwani gwałtem, lub uwiedzeni przez duchów. Dawne szkockie i duńskie ballady pełne są podobnych powieści. Nikt jednak nie mógł być porwany gwałtem, jeśli się nie dopuścił wprzód jakiego grzechu, dającego nad nim władzę złym duchom.

PIEŚŃ PIĄTA.

1. Str. 141. Póty Gall, dziedzic niw, łąk i krainy,
Iść będzie z mieczem po krwawe daniny.

Górale szkoccy, z podań znający dobrze historyę, nie mogą zapomnieć, że kiedyś cała Szkocya była dziedzictwem ich celtyckich przodków; i stąd wszystkie łupieże popełniane przez nich w krajach niższych (Lowlands), uważają tylko za godziwe odzyskanie swojej własności. Krwawe napaści na ziemie spokojnych sąsiadów, pożar wsi i rabunek, nie tylko w ich mniemaniu nie ściągały hańby, lecz owszem każdy młody wódz klanu, od nich zwykle zaczynał swój zawód.

2. Str. 146. — — Podmywa twierdz owych posadę,
Gdzie Rzym swe niegdyś orły świato-władc
Zatrzymał w locie...

Strumień wypływający z jeziora Wannachar przerzyna obszerną bagnistą płaszczyznę, zwaną *Bochastle*. Wzdłuż tej płaszczyzny, a zwłaszcza na małych wzgórkach, znać jeszcze tu i ówdzie, ślady owego sławnego muru, którym niegdyś Rzymianie odgrodzili się od Piktów, którzy schroniwszy się przed nimi w góry, stamtąd bezprzestannie napadali kraj przez nich podbity.

3. Str. 149. Zapóźno Rodryk błąd poczuł w potrzebie,
Że tarcz warowną odrzucił od siebie.

Puklerz okrągły, obity podwójną skórą i opatrzony blachą żelazną, lub też gęsto nabijany gwoździami był całą bronią odporną góralów, i służył im do odbijania bagnetów w bitwach z wojskiem regularnem. Klajmorów, albo mieczów używali dopiero wtenczas, gdy nieprzyjaciel zmieszał się i ustępować zaczynał.

4. Str. 155. Miecz króla niegdyś pił krew mego rodu.

Jakób II., król szkocki, zabił własną ręką Wiliama hrabiego Duglasa, jednego z najpotężniejszych w swoim czasie panów szkockich, wezwawszy go wprzód na przyjacielską rozmowę, w celu załatwienia trwających między nimi sporów. — Wzgórze wspomnione w tekście, niedaleko od miasta, było zwykłem miejscem egzekucyi, gdzie najznakomitszych przestępców politycznych tracono.

5. Str. 156. Miasto dla króla wyprawia igrzyska.

Każde prawie miasto w Szkocyi, a mianowicie znaczczniejsze, miało swoje uroczyste igrzyska. Rozdawano na nich nagrody najcelniejszym łucznikom, najsilniejszym szermierzom, i najzręczniejszym w innych gimnastycznych ćwiczeniach. Jakób V. szczególniejszym był lubownikiem tego rodzaju widowisk; co się przyczyniło zapewne do nadania mu tytułu króla gminu, *Rex plebeiorum,* jak ówcześni historycy po łacinie mianują.

6. Str. 157. Robinhud stoi na czele swej rzeszy.

Robin-Hood (Robinhud) sławny rozbójnik w wieku XII., za panowania Ryszarda Lwie serce, znany jest zapewne większej części czytelników naszych z romansu Waltera Skotta „Iwanhoe.“ — Dramatyczne przedstawienia jego bandy, były najulubieńszem widowiskiem na igrzyskach gminnych.

PIEŚŃ SZÓSTA.

1. Str. 171. Nie są to kraju własnego obrońcy,
Z ziem lennych oręż za panem noszący.

Wojsko szkockie składało się głównie ze szlachty i z lenników możnych baronów, trzymających od nich ziemie pod warunkiem służby wojennej. Władza patryarchalna naczelników klanów, w górach i na pograniczu, była innej natury i różniła się od zasad feudalnych. Opierała się ona na władzy ojcowskiej *(patria potestas)*, sprawowanej przez wodza, który był uważany za wyobraziciela i zastępcę pierwszego ojca całego pokolenia. Jakób V. zaprowadził pierwszy w wojsku szkockiem hufce najemnych żołnierzy, powszechnie naówczas używane w Europie i z nich utworzył przyboczną straż swoją.

2. Str. 182. Pomnisz tę nutę — hymn chwały Alpinów.

Bywały osoby tak mocno przywiązane do niektórych pieśni, że żądały je słyszeć na łożu śmiertelnem. Najciekawszy w tym względzie przykład jest pewnej damy dworu francuskiego, nazwiskiem de Limeuil. Ta czując zbliżającą się godzinę śmierci, przyzwała sługę swojego, dobrze grającego na skrzypcach. „Weź skrzypce, Julianie, rzekła, i graj mi dopóki nie skonam, Porażkę Szwajcarów (tytuł pieśni); a gdy przyjdziesz do słów: „wszystko stracone,“ powtarzaj je po kilka razy, i to najtkliwiej i jak możesz najlepiej.“ — Sługa uczynił co chciała; grał, a ona mu jeszcze dopomagała głosem. Gdy przyszło do słów: „wszystko stracone,“ powtórzyła je sama dwa razy, i obracając się na drugą stronę, rzekła do otaczających ją przyjaciółek: „Teraz wszystko stracone! Bywajcie zdrowe;“ i to wymawiając umarła. Brantome.

Piosnka, którą ta dama tak namiętnie lubiła, ułożoną była na porażkę Szwajcarów pod Marignan; każda jej strofa

kończy się następującemi słowami, naśladującemi mowę gminną Szwajcarów, złożoną z dwóch pomieszanych języków: francuzkiego i niemieckiego.

Tout est verlore,
La tintelore,
Tout est verlore, bi Got.

3. Str. 183. Pieśń Barda. Bitwa.

Bitwa, która się za czasów Cromwella w wąwozie Trosachu stoczyła, sławna jest męstwem bohaterki, nazwiskiem Helena Stuart, która właśnie spełniła czyn, który tu autor wdowie Dunkana przyznaje.

4. Str. 198. Jakób Fitz-Jakób był Szkocyi królem.

Odkrycie to przypomni zapewne czytelnikom piękną powieść arabską, *Il Bondocani*. Z tem wszystkiem zdarzenie to nie jest wzięte z Tysiąca Nocy i jednej, lecz z historycznego podania o królu Jakóbie V. Monarcha ten, pełen najlepszych chęci i troskliwości o szczęście poddanych, skutkiem wybujałej imaginacyi, miał wiele romantycznych dziwactw i lubił mianowicie wszelkie awanturnicze przygody. — Chcąc widzieć własnemi oczyma czy sprawiedliwość w kraju ściśle wymierzaną była, lecz też nieraz i z mniej chwalebnego powodu miłostek, miał zwyczaj pod rozmaitem przebraniem obiegać kraj; przez co się po razy kilka na niebezpieczeństwo życia wystawił. Kroniki i poezya szkocka wiele o tem ciekawych zachowały powieści.

PIEŚŃ
OSTATNIEGO MINSTRELA

POEMAT

WALTERA SKOTTA

W SZEŚCIU PIEŚNIACH.

PRZEDMOWA AUTORA.

Głównym celem niniejszego poematu, jest malowanie zwyczajów i obyczajów, panujących niegdyś na pograniczu między Anglią i Szkocyą. Dzieje mieszkańców tych okolic, prowadzących życie wpół pasterskie, wpół wojenne, i obok ustawicznych niezgód, napaści i wzajemnych łupieży, szanujących i zachowujących święcie ustawy i obrzędy rycerstwa: przedstawiają mnóstwo wypadków, godnych być przedmiotem poezyi. Przecież zamiarem autora jest raczej opisanie miejsc i obyczajów, niż ciąg i układ opowiedzianej powieści; uznał przeto za stosowne do swojego celu, przybrać dla swego dzieła formę dawnych poetycznych romansów, jako dozwalającą większej w tym względzie swobody, niżby to z godnością epicznego poematu pogodzić się dało. Forma ta ma jeszcze i tę dogodność, iż nie przeciwi się bynajmniej różnym przemianom miar wiersza, z czego autor często korzystał*).

*) Właściwość tę tłómacz starał się też zachować w przekładzie.

Wprowadzona też dziwność, oparta na podaniach gminnych, mogłaby zdawać się dziecinną w poemacie, nie mającym cech dawnej ballady lub poetycznego romansu.

Z tych to względów autor kładzie swą powieść w usta dawnego minstrela, ostatniego z tej klasy ludzi, którzy przeżywszy, jak się przypuszcza, rewolucyą, która obaliła tron Stuartów, mógł już korzystać cokolwiek z wydoskonalenia poezyi nowożytnej, nie tracąc całkiem prostoty pierwiastkowych swych wzorów. Sama rzecz powieści dzieje się około połowy XVI-go wieku, gdy wszystkie prawie działające osoby rzeczywiście kwitnęły. Akcya zajmuje trzy dni i trzy nocy.

WSTĘP.

Wiatr był północny, droga daleka.
Minstrel był stary, słaby, kaleka:
Poważne lice, włos jego biały,
Widać, że lepsze dni kiedyś znały:
Arfę, jedyną jego osłodę,
Dźwigało za nim pachołę młode.
Był to ostatni z szkockich minstreli,
Co ze czcią niegdyś w kraju słynęli,
I głosząc dzieła praojców sławnych,
Uczyli młodych iść w ślady dawnych.
Lecz się, niestety, wszystko zmieniło!
Współbracia jego śpią pod mogiłą;
On, biedny tutacz w ojczystej ziemi,
Chciałby już tylko odpocząć z niemi.
Bo cóż po życiu, gdy wszystkie jego
Młode uroki serce odbiegą?
Nie jemu teraz na rączym koniu,
Jak ptak swobodnie hasać po błoniu!

Nie jemu teraz, ach! już nie jemu,
Pożądanemu, szanowanemu,
W zamkach, na ucztach, śród grona gości,
Śpiewać cześć męstwa, urok miłości,
I w sercach mężów budząc wzruszenie,
Z oczu piękności czerpać natchnienie!
W Szkocyi już teraz wszystko inaczej:
Ani tych biesiad, ni tych słuchaczy!
Z starymi ludźmi zniknęły wszędy
Stare zwyczaje, stare obrzędy;
Przychodzień, z ciężkiem berłem w prawicy,
Na Stuartowej zasiadł stolicy;
Mroczny fanatyzm, grożąc pochodnią,
Pieśń i wesołość mieni być zbrodnią.
Wzgardzony śpiewak, płonąc od sromu,
Musi iść żebrać z domu do domu,
I dla motłochu arfę swą stroić.
Którejby dźwiękiem król się mógł poić.
Szedł, gdzie śród cienia dębu i świerku
Wznoszą się błyszcząc wieże Newerku.
Bard zwrócił ku nim posępne oko,
Wspomniał swą przeszłość, westchnął głęboko;
Spojrzał dokoła — lecz nigdzie innej
Nie było niższej strzechy gościnnej.
Drżącym więc krokiem, przez most zwodowy,
Szedł ku podwojom bramy zamkowej,
Której żelazne rygle i brony
Odbiły nieraz szturm rozpędzony,
Lecz w której zawsze stojąc na straży,
Duch gościnności witał nędzarzy.

Księżna przez okno starca ujrzała*);
Włos jego biały, postać nieśmiała,
Wzbudziły litość; — rzekła paziowi,
By go z czcią spotkać wyszli domowi.
Bo choć tak można, z krwią królów bliska,
Znała i ona losu igrzyska,
Gdy kochająca, w lat swych zaraniu,
Z dziką rozpaczą, przy rusztowaniu
Lubego męża, próżno na wroga
Wzywała pomsty ludzi i Boga.
Gdy zmordowane wędrowca siły
Skromnym posiłkiem nieco ożyły,
A widok chętnej, dworskiej względności
Wzbudził w nim pamięć lepszej przeszłości:
Z dawna doznanem czuciem wesela,
Zapłonął w duszy ogień minstrela.
Zaczął więc prawić o przodkach księżny,
Co był za rycerz dziad jej potężny**),
Jak gromił wrogów, jak w kraju słynął;
Jak, świeć mu Panie! ojciec jej zginął.
Dodał, że jeszcze z dawniejszych dziejów
Wie różne czyny wielkich Buklejów;
I gdyby księżna, przez wzgląd na treści,
Chciała posłuchać starca powieści,
Choć dłoń mu skrzepła, choć głos oniemiał,
On — i dla czegóż wyznaćby nie miał? —

---

*) Anna, córka Franciszka Skotta, Lorda Buccleugh, a wdowa po księciu Jakóbie Monmouth, ściętym w r. 1685.

**) Walter Skott, Lord Buccleugh, sławny wojownik.

On czuje w sobie dość jeszcze ducha,
By śpiew zanucić godny jej ucha.
Chętnie spełniono skromne żądania.
Paź go do księżny zawiódł mieszkania.
Lecz skoro wstąpił w gmach jej wspaniały
Gdzie z nią jej dworskie damy siedziały,
Możeby raczej wolał odmowę:
Tak uczuł w sobie wzruszenie nowe,
Tak mu się nagle w myślach zmąciło
Wszystko co teraz, co dawniej było;
Że gdy sam w sobie upokorzony,
Chciał dobyć z arfy dawne jej tony,
Uczuł, że palce moc swą straciły,
Które nadaje wiara w swe siły.
Księżna odgadła co się w nim działo,
A więc, nie rażąc zbytnią pochwałą,
W słowach jednakże miłych dla ucha,
Dodała serca, zagrzała ducha,
Aż struny, w które trącał powoli,
Zabrzmiały wszystkie w ton jego woli.
Wtedy rad z siebie, ozwał się śmielej,
Że pomni powieść dawnych minstreli,
Której już w życiu swem poniżonem
Nie miał nadziei śpiewać przed zgonem,
Bo nie dla gminu pieśń ta złożona,
Lecz dla dam wielkich, dla panów grona;
Sam ją przed królem śpiewał za młodu,
Na jednej z świetnych uczt Holyrodu;
Pieśń tę powtórzyć chciałby w tej dobie,
Nutę jej tylko przypomni sobie.

I zwolna ręką wodząc po strónach,
Coraz to w innych przebiera tonach;
I w czole widać walkę z pamięcią,
Którem raz po raz wstrząsał z niechęcią.
Aż gdy raz wzbudził znajome brzmienia,
Twarz zajaśniała blaskiem natchnienia,
Duch w oku starca zaiskrzył młody,
Dziwny rumieniec oblał jagody,
I harmonijny, choć w miarach zmienny,
Rozległ się odgłos pieśni wojennej. —
Miejsce, słuchacze, dola żebraka,
Wszystko zniknęło z myśli śpiewaka;
Zimna nieufność w sercu zbolałem,
Nagle przed wieszczym pierzchła zapałem;
I tak, gdy wszyscy wkrąg oniemieli,
Nucił ostatni z szkockich minstreli.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Umilkł w Branksom gwar biesiady,[1])
Do tajemnych komnat gmachu
Samotna odeszła Lady.
Do komnat, których drzwi potężne czary
Tajemniczemi zamknęły słowami:
Słów tych nikt wspomnieć bez strachu,
Powtórzyć nie śmie bez kary: —
Jezus Marya, zmiłuj się nad nami!
Nikt oprócz Lady, za żaden skarb ziemny
Nie śmiałby wstąpić w ten gmach jej tajemny.

II.

W biesiadnej sali gwarliwa drużyna,
To stoi kołem przed ogniem komina,
To znów pod ręce wzdłuż chodząc pospołu,
Ciągnie rozmowy zaczęte u stołu.
Na potrząśnionych gałęźmi kamieniach
Śpią psy myśliwe i w sennych marzeniach

W głos gonić zwierza zdają się śród boru,
Z Tewiotstonu do Eskedalmoru.

III.

Dwudziestu dziewięciu szlachetnych rycerzy
Weiąż w zamku Branksomskim gościło;
Dwudziestu dziewięciu, w bogatej odzieży,
Na rozkaz ich paziów służyło;
Dwudziestu dziewięciu rycerskiej młodzieży
Rumaki ich w stajniach karmiło;
A wszyscy waleczni, ojczyzny nadzieja,
A wszyscy są krewni hrabiego Bukleja.

IV.

Dziesięciu z nich w kolej, na pierwszy znak trwogi,
Gotowych co chwila do boju lub drogi,
Z orężem u pasa, z ostrogą u nogi,
W dzień i w nocy nie zrzuca zbroicy;
Na swych twardych puklerzach,
W nierozpiętych pancerzach,
Chwilę ledwo snu dadzą źrenicy;
W rękawicach ze stali
Za stół nawet siadali,
Wino pili przez kratę przyłbicy.

V.

Dziesięciu giermków, wprawionych do broni
Trzyma przed gankiem kopie rycerzy;
Trzydzieści zbrojno osiodłanych koni,
Dziesięciu w rękach wodzi masztalerzy;

Każdy koń z kitą piór strusich u skroni,
Za każdem siodłem buzdygan się jeży;
Sto innych w stajniach zostaje się w domu. —
Taki jest zwyczaj na zamku Branksomu.

VI.

Dla czegóż te konie pod siodłem tak stoją?
Dla czego rycerze czuwają pod zbroją? —
Czuwają, by w porę brytanów szczekanie,
By w porę posłyszeć strażników wołanie;
By zdala nad chmurą kurzawy wzniesiony
Świętego Jerzego krzyż dojrzeć czerwony;*)
By w porę pośpieszyć i bronić swych właści,
Przed Skropem, lub Percym, wsławionym z zdrad tylu,
I nie dać się ubiedz Howarda napaści,
Z Warkwortu, z Nawortu, z pięknego Karlilu.

VII.

Taki jest zwyczaj na zamku Branksomu. —
Mężni rycerze bronią go i strzegą:
Lecz on, pan zamku, wódz Buklejów domu!
Miecz jego straszny jak łyskanie gromu,
Rdzewieje nad grobem jego! —
Rok ledwo upłynął
Jak lord Walter zginął,[2])
Gdy nie syt krwi bratniej i mordu,
Niezgodę na nowo,

*) Godło na sztandarze Anglików.

Straszliwą, domową,
Rozniecił Karr, baron z Cessfordu.
Gdy lud z nad granicy
Pierzchał ku stolicy,
Gdy Edynburg nawet krwią spłynął:
Tam w dymach pożogi,
Lord Walter bez trwogi,
Broniąc swoich, walczył i zginął.

VIII.

O! straszna wojno pychy rodowej,
Wojno sąsiedzkiej zawiści!
Kto cię rozbroi? kto z Kainowej
Zbrodni twych wodzów oczyści?...
Ach! — próżno razem w pielgrzymim stroju,
Do miejsc endownych szli wszędy; [3])
Próżno za dusze poległych w boju
Wspólne sprawiali obrzędy:
Póki w Cessfordzie włada dom Karrów,
Buklej w Etryku przewodzi:
Póty zawziętość odwiecznych swarów,
Z pamięcią rzezi, klęsk i pożarów,
Z ojca na syna przechodzi.

IX.

Lud wojowniczy załamywał ręce
Nad trumną lorda Waltera;
Niewiasty w łzami uroszone wieńce
Stroiły grób bohatera.

Lecz łzy ni kwiatu pozostała wdowa
Nie uroniła na grobie;
Nadzieja pomsty i duma surowa
Dodały męstwa w żałobie.
Aż gdy wkrąg patrząc na twarze żałosne,
Syn mały w domu zawołał:
„Pomszczę się ojca, niech tylko podrosnę!“
Żal dłużej kryć się nie zdołał,
Łkając go, swemi okryła pieszczoty,
I łzy jej wdowie zlały twarz sieroty.

X.

W stroju z rozpaczy starganym,
Na wiatr rzuciwszy włos,
Nad ojcem swym ukochanym
Anna płakała w głos.
Lecz prócz żałości dziecinnej,
Był jeszcze powód łez inny:
Bojaźń o przyszły los.
Serce jej gore miłością —
Przed nimby tylko z ufnością
Odkryła głąb tajemnicy;
Lecz twardej matczynej duszy,
Wie, że ni zmiękczy, ni wzruszy,
Prośba ni rozpacz dziewicy.
Lord Kranston jej oblubienieniec, [4])
Cessfordów był pokrewieniec,
Herb jeden na ich sztandarach;
A wie, że matka jej sroga,

Wprzód niż ją wydać za wroga,
Woli wprzód ujrzeć na marach.

XI.

Lady ród wiodła wysoki.
Ojciec jej, mędrzec głęboki,
Szczep możnych Betchunów domu, [5])
Za morzem szukał nauki,
I w Padwie uczył się sztuki
Niedozwolonej nikomu.
Wieści krążyły u ludu,
Że czynił, czego bez cudu
Człek nie dokaże swą siłą;
I w dzień, gdy szedł w zamyśleniu,
Ni przed nim, ni za nim cieniu
Od ciała jego nie było [6]).

XII.

Po ojcu, mówią, z dziecięcia
Lady tę sztukę posiadła,
Że na jej straszne zaklęcia
Nadziemskie drżały widziadła [7]) —
I oto właśnie, w swej niedostępnej,
Zaczarowanej wieży posępnej,
Powstawszy z gniewem, słucha łoskotu,
Co się wzniósł nagle z fal Tewiotu.
Ryk-że to wody, co gdy przybierze,
Chce swe skaliste skruszyć nadbrzeże?
Szum-że to wichru, co między lasy
Z twardymi dęby idzie w zapasy?

Trzęsienie ziemi, czy łoskot gromu,
Co wstrząsł jak z posad mury Branksomu?

XIII.

Przerażone echem dzikiem
Psy zawyły z przestrachu;
Ćma puszczyków, z głośnym krzykiem,
Rozpierzchła się po gmachu.
Goście z miejsc się swych porwali,
Tłum ku oknu się spycha:
Myślą, burza! — patrzą z sali,
Lecz noc jasna i cicha.

XIV.

Lady odgadła powód łoskotu.
Nie był to łoskot fal Tewiotu,
Nie był to wicher burzy dalekiej,
Nie grom to wstrząsnął Branksomu mury:
Lady poznała, że Duch to rzeki,
Przemawiał do Ducha góry.

XV.

DUCH RZEKI.

„Śpisz-li bracie?“

DUCH GÓRY.

— „Bracie, nie! —
Księżyc w pełni świeci mnie,

Na kobiercach moich z wrzosu,
Od Skelf-hillu do Craig-Crossu,*)
Pod drzewami, nad zdrojami,
Tłumy sylfów girlandami,
W przeźroczystej tańczą mgle.
Wstań, i obacz tan ich zręczny,
Wstań, i usłysz śpiew ich wdzięczny,
Luby bracie, odwiedź mnie!“ —

XVI.

DUCH RZEKI.

— „Nurt mój mącą łzy dziewicy,
Pięknej Anny z Branksomu,
Co swej serca tajemnicy
Nie śmie zwierzyć nikomu.
Powiedz ty, co widzisz gwiazdy,
Prędkoż mordy i najazdy
Wezmą koniec na granicy? —
Co sądzono dla dziewicy? —
Gdzie jest kres jej doli złej?
Kto ma zostać mężem jej?“ —

XVII.

DUCH GÓRY.

— „We mgle krąży Wóz Artura;
Niedźwiedzica zamroczona

*) Czytaj Kreg-Krossu.

Patrzy groźno; czarna chmura
Stoi w pasie Oryona.
Wyższe gwiazdy w ćmie obłoków —
Nie wyczytać ich wyroków!
Lecz nie pierwej wszystko wróży,
Wojnie koniec, ludziom zgodę,
Aż się pycha upokorzy,
A miłość zyszcze swobodę.“ —

XVIII.

Nadziemskie duchy mówić przestały,
I łoskot umilkł w przestworze;
Tewiot tylko pluska o skały,
I drzewa szumią na górze.
Ale w Branksomie jeszcze się szerzy
Echo ich głosów złowieszcze:
Bo brzmi dokoła zaklętej wieży,
I w uchu Lady brzmi jeszcze.
Porywczo i śmiało,
Z postawą wspaniałą,
Postąpiła ku oknu i mówi:
„Góra wasza pęknie,
„Rzeka w ziemię wsięknie,
„Nim ja córkę oddam wrogowi!“ —

XIX.

I śpiesząc dąży przez samotne gmachy,
Gdzie śród domowych i gości,

Syn jej, w pancerzu i w szyszaku z blachy,
Bawi się z krzykiem radości.
I małym w ręku wywijając kordem,
Na kiju biega po sali,
Krzycząc, że jedzie na wojnę z Cessfordem,
I zamki wrogów popali.
Starzy wojacy giestami i słowy
Dodają dziecku ochoty;
Serca ich twarde jak puklerz stalowy,
Wzrusza wesołość sieroty.
Patrzą, i wzajem szepcą wróżby ciche,
Że byle tylko rósł w zdrowiu,
Poniży kiedyś Jednorożca pychę,
Wskrzesi blask Gwiazdy i Nowiu*).

XX.

Lady przez chwilę z matczynem wzruszeniem
Spojrzała na widok ten,
I wnet, wkrąg bystro rzuciwszy spojrzeniem,
Wyszła — wezwawszy za sobą skinieniem
Wiliama de Deloraine.

XXI.

Z tylu rycerzy, co w zamku gościło,
Nikt mu nie równał postawą i siłą:
Nikt na turniejach, ni w bitew natłoku,
Kopii zręczniej nie ułożył w toku.

*) Alluzya do herbów Karrów i Buklejów.

Od błot Tarrasu, do piasków Solwaju,
Nikt nie znał lepiej mieszkańców i kraju,
Gdzie stokroć z łupem uchodząc przez jary,
Zmylił najlepsze Percego ogary [8]).
W niczem dlań nigdzie nie było zapory:
Przez góry, rzeki, przez lasy i bory,
Wie wszystkie ścieżki, i ani się boi
W cwał gnać po skałach, lub płynąć we zbroi.
Jedno dla niego czas lipca czy grudnia,
Ciemność północy, czy skwary południa;
Niczem dla niego jest mord i pożoga,
Gdy ma łup dostać, lub napaść na wroga.
Pięćkroć przez szkocką wygnany królowę,
Unosił życie w kraj nieprzyjacielski;
I pięćkroć wracał, gdy na jego głowę
Cenę nałożyć król kazał angielski.

XXII.

„Rycerzu! — rzekła Lady — tej nocy
„Trzeba mi twojej wiernej pomocy.
„Weź najlepszego konia ze stajni,
„I co najśpieszniej, i co najtajniej,
„Pędź do Melrozu!“ — „Gdzie? skąd? i po co?“
„Milcz! — lecz pośpieszaj, byś przed północą
„Był tam, nim przebrzmią modły wilii! —
„Pytaj o mnicha Świętej Maryi.
„Pozdrów i powiedz, żem cię przysłała:
„Że przyszła chwila, i że wam obu
„Poruczam dzisiaj zdobyć Skarb Grobu.
„Bo dziś Świętego wilia Michała:

„Gwiazdy zamglone, lecz księżyc czysty. —
„Czas wam i miejsce krzyż wskaże krwisty.

XXIII.

„Co ci mnich odda, strzeż i ukrywaj!
„Wracaj! — nie stawaj, ani spoczywaj!
„I czy to będzie pismo, czy księga,
„Niech do niej twoje oko nie sięga;
„Bo gdybyś zajrzał, albo dochodził —
„Lepiejby było, byś się nie rodził!“ —

XXIV.

— „O! nie bój się Lady! mój dzielny koń gniady
„Niech tylko się kopnie z kopyta,
„Za boską pomocą, tam dziś przed północą,
Tu staniem nim zorza zaświta.
„I szukać daremnie, lepszego odemnie
„Do spełnienia twojego rozkazu:
„Bo jak Bóg żywy! jam rycerz prawdziwy!
„Książki w ręku nie miałem ni razu“. —

XXV.

Rzekł, dopadł konia, wzmocnił się w łęku,
Kopiję z giermka pochwycił ręku,
Ścisnął ostrogą — przez most zwodowy
Zagrzmiał jak piorun tętent podkowy.
Przez las, na prawo, szybkim zawrotem,
Puścił się drogą nad Tewiotem.
W bok Goldilandu granicznej wieży,
Skalnych Bortwiku dotarł wybrzeży;

W mgle Moat-hillu szczyt ujrzał głuchy,
Gdzie dotąd błądzą druidów duchy;
Z okien Hawiku, światła w pomroku
Jak wstęga tylko migły mu w oku;
I wnet jak widmo straszne dla gminu,
Przemknął około bram Hazeldinu.

XXVI.

„Kto? stój!“ — strażnicy z baszt zawołali.
„Swój — rzekł — z Branksomu! i pędził dalej.
Skręcił na północ brzegiem strumienia,
Na stromą górę wbiegł bez wytchnienia;
Aż nieznużony po trudach tylu,
Ujrzał półdrożną błoń Horslie-hillu.
Na lewo przed nim pasem leżała,
Odwieczna Rzymian droga wspaniała.

XXVII.

Tu wstrzymał konia, lecz się nie bawił:
Obejrzał oręż, siodła poprawił,
I wskok znów dalej! — Jasność księżyca
Olbrzymie Mintu skały oświeca,
Skąd głośny w pieśniach, zbójca przemożny,
Czyhał przed laty na łup podnożny, [9])
A trąbki jego dźwięk między skały,
Tysiączne echa w grom zamieniały.
Deloraine myśląc o nim, żałował
Że go dziś niema, by z nim sprobował!

XXVIII.

Szybko i prosto, jak grot do celu,
Przeleciał bujne pola Riddelu,
Gdzie Ail z jezior i z gór wezbrany,
Wrąc z szumem tłucze o skalne ściany,
I jak wędzidła koń niecierpliwy,
Fal swych pieniste wydyma grzywy.
Ale dla gońca niema przeszkody;
Wprost, jak gnał cwałem, wskoczył do wody.
Nigdy mąż cięższy, w nocnym pomroku,
Nie walczył z szybszym nurtem potoku.
Koń się zanurzył: — jeździec bez trwogi,
Spiął go wędzidłem, dodał ostrogi;
Koń wzbił się na wierzch — nozdrza rozszerza,
Fala dosięga piersi rycerza,
Pryska nad głowę: — lecz w nim odwaga
Z niebezpieczeństwem równo się wzmaga.
Zwrócił na ukos, i z biegiem prądu
Kierując zręcznie, dobił się lądu.
Koń nie miał czasu parsknąć na brzegu,
Pan go znów bodźcem zmusił do biegu.

XXIX.

Przez Bowden-Moru pędząc bezdroże,
Halidon-Hillu obaczył wzgórze,
I westchnął z smutnem wstrząśnieniem głowy.
Bo w myślach jego stanął dzień owy,
Straszny dzień pierwszy wojny domowej,

Krwawy początek dziedzicznych swarów,
Przyjaznych dotąd Skottów i Karrów [10]).
Gdy król, w Duglasów tęskniąc przemocy,
Wiernej Bukleja wezwał pomocy,
A wodze Karrów, w stanowczej chwili,
Zwycięstwo jego w klęskę zmienili:
A śród pogoni, ciżby i mordu,
Legł z nich najpierwszy, baron z Cessfordu. —

XXX.

Z gniewem w bok konia topiąc ostrogi
Deloraine mijał widok złowrogi;
Aż z góry we mgle ujrzał w oddali,
Cień wież Melrozu, błysk Twidu fali.
Olbrzymi na kształt skały szerokiej,
Gmach się kościelny dźwigał w obłoki,
A wkoło w masach skupione mury,
Zdały się gruzem zwalonej góry.
W Hawiku słyszał hasło wieczoru,
Tu dzwon się ozwał z wieży klasztoru —
Księża na *Laudes* idą do choru.
„Ha! w sam czas!“ — jeździec krzyknął z pociechą.
I podwojone kopytów echo,
Jak grom się przed nim tocząc wzdłuż łanu,
Spotkało z świętem brzmieniem organu,
Co z bram kościelnych wiatr niósł na błonia.—
Deloraine w bramie zeskoczył z konia,
I przy ostatniej nucie nieszpornej,
Szedł ku podwojom furty klasztornej.

Tu struny zmilkły; — z echem ich brzmienia,
Zgasł w duszy wieszcza zapał natchnienia.
Skromnie ku arfie pochylił czoło,
Nieśmiałym wzrokiem rzucił wokoło;
Znać, że w obecnych twarzy i oku,
O pieśni swojej szukał wyroku:
I jakby nie śmiąc ufać pochwale,
Nieco o dawnym wspomniał zapale,
I jak w nim nędza i wiek zwątliły,
Lepsze za młodu pamięć i siły.
Księżna i wszystkie damy orszaku,
Umiały pojąć wieszcza w śpiewaku,
I z szczerem czuciem, głośno oddały
Jemu i pieśni winne pochwały.
Starzec ośmielon słodką ich mową,
Tak pieśń swą nucić zaczął na nowo:

PIEŚŃ DRUGA

I.

Kto dziś Melrozu chcesz zwiedzać ruiny,[1]
Idź, gdy je nocy mrok ogarnął siny.
Wesoła jasność dziennego promienia,
Złocąc je, zda się urągać z zniszczenia.
Lecz gdy z za chmury wyjrzy księżyc blady,
A wzniosłe łuki i mroczne arkady,
Mdłem jego światłem bieleją po wierzchu,
Czernią się spodem jak otchłanie zmierzchu;
Gdy każda ściana, w cieniach lub jasności,
Zda się z hebanu, lub słoniowej kości;
A wkoło wieków wpół zatarte rysy,
Obrazy świętych, grobowe napisy,
Mówią z przeszłości; — a szum Twidu fali,
Albo huk sowy słychać tylko w dali; —
Wtedy, wędrowcze! idź, gdy ci się przyda,
Idź na gruz gmachu świętego Dawida.
I gdy czuć umiesz, wyznaj, żeś ni razu
Tak uroczego nie widział obrazu!

II.

Ślepy na urok malownych scen,
Wielkiemi kroki szedł Deloraine,
I rękojeścią swego klajmoru
Bił, co miał siły, w furtę klasztoru.
— „Kto tam?“ — głos z wewnątrz ozwał się groźno.
„Czemu tak głośno? po co tak późno?“ —
— „Gonicc z Branksomu!“ — Ledwo domówił,
Drzwi się otwarły, stróż go pozdrowił.
Bo z dawien dawna Buklejów plemię
Prawa i właści Melrozu strzeże,
I hojne dary, skarby i ziemie,
Za dusze przodków święci w ofierze.

III.

Deloraine krótko cel swój wymienił.
Stróż nie rzekł słowa, lecz się nie lenił:
Zatlił pochodnię, i idąc wprzódy,
Przez kryte ganki, przez kręte wschody,
Ostrożnym krokiem, boso, w kapturze,
Sunął się cicho, jak cień po murze:
Gdy łoskot zbrojnej rycerza stopy,
Krok w krok sklepione wtórzyły stropy.
Aż uchylając hełmu i szyi,
Wszedł w progi mnicha Świętej Maryi,
I pozdrowiwszy skinieniem głowy.
Wznosząc przyłbicę, rzekł temi słowy:

IV.

„Lady z Branksomu tu mię przysłała:
„Mówi, że przyszła chwila, i obu
„Każe nam dzisiaj zdobyć Skarb Grobu.
„Bo dziś świętego wilia Michała:
„Gwiazdy zamglone, lecz księżyc czysty. —
„Czas nam i miejsce krzyż wskaże krwisty“. —

V.

Z twardej pościeli, mnich ze snu zbudzony,
Zwlókł wyschłe członki, i stał cały drżący.
Wiek stuletniemi ubielił mu szrony
Poważną brodę i włos rzedniejący.
Stał, i na gońca obrócił źrenice,
W głębokich jamach tlące pod brwiami:
„Tyżbyś śmiał zgłębiać straszne tajemnice,
„Co Bóg i szatan chce ukryć przed nami? —
„Patrz na mnie! widzisz z mojego oblicza
„Com cierpiał: — skóra odpadła od kości,
„Od włosiennicy i ostrego bicza; —
„Przez lat sześćdziesiąt ciało moje pości,
„Żyjąc o chlebie i wodzie; — kolanem
„Starłem kamienie podłogi; — a przecie,
„Nie wiem, czy dotąd nie stoi przed Panem
„Grzech, com go z młodu popełnił na świecie,
„Chcąc przedrzeć chmurę, którą Bóg na ziemi
„Rozdzielił wiecznie duchów z śmiertelnemi! —
„Zważ więc! — lecz jeśli odrzucisz przestrogę,
„Jeśli wiek cały strawiwszy w pokucie,

„Chcesz drżeć o duszę w ostatniej minucie: —
„Pójdź! — obiecałem, pokażę ci drogę“. —

VI.

— „Pokut ja żadnych czynić nie myślę,
„Post chyba w głodzie zachowam ściśle.
„Trzepię, jak umiem, *Pater* i *Ave*,
„Gdy siadam na koń iść na wyprawę,
„Lecz piekłem sobie głowy nie suszę;
„Czyń więc co trzeba, bo śpieszyć muszę“. —

VII.

Znowu na niego mnich spojrzał zdumiały,
I patrząc westchął głęboko.
Bo i on kiedyś wojownik był śmiały,
I w świecie słynął szeroko.
I wspomniał siebie, gdy w zbroi promiennej,
Z krzyżem na piersiach, wesoły,
Na morzu z fali urągał bezdennej,
Lub koniem ścigał sokoły.
Wspomniał — i kijem podpierając kroki,
Schylony, drżący, pokorny,
Wiódł gościa, kędy krużganek wysoki
Otaczał ogród klasztorny.
Cień mrocznych sklepień padał na ich głowę,
A stopą głazy deptali grobowe [2]).

VIII.

Zioła i kwiaty, mgłą nocną owiane,
Błyszczały rosą — a księżyc na ścianę

Padając z boku, oświecał dokoła
Podobnież w rzeźbie i kwiaty i zioła. —
Mnich stanął nagle, i trwożne źrenice
Zwrócił ku stronie północnej:
Gdzie jak z wulkanu, skry i błyskawice
Tryskały z ciemności nocnej.
I to jak race, śmigając ku górze.
To w bok, jak szmermle rozpierzchłe,
Czerwoną łuną, jak polarne zorze,
Oblały niebo zamierzchłe.
Mnich zdwoił kroku, i szepcąc akt skruchy
Korzył się w częstych westchnieniach:
Bo on to poznał, że nieczyste duchy
Bujały na tych promieniach.

IX.

Przez kute z miedzi wązkie drzwi poboczne.
Weszli do środka kościoła.
Na lekkich słupach, szczyty jego mroczne
W ciemnościach mkły dokoła.
Gdzieniegdzie tylko promień księżycowy,
Przez okna padając z góry,
Oświecał obszar olbrzymiej budowy,
I kształty wnętrznej struktury.
Łuki rzucone wszerz bokowych skrzydeł,
Cud dłuta, podziw spojrzenia!
Gzymsy z potwornych masek i straszydeł,
Zdobiły kosze sklepienia.
A słupy cienkie, od góry do dołu
W trofeach między kwiatami.

Zdały się każdy pękiem dzid, pospołu
Pozwiązywanych wieńcami.

X.

Z ponurem echem wiatr wiejąc przez szpary,
Wstrząsał chorągwie i stare sztandary,
Tkwiące przy wielkim ołtarzu.
Tam jedna tylko, ze srebrzystej urny,
Bladawa lampa siała blask pochmurny,
Na groby wasze, wodzu Otterburny,
I Liddesdalski mocarzu! — [3])
O! marne szczęty wielkości światowej:
Blask tylko lampy i kamień grobowy!

XI.

W oknach, przez które lśnił księżyc promienny,
Splot fantastyczny trelazy*) kamiennej,
Zdumiewał oczy patrzące;
Rzekłbyś, że wróżka, z dziecinnej swawoli,
Prątkami z trzciny, gałęzie topoli
Pogięła w węzłów tysiące,
I potem wreszcie, dla lepszych omamień,
Wiotką plecionkę zamieniła w kamień.
Srebrzysta jasność, w pośród ram tych krętych,
Na tle szyb w różnych kolorach,
Ukazywała Proroków i Świętych,
W różnobarwistych ubiorach.

---

*) Wyraz techniczny, z francuskiego *treillage;* kratkowanie w oknach gotyckich.

W środkowem oknie stał Archanioł Michał,
Z chorągwią z krzyżem czerwonym,
Deptał szatana i w otchłań go spychał,
Godząc weń mieczem wzniesionym.
Przez tę chorągiew blask przechodząc z góry,
Krwawy znak krzyża rzucał na marmury.

XII.

Deloraine z mnichem usiedli na grobie. —
Był to grób króla szkockiego [4]).
A mnich, znać było, że gwałt czyniąc sobie,
Tak zcicha mówił do niego:
„Nie zawsze byłem, czem mię widzisz teraz;
„W krainach Maurów pogańskich,
„Z młodu za wiarę krew przelałem nieraz,
„Walcząc w szeregach hiszpańskich.
„Dziś wzrok mój ćmi się patrząc na twą zbroję,
„Szczęk twego miecza razi ucho moje.

XIII.

„Tam, w Salamance, zdarzenie mi dało
„Napotkać Michała Skotta [5]).
„Świat drżał przed jego czarnoksięzką chwałą;
„Bo gdy go wzięła ochota,
„Dać tam swym uczniom dowody swej siły,
„I laską powiódł po spiżu:
„Z wież same dzwony na trwogę dzwoniły,
„I wieże drżały w Paryżu [6]).

„Mag mi przez przyjaźń odkrył tajnie swoje,
„Pozwolił użyć wyrazu,
„Co szczyt Ejldonu rozszczepał na troje,
„I przez Twid rzucił most z głazu [7]).
„Lecz, wojowniku! powtórzyć go tobie,
„Byłoby zgubić twą duszę;
„A i tak nawet, żem go wspomniał sobie,
„Pokutę potroić muszę.

XIV.

„On też na swojej śmiertelnej pościeli
„Poznał, że moc ta jest grzechem.
„Jam był najbliższy z jego przyjacieli,
„Kazał mi przybyć z pośpiechem.
„W Madrycie jego odebrałem hasło,
„Gdy słońce wstawało z morza;
„I, wojowniku! nim słońce zagasło,
„Stałem tu, u jego łoża.
„Co mi powiedział ostatniemi słowy,
„Nie pytaj! — straszna ich siła
„Na grób by jego i na nasze głowy
„Sklep tej świątyni zrzuciła.

XV.

„Lecz, jak mi kazał, złożyłem przysięgę,
„Pogrześć z nim razem jego czarno-księgę,
„Nie okazując nikomu;
„Prócz, gdyby chyba w gwałtownej potrzebie,
„Dla swego klanu, lub samego siebie,
„Żądał jej Buklej z Branksomu.

„Wtedy ją z grobu wziąć mogłem jedynie,
„Lecz pod przysięgą, gdy potrzeba minie,
„Że ją nanowo zagrzebię. —
„W nocy, przede dniem świętego Michała,
„Tu go złożyłem w grób ciasny,
„Gdy z wieży pierwsza godzina zabrzmiała,
„A z okien księżyc lśnił jasny.
„Umyślnie na to wybrałem tę chwilę,
„Aby ów krzyż Archanioła,
„Świecąc wprost wtedy na jego mogile,
„Złe duchy płoszył dokoła.

XVI.

„Straszna to była noc! — Kościół ten cały
„Drżał jak od ziemi trzęsienia;
„Chorągwie same bez wiatru szumiały,
„A z za filarów, śród cienia,
„Słyszałem śmiechy i głosy złowieszcze. —
„Włos się na głowie mej jeżył;
„Jednak“... — Mnich dalej chciał coś mówić jeszcze,
Wtem zegar pierwszą uderzył. —
Deloraine dotąd nie wiedział co trwoga:
Na rzędy włóczni, na zastępy wroga,
Na śmierćby nawet szedł śmiało;
W tej chwili jednak dreszcz go przejął zimny,
I gdy za mnichem powtarzać chciał hymny,
Głosu mu w piersiach nie stało.

XVII.

„Teraz, rycerzu! teraz chwytaj porę!
„Krzyż lśni na grobie mocarza.
„Cudowna lampa wewnątrz jego gore,
„Której blask duchy odraża [8]).
„Gore, i będzie goreć nieprzerwanie,
„Aż na sąd straszny pan jej nie powstanie". —
Mnich rzekł, i wskazał na środku kościoła
Głaz niczem nie odznaczony,
Prócz, że nań z góry sztandar Archanioła
Rzucał cień krzyża czerwony.
Deloraine idąc za mnicha rozkazem,
Znalazł w framudze drąg kuty żelazem,
I jak mógł krzepił ochotę.
Mnich bił się w piersi, i grób wkoło żegnał,
I jakby pewny, że duchy odegnał,
Dał znak, by zacząć robotę.

XVIII.

Z bijącem sercem, natężając siłę,
Ze wszech stron rycerz ciężką wzruszał bryłę,
I krwawym oblał się potem.
Dwakroć odpoczął: — lecz za trzecim razem,
Głaz zasadzonem podjęty żelazem
Na bok odwalił z łoskotem. —
O! wtenczas, chciałbym, żebyście tam były!
Bo czyż wam zdołam wystawić
Obraz tej chwili, gdy światło z mogiły
Buchnęło łuną błyskawic;

I w mgnieniu oka, jak blask meteoru,
Oblało ołtarz i ściany,
I kolumnadę krużganków i chóru,
I sklep w trójkąty łamany.
Z zbroi rycerza jak płomień wytrysnął.
Jak śnieg zaiskrzyło pióro.
Mnich prędko kaptur na oczy nacisnął,
I w ziemię patrzał ponuro.

XIX.

W całej postaci Mag leżał przed niemi,
Jakby od wczoraj złożony do ziemi.
Do pasa długa, broda jego biała
Jak biały całun pierś mu okrywała;
Sto lat przeżytych znać było z oblicza,
Gdzie tchnęła jeszcze wielkość tajemnicza.
Strój miał pielgrzymi, bez żadnego znaku,
I pas w złociste godła zodyaku;
Srebrny krucyfiks trzymał w dłoni prawéj,
Pod lewą, gruba, żałobnej oprawy,
Leżała księga na klamry zamknięta,
A u stóp lampa płonęła zaklęta.
Twarz była cicha i wypogodzona.
Mnich wniósł, że dusza być musi zbawiona.

XX.

Nieraz na polach krwią ludzką okrytych,
Deloraine koniem tratował zabitych,
I nie czuł zgryzot ni strachu;

Lecz go przejęły i strach i zgryzota,
Widząc otwarty grób Michała Skotta,
I ów blask nagły po gmachu.
Krew skrzepła lodem, i stał jak przykuty. —
Mnich bił się w piersi, i akty pokuty
Odmawiał głośno, żarliwie.
Lecz w grób już więcej nie śmiał rzucić wzroku,
Bo czuł, że dłużej nie zniesie widoku
Tego, co kochał tak tkliwie.

XXI.

I domówiwszy swojego pacierza:
„Czyń, co masz czynić!“ — krzyknął na rycerza,
„Śpiesz! albo biada nam obu! —
„Nie możesz widzieć — bo śmiertelne oczy
„Znieśćby nie mogły — tłumu, co się tłoczy
„Na brzeg otwartego grobu!“ —
Deloraine chwili nie tracąc daremno,
Przykląkł, i z grobu wziął księgę tajemną,
I nagle porwał się z trwogą:
Bo czy to światło, co wzrok oślepiało,
Czy strach go złudził: — dość, że mu się zdało,
Że martwy zmarszczył się srogo.

XXII.

Gdy kamień znowu pokrył wierzch mogiły,
Głębsze niż przedtem ciemności wróciły,
Bo księżyc zaszedł, a gwiazdy się ćmiły. —

Mnich z Delorainc'm przyśpieszając kroku,
Szli, i drzwi długo w nieprzejrzanym mroku
Nie mogli znaleźć z przestrachu;
Bo wciąż, długiemi powtarzane echy,
Nadludzkie głosy i szydercze śmiechy
Brzmiały za nimi po gmachu.
Rzekłbyś, złe duchy radosnym okrzykiem,
Tryumfowały z urąganiem dzikiem,
Że na świat idą ich czary. —
Co w tem jest prawdy? — gdybyście spytali,
Nie śmiałbym ręczyć; — lecz tak powiadali
Starcowie, co godni wiary.

XXIII.

„Teraz uciekaj! — rzekł mnich na podwórzu:
„A gdy już będziem na śmiertelnem łożu,
„Wzywajmy Świętych opieki:
„By przez ich możną za nami przyczynę,
„Bóg litościwy odpuścił nam winę,
„I nie potępił na wieki!“ —
Rzekł, i sam jeden wrócił do swej celi. —
Ale gdy w chórze nie widząc go rano,
Bracia w południe do drzwi jej zajrzeli,
Już go w niej martwym zastano.
Leżał na ziemi krzyżem rozciągnięty,
Lecz w twarzy jego jaśniał pokój święty.

XXIV.

Rycerz wyszedłszy z pod sklepień krużganku,
Odetchnął wolniej świeżością poranku;

Dopadł rumaka, i pędząc co siły,
Rad był, że minął klasztorne mogiły.
Bo mu na piersiach, jak ołowiu bryła,
Tajemna księga pod zbroją ciężyła,
I jakby własnym ożywione duchem,
Czuł, że jej karty ciągłym drgały ruchem.
Lecz nabrał męztwa, gdy z wyższych gór szczytu
Ujrzał świecący pierwszy promień świtu;
I aby całkiem pokonać obawę,
Trzepał, jak umiał, swój *Pater* i *Ave*.

XXV.

Słońce rumieni szczyt Czewiotu,
Słońce na skalnym błyszczy Karterze;
I już niem iskrzy nurt Tewiotu.
I już niem tlą się Branksomu wieże.
Ptastwo się zewsząd chórem ozwało,
Wietrzyk odetchnął wonią poranną,
Kołysząc zlekka liliję białą,
Lub rozwijając różę rumianną.
I już piękniejsza niż krasne róże,
Choć od lilii bledsza od żalu,
Swoje bezsenne rzuciła łoże,
Królowa dziewic Tewiot-dalu.

XXVI.

Czemuż to piękna Anna z Branksomu
Wdziewa tak rano, strój tak powabny?
Czemu tak z drżeniem, tak pełna sromu
Sznuruje śpiesznie stanik jedwabny?

Czemu tak wkoło rzuca wzrok strachu,
Zbiegłszy na boczny dziedziniec gmachu?
Czemu tak czule brytana głaszcze,
Co już by szczeknąć otwiera paszczę?
Czemu, choć cała kwefem okryta,
Stróż jej „kto idzie?“ w bramie nie pyta?
Gdzież to tak sama śpieszy w tej porze,
Gdy ledwo pierwsze zabłysły zorze?

XXVII.

Anna z Branksomu stąpa tak z trwogą,
By ujść przed matki czujnością srogą.
Głaszcze brytana, bo wie, że ludzi
Głos jego gruby w zamku rozbudzi.
Strażnik jej daje przechód bezpieczny,
Bo tym strażnikiem jest brat jej mleczny;
A tak się rano z zamku wymyka,
By spotkać w gaju lorda Henryka.

XXVIII.

I już pod cieniem drzew zielonych wianków,
Usiadła para szczęśliwych kochanków;
A pary siebie godniejszej wzajemnie,
Na świecie szukać byłoby daremnie!
On młody, rażny, szlachetnej postawy,
Grom wpośród bitwy, i dusza zabawy;
A ona, ona! — gdy widok młodzieńca
Oblał jej lice szkarłatem rumieńca;
Gdy każde tchnienie jej piersi miotanéj
Zaokrąglało jej strój sznurowany,

A w dół spuszczone błękitne źrenice
W łzach malowały serca tajemnicę:
Jakażby piękność w tej chwili, bez sromu
Śmiała na równi iść z Anną z Branksomu?

XXIX.

O! teraz widzę, że moje pienie,
Szlachetne damy! serce wam wzrusza:
Ku mnie się zwraca wasze spojrzenie,
W każdem spojrzeniu lśni wasza dusza!
Czekacie pewnie tkliwej powieści,
Tęsknej rozkoszy, słodkiej boleści,
Co pierś kochanków przejmuje;
Jak śmiały rycerz, w słowach płomiennych,
Czci niezachwianej, uczuć niezmiennych,
Świętość i zapał maluje;
I jak dziewica, z tęsknem westchnieniem,
Wpół z przelęknieniem, wpół z rozrzewnieniem,
Słucha, i słuchać się boi;
I jak nakoniec, lekką zasłoną
Na wpół obwianą, skroń zapłonioną,
Oparła na jego zbroi;
I cichym głosem, ledwo słyszanym,
To raz naglonym, to przerywanym,
Rzekła: że byle w ich domu
Krwawa nieprzyjaźń była skończona,
Ręki swej, oprócz lorda Kranstona,
Nigdy nie odda nikomu.

XXX.

Ale niestety, szlachetne panie!
Próżne jest wasze oczekiwanie!
Widzicie ten szron starości.
Wiek mię oziębił, nędza mię tłoczy,
Arfa straciła dźwięk swój uroczy —
Nie śmiem już śpiewać miłości!

XXXI.

Blizko pod dębem, na straży od błonia,
Karzeł Kranstona trzymał jego konia [10]),
I włócznię, i hełm z piórami,
Karzeł, nie wiedzieć, czy ze krwi i z ciała.
Jeśli prawdziwa wieść o nim biegała
Nad Tewiotu brzegami,
Razu jednego Lord bawiąc na łowach,
W mało zwiedzanych Ridsdalu dąbrowach,
Nagle w gęstwinie usłyszał zdziwiony,
Okrzyk: „stracony! stracony! stracony!“
I wnet, jak piłka palantem podbita,
Postać wpół ludzka, wpół małpia, w kłąb zwita,
Na stóp trzydzieści trzy z głębi gęstwiny
Dała skok w górę, i w środku doliny
Upadła pod jego stopy.
Baron spiął konia i puścił wędzidło,
I gnał co siły; — lecz karle straszydło
Leciało za nim tuż w tropy.
I w tymże czasie, co koń jego milę,
Ubiegło pieszo cztery razy tyle;

I gdy lord Kranston, czyniąc krzyża znamię,
Wjeżdżał w swój zamek — spotkało go w bramie.

XXXII.

Czas, powiadają, i z czartem oswaja.
Baron i cała domowników zgraja
Nawykli zwolna do karła.
On nic nie robił, nic jawnie nie jadał,
Rad stronił wszystkich, i z nikim nie gadał;
Lecz gdy był jeden, machając ramiony,
Wrzeszczał: „stracony! stracony! stracony!“
I śmiał się z całego gardła.
Był zły, gniewliwy, i mściwy niezmiernie,
Lecz baronowi pokornie i wiernie
Służył, i pełnił co kazał.
Mówią, że nawet ocalił mu życie:
Ostrzegł o zdradzie uknutej nań skrycie,
I drogę ujścia pokazał.

XXXIII.

Bo gdy lord Kranston raz do kaplicy
Słynnej cudami Boga-Rodzicy,
Po nad Yarrowem, blisko granicy,
Szedł z nim, by ziścić swe śluby:
Niewiedzieć jako, lady z Branksomu
Miała wieść o tem, i pokryjomu,
Zwoławszy krewnych swojego domu,
Powzięła myśl jego zguby.

Z Newark-Lee*), pierwsi wodzowie klanu,
Walter z Hardenu, Jan z Tirlestanu,
Deloraine, pierwszy podżegacz planu,
Przez las, wzdłuż brzegów Yarrowu,
Trzysta trzy włócznie wiodąc za sobą,
By go tam napaść, szli nocną dobą,
I byli pewni połowu.
Ale paź-karzeł, mówią, przez czary,
Wiedział ich przyjście, odkrył zamiary —
Lord z nim przed świtem uszedł przez jary;
I gdy Skottowie przybyli,
W próżnej wściekłości, z gniewu i sromu,
Mszcząc się zawodu na Bożym domu,
Obraz z kaplicą spalili [11]).

XXXIV.

W tej chwili karzeł, trzymając konia,
Czujny wzrok ciągle zwraca na błonia,
Nagle koń chrapnął, nastawił ucha —
Karzeł ku ziemi zgiął się i słucha:
I wywijając w górze ramiony,
Dał wnet kochankom znak umówiony.
Nie było czasu długiej rozmowy,
Przysiąg, pożegnań; — tętent podkowy
Słychać zdaleka. — Jak gołębica
Przed lotem ptaka, trwożna dziewica
Śpieszy do zamku: — lord Henryk śmiało,
Słuchając echa, co się zbliżało,

*) Czytaj: Niuark-Li.

Stał jeszcze w miejscu: — lecz karła rada
Przemogła wreszcie; — na koń więc wsiada,
I w myślach na dół zwiesiwszy głowę,
Zwolna w cienistą jedzie dąbrowę.

Kiedy tak śpiewał wieszcz osiwiały,
Głos i natchnienie coraz słabiały.
Postrzegł to młody paź, i z uśmiechem
Wybiegł, i z czarą wrócił z pośpiechem:
Z czarą W e l e z u winnej purpury.
Bard ze łzą w oku wzniósł ją do góry,
I drżąc polecał opiece świętej
Dom, gdzie syn pieśni tak był przyjęty.
Młode dziewice kryły śmiech pusty,
Patrząc, jak starzec chciwemi usty,
Z jaką rozkoszą chylił z puharu,
Ożywiające krople nektaru.
On zgadł ich myśli — i patrząc wkoło,
Wzajem się ku nim zaśmiał wesoło.
Bo czuł, jak coraz rosła w nim siła,
Jak coraz żywiej krew w nim krążyła;
Aż coraz jaśniej czując swe treści,
Tak ciągnął dalej wątek powieści:

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

Jażem powiedział, że mię los tak zgnębił;
Jażem powiedział, że czas tak oziębił
Serce me szronem starości:
Że nie śmiem śpiewać bóstwa, co udziela
Barw najświetniejszych marzeniom minstrela,
Że nie śmiem śpiewać miłości? —
Nie, nie! — dopóki w piersiach bije serce,
Póki choć jeszcze w ostatniej iskierce
Tli zapał wieszczego ducha:
Na samą wzmiankę świętego imienia,
Serce się musi obudzić z uśpienia,
Natchnienie iskrę rozdmucha!

II.

Miłość w pokoju,
Stroi flet pasterzy;
Miłość śród boju,
Krzepi miecz rycerzy.

Miłość w pałacach,
Na ucztach przewodzi;
W chatach, po pracach,
Sen rolnika słodzi.
Ludziom nagradza
Trud ziemskich padołów;
W niebie jej władza
Jest szczęściem aniołów.
Dzielona wzajem,
Niewinna z ufnością,
Świat czyni rajem,
Bo raj jest miłością.

III.

O niej, jak sądzę, pochyliwszy głowę,
Dumał lord Kranston jadąc przez dąbrowę,
I w myślach z Anną przedłużał rozmowę. —
Wtem karzeł nagle świsnął i zawołał.
Lord spojrzał w górę — lecz ledwo co zdołał
Spuścić przyłbicę, już prosto nań z boku
Olbrzym, nie rycerz, gnał z kopią w toku.
Koń był spieniony, okryty kurzawą,
Zbroja rycerza przyćmiona rdzą krwawą;
Sam chwiał się w łęku, i tak się zdawało,
Że musiał nie spać i jechać noc całą.
Nie spał, i jechał — i nie dbał o sen:
Bo tym rycerzem był sam Deloraine.

IV.

Ale wnet znikły i ślady znużenia,
Gdy błyskający z pomiędzy drzew cienia,
Ujrzał hełm zdala, i poznał po godle.
„Broń się, bo zginiesz!“ zawołał tuż wpodle.
Kranston się raźnie umocnił na siodle —
I był to widok godzien oczu barda! —
Groźne pytanie i odpowiedź harda
Dały znak boju. — Obadwa ich konie,
Jakby dzieliły nienawiść, co płonie
W sercu ich panów, parskały i rżały,
Rzekłbyś, patrzając, że się ośmielały
Ku przeczuwanej potrzebie:
Gdy tocząc niemi między rzadkim gajem,
Jeden i drugi szukali nawzajem
Korzyści miejsca dla siebie.

V.

Kołem harcował koń dzielny barona,
On się pomodlił, westchnął pokryjomu:
Modlitwa była do jego patrona,
Westchnienie było do Anny z Branksomu.
Deloraine zamiast westchnień i modlitwy,
Zgrzytał zębami z przewłoki gonitwy,
I zwarłszy konia, wprost pędził do bitwy.
O! widzieć było, gdy w pędzie, z łoskotem,
Starli się — echo rozległo się grzmotem.

VI.

Deloraine z gniewem moc całą wysilił,
Kranston się zachwiał i na wznak pochylił.
Dosiedział jednak; pióra tylko letsze
Z kity się jego rozpierzchły na wietrze,
Gdy włócznia wroga, jako maszt o skały,
O tarcz się jego strzaskała w kawały.
Silniej czy trafniej wymierzył snać swoję,
Bo przebił tarczę, kolczugę i zbroję,
I w piersiach wroga załamał żelezca.
Jeździec nie upadł — lecz słabszy od jeźdźca
Koń się zatoczył, i jak martwe brzemię
Runął, i pana pociągnął na ziemię.
Kranston wstrząśniony gwałtownością ciosu,
Nie widział nawet przeciwnika losu.

VII.

Lecz gdy po chwili obaczył leżących,
Konia i jeźdźca, w krwi własnej broczących,
Litość go zdjęła nad krewnym kochanéj;
Kazał karłowi opatrzyć mu rany,
I wieźć do zamku, by go wzięły straże.
„Śpiesz tylko, dodał, i spełń co ci każę!
„Mnie chwila droga; bom jeszcze nie gotów
„Iść na sąd Boży, by czekać na Skottów“.

VIII.

„Rzekł, i w cwał dalej puścił się dąbrową.
Paź patrzał za nim, potrząsając głową;

Nie miał on nigdy chęci do dobrego,
Lecz rozkaz pana był prawem dla niego.
Kiedy więc zaczął oglądać rycerza,
Księgę sterczącą ujrzał z pod pancerza,
Zdziwił się mocno, że rycerz tak dzielny
Jeździ z książkami jak klecha kościelny;
Potem, nie dbając, że ranny umiera,
Chciał naprzód wiedzieć co księga zawiera.

IX.

Lecz się z klamrami musiał biedzić długo:
Co odpiął jednę, i chciał odpiąć drugą,
Pierwsza znów mocniej niż wprzód zaskoczyła.
Zgadł, że je broni czarnoksięzka siła,
I że trud próżny, bo jej nie pokona,
Bez znaku krzyża, ręka nieochrzczona.
Lecz znalazł sposób na sztukę szatańską:
Krwią je z ran jeźdźca potarł chrześcijańską;
I gdy otworzył, z uwagą głęboką,
Trafił na rozdział, jak omamić oko [1]):
By zwierz człowiekiem, człek zdać się mógł zwierzem,
Rycerz dziewicą, dziewica rycerzem;
By sieć pajęcza w podziemnem więzieniu,
Zdała się rzeźbą na złotem sklepieniu;
Obronnym zamkiem lada chaty strzecha,
Nawą żaglowną łupina z orzecha;
Słowem, by w żywym czy martwym przedmiocie,
Pozór był inny, niż przedmiot w istocie.

X.

Karzeł się bardzo ucieszył z nauki,
Śmiał się, i w myśli snuł przyszłe swe sztuki.
I już wytrzeszczał wzrok na rozdział wtóry: —
Wtem wiatr zaświstał, i policzek z góry
Padł nań jak piorun; — wzrok mu się zamroczył,
Padł jak nieżywy i w kłąb się potoczył.
Powstawszy jednak, ogłuszony ciosem,
„No! starcze, bijesz!“ rzekł tylko półgłosem;
I choć ciekawość wrzała najgoręcej,
Do strasznej księgi nie śmiał zajrzeć więcej:
Której też klamry, straciwszy krwi plamę,
Znowu jak przedtem zamknęły się same.
Wziął ją jednakże i ukrył w swej szacie.
Lecz skąd policzek? — jeżeli spytacie,
Nic nie śmiem twierdzić: ale raz tak dzielny,
Nie mógł pochodzić od ręki śmiertelnéj [2]).

XI.

Karzeł tymczasem, choć wbrew swej ochoty,
Do nakazanej zabrał się roboty.
Podźwignął konia, jeźdźca złożył w łęku,
I sam za cugle prowadząc go w ręku,
Wiódł wprost do zamku; — straż oczarowana,
Widziała tylko, że wjeżdża wóz siana.
On wszedłszy w bramę, rycerza we zbroi
Niósł aż do Lady zaklętych podwoi,
I gdyby wnętrznych czarów się nie trwożył,
Na jejby łożu niechybnie go złożył.

Lecz stanął w progu, i niemiłe brzemię
Podniósł nad głowę, i rzucił o ziemię: —
Bo ile razy miał porę po temu,
Zawsze coś złego chciał zrobić każdemu;
I śmiał się dziko, potrząsając głową,
Gdy krew z ran płynąć zaczęła nanowo.

XII.

Wracając, ujrzał w dziedzińcu na dole,
Bawiące samo nadobne pacholę.
Wpadł zaraz na myśl, by nie tracąc czasu,
Zwabić je z sobą i uwieźć do lasu;
I nie mógł wstrzymać dzikiego chychotu,
Myśląc, co przez to narobi kłopotu.
Bo zły czyn każdy był jego żywiołem.
Zdał się więc dziecku chłopięciem wesołem,
I wyjść za bramę namówił je społem.
Tuż przy ich drodze przedmostowa warta,
Widziała tylko brytana i charta.

XIII.

Karzeł swą zdobycz prowadząc przez niwy,
Różne mu w lesie obiecywał dziwy.
Aż gdy zabrnąwszy w głąb ciemnego gaju,
Przyszli nad brzegi bystrego ruczaju,
Bieg żywej wody zniszczył nagle czary [3]),
I karzeł wrócił do kształtu poczwary.
Gdyby w tej chwili śmiał iść za swą chętką,
Męczyłby dziecię; — lecz przypomniał prędko

Moc jego matki, i bojąc się kary,
Wstrzymał rad nie rad złośliwe zamiary.
Krzyknął więc tylko na biedną dziecinę,
I dał skok w górę, i zapadł w gęstwinę;
Głos przerażliwy, ze śmiechem złączony,
Zabrzmiał: „stracony! stracony! stracony!“

XIV.

Dziecię przelękłe nadludzkim widokiem,
Nie śmiąc ni płakać, ni ruszyć się krokiem,
Drżało jak trzcina nad bystrym potokiem.
I gdy się wreszcie ozierając wszędy,
Chciało iść nazad, nieświadome kędy,
Na każdy szelest drzew albo powiewu,
Karzeł mu zdał się wyskakiwać z krzewu,
I śmiać się śmiechem szyderstwa i gniewu.
Tak coraz bardziej zbijając się z toru,
Zamiast do zamku, szło dalej wzdłuż boru;
Aż usłyszało z głębi dzikich jarów,
Gończe szczekanie myśliwych ogarów.

XV.

Głos bliżej, bliżej — aż tuż w ślady sarny,
Zziajany z gęstwy wypadł ogar czarny,
I wzniósłszy paszczę wietrzącą po tropie,
Rzucił się obces na bezbronne chłopię.
Była to scena malowania warta:
Gdy chłopiec widząc psa tylko, nie czarta,
Poczuł w swem sercu godne ojców męstwo,
I niepamiętny na niebezpieczeństwo,

Z twarzą i okiem iskrzącem od gniewu,
Plecami tylko przyparł się ku drzewu,
I gdy nań ogar już zęby wyszczerzył,
Kijkiem, co trzymał, tak zręcznie uderzył,
Że pies odskoczył, stanął, grzbiet najeżył,
I nie śmiąc kąsać, już tylko zdaleka
Szczekał zajadle, czekając człowieka.
Jakoż wnet, pełen zapału,
Myśliwiec nadbiegł, i psa gdy obaczył,
Pewny, że zwierza grubego osaczył,
Podniósł łuk jakby do strzału.
Wtem z drugiej strony głos zabrzmiał strzelecko:
„Hop, hop, Edwardzie! nie strzelaj, to dziecko!“

XVI.

Mówca po chwili ukazał się z chróstu.
Łucznik angielski, wysokiego wzrostu;
Krótki do kolan strój jego zielony,
Czapka z piórami, włos krągło strzyżony;
Na czapce świecił krzyż, Anglii znamię;
Trąbka myśliwska wisiała przez ramię,
Oszyta skórą wilczą, a za pasem,
Sajdak z strzałami, obok z kordelasem.
W ręku łuk trzymał, co o pięćset kroków
Jaskółkę umiał zrzucić z pod obłoków,
I smycz, co grożąc gdy podniósł do góry,
Pies skomląc tylko, warował z pokory.

XVII.

Łucznik nic złego nie czyniąc dziecięciu,
W silnem go jednak zatrzymał ujęciu,
I uspakajał w sposób przyjacielski.
Bo chłopiec widząc strój jego angielski,
Szarpał się strasznie; — a wtem też z kolei
Młodszy towarzysz, Edward, wyszedł z kniei.
„Hop, hop!“ — rzekł łucznik — „patrz, zdobycz nie marna;
„Lepiej się może opłacić niż sarna.
„Patrz, jak się szarpie! — ręczę bez zawodu,
„Że to jest dziecię wysokiego rodu“.

XVIII.

— „Pewnie że jestem! — chłopiec krzyknął groźno —
„Bo jestem Buklej, i dziedzic Branksomu.
„Puść mię! — bo będziesz żałował zapóźno.
„Puść mię, powiadam, lub odwieź do domu!
„Bo gdy mię więzić chcesz, zbójco bez wstydu!
„Wszyscy Skottowie od Esku do Twidu,
„Szukać mię będą; i tu gdy przybiegą,
„Zaraz cię z twoim i psem i kolegą,
„Mimo tych waszych długich strzał i łuków,
„Każę powiesić na pastwę dla kruków!“

XIX.

— „Ho, ho, mój mały! dzięki za chęć twoję!
„Lecz ja tak bardzo wysoko nie kroję.

„Ale gdy wzrośniesz — ho! nasi strażnicy
„Będą co mieli robić na granicy! —
„Tymczasem lordek niech z nami pójść raczy,
„Lord Dacre rad będzie, gdy ciebie zobaczy. —
„No, cóż Edwardzie! tęgi zuch z mołojca? —
„Nie lada zdobycz jest syn jego ojca!“

XX.

Rzekł, i nie bacząc na krzyki dziecięce,
Obaj z Edwardem wzięli go pod ręce,
I psa wołając, poszli nazad w knieje. —
Lecz próżne były dziecięcia nadzieje,
Usłyszeć tętent pogoni z Branksomu:
Nikt tam nie wiedział, że baron znikł z domu.
Bo karzeł kończąc złośliwą swawolę,
Ptakiem do zamku powrócił przez pole,
Wziął jego postać i grał jego rolę. —
Ale jak! — ludzie zachodzili w głowy,
Skąd mu tak nagle tak dzikie narowy!
Na cały zamek wrzeszczał, gdy się bawił,
Swych towarzyszów bił, szarpał, pokrwawił,
Jednego nawet omal nie zadławił.
Starszym się także przykrzył nieskończenie:
Zdarł nową suknię ciotce Magdalenie;
Rycerzom octu namięszał do wina;
I gdy Sym stary grzał się u komina,
Wsadził mu węgiel w ładownicę z prochem,
Aż się gmach cały wstrząsł jednym popłochem.
Lecz któżby wszystkie złe jego spamiętał? —
Dość, że myślano, że go czart opętał.

XXI.

Lady odrazu poznałaby czary,
I karzeł słusznej nie uszedłby kary;
Ale on wiedział, i stąd był tak śmiały,
Że Deloraine'm zajęta dzień cały.
Skoro go bowiem ujrzała na progu,
Pierwsza myśl była o nieziemskim wrogu,
Jeśli, choć czytać nie umiał wyrazów,
Śmiał zajrzeć w księgę wbrew danych rozkazów.
Lecz fałsz posądzeń uznała widocznie,
Postrzegłszy w piersiach załamaną włócznię.

XXII.

Zlekka ją zatem wydobywszy z rany,
Krew utuliła swemi talizmany;
I ani dłużej postała przy łożu:
Lecz go przy wiernym zostawiwszy stróżu,
Narzędzie rany wziąwszy tylko z sobą,
Poszła skuteczniej czuwać nad chorobą.
W gmachu, gdzie ludzkie oko nie dościgło,
Z żelezca naprzód zmyła krew zastygłą,
I wióry z drzewca strugając żelazem,
Kładła do wody; a za każdym razem,
Deloraine z bólu jęczał nieprzerwanie,
Jakby mu nożem wiercono po ranie [1]).
Lady nakoniec wyrzekła, że chory
Będzie zdrów całkiem od pory do pory;
Lecz nie przestała swych sztuk czarnoksięstwa,

Nie chcąc z uwagi spuścić bezpieczeństwa,
Męża tak znanej wierności i męstwa.

XXIII.

Tak dzień przeminął — i słońce bez chmury,
Za błękitnawe spuściło się góry,
Szczyt ich malując szkarłatem purpury.
Wieczór był cichy, powietrze łagodne,
Ziemia wesoła, i niebo pogodne.
Księżyc się zwolna wyiskrzał od wschodu,
Wietrzyk orzeźwiał tchem woni i chłodu;
W nieporuszonym wód rzeki kryształe,
Zamek się z brzegu odbijał wspaniale.
Najdzikszy nawet z zbrojnych towarzyszy,
Czuł w sercu urok pogody i ciszy:
Jakże więc Anny tkliwe serce młode,
Błogosławiło ciszę i pogodę,
Gdy sama jedna, na wysokim ganku,
Patrząc po niebie, marząc o kochanku,
Trącała zlekka swojej arfy strony:
Lub w dal bez celu szląc wzrok zamyślony,
Czekała zda się, aż błyśnie z za wzgórzy,
Miłej kochankom, wschód wieczornej zorzy!...
— Cóż jej ta gwiazda dobrego wywróży? —

XXIV.

Onaż to, ona? — co nagle tak w zmierzchu
Na Penchrist-Penu wyiskrza się wierzchu,
I jak kometa w powietrza przezroczy
Roztacza wstęgi czerwonych warkoczy? —

Nie! — to nie promień kochankowej gwiazdy!
To sygnał wojny! to mord i najazdy! —
Arfa z rąk Anny jak z jękiem wypadła,
Gdy chcąc zbiedz na dół struchlała i zbladła.
Wzrok się jej zaćmił — i mdłość nią owładła.

XXV.

Ledwo straż światło ujrzała promienne,
Z wszystkich wież trąby zabrzmiały wojenne.
I widzieć było, w godowniczej sali,
Jak się rycerze porwali od stołu!
I słyszeć było, chrzęst, łoskot, szczęk stali,
Gdy wszyscy na dół zbiegali pospołu! —
W krąg na dziedzińcu, przy bramach, wzdłuż szańców,
Wpół w cieniach nocy, wpół w świetle kagańców,
Migają hełmy, kołyszą się kity,
Konie parskają i biją kopyty;
Drzewce o drzewce trącają w natłoku,
Jak zmarzłe trzciny w zimowym potoku.

XXVI.

Seneszal*) w środku, z ubielonym włosem,
Prędkiem skinieniem, podniesionym głosem,
Daje rozkazy: — a sędziwe lica
Jaskrawa jasność pochodni oświeca.
„Na Penchrist-Penie sygnał się pali[5]).
„Trzy na Priesthawie; — na koń więc, dalej!

*) Major Domus.

„Na koń za Branksom!*) — Janie z Altonu!
„Spiesz zbudzić mężów klanu Dżonstonu! —
„Do Liddesdalu niema potrzeby
„Posyłać gońców; dość jest ażeby
„Ujrzeli sygnał: — któż z Eliotów,
„Któryż z Amstrongów zawsze nie gotów,
„Śpieszyć na pomoc braci swych Skottów? —
„Na koń Rodrygu! patrz wzdłuż granicy,
„Czy na swych miejscach stoją strażnicy. —
„Z was, gdzie kto może niech się przemyka,
„Byle o wrogu dostać języka! —
„Gilbercie! zapal oba sygnały;
„Wróg się znać zbliża w sile nie małej —
„Śpiesz! niech do broni kraj staje cały!“

XXVII.

Rzekł — zamek jednem rozległ się echem:
„Na koń, za Branksom!“ — Gońcy z pośpiechem
Wpadli na siodła: — każdy w swą stronę,
Pędzą za bramy; — mosty zwodzone
Brzmią jednem echem: — a trąby grają,
A straże krzyczą, konie chrapają, —
Szczęk, łoskot, hałas, huk nakształt gromu,
Zbudził z omdlenia Annę z Branksomu.

XXVIII.

Młody paź rzesko poskoczył na wały,
Z dwóch wież narożnych dwa błysły sygnały.

*) To było hasło wojenne klanu Skottów.

Z drew suchych wybuch czerwonych płomieni
Oświecił zamek i niebo rumieni.
Po nad ogniami dym w kłęby kręcony,
Czarny i gęsty, od spodu czerwony,
Wieje z wież obu, jak sztandar podwójny,
Złowrogie godło żałoby i wojny. —
I w mgnieniu oka, jak wzrok sięgnie zdala.
Ogień się widać po ogniu zapala:
Na ostrych skałach, na lesistych górach,
Gdzie orle gniazda kołyszą się w chmurach:
Na piramidach grobowych kurhanów, [6])
Gdzie śpią snać prochy dawnych kraju panów.
Rzekłbyś, na niebie rodzące się gwiazdy:
Każdy przeraża, zwiastując najazdy,
A jednak każdy ośmiela i cieszy,
Wróżąc, że bratu brat w pomoc pośpieszy.
Aż po nad Soltrą i Dumpender-Lawem,
Edynburg światłem przeraził się krwawem;
Aż okrzyk zbudził echa Lothianów: [7])
„Na koń! na odsiecz pogranicznych klanów!“ —

XXIX.

W zamku Branksomu do zorzy porannej,
Wciąż, jak z wieczora, trwał gwar nieustanny,
Czujność, i zapał, i trwoga.
Słychać jak toczą kamienie do bramy,
Widać na wieże jak windują tramy,
By je stąd spychać na wroga.

Kapelan kazał uderzyć we dzwony.
Dźwięk ich przeciągły, żałobnymi tony
Jęczy nad lasem i górą;
Zbudzone echem ciągłego rozruchu,
Psy niecierpliwe rwąc się na łańcuchu,
W dziedzińcach wyją ponuro.

XXX.

Lady podziela trudy Seneszala,
Młodszych zachęca i męstwo wychwala;
Z starszymi radzi i słucha wysłańców.
Wrócili wszyscy bez wieści i brańców:
Nikt nie wie pewno, kto? skąd? gdzie są wrogi? —
Jaka ich liczba, ni jaki cel drogi? —
Jedni twierdzili, że dziesięć tysięcy;
Drudzy przeciwnie, że to jest nic więcej,
Jak zwykły podjazd rabusiów z Tyndalu,
Po czarny haracz;[8]) i że z Liddesdalu,
Sami mieszkańcy wypędzić go mogą. —
Tak między ciągłą nadzieją i trwogą,
Przeszła noc straszna; i wszyscy we dworze
Z radością nowe powitali zorze.

Tu śpiewak umilkł; — w ciągu powieści,
Częste przemiany tonu i treści,
Którym podrażał arfy swej brzmieniem,
Znużyły siłę; — z ciężkiem westchnieniem

Wsparł się na arfie. — Wzruszone damy
Pytały tkliwie: czemu tak samy
Błądzi po świecie? Nikogoż niema,
Coby przytulił starca-pielgrzyma?
Nie maż-li córki, którejby tkliwość
Słodziła nędzę, wsparła sędziwość?
Nie maż-li syna, coby staranny,
Zapewnił ojcu chleb nie żebrany? —
— Ach! miał był kiedyś! — żal stłumił mowę,
Ku arfie białą pochylił głowę.
I widać było łzy, co po zbladłej
Twarzy, kroplami na pierś mu spadły.
Aż uroczystym tonem boleści,
Tak ciągnął dalej rym swej powieści.

PIEŚŃ CZWARTA.

I.

Tewiocie! już dziś wzdłuż twych brzegów
Nie płoną hasła bratobójczej wojny:
Pól twych nie wstrząsa cwał zbrojnych szeregów,
Echa twych gajów drzemią sen spokojny.
Prócz wierzb twych szmeru i fali mruczenia
Nic uroczego nie mąci milczenia
Twych wzgórz, łąk, łanów twych plennych;
Jak gdybyś nigdy, prócz fletni pasterskiej,
Nie słyszał głosu, ni trąby rycerskiej,
Ni szczęku mieczów wojennych!

II.

Nie tak się dzieje z rzeką życia ludzi:
Jakkolwiek nurt się jej wije,
Łzy co ją zmąci, krwi co raz ją zbudzi,
Żadna z niej siła nie zmyje.
Im bliżej ujścia swojej wiecznej bramy,
Tem czarniejszemi pokrywa się plamy:
Zgryzoty, żalu, lub winy,

Tyle lat temu! a dotąd tak żywo
Pomnę, jak wczoraj, tę chwilę straszliwą,
Gdy poległ syn mój jedyny!
Gdy hanowerskich muszkietów wystrzały
W ręku górali ich broń druzgotały,
A na ich czele walczył Dundee śmiały!...[1]) —
Czemużem razem nie zginął? —
Stało się! — poległ godny ojców męstwa,
Obok z Grahamem, na polu zwycięstwa:
Obok z nim będzie też słynął!

III.

Na pograniczu w dolinach i górach,
Wzdłuż i wszerz straszna rozbiegła się trwoga;
Po grzązkich bagnach, po zamierzchłych borach,
Lud rzucał domy i krył się od wroga[2]).
Na rozkaz Lady, noc całą i rano
Stada i trzody do zamku spędzano.
Niewiasty z dziećmi szły płacząc, gdy męże
Na ich obronę chwytali oręże.
Z wałów Branksomu widziano, jak bury
Dym tu i owdzie wzbijał się do góry,
I blask na niebie odbijał czerwony: —
Znak, że wróg krwawe rozpuścił zagony.

IV.

„Otóż i wieści o nieprzyjacielu!“ —
Krzyknął stróż; — „widzę zdaleka,

„Jak w bród przez rzekę, Watt Tinlinn z Liddelu,[3])
„Tu, znać przed wrogiem ucieka.
„Nie jest to napaść niesfornej gromady,
„Gdy jej Watt Tinlinn sam nie mógł dać rady.
„Stawiłbym szyję, że nie to wróg liczny,
„Lecz że dowodzi sam Lord nadgraniczny". –

V.

Ledwo domówił, ujrzano na błoniu.
Watt Tinlinn pieszo szedł obok przy koniu.
Konik był mały, kosmaty i czarny,
Lecz z kęp na kępy, przez bagna i tarny,
Sadził w cwał zręczniej od kozy lub sarny.
Teraz niósł panią z dwojgiem małych dzieci;
Pieszo za niemi szedł służalec kmieci.
Pani rumiana, czarnobrewa, biała,
Dumna ze srebrnych błyskotek co miała [4]).
Ręką znajomych z uśmiechem witała.
Łucznik był chudy, wysokiego wzrostu;
Stalna misiurka, ukuta po prostu,
I tarcz powłoką obwiedziona skórną,
Składały całą jego broń odporną.
Na krzyż przez plecy, miał sajdak szeroki,
I w ręku włócznię, od świeżej posoki
Znać zrumienioną; a zaś łuk śmiertelny,
Jeżył się w ręku połowicy dzielnej.

VI.

Tinlinn zdał sprawę o nieprzyjacielu.
„Wiliam Howard i lord Dacre potężny, [5])

„Idą tu sami na czele dzid wielu,
„Powadząc w pomoc Niemców huf zaciężny, [6])
„Co stał w Askerten na zimowych leżach,
„Najwyćwiczeńszy w mordach i łupieżach.
„Wczoraj przez Liddel w bród przeszli o zmroku,
„I dom mój najprzód spaliła dzicz wściekła. —
„Czart niech ich za to spiecze na dnie piekła!
„Nie był spalony już przeszło od roku! —
„Przy blasku jego iskrzystej pożogi,
„Przez grzązkie bagna, przez las i rozłogi,
„Uchodząc z dziećmi, szukałem mej drogi.
„I ledwom uszedł od pogoni krwawej:
„Fergus z Grahamu i Jan z Akeszawy,
„Tuż tuż w ślad za mną ścigali noc całą.
„Cierpiałem długo, lecz jak rozedniało,
„Wzięli za swoje; — w Priest-Scrogg, na zawrocie,
„Konie ich najprzód postrzelałem w błocie.
„Potem Fergusa, gdy uciekał z siodłem,
„Dopadłszy, dzidą na wylot przebodłem.
„Żal mi jest nieco biednej jego wdowy —
„Lecz już się stało! — spór nasz był nie nowy —
„Ostatnich zapust zabrał mi dwie krowy“. —

VII.

Wkrótce stwierdziły Tinlinna nowiny,
Co tchu z stron różnych czaty wracające;
A wszystkie głoszą, że za trzy godziny,
Stanie pod zamkiem wrogów trzy tysiące.
Lecz i zamkowi nie braknie obrońców! —
Na blask sygnałów, na wezwanie gońców,

Z gajów Ettriku, z nad Ailu brzegów,
Wzdłuż Tewiotu brzmi tętent szeregów.
Wszędzie mężowie siodłają swe konie,
Wszędzie niewiasty podają im bronie;
Bo każdy śpieszy ku odsieczy bratniej,
Bo biada temu, kto przyjdzie ostatni!
Szyderstwo dziewic i pogarda braci,
Równie lenistwo, jak tchórstwo zapłaci. —

VIII.

Przede wszystkimi, bohater klanu,
Z gór i zamierzchłych Gameskłu jarów,
Zastęp swych włóczni: Jan z Tirlestanu[7])
Przywiódł pod cieniem świetnych sztandarów.
Na tarczy jego, zaszczyt i chluba,
Lśni herb królewski: — króla Jakóba
Dar to pamiętny; — gdy nikt z wassali,
Z obozujących nad brzegiem Fali,
Nikt, oprócz niego, nie chciał iść dalej
Na wojnę, z cichych namiotów.
Odtąd na hełmie swym zamiast kity,
Nosi pęk włóczni laurem obwity;
Odtąd na tarczy napis wyryty:
„Jam gotów, zawsze jam gotów!“ —

IX.

Sędziwy starzec z okiem sokolem,
Zbrojno na koniu huf przywiódł bitny.
Na tarczy jego ze złotem polem,
Świecą Trzy Gwiazdy i Nów błękitny.

W krąg Oakwudu i Owru wieży,
Ciągną się jego pola przestronne;
Z ponad Bortwiku skalnych wybrzeży,
Jeżą się jego zamki obronne.
Tam, w lesistego głębiach parowu,
Rażąc powietrze echem swych ryków,
Pasą się trzody — nie jego chowu,
Lecz łup to wzięty z wrogów Anglików. —
Wódz napastniczy! jego zabawa:
Ranna potyczka, nocna wyprawa!
Ani go wdzięki Róży Yarrowu,
Zdołały z młodu wstrzymać od boju;
Ani wiek syty prac i obłowu,
Mógł mu dać uczuć słodycz pokoju.
Choć z pod szyszaku włos świeci biały,
Jak śnieg na skalnym szczycie Benwenu,
Sam pięciu synów, na polu chwały,
Uczy przykładem; — a gdzież tak śmiały,
Gdzie tak potężny, jak Lord z Hardenu?[8])

X.

Skottów z Eskdalu lud wojowniczy,
Z gór Todshaw-hillu przybieżał społem:
I mężny Hedschaw, wódz nadstrażniczy,
I chyży Whistlade, zwany sokołem.
Lecz któż wyliczy wszystkich, co śmieli,
Od Yarrow-Klejgu, do Czester-Glenu,
Od Hindhaw-Sweru, do Wudhouselie,
Szli, mając hasłem: „błoń Bellendenu?“[9])

I nigdy lepszych włóczni i mieczy,
I nigdy śmielszych serc i prawicy,
Ni ku napaści, ni ku odsieczy,
Nie było widać na tej granicy. —
I serce Lady wzniosło się w pychę,
Patrząc na dzielne konie i męże:
Tak, że rzuciwszy zaklęcia ciche,
Wolała w ziemskie ufać oręże.
Każe więc przywieść syna-dziedzica,
By wcześnie uczeń Marsowej szkoły,
Poznał przyjaciół swego rodzica,
I nawykł walczyć z nieprzyjacioły.
„Widziałam, rzecze, jak krucze gniazda
„Zbijał strzałami z wierzchołków skały;
„Na piersiach wrogów czerwona gwiazda,
„Pewniejszym celem będzie dla strzały.
„Ty go, Whistladzie, wesprzyj twą dłonią,
„Gdzie mu dziecinne siły nie starczą:
„Ty go ucz władać ojcowską bronią,
„I w razie zasłoń ojcowską tarczą!“ —

XI.

Łatwo jest zgadnąć, że świadom swej zdrady,
Karzeł nie życzył iść przed oczy Lady.
Udał więc trwogę i fochy dziecięce:
Tupał nogami, załamywał ręce,
Wrzeszczał, i jęczał, i łez lał potoki.
Aż przerażone piastunki i świadki,
Z trwogą oznajmić przybiegły do matki,
Że nań ktoś widać złe rzucił uroki. —

Lady niemiłej wysłuchawszy wieści,
Spłonęła ogniem wstydu i boleści:
„Precz z nim! — krzyknęła — precz z zamku Branksо-
„Nimby klan stał się świadkiem mego sromu! — [mu,
„W zamku Bukleju, nad brzegiem Ranglbornu,
„Tam niech nikczemnik żyje po klasztornu! —
„Ty Watt Tinlinnie, bądź mu przewodnikiem,
„Ni się daj wzruszyć prośbami ni krzykiem! —
„Bóg mię snać skarał w surowości swojej,
„Że się nikczemnik narodził z krwi mojej.“

XII.

Stokroć Watt Tinklinn przeklinał swą dolę,
Gdy przyszło na koń brać wściekłe pacholę.
Posadził jednak; — lecz koń przerażony,
Czując na sobie szatańskie straszydło,
Rżał, parskał, wierzgał, leciał jak szalony,
Nic nie pomogły ni bicz ni wędzidło.
Aż gdy przez pole przemknąwszy w zawody,
Trafił pod lasem na żywy zdrój wody,
Pierzchnęły czary; — i paź w oka mgnieniu,
Zmienił się w potwór, jak obraz w marzeniu.
Zeskoczył z siodła, i kręcąc ramiony,
Wrzasnął: „stracony! stracony! stracony!“
Lecz jak bądź szybko uciekał po brzegu,
Strzela Tinlinna dościgła go w biegu,
I aż po pióra zagrzęzła we grzbiecie. —
Nic mógł on umrzeć: lecz żyjąc na świecie,
Czuł ból po ludzku; — więc bieżąc po niwie,
Na czem świat stoi wrzeszczał przeraźliwie.

Łucznik, jak gdyby rażony od gromu,
Gnał wstecz co siły do zamku Branksomu.

XIII.

I już był stanął na wierzchołku góry,
Skąd widać u stóp i rzekę i mury,
Gdy nagle z głębi lesistych rozłogów,
Usłyszał hasła zbliżania się wrogów:
Dźwięk kobz, piszczałek, i wojennych rogów,
Zmieszany z bębnów łoskotem, i czasem
Ze rżeniem koni i ludzi hałasem.
I wnet nad niższe zarośle wzniesione,
Powiały z wiatrem chorągwie czerwone;
I widać było, gdzie gąszcz rzedniejąca,
Jak broń i zbroje błyskały od słońca.

XIV.

Przednia straż naprzód, na rączych koniach,
Rozpierzchłym szykiem hasa po błoniach,
Śledząc zasadzek i wrogów;
Za nią Kendalscy dzielni łucznicy,
Cali w zieleni, z łukiem w prawicy,
Mierzą krok z taktem swych rogów.
Tuż po za nimi, rzędem jak ściana,
We zbrojach Dakra jazda dobrana,
Szła z krzyżowymi sztandary:
Co niegdyś z Akry zdobytej szańców,
Wionęły grozą w hordy pohańców,
Męstwem w rycerzy swej wiary.

Zbroje na piersiach krzyżem znaczone,
Na krzyż przez piersi szarfy czerwone,
Twarz za kratami przyłbicy;
A przed ich szykiem, gronem minstrele,
Z kobzami w ręku, grają na czele:
„Lord Dacre, stróż naszej granicy!“ *)

XV.

Po za angielską jazdą i piechotą,
Szedł Niemców hufiec zaciężny;
Konrad z Wolfsteinu, zuchwały i mężny;
Krew ich frymarczył za złoto.
Tłuszcza bez prawa, bez kraju i domu,
Niedbała o nic, niekarna nikomu,
Gwoli pierwszemu, co lepiej zapłaci,
Gotowa przelać krew wroga lub braci [10]).
Broń ich też inna, niż noszą Anglicy:
W górę z ramienia tkwi rura rusznicy;
Z bawolej skóry marszczone kaftany,
Ściąga w pół ciała pas klamrą spinany;
Z lewego boku, zwieszona z pod pachy,
Wisi u szarfy ładownica z blachy;
Prawe kolano jest nagie, ażeby
Łatwiej na mury iść w razie potrzeby;
A wszyscy razem, w zwartym idąc szyku,
Śpiewali pieśni w swym twardym języku.

*) Słowa pieśni narodowej szkockiej.

XVI.

Lecz zgiełk się wzmaga — i głośniej, i śmielej,
Brzmią trąby, surmy, i kobzy minstreli,
Gdy na kraj pola, okutą we zbroje,
Lord Howard z lasu wywiódł jazdę swoję:
Straż tylną w szyku, lecz pierwszą na boje! —
Nie jeden młody ochotnik bez trwogi,
Szedł z nią, by złote zasłużyć ostrogi,
I na ognistym harcując rumaku,
Godłem swej damy wstrząsał na szyszaku.
Szli dwaj za dwoma, aż nad lasu brzegiem,
Długim. podwójnym stanęli szeregiem,
I „Święty Jerzy za Anglią!“ wokoło
Okrzyk z ust wszystkich rozległ się wesoło.

XVII.

Oczy Anglików, jak strzały, łakomie
Utkwiły wszystkie w warownym Branksomie,
Co tak już blisko, że słuch przenikliwy
Dosłyszy każde brząknienie cięciwy. —
Na wałach wkoło jeżą się błyszczące,
Ostrza halabard i włóczni tysiące;
Na wieżach stoją mosiężne haubice,
Gotowe ciskać grom i błyskawice;
Słupem z nadbramnych baszt, dym i popioły
Wieją z pod kotłów smażącej się smoły:
Deszcz to ognisty na nieprzyjacioły!
A od czerwonych promieni ogniska,
Śród kłębów dymu stal krwawo połyska.

Anglicy patrzą; — wtem most się odwala,
I z bram wyjeżdża rycerz, w którym zdala
Poznali wszyscy starca Seneszala.

XVIII.

W pełnej byli zbroi, prócz hełmu, a biała
Broda poważnie na pierś mu spływała.
Nie zgięty wiekiem, prosto siedział w łęku:
Wodze rumaka w lewym ściąga ręku,
I coraz bodźcem łechtając po bokach,
Zmusza go zwolna iść w ciągłych podskokach.
Na znak rozejmu, w prawicy nad głową
Trzymał do góry gałązkę wierzbową;
A za nim giermek, w bawolim kirysie,
Niósł rękawicę zwieszoną na spisie [11]). —
Skoro się zbliżył, wnet angielscy wodze,
Lord Dacre i Howard, by spotkać na drodze,
Wyszli na czoło wojsk swoich, ciekawi,
Co im ów goniec z Branksomu objawi.

XIX.

„Lordowie!“ — starzec rzekł — „Lady z Brankso-
„Pyta was przez mię: przecz i przeciw komu, [mu,
„Gwałcąc przymierze, co wiąże dwa kraje,
„Wiedziecie Niemców najemnicze zgraje,
„Kendalskie łuki i Gilslandzkie włócznie? —
„Lady wam radzi cofnąć się niezwłócznie;
„A jeśli dobra nie pomoże rada,
„Przez usta moje to wam zapowiada:

„Ze niechaj tylko tłum łupu łakomy,
„Spali nam w polu choć jedno zdźbło słomy;
„Niech tylko hałas lub szczęk broni waszej,
„Jedną jaskółkę z wież naszych wystraszy;
„Jako Bóg żywy! na zbójeckiej bandzie
„Ogniem i mieczem pomścim w Kumberlandzie!“ —

XX.

Dacre z gniewu ledwo dosłuchać go zdołał,
Lecz spokojniejszy Lord Howard zawołał:
„Cny Seneszalu! proś twej pani samej,
„Niech raczy zstąpić do zewnętrznej bramy,
„Tam jej przez usta herolda powiemy,
„Z czemeśmy przyszli, i z czem wrócić chcemy“. —
Seneszal wrócił, i wnet z Lady samą,
Stanął na murze, nad zewnętrzną bramą;
A wkoło klanu przedniejsi wodzowie,
Chciwi usłyszeć co herold opowie. —
W barwach Howarda, zbliżył się przez pole,
Wiodąc za rękę nadobne pacholę. —
O! widok matce straszniejszy od gromu!
Poznała syna, dziedzica Branksomu! —
Herold ją grzecznym witając ukłonem,
Wskazał na dziecię, i rzekł śmiałym tonem:

XXI.

„Lord Dacre i Howard, przeciw pięknej damie,
„Z boleścią serca muszą zbroić ramię;
„Ale im dłużej znosić nie przystoi,
„Widząc jak krewni i lennicy twoi,

„Wzdłuż granic naszych puszczające zagony,
„Lud nasz mordują i łupieżą plony,
„A ty, o pani! z ujmą czci imienia,
„Zbójcom w swym zamku udzielasz schronienia.
„Żądają zatem, by im był wydany
„Rycerz, Wiliamem Deloraine'm zwany,
„Na słuszną karę, jaka się domierza
„Na gwałcicielach wspólnego przymierza.
„Niedawno bowiem, jak o tem wie każdy,
„Złupił Stapleton na czele swej jazdy,
„I depcąc boskie i rycerskie prawa,
„Sam zabił brata Ryszarda Musgrawa.
„Gdy więc, jak widać, kobiecie i wdowie
„Trudno powściągnąć to złe, — milordowie,
„Chcą, abyś w pomoc, w zamku twego progi,
„Przyjęła dwieście angielskiej załogi.
„Inaczej, szturmem wziąwszy jego wały,
„Pługiem zaorzą te miejsca, gdzie stały:
„A syn twój, pani, w prostych paziów rzędzie,
„Na dwór londyński odesłany będzie". —

XXII.

Umilkł — lecz chłopiec lejąc łzy dziecięce,
W górę ku matce wzniósł drobne swe ręce,
I po imieniu zwał wiernych lenników,
By go wyrwali z przemocy Anglików. —
Serce się Lady ścisnęło boleścią,
I oko matki zaszło łzą niewieścią.
Bystro po wodzach spojrzała wokoło:
Każdy stał smutny, opuściwszy czoło.

A więc zamknąwszy na dnie męzkiej duszy,
Żal swój, co łkaniem chciał ulżyć katuszy,
Nieporuszona na pozór i śmiała,
Wyniosłym głosem tę odpowiedź dała:

XXIII.

„Idź, powiedz panom twym, co tak wspaniali
„Wojnę niewiastom i dzieciom wydali;
„Że się Deloraine, cel ich nienawiści,
„Albo przysięgą z zarzutów oczyści [12]),
„Lub na sąd boski, zgodnie z ludzkiem prawem,
„Stanie sam na sam do walki z Musgrawem. —
„Że krwi i z męstwa Deloraine, z pierwszymi
„Równać się może lordami waszymi;
„Z ręki Duglasa wziął rycerstwa znamię.
„Gdy krew angielska wzbierała w Ankramie; [13])
„I sam Dacre, gdyby nie rączość sokola
„Konia, co wtedy unosił go z pola,
„Dacre samby widział, czem w dniu tym bez trwogi
„Deloraine złote okupił ostrogi. —
„Co do młodego dziedzica Branksomu:
„Bóg niech go strzeże! — lecz ja w jego domu,
„Ja, póki żyję, nie dopuszczę sromu,
„By przyjaciela wydać w ręce wrogów,
„Lub wrogom naszym dać wstęp do mych progów! —
„Idź więc i powiedz dumnym twoim panom,
„Że gdy się dobrym nie cofną sposobem,
„Trąby wnet nasze zabrzmią śmierć ich klanom,
„A ten nasz okop stanie się ich grobem“. —

XXIV.

Rzekła, i z dumą spojrzała dokoła. —
Tirlestanowi gniew iskrzy się z czoła,
Walter z Hardenu zatrąbił — i razem
Cały gmach nagle zabrzęczał żelazem.
Z wież sto chorągwi rozwiło się w górze,
Tysiące mieczów błysnęło na murze,
I okrzyk w niebo wzbił się na kształt gromu:
„Święta Maryo! za Lorda Branksomu!“ —
Hasło angielskie ozwało się echem:
Jazda w tok włócznie złożyła z pośpiechem,
Łucznicy z trzaskiem cięciwy napięli,
Zabrzmiały trąby i kobzy minstreli
Pieśń, hasło szturmu i mordów:
Wtem — nim ostatni znak dano do boju,
Ujrzano gońca: — w kurzawie i znoju
Przypadł, i mówi do lordów:

XXV.

„Przebóg, lordowie! o! biada wam, biada!
„Pochód wasz wrogom odkryła snać zdrada,
„Co tu czynicie pod tymi murami,
„Twierdza przed wami, a wojna za wami? —
„W nieprzyjaciołach już się radość nieci,
„Że lew angielski dał się złowić w sieci.
„Z gór Ruberslawu, pod dzielnym Duglasem,
„Równina włóczni pokryła się lasem;
„Nieprzeliczony tłum lorda z Maxwelu,
„Tył wam zabiera od brzegów Liddelu.

„Z Dżedwudu,*) Esku i Tewiotdalu,
„Angus zastępy prowadzi;
„Z całego Mersu, i z niw Lauderdału,
„Hom ochotników gromadzi,
„Ja jestem Anglik, wygnaniec z mej ziemi,
„Ale Anglicy są braćmi mojemi;
„Ciche schronienie mam śród Liddesdalu.
„Lecz klęsk ojczyzny nie zniosę bez żalu:
„Co tchu więc stało pędziłem tu w nocy,
„By wam oznajmić o wrogów przemocy". —

XXVI.

— „Niech przyjdą — krzyknął Dacre — „na zgubę
„Znamię to ojca mojego i moje, [swoję!
„Co niegdyś godłem zwycięzkiej nadziei
„Wiało z wiatrami na brzegach Judei,
„Wnet z wież Branksomskich wzdymając się gro-
„Urągać będzie z przybyłych za późno! — [żno,
„Łucznicy! naprzód! — zdwójcie krok i męstwo!
„Kto Anglik, za mną! — śmierć albo zwycięstwo!" —

XXVII.

— „Stój! — rzekł mu Howard „przyjm radę przy-
„Ani sądź, proszę, że mówię z bojaźni; [jaźni.
„Bo i któż widział, by kiedy Lew Biały**)
„Zadrżał przed wrogiem, lub zszedł z pola chwały? —
„Ale tak na szwank stawić kwiat rycerstwa,
„Naprzeciw siłom całego królestwa;

*) Jedwood.
**) Herb Howardów.

„Chcieć w trzy tysiące zbić dziesięć tysięcy:
„Czyn taki byłby szaleństwem, nie więcej.
„Przetoż me zdanie jest przyjąć układy,
„Nim wieść odsieczy wzmoże duch osady.
„Musgraw swe spory niech kończy orężem:
„Jeśli zwycięży, my przezeń zwyciężem;
„Gdy się zaś szczęście odwróci od niego,
„Będzie to strata — lecz tylko jednego.
„Zresztą spokojnie, bez szkody i sromu,
„Jakeśmy przyszli, wrócimy do domu". —

XXVIII.

Nie w smak Dakrowi szły takie wyrazy,
Wstrzymał się jednak, i zmienił rozkazy.
Ale już odtąd, dawni przyjaciele
Nie stali razem na wojsk swoich czele;
I mówią ludzie, że ten powód gniewu
Był potem źródłem bratniej krwi rozlewu.

XXIX.

Herold na nowo zbliżył się pod wały,
I dźwięki trąby znów wodzów przyzwały.
Herold z obrzędem rycerskiego prawa,
Czynił wyzwanie w imieniu Musgrawa;
U stóp ich zbrojną rękawicę złożył,
I w takich słowach rzecz swoją wyłożył:
„Gdy Musgraw palmę zwycięstwa odbierze,
„W zakładzie u nas zostanie Lord młody;
„A za doznane gwałty i łupieże,
„Klan wasz nam wróci ubytki i szkody.

„Jeśliż Deloraine Musgrawa pokona,
„Puścimy wolno dziedzica Branksomu;
„A w każdym razie, ta i owa strona,
„Nie szkodząc drugiej, ani uszkodzona,
„Lud swój wojenny rozpuści do domu“. —

XXX.

Nikt z wodzów bliskich posiłków nie świadom,
Każdy więc w sercu rad był tym układom.
I próżno Lady dwuznacznemi słowy
Chciała przewłóczyć lub zerwać umowy;
Bojąc się wydać z wiedzą tajnych rzeczy,
I sztuki wyższej nad rozum człowieczy,
Przez którą miała wieść pewnej odsieczy:
Przystała w końcu, że nazajutrz rano,
W polu szrankami plac oznaczyć miano,
Gdzie z Deloraine'm Musgraw przed wieczo-
Stoczą bój pieszo, z szablą i toporem. [rem,

XXXI.

Wiem, że niejedni minstrele bajali,
Iż się bój taki, we zbrojach ze stali,
W szrankach odbywać zwykł konno:
Z kopią u toku, w całym pędzie koni,
I z mieczem w zapas, gdyby włócznie w dłoni
Prysły o tarczę ochronną.
Lecz mistrz mój w pieśniach — on lepiej to wiedział,[14])
I jak wam mówię, tak mnie opowiedział
Wszystkie tej walki obrzędy;

On, co tak prawa rycerskie Duglasów,[15])
I tak znał dzieje najdawniejszych czasów,
Jakby sam zawsze był wszędy!
To też nie ścierpiał, by żart czy zuchwałość,
Fałsz pieśniom jego lub niedoskonałość
Zarzucać śmiały przed światem;
I gdy raz wspólnie spełniali kielichy,
Za taki zarzut, w gniewie swojej pychy,
Wszczął spór z Reullem współbratem.
Nad Tewiotem, w samotnej ustroni,
Spokojne echa zbudził szczęk ich broni,
I Reull poległ w złą chwilę.
Mistrz mój, gdy ostygł gniew co go zaślepił,
Polany łzami krzew głogu zaszczepił
Na przeciwnika mogile.

XXXII.

Mamże wspominać pod jak krwawym ciosem
Legł sam, mistrz pieśni, z ubielonym włosem,
Jak osądzili go ludzie? —
Próżno głos jeden współziomków boleści,
I Ousenamskich dziewic płacz niewieści,
Błagały za nim w Dżedwudzie.
Umarł! — uczniowie jego po jednemu,
Płacząc tu po nim, już poszli ku niemu;
Ja tylko jeszcze, starzec nad mogiłą,
Stoję i płaczę, wspomniawszy co było;
I że już ucho moje nie usłyszy,
Śpiewanych nieraz pieśni towarzyszy; —

Bo zawiść moja zgasła razem z niemi,
A żal mi tylko został na tej ziemi.

Zmilkł — i znowu łza błysła w oku,
Którą wnet skrycie otarł na boku.
Lecz księżna uczuć przenikła skrytość:
I na wpół szczerze, na wpół przez litość,
Ona i damy, co go słuchały.
Jedna przed drugą pieśń uwielbiały.
Księżna się zdała dziwem przejęta,
Że tyle rzeczy wie i pamięta,
O rodach, co już dawno wymarły,
O czynach, co się w dziejach zatarły;
O zbrojnych zamkach, gdzie las dziś wzrasta,
Albo o lasach, gdzie teraz miasta;
O zapomnianych tylu zwyczajach,
I tylu mężach, w obu tych krajach,
Co je na własnych dźwigali siłach,
A tyle wieków śpią już w mogiłach,
Że już od wieków, zwodnicza chwała
Imion ich nawet pozapomniała,
I na skroń młodszych dała czcicieli,
Wieniec, za który krew swą przeleli.
Nie jestże dziwną pieśń, co tak budzi
Z grobu przeszłości, czasy i ludzi? —
Wieszcz się uśmiechnął: — bo gdzież pochwała
W uchu poety próżno zabrzmiała?
Ród prostoduszny! cel ich i pycha,
Czyjś krótki uśmiech, czyjaś łza cicha!

Temu z nich każdy, zapał młodzieńca,
Temu swe męzkie siły poświęca;
I gdy wiek nawet oziębi ducha,
Jeszcze pochwała iskrę rozdmucha,
I wyobraźnia jak zgonu bliska
Lampa, raz jeszcze kołem zabłyska.
Wieszcz się uśmiechnął — i tak z uśmiechem
Śpiewał, wtorując cichem strun echem.

PIEŚŃ PIĄTA.

I.

Nie zwijcie płonnem marzeniem minstrela,
Jeśli wam powie, że po zgonie wieszcza
Natura płacze swojego czciciela,
I żal swój po nim widomie obwieszcza.
Że mroczne lasy i skaliste góry
Z głębi swych pieczar wznoszą jęk ponury;
Że w kir obłoków stroją się niebiosy;
Że kwiaty nad nim sączą łzy swej rosy;
Że wiatr po lubych gajach jego wzdycha,
A szelest liści wtóruje mu z cicha;
Albo że woda wezbrana w strumieniach,
Jak gdyby łkała, brzęczy po kamieniach.

II.

Nic by w istocie, po śmierci człowieczej
Smucić się mogły nieżyjące rzeczy:
Lecz że wiatr, woda, las, przepaść i góra,
Niebo i ziemia, i cała natura,

Są echem żalu tych, co zapomniani
Na ziemi, w pieśniach żyli jeszcze dla niej,
A z śmiercią barda, ich pamięć u ludzi
Kona raz drugi, i już się nie zbudzi. —
Tkliwej dziewicy cień, która boleje
Że czystych uczuć jej zaginą dzieje,
Na grób śpiewaka, i z kwiatów ich wonie,
I świeżą rosę westchnieniem owionie.
Duch wojownika, widząc kres swej chwały,
Którą rozumiał że wieki czcić miały,
Ze wstydu w czarnych zawiwszy się chmurach,
Jęczy z wiatrami po lasach i górach.
Feudalny mocarz, poznając jak licha,
Jak marna była potęga i pycha,
Dla której kraje zamienił w pustynie,
A której z bardem ślad nawet zaginie:
Wyje z wściekłości po przepaściach ziemi,
I wody w zdrojach wzdyma łzami swemi.
A wszyscy w barda lutni oniemiałej,
Płaczą swej własnej pamięci i chwały.

III.

Ledwo co hasło cofniono bojowe,
I obie strony stwierdziły umowę,
Gdy z wież Branksomu, z Tewiotu brzegów,
Ujrzano przednią straż nowych szeregów.
Kurz tumanami kłębił się po błoni,
I słychać było głuchy tętent koni;
Ostrza sztandarów i włóczni tysiąca,
Jak gwiazdy w górze błyskały od słońca;

A rozwinione chorągwie znaczyły,
Gdzie który z wodzów, i jakie wiódł siły.

IV.

Cóż nada klany zwać po imieniu,
Z jakich szły grodów, gór, albo lasów?
Dość, że na przedniej straży znamieniu
Jaśniało Krwawe Serce Duglasów; [1])
Że w środku Siedem Lanc z Wedderburny, [2])
Dosiadło siedmiu orłów-dzianetów;
Że odwodowy hufiec poczwórny,
Wiódł Swinton, pogrom Plantagenetów! [3]) —
Lecz któż wyliczy wszystkich rycerzy,
Imię ich klanu, godło sztandaru:
Których z niw Mersu, z Twidu wybrzeży,
Wiódł młody Hepburn, i Hom z Dunbaru? [4]) —
Tłum różno-barwny szedł różnym szykiem,
Aż z gór ujrzawszy wieże Branksomu,
Zatrząsł powietrze jednym okrzykiem:
„Hom! Hom! za Branksom! naprzód Lord
[Homu!“ —

V.

Z zamku tłum gońców, giermków i rycerzy,
Na dzielnych koniach, w rodowej odzieży,
Cwałem przebiega równinę:
Klanom za pomoc dziękować uprzejmie,
Wodzom oznajmić o zaszłym rozejmie,
I ofiarować gościnę. —

Ale chcąc uczcić wodzów przyjacielskich,
Nie zapomniano i Lordów angielskich:
Seneszal, w obrzędnym stroju,
Stanął przed nimi, i w imieniu Lady,
Wzywa, by chętnym podziałem biesiady,
Stwierdzili układ pokoju. —
Lord Howard, który, jak w sztuce szermierskiej,
Nie miał równego w grzeczności rycerskiej,
Przyjął gościnność; lecz Dacre ku ochocie
Nie skory, wolał pozostać w namiocie.

VI.

Terazbyś, księżno, spytać może rada,
Jak się przeciwne dwa wojska spotkały,
Myśląc zapewne, że trud był nie lada,
Utrzymać pokój zaledwo nastały,
Gdy wojsko z wojskiem, na tej samej błoni,
Zawziętość w sercu, a broń mają w dłoni? —
Z mlekiem wyssana dziedziczna nienawiść,
Wzajemne krzywdy, i sąsiedzka zawiść,
Wszystko ich dzieli przez wieki;
Lecz się w tej chwili, układów świadomi,
Schodzą, witają, jak dobrzy znajomi,
Zszedłszy się w ziemi dalekiej.
Z uprzejmą twarzą, z rozjaśnionem czołem,
W krąg na murawie zasiadają społem,
W ufności, w zgodzie braterskiej;
Z rąk do rąk krąży napełniona flasza,
Jeden drugiego woła i zaprasza
Na podział uczty żołnierskiej.

Tam dwaj gdy wzajem podnieśli przyłbice,
Sąsiad sąsiada poznał o granicę,
Śmieją się, podają dłonie;
Młodzież gra w piłkę z palantem, lub w kości [5]),
A wszędzie wrzawa i gwar wesołości
Napełnia lasy i błonie.

VII.

A jednak wiedzcie, że gdyby w tej chwili
Trąby do boju znak dały:
Z tych samych, którzy jak bracia bawili,
Co razem z sobą igrali i pili,
Wrogiby wzajem powstały.
Wesołe echa po nad Tewiotem,
Nagleby zbrojnym zabrzmiały łoskotem,
I chórem jęków i krzyków;
A sztylet, który w prawicy bezbronnej,
Pomagał krajać na uczcie spokojnej,
Sam piłby krew biesiadników. —
Nagły ten przechód od uczt do zapasów,
Tak bywał częsty za tych dawnych czasów,
Że nie był dziwny nikomu [6]).
Tym razem jednak, spokojnie i zgodnie
Przeszedł dzień cały, i słońce pogodnie
Zaszło nad zamkiem Branksomu.

VIII.

Mrok nigdzie miłej nie przerwał zabawy:
I wkrótce słupy światłości jaskrawej,

Z sal biesiadniczych, przez okna zamkowe,
Sięgając rzeki, padły na dąbrowę.
I słychać w zamku, jak coraz weselej
Brzmi gwar biesiady i pieśni minstreli,
Którym, jak gdyby przeciągłemi echy,
Wtórują z zewnątrz obozowe śmiechy,
Żołnierskie śpiewy, lub wybuch hałasów,
Na wiwat imion: Dakrów lub Duglasów.

IX.

Ale im ciemniej, tem ciszej i ciszej
Brzmi ruch i gwary — aż całkiem ustały.
Z wałów Branksomu nic ucho nie słyszy,
Prócz szmeru rzeki, gdy pluska o skały.
I na równinie milczenie dokoła:
Prócz że gdzie niegdzie straż hasło zawoła;
Prócz że z tchem wiatru, z dalekiego boru,
Kiedy niekiedy zabrzmi szczęk toporu;
Gdzie robotnicy, wysłani z wieczoru,
Całą noc drzewo sposobią do szranek,
By stanąć mogły na jutrzejszy ranek.

X.

Anna nie bacząc na groźny wzrok Lady,
Powstawszy wcześnie od stołu biesiady,
Odeszła do swych pokoi;
Ani widziała, ile tkliwych oczu,
I ile westchnień, tajonych w uboczu,
Szło za nią na próg podwoi.

Nie jeden bowiem sprzymierzeniec młody,
W sercu jej słodkiej pożądał nagrody,
Za wierną przyjaźń dla domu;
Nie świadom o tym, co jak w myślach dziennych,
Sam tylko teraz w jej marzeniach sennych,
Zajmował Annę z Branksomu. —
Marzenia były ciężkie i zwikłane:
Więc uprzedzając świtanie rumiane,
Wstała, szukając im przerwy.
Z tyluset, którzy tu wczoraj zasnęli,
I z przyjacieli i z nieprzyjacieli,
Najlepsza, wstała najpierwej!

XI.

Wstała, i patrzy na dziedziniec próżny,
Który zalegał cień wieży narożnej,
I na dalekie rozłogi.
Wszystko w śnie twardym i ciszy ponurej,
Gmach i obozy: — a wtem się o mury
Odbił brzęk zbrojnej ostrogi.
Jezus Marya! sen-że to czy jawa? —
Oddech jej w ustach stłumiła obawa,
I serce w piersiach ustało.
To on! Lord Kranston! jak gdyby w swym domu,
Stąpa sam jeden w dziedzińcach Branksomu,
Stąpa spokojnie i śmiało! —
Mogłaż go duma lub ufność tak złudzić?
Gdy dość jednemu paziowi się zbudzić,
Dość by straż słowo wyrzekła:

Za wszystkie perły Królowej Maryjej,
Za wszystkie droższe od pereł, ach! łzy jej,
Śmierćby się jego nie zwlekła.

XII.

Lecz Kranston pewien był swoich zamiarów:
Karzeł albowiem nauczył go czarów,
Jak przybrać na się kształt cudzy;
I gdy przechodził przez bramę Branksomu,
Znanego wszystkim przyjaciela domu
Widział w nim strażnik i słudzy. —
Ale jakiegoż potęga uroku
Zaćmi przenikłość w kochającem oku,
Przeczucie w duszy młodzieńczej? —
Anna poznała — lecz drżąca i blada,
Nie wie co czynić; — i nim przyszła rada,
Lord Kranston u nóg jej klęczy.

XIII.

Nieraz myślałem, jaki cel prawdziwy
Mógł mieć w istocie ów karzeł złośliwy,
Gdy to ułatwiał spotkanie? —
Miłość szczęśliwa a czysta zarazem,
Nazbyt jest nieba na ziemi obrazem,
By znaleźć pomoc w szatanie.
Wpadam więc zawsze na ten domysł, czyli
Nie myślał raczej, że w uniesień chwili,
Namiętność popchnie do grzechu;

A wtedy widząc jej łzy i sromotę,
I jego rozpacz, i żal, i zgryzotę,
Miałby dość przyczyn do śmiechu.
Lecz podłe duchy pojąć nie są w stanie,
Co jest prawdziwe, szlachetne kochanie:
Drogi dar Niebios, który przed innemi
Bóg zesłał ludziom na osłodę ziemi.
Nie jest to wietrzny ogień wyobraźni,
Co póty gore, dopóki się drażni;
Nie z ziemskiej żądzy swej mocy nabiera,
Nie przez nią żyje, i nie z nią umiera.
Lecz jest to związek ducha z duchem, który,
Spaja się tajnem ogniwem natury,
I łączy węzłem niezrywnej jedności,
Dwa serca w życiu, dwie dusze w wieczności! —
— Ale zostawmy szczęśliwych kochanków,
A przejdźmy, gdzie się tłum kupi do szranków.

XIV.

Trąby z obozów zabrzmiały po łanach,
Wojska się ze snu porwały ochoczo,
Hufce po hufcach, i klany po klanach,
Jeden przed drugim ku szrankom się tłoczą;
Włócznie się jeżą nad głowami tłuszczy,
Jak nagie sosny w wypalonej puszczy.
A wszystkich oczy zwrócone ku drodze,
Skąd zapaśnicy i przedniejsi wodze
Z zamku przybędą za chwilę;

A każdy tego lub owego sławi,
Wróży mu tryumf, i zakłady stawi
Na jego męstwie i sile.

XV.

W zamku tymczasem toczyły się spory.
Walter z Hardenu i Jan z Tirlestanu,
Za Delorain'a, co jeszcze był chory,
Obaj chcą bronić czci jego i klanu.
Obaj uparci: — już jeden i drugi
Liczy swe prawa, wspomina zasługi,
Już gniew zaiskrzył w ich oku;
Słowo — a z sporu przejść mogą do zwady!
Próżne jednania przyjaciół i Lady: —
Gdy w tem — o! dziwny widoku!
On sam, Deloraine, już w zbroję odziany,
Zdrów, jakby nigdy nie odebrał rany,
Wszedł — sam chce bronić swej chwały.
Lady zdumiała nad skutkiem swych czarów,
Między wodzami znikł powód do swarów,
I trąby wyjścia znak dały.

XVI.

Lady jechała na czele orszaku,
Lord Howard pieszo szedł przy jej rumaku,
Ręką trzymając za wodze;
Z częstych uśmiechów i skinienia głowy,
Znać, że uprzejme i wdzięczne rozmowy
Wiedli nawzajem po drodze.

Lord zamiast zbroi godowe miał szaty:
Brabanckie tkania i perskie bławaty
Zdobiły kaftan bawoli;
Na zwierzchnim płaszczu haft połyskał drogi,
Złoty miał łańcuch, i złote ostrogi,
I kołpak z polskich soboli.
Miecz toledański, formy starożytnej,
Wisiał w szkarłatnej pochwie aksamitnej,
U pasa cudnej roboty,
Wassale widząc ten strój od przepychu,
Jeden drugiemu szeptali po cichu
Dawniejsze Lorda zaloty.

XVII.

Tuż po za Lady, krokami wolnemi
Stąpał koń Anny; — strój długi do ziemi
Igrał z tchem wiatrów nieśmiałych;
Twarz obwiewała przejrzysta zasłona,
Włos utrefiony spadał na ramiona,
Ujęty wieńcem z róż białych.
Gdyby nie Duglas idący koło niej,
Cuglów utrzymać nie mogłaby w dłoni,
Tak drżała w sobie i w ręku.
Duglas rozumiał, że blizki bój krwawy
Trwoży dziewicę: i koił obawy,
Zlekka wstrzymując ją w łęku.
Ale prawdziwa przyczyna katuszy
Nieodgadniona została w jej duszy,
I znać ją całkiem owładła:

Gdy wszedłszy ledwo na wysoki ganek,
Pod baldachimem wzniesiony u szranek,
Miejsce przy matce zasiadła.

XVIII.

Z boku, w obliczu obustronnych szyków,
Stał młody Buklej, pod strażą Anglików,
I cały w oku, z ciekawem obliczem,
Znać, że prócz bitwy nie myślał o niczem,
W szrankach Hom z Dakrem, na koniach, we [zbroi,
Bacznie, jak sędziom potyczki przystoi,
Plac rozmierzają od końca do końca,
Dzieląc korzyści powietrza i słońca.
I z ich rozkazu woźny, przy trąb dźwięku,
Głosi, by podczas walki zapaśników,
Nikt wzrokiem, ręką, ani niczem w ręku,
Nie dawał znaków, nie wydawał krzyków,
Pod karą śmierci z prawa i zwyczajów.
Skończył — i cichość nastała dokoła;
A heroldowie obu wojsk i krajów
Wyszli na środek, i każdy tak woła:

XIX.

HEROLD ANGIELSKI.

„Tu stoi Ryszard Musgraw, rycerz prawy,
„Mąż dzielny, z zacnej, wolnej krwi szlacheckiej;
„I Deloraine'a, za mord brata krwawy,
„Za łupież podczas napaści zbójeckiej,

„Ogłasza zbójcą bez czci i bez sławy,
„Zdrajcą przymierza i zgody sąsiedzkiej.
„A co rzekł, mieczem poprze w każdej porze:
„Tak mu dopomóż sprawiedliwy Boże!“ —

XX.

HEROLD SZKOCKI.

— „Tu stoi Wiliam Deloraine, mąż dzielny,
„Rycerz i wolny szlachcic; — i powiada:
Że Ryszard Musgraw jest kłamca bezczelny,
„Że żadne podłe morderstwo i zdrada
„Nie plamią jego czci nieskazitelnej;
„I niechaj potwarz na potwarcę spada!
„A co rzekł, mieczem poprze w każdej porze:
„Tak mu dopomóż sprawiedliwy Boże!“ —

LORD DACRE.

— „Bóg niech rozstrzyga! Do broni, rycerze!
„Trębacze! hasło!“ —

LORD HOM.

— „Bóg niech prawdy strzeże!“ —

Rzekł — i wnet echa ponad Tewiotem,
Trąb przeraźliwych i broni łoskotem
Zabrzmiały wszystkie zarazem:
Gdy się śród szranek dwaj współzawodnicy,
Z zapałem w sercu i gniewem w źrenicy,
Starli — żelazo z żelazem.

XXI.

Nie przed damami śpiewać przystoi,
Jak ostrza siekier grzęzły we zbroi,
Jak po nich krwawe płynęły strugi:
Bo siła równa i bój był długi.
Lecz gdybym śpiewał w obec rycerzy,
Mógłbym opisać wszystko najszczerzej: —
Bom i ja widział starcie puklerzy!
Bom i ja widział, jak się łamały
Włócznie o zbroje, i jak bryzgały
Krwią ludzką końskie kopyty!
A przecież nigdym nie cofnął kroku,
I nieraz ze mną wróg, oko w oku,
Zwarł się, i pierzchnął odbity.

XXII.

Stało się, stało! — hełm przeszła siekiera,
Zachwiał się, we krwi uśliznął na trawie,
Padł! — próżno jeszcze ostatek sił zbiera —
Już ci nie powstać Ryszardzie Musgrawie!
Krew pluszcze z rany: — przyskoczyli swoi,
Przecięli węzły u hełmu i zbroi,
Chcą podnieść z ziemi — daremne staranie!
Twarz coraz bledsza; — śpiesz, śpiesz kapelanie!
Niech szczera spowiedź i serdeczna skrucha,
W drogę wieczności usposobią ducha!

XXIII.

Sługa pokoju bieży na plac bitwy,
Nad konającym odmawiać modlitwy.
Z wiatrem w pośpiechu ulata włos biały,
Nagie się stopy krwią zafarbowały,
Gdy miejsce walki przebywał;
Ukląkł i bacznie nastawiając ucha,
Niezrozumiałych słów spowiedzi słucha,
Którą jęk często przerywał.
Słucha — i w górze przed jego oczyma,
Godło mąk ludzkich i zbawienia trzyma,
I budzi żałość za grzechy;
Każe zapomnieć nienawiści wroga,
Uczy jak ufać w miłosierdziu Boga,
I krzepi słowem pociechy.
Umierający wzniósł jeszcze powieki,
Oczy w krzyż wlepił — i zamknął na wieki.

XXIV.

Jakby wysilon spracowaniem bitwy,
Lub jakby z mnichem odmawiał modlitwy,
Zwycięzca stoi jak wryty;
Szyszaku nawet nie zdejmuje z czoła,
Głuchy na okrzyk, co brzmi dookoła,
Zimny na chwały zaszczyty.
Wtem nowe krzyki podziwu i trwogi,
Wzniosły się razem od zamkowej drogi,
Między szkockimi widzami;

Tłum się rozpierzcha: — człowiek, czy widziadło?
Wpół nagi, z usty i twarzą wybladłą,
Z rozczochranemi włosami:
Bieży — przeskoczył zagrodę — i oczy
Wpół obłąkane naokoło toczy...
Cóż to jest? jawa czy sen? —
Gwar przerażenia dokoła się szerzy:
Patrzają wszyscy, nikt oczom nie wierzy: —
To Wiliam de Deloraine! —
Lady się szybko porwała z siedzenia,
Sędziowie szranek skoczyli z strzemienia,
„Ktoś ty jest?“ razem spytali,
„Coś Deloraina wziął postać i lice,
„I w imię jego przyjął rękawicę?“ —
Zwycięzca milcząc odsłonił przyłbicę —
Lord Kranston! — milczą zdumiali.
On rzekł: „Walczyłem w obronie dziecięcia!“ —
I syna Lady przywiódł w jej objęcia.

XXV.

Przemogło dumę uczucie matczyne,
Całując, łzami oblała dziecinę;
Bo i wśród boju, jak bądź sobą władła,
Widziano nieraz jak drżała i bladła.
Lecz na Kranstona nie zwróciła wzroku,
Choć klęcząc u stóp snać czekał wyroku.
Długoby mówić, co za nim w tej chwili
Hom, Duglas, Howard, i drudzy mówili,
Prosząc i radząc, by wspólne niechęci
Rzucić nawzajem na wiatr niepamięci,

I by wzgląd słuszny na miłość i męstwo,
Zjednał im łaskę i błogosławieństwo.

XXVI.

Lady spojrzała na rzekę i góry.
Przypominając ich duchów wyrocznie;
I na Kranstona wznosząc wzrok ponury:
„Bóg, nie tyś przemógł! — Niebo chce widocznie
„Wrócić nam pokój i zgodę.
„Obyż się całkiem ziścił wyrok Boży!
„Przed wolą Jego pycha się ukorzy,
„Miłość mieć będzie swobodę“. —
Rzekłszy, dłoń Anny, co jak listek drżała,
Wzięła, i w ręce Kranstona oddała:
„Oto masz twoją nagrodę!
„Bądź zawsze wierny dla mnie i dla moich,
„Jak ja być pragnę dla ciebie i twoich:
„I niech Bóg czuwa nad wami!
„Bo dzisiaj jeszcze jest wasze wesele
„A wszyscy nasi zacni przyjaciele
„Zechcą podzielić je z nami“. —

XXVII.

W drodze do zamku, Lady przez połowę
Pojęła przeszłych wypadków osnowę,
Długą z Kranstone'm prowadząc rozmowę.
O jego karle, gdzie i jak go zoczył;
O bitwie, którą z Delorainem stoczył;

O księdze, którą paź zabrał mu skrycie;
I jak przez wziętych z niej nauk użycie,
Dziś go do zamku wprowadził o świcie.
Jak ukradł potem Deloraine'a zbroję,
W którą się Kranston przyodział na boje,
Za brata Anny ważąc życie swoje. —
Co było więcej — ukrył w tajemnicy,
I konia zwolna zwrócił do dziewicy.
Lady z swej sztuki nie szukała chwały,
Ani ją śmiała okazać w dzień biały;
Lecz w myśli swojej nim minie pół nocy,
Przysięgła użyć wszelkiego sposobu,
By dać karłowi uczuć gniew swej mocy,
I księgę nazad odesłać do grobu.

XXVIII.

Na cóż się przyda powtarzać do słowa,
O czem szła tkliwa kochanków rozmowa:
Jak Niebu dzięki czynili i śluby,
Że ich tak cudem zbawiło od zguby;
Jak Anna jeszcze bledniejąc z przestrachu,
Opowiadała, co czuła w tej chwili,
Gdy go dziś zano ujrzała w swym gmachu,
I gdy patrzała, jak w szrankach walczyli? —
Na co odkrywać serc ich tajemnice,
Wzruszeń, uniesień, szczęścia i wesela?...
Same to kiedyś poznacie, dziewice!
Gdy i wam wasza zaświta niedziela.

XXIX.

Deloraine jeszcze pozostał śród szranek.
Ledwo go ze snu obudził poranek,
Gdy z trwogą i przerażeniem,
Zewsząd oznajmić przybiegli mu swoi,
Że się ktoś w jego postaci i zbroi,
Zjawił pod jego imieniem,
I walczy w szrankach. — Na te straszne wieści,
Deloraine z gniewu zapomniał boleści:
I tak jak leżał w chorobie,
Pędził — i wszystkich przestrachu nabawił;
Myśleli bowiem, że szatan się zjawił
W żywego człeka osobie [7]). —
Z razu z nowego nie rad sprzymierzeńca,
Widząc w nim jednak Anny oblubieńca,
Rękę mu podał serdecznie;
Bo jak bądź dziki, zawziętej urazy
Nie chował nigdy za rany i razy,
Byle zadane walecznie.
Nie skory nawet był do krwi rozlewu:
Chyba w potyczce, lub w zapale gniewu,
Lub mszcząc się śmierci krewnego.
I teraz właśnie, nad martwym Musgrawem,
Patrząc nań okiem wpół gniewnem, wpół łzawem,
Tak zcicha mówił do niego:

XXX.

„Toż i na ciebie, Ryszardzie Musgrawie,
„ Przyszła godzina, żeś stanął przed Bogiem!

„Równieśmy sobie dokuczyli prawie,
„Tyś mnie, jam tobie był śmiertelnym wrogiem.
„Ja tobie brata, a ty mnie siostrzeńca
„Zabiłeś mieczem; i gdym wpadł w niewolę,
„Tyś tysiąc marków wziął za okup jeńca,
„I miesiąc w wieży przetrzymał na dole.
„Przysiągłem tobie nienawiść do grobu,
„Ścigałem wszędzie ogniem i żelazem,
„Ścigałbym zawsze, póki by z nas obu
„Nie poległ jeden, albo oba razem.
„Lecz już to przeszło! — odpoczywaj z Bogiem!
„Nikt szlachetniejszym nie może być wrogiem;
„Nikt śród gór waszych i naszych rozłogów,
„Nie ścigał dzielniej jeleni i wrogów! —
„Cud było patrzeć, gdyś konno za psami,
„Ślad w ślad je głosem poduszczał za nami, [8])
„A dźwięk twej trąbki, na każdym zawrocie,
„Najśmielszym skrzydeł dodawał w odwrocie! —
„Dałbym połowę mych lasów i błoni,
„Gdybyś żył jeszcze — lub poległ z mej dłoni!“

XXXI.

Rzekł, i stał jeszcze: — aż Lord Dacre z namiotu,
Wojsku swojemu dał znak do odwrotu. —
W twarzach rycerzy tchnął smutek głęboki,
Gdy brali z ziemi towarzysza zwłoki,
I przy rozwitych nad niemi znamionach,
Na tarczy w kolej nieśli na ramionach.
Przodem minstreli słychać śpiew pogrobny,
Z tyłu kapłani, w odzieży żałobnej,

Nucą *Requiem* i *Ave Maria*,
A dym kadzideł ku niebu się wzbija.
Po bokach jeźdzcy krokami wolnemi
Jadą, ostrz włóczni schyliwszy ku ziemi. —
I tak go nieśli śród swoich szeregów,
Skróś Liddesdalu, do Lewenu brzegów,
I w Holm-Koltramskiej świątyni dalekiej,
Obok z przodkami złożyli na wieki.

Śpiew zmilkł — lecz jeszcze strun dźwięk marsowy
Przedłuża, zda się, marsz pogrzebowy.
To brzmi głośniejszem, to cichszem echem,
Jakby wiał zdala z wiatru oddechem;
To się rozlega, jakby na górach,
To głuchnie, jakby w dołach i borach;
To słychać, zda się, pieśni minstreli,
To jakby cichy jęk przyjacieli;
Aż smutną nutę psalmu kapłanów,
Skończył poważnem brzmieniem organów.
Gdy muzyk spoczął — księżna go bada:
Czemu, gdy arfą tak cudnie włada,
Woli kraj, w którym fanatyzm dziki
Wyklął jak zbrodnię urok muzyki, [9])
I gdzie prócz tego ubóstwo ludu
Niema czem godnie nagrodzić trudu;
Gdy na Południu*) każdy ochoczy
Wspierałby mistrza arfy uroczéj? —

---

*) W Anglii.

Starzec, jakkolwiek miłą mu była
Arfa, co resztę dni mu słodziła,
Nie lubił jednak, gdy jej zalety
Ceniono wyżej niż rym poety;
Mniej znosił jeszcze, gdy kto kraj inny
Kładł wyżej jego ziemi rodzinnej;
Więc dumę, którą poczuł w swem łonie,
Tak wydał w pieśni, słowach i tonie.

PIEŚŃ SZÓSTA.

I.

Jest-że gdzie człowiek, sąż gdzie samoluby,
Co nigdy w sercu, nigdy w myślach swoich,
Nie rzekli z czuciem miłości i chluby:
„To jest ojczyzna, to kraj ojców moich!“
Którychby łzami nie zaszły powieki,
Gdy wspomną o nim w pielgrzymce dalekiej?
Którychby serce nie wrzało płomieniem,
Gdy go znów własnem obaczą spojrzeniem? —
O! gdy na świecie jest gdzie taki który:
Patrzcie nań, jakby na potwór natury!
I niechby błyszczał choć w mitrze książęcej.
Niechby miał w skrzyniach tysiące tysięcy:
Mimo tych blasków, tytułów i złota,
Dział jego będzie: wzgarda za żywota,
I śmierć podwójna — gdy z ciałem pospołu.
I pamięć jego zarzucą do dołu,
Bez czci, bez żalu, bez pieśni nagrobnych,
Na przykład kaźni do niego podobnych!

II.

O Kaledonio! posępna i dzika,
Piastunko marzeń wieszcza-samotnika!
Ziemio skał mrocznych i lasów zielonych,
Przejrzystych jezior i rzek zapienionych,
Ziemio mych ojców! — jakażby potęga
Zerwać zdołała łańcuch co nas sprzęga,
Dziś, gdy odwieczne twe drzewa i skały
Jedne już tylko na ziemi zostały,
W których mi jeszcze żyje przeszłość wspólna,
Gdym ja szczęśliwy, a tyś była wolna!
I których moją nie znudzę żałobą,
Nie zdziwię łzami, — nad sobą i tobą?
O! wy Yarrowu lesiste rozłogi!
Choćby nikt przez was nie wskazał mi drogi;
O! wy Ettriku rozłożyste gaje!
Choć już w was dzisiaj nikt mię nie poznaje;
O! Tewiocie! choć na twoim brzegu
Darń jest mi tylko łożem do noclegu;
Nie pójdę od was, cudzej żebrać strzechy,
Cudzej pomocy, ni cudzej pociechy!
Choćbym zbłąkany zaginąć miał z głodu,
Choćby krew skrzepła od nocnego chłodu:
Znajdą się przecież, co rękami swemi
Rzucą na oczy garść rodzinnej ziemi,
W której odpocznę z przyjaciołmi memi!

III.

Nie tak wzgardzeni, jak dziś ja minstrele,
Przybyli zewsząd na Anny wesele;

Z bliska i z dala przybyli wezwani,
Wojny i biesiad weseli kapłani! —
Żadne się bez nich nie działy obchody:
Z godów na bitwy, i z bitew na gody
Szli po kolei, i zmieniając nótę,
Krzepili męstwo, rzeźwili ochotę. —
Przed chwilą jeszcze na czele swych klanów,
Jątrzyli każdy gniew swych współziemianów;
A oto wspólnie wobec pary młodej,
Sławią wdzięk cichej miłości i zgody.
Jedni na kobzach, ci na arfach grają,
Młodsi tańcują, sędziwsi śpiewają,
Aż się ich echem mury rozlegają.

IV.

Długoby było wyliczać wam z rzędu,
Wszystkie przepychy ślubnego obrzędu:
Jak się w zamkowej zebrali kaplicy,
Damy, rycerze, Szkoci i Anglicy;
Jakie na szatach drogie aksamity,
Atłasy, hafty, lub złotogłów lity;
Jakie na głowach pióra albo kity,
Ze strusich, czaplich, albo rajskich skrzydeł,
Pływały w górze, w mgle dymu kadzideł.
Jak po ciosowych kamieniach podłogi,
Brzęczały miecze i złote ostrogi,
Gdy czyniąc miejsce przechodzącej parze,
Każdy w ślad za nią chciał biedz przed ołtarze.
Lub jak Lord Kranston płomienne źrenice
Zatapiał z dumą w narzeczonej lice;

Lub jak jej uśmiech, rumieniec lub bladość,
Zdradzały w kolej: wstyd, bojaźń i radość! —

V.

Byli, co potem głosili, że Lady.
Zajęta wrzkomo przyborem biesiady,
W rzeczy zaś nie śmiąc stanąć przed ołtarze,
Nie była razem; — to fałsz i potwarze!
Lady się wcale nie miała powodów
Obawiać świętych ni miejsc, ni obchodów.
Bo nie przez zgubną moc magii czarnej,
Lecz przez rachubę liczby planetarnej, [1])
Wiedziała tylko sposoby, przez które
Mogła zniewalać Duchy i Naturę.
Mówię co prawda — choć zgoła nie chwalę
Że się w te rzeczy wdawała zuchwale.
Lecz że w kaplicy była — ręczę za to.
Okryta czarną aksamitną szatą,
Na głowie miała ze strusiemi pióry
Tok aksamitny, jaskrawej purpury,
Szyty rzędami pereł, a u krajów,
Obramowany pasem gronostajów.
Na pięści sokół, w szkarłatnym kapturku,
Siedział, trzymany na jedwabnym sznurku [2]).

VI.

Obrzęd skończony: — gromada wesoła
Parami nazad wracała z kościoła.
W sali podłużnej, sklepionej w arkady,
Stał zastawiony stół świetnej biesiady.

Marszałek, podług wieku i godności,
Laską swą miejsca wskazywał dla gości;
Młodzi paziowie, z nożami ze stali,
Na znak krajania po rogach czekali.
Nad czaplą, głuszcem, bażantem, żórawiem,
I w samym środku wznoszącym się pawiem,
Z złoconym dziobem i odzianym w pióra, [3])
I nad łabędziem z Maryi jeziora: [4])
Nad głową dzika z kaledońskich borów,
Śród chorągiewek różnych barw i wzorów; [5])
Nad żubrem, sarną, i inną zwierzyną,
Ksiądz błogosławił krzyżem i łaciną. —
Wtenczas to z gwarem i wrzawą u stołu,
Zgiełk, hałas, łoskot zabrzmiały pospołu,
Zewnątrz i wewnątrz, i z góry i z dołu!
Bo tuż przy oknach, na zewnętrznym ganku,
Trąby i kotły grzmią wciąż bez ustanku;
Starzy wojacy, na przekór ich echu,
Podnoszą coraz ton głosu i śmiechu;
Młodzi tem śmielsi, że nikt ich nie słucha,
Młodym dziewicom szeptają do ucha.
Sokoły w górze, pod sklepieniem gmachu,
Słysząc tę wrzawę i krocząc z przestrachu,
Brzęczą dzwonkami i skrzydłami biją,
Wtorując chartom, co skomlą i wyją.
Tymczasem reńskie i burgundzkie wino,
Z flasz w roztruchany potokami płyną;
Jeden drugiemu ochoty dodawa:
Wszędzie śmiech, żarty, pijatyka, wrzawa.

VII.

Karzeł Kranstona, jak żadnej zręczności
Nie mijał nigdy do psoty i złości,
Widząc w tej chwili pijaną ochotę,
Rozpoczął swoją szatańską robotę.
I obiegając w krąg stołu biesiady,
To jątrzył żarty, to poduszczał zwady:
Aż wreszcie Konrad z Wolfszteinu, z natury
Skory do gniewu i zawsze ponury,
Dziś jeszcze bardziej, że mu w nocy z błonia
Skradł ktoś w obozie najlepszego konia:
Słowo za słowo, uniósł się do tyla,
Że rękawicą uderzył Hunthila,
Rycerza z dumnych Ruterfordów domu:
Na słowo karła, co mu pokryjomu
Szepnął, że Hunthil wie sprawców kradzieży. —
Hom, Duglas, Howard, i inni z rycerzy,
Skoczyli zaraz, by w pierwszym zarodzie
I koniec krwawej położyć niezgodzie.
Hunthil nic nie rzekł, lecz z twarzą surową
Zgryzł rękawicę, i potrząsnął głową [6]). —
Miesiąc nie minął — a już jak wieść niesie,
Ciało Konrada znaleziono w lesie,
Skrzepłe we własnej krwi, i już bez broni. —
Nikt nie mógł dociec, jak, z czyjej legł dłoni,
Lecz słychać było z powieści sąsiedzkiej,
Że Hunthil odtąd miecz nosił niemiecki.

VIII.

Karzeł się bojąc, aby oko Lady
Złośliwej jego nie dostrzegło zdrady,
Wymknął się, skrycie opuściwszy salę,
Gdzie godowali giermki i wassale,
Niemniej wesoło, hucznie i wspaniale.
Watt Tinlinn grając gospodarza rolę,
Uprzejmie gości częstował przy stole,
I pił, śród gęstych i głośnych okrzyków
Zdrowie Howarda i mężnych Anglików.
Red Roland, wzajem za gościnność domu,
Wzniósł toast Szkotów i lady Branksomu.
A każdym razem, z wielkich dzbanów, w kolej,
Szumiało piwo, płynące jak olej.
Wszyscy twierdzili, że równej biesiady
Nie było w zamku od przenosin Lady.

IX.

Karzeł poznawszy łucznika, któremu
Poprzysiągł zemstę od wczorajszej doby,
I widząc teraz że pora po temu,
Jął mu dokuczać różnymi sposoby.
A najprzód w słowach dojadł do żywego:
Mówiąc, jak Armstrong bawił żonę jego;
Jak sam z pod Solway uciekł z pola bitwy,
I gnał co siły, i trzepał modlitwy.
Potem się czając i, choć nie bez strachu
Chroniąc się ręki potężnej zamachu:
To go uszczypnął wpoiwszy paznokieć,
To oblał piwem, trąciwszy pod łokieć,

To mu z pod ręki skradł talerz z posiłkiem;
Aż pod stół wreszcie wcisnąwszy się chyłkiem,
Ostrem żeleźcem, znać w jadzie zmaczanem,
Nogę mu na wskróś przebił pod kolanem:
Bo mimo leków różnego sposobu.
Ból stąd i blizna zostały do grobu. —
Porwał się Tinlinn, zgrzytając zębami,
I stół przewrócił do góry nogami.
Ściany się dzikim zatrzęsły hałasem:
Każdy klął, krzyczał — a karzeł tymczasem
Wrócił do sali, i w kąt utajony,
Mruczał: „stracony! stracony! stracony!“

X.

Lady, by zabiedz wznawianiu się kłótni,
Przyzwała bardów i mistrzów na lutni.
Albert Groem, starzec, z powagą w obliczu,
Bard klanu swego, co na Pograniczu
Sam pan swój tylko, na swe hojne stoły
Brał równie szkockie jak angielskie woły: [7])
Powstał, i arfę trzymając na łonie,
Nucił pieśń prostą w układzie i tonie.

XI.

ALBERT GROEM.

„Była Angielka cudnej urody,
(Gdzie Karlil błyszczy od słońca w lecie);
Czułe jej serce Szkot zyskał młody,
Bo miłość wszystkiem rządzi na świecie.

„Jasno dzień ślubu wschodził ich oku,
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Lecz z nim ich szczęście zgasło o zmroku.
Choć miłość wszystkiem rządzi na świecie.

„Ojciec ją darzył bogatym strojem,
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Brat podał tylko czarę z napojem,
Gniewny, że miłość rządzi na świecie.

„Brat jej zazdrościł bogactw i złota,
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Nie chciał, by posag szedł w ręce Szkota,
By miłość wszystkiem władła na świecie.

„Wypiła kroplę — i twarz jej zbladła;
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
U nóg kochanka bez życia padła,
Jak dlań żyć tylko chciała na świecie.

„Kochanek mieczem przebił jej brata.
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Wszystkim należy taka zapłata,
Co szczerą miłość dzielą na świecie.

„Potem z rozpaczy, próżen nadziei,
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Wziął krzyż, i walcząc zginął w Judei,
Żyć bez niej dłużej nie chcąc na świecie.

„O wy! co kochać umiecie szczerze,
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);

Z westchnieniem za tych zmówcie pacierze,
Co dla miłości giną na świecie!“ —

XII.

Gdy Albert skończył skromną pieśń swych krajów,
Powstał bard Anglik, bratniego języka,
Niegdyś z swych ballad, sonetów i lajów,
Słynny szeroko na dworze Henryka.
Tam twoją złotą arfę, Fitztrawerze!
Wielbiły damy, lubili rycerze,
I Surrey — Surrey! niestety!
Komuż jest obcą cześć tego imienia?...
Rycerz bez skazy, poeta z natchnienia,
Kochanek z sercem poety![8])

XIII.

Z nim razem błądząc po dalekich krajach,
Nieraz gdy gwiazdy zabłysły na niebie,
Obaj w mirtowych lub w oliwnych gajach,
Pieśniami wzajem pocieszali siebie.
A tak był wdzięczny chór zlanych ich głosów,
Że nieraz wieśniak hiszpański lub włoski,
Brał je za echo, co płynąc z niebiosów,
Nad grobem Świętych brzmi hymn chwały Boskiej:
Choć treść obudwu ich pieśni jedyna,
Była Surreja luba, Geraldyna.

XIV.

O Fitztrawerze! któż znając twą duszę,
Wysłowić zdoła rozpacz twego serca,

Gdy przyjaciela, na śmierć i katusze
Skazał bezbożny Tudor przeniewierca? —
Gardząc tyrana łaskami i gniewem,
Głos barda mściwym odezwał się śpiewem;
I opuściwszy blask miasta i dworu,
On sam, z zielonych ogrodów Windsoru,
Szedł szukać ulgi w żalach swoich rzewnych,
W pośród Surreja przyjaciół i krewnych,
I dziś przy wodzu rodziny Howardów,
Był druhem jego, i przywódzcą bardów.

XV.

FITZTRAWER.

„Było to na Zaduszny Dzień; — serce Surreja
Drżało gwałtownie; — północ wybiły zegary.
W sercu jego z bojaźnią walczyła nadzieja:
Mistrz Kornelius, mędrzec, obiecał przez czary,
Choć go z kochanką morza dzieliły obszary,
Ukazać mu jej postać, i dać poznać razem,
Czy mu wiernie raz danej dochowuje wiary. —
Surrey ufał — lecz poszedł za mistrza rozkazem,
By wzrok i serce lubym nasycić obrazem.

XVI.

„Ciemna była komnata, osklepiona głazem,
Gdzie czarodziej rycerza wiódł z licem wybladłem.
Jedna tylko gromnica, z mistycznym wyrazem,
Na ołtarzu, okrytym kiru prześcieradłem,
Tląc się blado przed mrocznem, wysokiem zwierciadłem,

Rzucała blask na czarne dwóch tablic marmury:
Talizmany, z tajemnem wschodniem abecadłem;
Na magiczne narzędzia, koła i figury,
Śród których z laską w ręku stanął mistrz ponury.

XVII.

„Nagle w głębi zwierciadła, jakby białe chmury,
Jak mgły wznoszą się z dołu, spływają się z boków;
Skróś nich światło, jak gwiazda spadająca z góry,
Błysło w środku — i laską skinął mistrz uroków.
We szkle, jak z pod zasłony rozwianych obłoków,
Widać pańską komnatę: — w oknach blask księżyca,
Wpadając słupem, walczy z ćmą wieczornych mro-[ków:
W głębi lampa złocistą alkowę oświeca,
Na rzędach kolumn; — resztę okrywa ciemnica.

XVIII.

„Wszystko piękne — lecz stokroć piękniejsza dzie-[wica,
Nałożu z perskiej tkani, jakby wpół uśpiona,
Duma: — na śnieżnej dłoni smutne wsparła lica,
Włos niedbale rzucony spływa na ramiona,
I na tunikę białą; — przed nią rozłożona
Księga w drogiej oprawie; — w niej zda się przyczyna
Ciężkich westchnień, co gwałtem wznoszą się z jej ło-[na: —
To księga pism Surreja! — to jego jedyna,
Wiernie po nim tęskniąca, piękna Geraldina!

XIX.

„Surrey chciał biedz: — wtem obraz cofać się zaczy-[na,
Jak gdyby się zatapiał w przeźrocza otchłanie,

I znowu tło zwierciadła mgła powlokła sina. —
Tak złość twoja i zawiść, bezbożny tyranie!
Zaćmiły dni Surreja! — Niebo niech ci za nie
Odpłaci! — kara jego na twych synów syny.
Przekleństwo niechaj spadnie na twe panowanie:
Za twe łoże zbroczone krwią ofiar bez winy,
Za morderstwo Surreja, i łzy Geraldiny!"

XX.

Zgodne oklaski Anglików i Szkotów.
Zabrzmiały echem piorunnych łoskotów;
Bo wszystkim wspólna nienawiść Henryka.
Jako tyrana i wiary zmiennika.
Wtem z grona bardów powstał Harold młody.
Bard lorda Saint-Clair, co bawiąc z przygody
Gościem na uczcie u barona Homu,
Z nim razem przybył na odsiecz Branksomu.
Harold się rodził, gdzie jakby w okowy,
Między Orkadzkie ujęty ostrowy,
Ocean, wiecznie burzące się wały
Pieniąc się z rykiem roztrąca o skały.
Gdzie ród Saint-Clairów, potężny przez wieki, [9])
Rozciągał berło władzy i opieki.
I gdzie dziś jeszcze sterczące na skale.
Pokonywają czas, wichry i fale,
Gruzy ich zamku jaśnieją wspaniale.
Tam Harold pnąc się na skaliste wzgórza,
Po dniach i nocach, nad brzegami morza,
Dumał, lub okiem ścigając za łodzią,
Drżał, gdy się z wzdętą łamała powodzią,

A fal i wichru wściekłość rozdąsana,
Były rozkoszą wieszczego młodziana.

XXI.

I wiele wzniosłej, uroczej osnowy,
Miały dla barda te dzikie ostrowy!
Tu niegdyś w czasach zamarłych dla gminu,
Grzmieli orężem synowie Lochlinu;
Stąd brzmiała echem wieków powtarzana,
Trąba Fingala, i pieśń Ossyana.
Tu na skrzydlatych Oceanu Smokach,[10])
Królowie Morza, w mgły nocnej obłokach,
Srożsi niż burza i ocean razem,
Szli szukać łupu, z ogniem i żelazem! —
Niejedna dotąd zapadła dolina
Pomni hymn Skaldów na chwałę Odina;
Niejeden w runach kurhan tajemniczy
Spłynął krwią ofiar bałwochwalczej dziczy;
Niejedna saga, żyjąca w podaniu,
Przewodniczyła Harolda dumaniu.
Aż napojony duchem ich powieści;
Mglistej, posępnej, cudotwornej treści,
Przybył do zamku Roslinu, gdzie wonne,
Zielone smugi, i pola przestronne,
Milszym wzrok jego czarując obrazem,
Pieśń łagodniejszą natchnęły zarazem.
Zawsze się jednak z rzewnemi jej nóty
Łączył ton dawny ponurej tęsknoty.

XXII.

HAROLD.

„Słuchajcie, słuchajcie! nic głośnej powieści
Dzieł sławnych, rycerskich minstreli:
Lecz tęsknej, jak ciche westchnienie boleści,
Której godzien jest los Rozabelli.

*

„Patrz, starcze sterniku! jak nieba się chmurzą!
„Patrz młoda, nadobna ty pani! —
„Przyjm w zamku nadbrzeżnym gościnę przed burzą!
„Sterniku, zwiń żagle w przystani!

„Na głębiach już fala pianami się bieli;
„W poświstach dziś wichru o świcie.
„Rybacy słyszeli, krzyk ducha topieli,
„Co bliskie zwiastuje rozbicie.

„I nasi wieszczbiarze od wczoraj już wróżą
„Śmierć komuś w bezdennej otchłani.
„Więc, piękna dziewico! wyjdź na brzeg przed burzą!
„Sterniku, zwiń żagle w przystani!“ —

„Nie przeto, że młody Lord Lindsay w Rosli-
„Z orszakiem dziś bawi od rana: [nie
„Lecz śpieszę, że we łzach o każdej godzinie
„Wygląda mię matka stroskana.

„Nie przeto, że jutro turnieje w Roslinie,
„I że Lindsay lubi turnieje:
„Lecz ojciec mój smaku nie będzie czuł w winie,
„Gdy nie ja mu kielich naleję“. —

I nawa szła dalej, wbrew wichru i fali,
Po ryczącej morza topieli:
Tak na nic nie pomna, tak niczem niezłomna
Była młoda chęć Rozabelli.

*

„Nad zamkiem Roslinem dnia tego z wieczoru,
Blask dziwny śród niebios obwodu,
Zajaśniał — jaśniejszy niż blask meteoru,
Czerwieńszy niż księżyc u wschodu.

„I pałał noc całą, nad zamkiem i skałą,
Nad głębią wąwozu i jaru;
Z okolic Drydenu, i z skał Hawthorndenu,
Widziano jak łunę pożaru.

„I w zamku się wszystko zdawało w płomieniach,
Dziedzinice, i baszty, i wieże;
I kościół, gdzie w dawnych grobowych sklepieniach,
Śpią dawni Roslinu rycerze.

„I w środku kościoła, jak ogniem dokoła
Skrzył ołtarz, i strop, i kolumny:
I w grobach rycerzy, blask bił od pancerzy,
Leżących we zbrojach, bez trumny [11]).

„Pan zamku i pani, i goście zebrani.
Noc w modłach spędzili w Roslinie:
Bo rzecz to nie nowa, że jasność takowa
Śmierć wróży w Saint-Clairów rodzinie.

*

„Dwudziestu baronów z Saint-Clairów rodziny,
Śpi w grobach zamkowej kaplicy;

Lecz otchłań głębiny, i całun wód siny,
Są grobem nieszczęsnej dziewicy!

„Każdego z baronów, dźwięk pieśni i dzwonów
Prowadził do wiecznej pościeli;
Lecz świst huraganu, i ryk oceanu,
Głosił tylko zgon Rozabelli!“ —

XXIII.

Piosnka Harolda tak zajęła gości,
Że nikt nie zważał niezwykłej ciemności,
Co zwolna gmachu osiadła sklepienie.
Nie zmrok to jeszcze, nie słońca zaćmienie,
Nie mgła: — a jednak tak gruba pomroka,
Że obok blizcy stracili się z oka.
Że nikt swej ręki nie dojrzał u czoła. —
Cisza przestrachu obeszła dokoła,
I w sercu Lady wzbudziła się skrucha:
Poczuła przemoc silniejszego ducha!
Karzeł na ziemię padł, i przerażony
Jęczał: „znajdziony! znajdziony! znajdziony!“ —

XXIV.

A wtem skróś stropu, z piorunowym trzaskiem,
Strzał błyskawicy, gzygzakowym blaskiem.
Rozdarł ciemności; — wszystko w oka mgnieniu
Zdało się w iskrach i krwawym płomieniu.
Błysły na stole srebrzyste talerze,
Błysły na ścianach wiszące puklerze;

Wszystko co było, od góry do dołu,
Zalśniło ogniem i zgasło pospołu.
Piorun przeleciał wzdłuż po nad wszystkiemi,
I padł — gdzie karzeł, z jękami głuchemi,
Gryzł wściekle ręce, i wił się po ziemi.
Każdy, jak siedział, skamieniał z przestrachu.
Gęsty dym siarki rozszedł się po gmachu,
Blask z okien oblał doliny i wzgórza,
Łoskot się rozległ od morza do morza;
W zamku Karlilu, na wałach Berwiku,
Straż z bronią w ręku wybiegła do szyku.
Aż gdy się wreszcie wszystko uciszyło,
Pierzchły ciemności — lecz karła nie było.

XXV.

Wielu słyszało głos w sali Branksomu,
Wielu, przy świetle błyskawicy gromu,
Widziało widok nie ziemskiej natury.
Głos ten straszliwy zawołał jak z góry:
„Sam tu, Gylbinie!“ — a gdzie karzeł w trwodze
Jęczał, i piorun spadł nań na podłodze:
Śród kłębów dymu, wiejących po gmachu,
Jedni widzieli, jakby dłoń w zamachu,
Drudzy kraj szaty; innym się zdawało
Widzieć twarz ludzką, z długą brodą białą.
A każdy niemy, bez tchu i bez ruchu,
Drżąc bił się w piersi i korzył się w duchu.
Ale nikt nie był jak Deloraine, który,
Tak śmiały niegdyś z wprawy i z natury,

Teraz, jakgdyby sam rażony gromem,
Z zjeżonym włosem, z okiem nieruchomem,
Z ustami naścież, i twarzą wybladłą,
Stał jak ten, który obaczył widziadło,
I czyj się rozum z przestrachu obłąkał.
Aż zapytany, przerywanym głosem,
Słowo po słowie zaledwo wyjąkał:
Że widział starca z ubielonym włosem,
W pielgrzymim stroju, bez żadnego znaku,
I w pasie w złote godła zodyaku;
I choć nie mówił skąd mógł sądzić o tem,
Przysiągł, że starzec był Michałem Skottem.

XXVI.

Słuchali wszyscy blednąc z przerażenia,
Ale nikt nie śmiał przerywać milczenia.
Aż powstał z miejsca Duglas znamienity,
I bogobojnych obyczajem czasów,
Uczynił *votum* do Świętej Brygitty,
Patronki domu i rodu Duglasów;
Że nie wracając do domu, z obozu
Wprost na pielgrzymkę pójdzie do Melrozu,
I mszę zakupi za Michała duszę.
Wnet wszyscy inni, w pokorze i skrusze,
Czyniąc znak krzyża i wstając od stołu,
Każdy z osobna, i wszyscy pospołu,
Brali na świadki swych świętych patronów,
Że razem pieszą pielgrzymkę odprawią,
I przy odgłosie organów i dzwonów,
Obrzęd żałobny za Michała sprawią.

Lady tymczasem, z uchyleniem czoła,
Czyniąc akt wnętrznej pokory i skruchy,
Przysięgła w imię Boga i Kościoła.
Zerwać na zawsze z czarami i duchy.

XXVII.

Mamże wam dalej śpiewać o weselu,
Co tak przerwane, po dniach ledwo wielu
Święcono znowu, z książęcym przepychem,
Tańcem, pieśniami, arfą i kielichem? —
Ja tym nie byłem, ale ci co byli,
Długo w swych pieśniach weselnego tonu,
Sławili zgodnie i błogosławili
Kwiat Tewiotu i lorda Kranstonu. —
Właściwsze dla mnie są posępne nuty,
Które pielgrzymom brząkali minstrele,
Gdy nucąc hymny i psalmy pokuty,
Szli do Melrozu, z Duglasem na czele.

XXVIII.

Z rękami na krzyż, włosieniem odziani,
Boso, powrozem grubym przepasani,
Szli z wolna jeden za drugim.
Prócz echa psalmów, ni gwaru, ni śmiechu,
Ni słów, ni kroków, ni prawie oddechu,
Nie słychać w rzędzie ich długim.
Rycerska śmiałość i książęca pycha
Znikły z ich czoła: a pokora cicha
Wzrok ich schyliła ku ziemi.

Szli, i nikt chwili nie wytchnął ze znoju.
Nikt zdźbła pokarmu, nikt kropli napoju
Nie dotknął usty spiekłemi.
I do kościoła o północy głuchej,
Weszli, posępni, milczący jak duchy,
W białych kapicach, wybladli:
I przed wielkiego ołtarza stopniami,
Jeden za drugim, jak stali parami,
Twarzą na ziemię upadli.
Nad nimi dawnych znamiona rycerzy,
W grobach pod nimi proch ich ojców leży;
W lampach z ołtarza jaśnieje krzyż Zbawcy,
A w świetle jego, Święci i Wyznawcy,
Jak w blasku chwały wiekuistej, biali,
W ściennych framugach nieruchomi stali.

XXIX.

A wtem z ubocza, naprzeciw ołtarzy,
W głębi dalekich, mrocznych kurytarzy,
Po dwóch, szeregiem, z klasztoru:
Przy dzwonów, dzwonków, i kadzielnic brzęku,
Z krzyżem na czele, z gromnicami w ręku,
Kapłani idą do choru.
Na białych komżach ich czarne kaptury,
Krok ledwo znaczny, ton śpiewu ponury,
Twarz światłem gromnic pobladła:
Rzekłbyś, że ciemne otwarły się groby,
I że po sobie obrządek żałoby
Same sprawują widziadła. —

Opat w tyarze, z pastorałem w dłoni,
W mgle przeźroczystej dymiących się woni,
Po ukończonych modlitwach,
Błogosławieństwem powitał rycerze:
By niezachwiani w jedności i wierze,
Niezłomni byli na bitwach! —
Równo ze świtem, śpiewaną mszą świętą
Wielki, żałobny obrzęd rozpoczęto
Za duszę Michała Skotta.
Z wieży kościelnej wciąż bito we dzwony,
Księża śpiewali msze i antyfony,
Aż echem sklepień ponuro wtórzony
Śpiew pogrzebowy i nuta:
„Dies irae, dies illa,
„Solvet saeclum in favilla“,
Zabrzmiały z dźwiękiem poważnych organów.
I gdy się godzi, świętemi ich słowy
Skończyć pieśń ziemskiej i błahej osnowy,
Te były słowa kapłanów:

XXX.

HYMN ZA UMARŁYCH.

„Straszny dzień sądu Twojego, Panie!
Gdy się otworzą grobów otchłanie,
Gdy wszelkie ciało z martwych powstanie,
Któż gniew twój wtedy wytrzyma, Panie?

„Gdy jak pargamin spalone zwoje,
Niebiosa zwiną błękity swoje,

Gdy ziemia z jękiem pęknie na dwoje:
Przy czemże grzesznik ja się ostoję?

„Lecz Tyś jest Bogiem, Ty ojcem, Panie!
W tobiem ja złożył moje ufanie:
Ty, racz nade mną mieć zlitowanie,
W straszny dzień sądu Twojego, Panie!“ —

Bard skończył powieść; — lecz czyliż znowu,
Gajem Ettriku, brzegiem Yarrowu,
Poszedł, jak przedtem, pod gołem niebem
Spać, i żebranym karmić się chlebem? —
Nie! — tuż przy bramie zamku Newerku,
W gajowym cieniu dęba i świerku,
Wzniosła się barda ustroń wesoła.
Skromna lepianka: — ale dokoła
Kwitł bujny sadek, grodzony głogiem,
Siedzenie z darni było przed progiem,
W środku kominek — przed którym codzień,
Niejeden zwykle grzał się przychodzień,
Lub gospodarza chętnej rozmowy
Słuchał, zasiadłszy w wieczór zimowy. —
Bowiem udzielać innym gospody,
Której sam żebrać musiał był wprzódy,
Była to starca rozkosz jedyna.
I nieraz wtedy kieliszek wina,
Nieraz zmięszany ze łzą wdzięczności,
Za zdrowie księżnej przepił do gości.

Tak przechodziła zima; — lecz z wiosną,
Gdy gaj brzmiał ptasząt wrzawą radosną,
Gdy smug Harhedu, Bowhillu wzgórza,
Krasiły kwiaty, wieńczyły zboża,
A szum wód rwących lodu okowy,
Łączył się z szumem Blandro dąbrowy:
Wtenczas na pięknych brzegach Yarrowu,
Duch wieszczy w starcu ożywał znowu;
Wtedy znów śpiewał rycerskie dzieje,
Wesołe uczty, świetne turnieje,
Miłość, zabawy, łowy i bitwy,
Lub swój ojcowski żal i modlitwy.
Przechodnie stając w milczeniu głuchem,
Echa słów chciwem łowili uchem;
Starcy słuchając wspomnień przeszłości,
Rzeźwieli w sercu ogniem młodości;
Młodzi rzucając płoche zabawy,
Ssali z nich żądzę podobnej sławy;
A wszyscy zewsząd ze czcią bieżeli,
W dom ostatniego z szkockich Minstreli.

PRZYPISY AUTORA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 235. Ustał w Branksom gwar biesiady.

Za panowania Jakóba I. króla Szkocyi, sir Wiliam Skott z Buccleugh, naczelnik klanu tegoż imienia, nabył baronię Branksom, wraz z zamkiem, położonym nad rzeką Tewiotem, który stał się odtąd głównem siedliskiem możnej tej i potężnej w swoim czasie rodziny. Ustawiczne napaści ze strony pogranicznych Anglików i wojenny charakter panów Branksomu, używających ochoczo prawa odwetu, uczyniły zamek ten jednym z najważniejszych punktów na Pograniczu między Anglią i Szkocyą, i stały się powodem do ciągłych a silnych środków ostrożności, opisanych w tekście. Następcy sir Wiliama rozszerzyli go i wzmocnili; lecz w roku 1571 królowa angielska Elżbieta, rozgniewana na rodzinę Buklejów, za kilkakrotne łupieże jej granic i za sprzyjanie królowej Maryi Stuart, wysłała przeciw nim znaczne wojsko, które zburzyło zamek i spustoszyło baronię Branksomu. Sir Walter Skott, będący naówczas jej właścicielem, odbudował natychmiast zamek, który potem wdowa po nim, Małgorzata z domu Duglasów, mocnymi zewnątrz murami obwarować kazała. — Dziś zamek ten leży w ruinach, prócz czworokątnej wieży narożnej, zadziwiającej grubością swych murów.

2. Str. 237. Rok ledwo upłynął,
Jak Lord Walter zginął.

Sir Walter Skott, nastąpił po swoim dziadu Dawidzie w r. 1492. Śmierć jego była skutkiem krwawych niezgód, wynikłych między klanami: Skottów i Karrów, albo Kerrów. Dla zrozumienia wielu miejsc w tekście, musimy wejść w bliższe szczegóły tego wypadku. — W r. 1526, hrabia Angus, z domu Duglasów, wraz z innymi członkami tej przemożnej rodziny, korzystając z nieletności króla Jakóba V., rządzili krajem jak chcieli, i nikt im oprzeć się nie śmiał. Król wszakże, jakkolwiek nieletni, niecierpliwie znosił ich jarzmo i szukał wszelkich sposobów, aby się mógł z niego wyzwolić. Napisał więc własną ręką tajemny list do lorda Buccleugh, prosząc go, aby zebrawszy krewnych swych i przyjaciół, i wszystkie jakie będzie mógł siły, pośpieszył z niemi do Melrozu, gdzie król w towarzystwie Duglasów, w powrocie z Dżedburgu do stolicy, miał się zatrzymać na nocleg, i aby go z rąk Duglasów wyzwolił. Tymczasem na powitanie króla, przybyli tamże ze swoim ludem naczelnicy licznego i potężnego klanu Karrów, lordowie: Hume, Cesford i Fernyhirst, którzy zaledwo nazajutrz oddalili się do domów, gdy ujrzano z drugiej strony nadciągające wojsko Bukleja. Duglasowie domyślając się jego zamiarów, wywiedli przeciw niemu straż królewską i cały zbrojny swój orszak. W bliskości wzgórza Halidon-Hill, przyszło do krwawej z obu stron bitwy; zwycięstwo długo było niepewne; aż nakoniec uwiadomieni o tem przez gońca Karrowie, wrócili z drogi, i uderzywszy na tylną straż Bukleja, wojsko jego do ucieczki zmusili. Nie przestając na tem lord Cessford, puścił się w pogoń za pierzchającymi, mordując bez litości kto mu tylko wpadł w ręce; aż sam nareszcie, przez jednego z domowników Bukleja, włócznią zabity został. Odtąd oba te klany zaprzysięgły sobie wieczną nienawiść, która po wielekroć w następnych latach była hasłem domowych między nimi wojen. Za najgłówniejszy ich wypadek można uważać śmierć samego Sir Waltera Skotta, zabitego przez Karrów

na ulicach Edynburga w r. 1552, o czem właśnie jest mowa w tekście.

3. Str. 238. Próżno razem w pielgrzymim stroju,
Do miejsc cudownych szli wszędy.

Pomiędzy wielu innymi środkami, jakich używano dla przywrócenia zgody między klanem Skottów i Karrów, wodzowie obu zawarli między sobą układ, mocą którego obowiązali się odbyć razem cztery pielgrzymki do miejsc cudownych w Szkocyi, dla odprawienia wspólnych modłów za dusze poległych. Środek ten atoli nie wydał pożądanych owoców: gdyż wojna pomiędzy nimi wkrótce znów, z większą jeszcze niż przedtem zaciętością wybuchła.

4. Str. 239. Lord Kranston jej oblubieniec.
Cessfordów był pokrewieniec.

Familia Kranstonów była jedną ze znakomitszych na Pograniczu. Stolicą jej był zamek Crailing, nad Tewiotem. Kranstonowie, przez pokrewieństwo z Karrami, długo byli w wojnie z klanem Skottów, aż nakoniec około r. 1557 jeden z nich pojął córkę lady Branksomu, która kilku laty przedtem trzymała w oblężeniu jego zamek i czyhała na jego życie.

5. Str. 240. Ojciec jej mędrzec głęboki,
Szczep możnych Bethunów domu.

Rodzina Bethunów albo Beatownów, pochodząca z Francyi, miała swe posiadłości w hrabstwie Fife, i wydała wielu znakomitych ludzi; między innymi kardynała Bethune, i dwóch arcybiskupów glasgowskich. Z niej pochodziła Joanna Bethune, małżonka zamordowanego Sir Waltera Skotta, niewiasta pełna odwagi i nauki, tak, że przesądne umysły przypisywały jej znajomość sztuki czarnoksięzkiej.

6. Str. 240. Ni przed nim, ni za nim cieniu
Od ciała jego nie było.

Podług tradycyi gminnej, cień czarnoksiężnika był niezależnym od słońca. Dawny pisarz Glycas, pisze o jednym

z nich, Symonie Magu, iż ten rozkazał swemu cieniowi, aby zawsze tylko szedł przed nim, i przez to wzbudził mniemanie u ludu, iż to był duch, który mu wszędzie towarzyszy. Jest jeszcze inne podanie w tym względzie. Podług niego, skoro uczniowie sztuki czarnoksięzkiej uczynią w niej pewne postępy, muszą przebiegać wszyscy razem przez ciemną, podziemną salę, gdzie dyabeł pędzi za nimi, i chwyta tego, który jest ostatnim; chyba że i ten będzie zmykał tak prędko, że wpadnie do drzwi pierwej nim go dyabeł dogoni; a wtedy cień tylko jego zostaje się w ręku szatana. W takim razie ciało czarnoksiężnika nie będzie już rzucało cienia, ci zaś, którzy tym sposobem *cień swój stracili*, uważani są zawsze za największych magów.

7. Str. 240. Że na jej straszne zaklęcia,
Nadziemskie drżały widziadła.

Wiara w duchy pośrednie między niebem a ziemią, mieszkające w powietrzu lub w wodzie, jest dość powszechną między ludem szkockim, który przyznaje im moc wzbudzania wichrów, powodzi i tym podobnym fenomenów, których przyczyny pojąć i wytłómaczyć nie umie. Sądzi także, że się mięszają często do spraw ludzkich, niekiedy w celu szkodzenia, niekiedy chcąc im dopomódz. Wiele tego rodzaju wypadków znajduje się w pieśniach i podaniach gminnych. Wspominam o tem, aby usprawiedliwić wprowadzoną w tekście rozmowę Duchów Rzeki i Góry.

8. Str. 245. Zmylił najlepsze Percego ogary.

Królowie i bohaterowie Szkocyi, równie jak pograniczni rabusie, musieli nieraz uchodzić przed pogonią psów, wprawionych do tego rodzaju łowów. Robert Bruce, między innymi, wiele razy był przez nie ścigany, i raz swe ocalenie winien był tylko przytomności umysłu, z jaką rzucił się wpław do rzeki, i za pomocą wiszącej nad wodą gałęzi, wdrapał się potem na drzewo: przez co zatarł swe ślady

i uszedł ścigającej pogoni. Utrzymywano, że jedynym sposobem zbicia z tropu takich ogarów, było rozlanie krwi na ich drodze, której zapach miał węch ich osłabiać. Mniemanie to kosztowało życie nie jednemu jeńcowi.

9. Str. 247. Skąd głośny w pieśniach zbójca przemożny,
Czyhał przed laty na łup podnożny.

Mała wieżyczka na malowniczym szczycie góry Minto, zowie się dotąd *łożem Barnhilla,* i miała być siedliskiem zbójcy tego imienia, który całą okolicę postrachem napełniał.

10. Str. 249. Halidon-Hillu obaczył wzgórze.
. . . . . .
Przyjaznych, dotąd Skottów i Karrów.

Halidon był starożytnym siedliskiem Karrów z Cessfordu. Pole bitwy lorda Duglasa z Buklejem, zowie się dotąd Polem Potyczki. Ob. notę 2.

PIEŚŃ DRUGA.

1. Str. 251. Kto dziś Melrozu chcesz zwiedzać ruiny.

Starożytny i piękny klasztor Melrozu, założony był przez króla Dawida I., który z powodu swej pobożności i hojności w zakładaniu kościołów i klasztorów, uważany był za świętego. Same jego ruiny przedstawiają dziś jeszcze najpiękniejszy wzór architektury i rzeźby gotyckiej; kwiaty, liście i całe krzewy, rznięte są z taką delikatnością i dokładnością rysunku, że trudno jest pojąć, aby tak trwały kamień, z jakiego cały gmach był zbudowany, mógł być tak doskonale wyrobiony dłutem. Kościół i klasztór poświęcony był Najświętszej Maryi Pannie; księża zaś należeli do zakonu Cystersów.

2. Str. 254. A stopą głazy deptali grobowe.

Korytarze lub zewnętrzne krużganki w dawnych klasztorach szkockich służyły często za miejsce pogrzebu dla księży.

3. Str. 256. Na groby wasze, wodzu Otterburny,
I Liddesdalski mocarzu!

Jakób i Wiliam Duglasowie. Pierwszy zwyciężył Anglików i poległ sam w stanowczej bitwie pod Otterburną w r. 1388. Drugi, najwaleczniejszy rycerz w Liddesdalu, żył za czasów króla Dawida II. Pamięć wielce chwalebnych czynów skaził morderstwem przyjaciela i towarzysza broni, Sir Aleksandra Ramsay, z którym ubiegał się o urząd szeryffa w swojem hrabstwie; albowiem, gdy go król Ramsajowi powierzył, Duglas wiedziony zemstą, napadł nań, gdy w Hawiku sprawiedliwość domierzał, i zawiódłszy do swego zamku w więzieniu głodem zamorzył. Rząd w Szkocyi był naówczas tak słaby, a raczej Duglas tak potężny, że król, nie mając siły ukarać, mianował go następcą Ramsaya. Wkrótce jednak potem Sir Wiliam zamordowany został na łowach, przez krewnego swojego, mszczącego się, jak powiadają, za śmierć Ramsaya, który był jego przyjacielem.

4. Str. 257. Był to grób króla szkockiego.

W kościele Melrozu znajduje się dotąd wielki marmurowy kamień, pokrywający, jak mówią, grób Aleksandra II., jednego z najdawniejszych królów Szkocyi.

5. Str. 257. Tam, w Salamance, zdarzenie mi dało
Napotkać Michała Skotta.

Michał Skott z Balwearie, żył rzeczywiście w wieku XIII. Był to człowiek wielkiej nauki, którą po większej części nabył w obcych krajach. Pisał komentarze do Arystotelesa i wiele traktatów o fizyce, z których widać, że się dużo zajmował astrologią, alchemią, fizyognomistyką i chiromancyą,

co zapewne było przyczyną, iż między współziomkami za czarnoksiężnika uchodził. Dante nawet wspomina o nim w *Boskiej Komedyi,* jako o sławnym czarnoksiężniku. Historycy szkoccy, a między innymi Lessly, mówią o nim jako o najuczeńszym w Szkocyi, w owym czasie, człowieku. W powieściach i podaniach ludu imię jego niemniej jest sławne. W południowej Szkocyi, każde dzieło, które wymagało wiele pracy, a którego początek ginie w dalekiej starożytności, przypisywane jest zwykle *Staremu Michałowi,* Wallasowi, lub dyabłu. Niewiadomo z pewnością, gdzie jest pogrzebiony, jedni twierdzą, że w Holm-Koltramie, w hrabstwie Northumberland; drudzy, że w opactwie Melrozu; lecz wszyscy zgadzają się na to, że czarnoksięzkie jego pisma i księgi pogrzebione są z nim razem, lub zachowane w klasztorze gdzie umarł; ale że nikt ich bez niebezpieczeństwa otworzyć nie może, z powodu zawartych w nich inwokacyi złych duchów. Zabobonność panująca w Hiszpanii, i pozostałe tam szczątki umiejętności arabskich, czyniły ten kraj w opinii gminu, ulubionem siedliskiem czarnoksiężników. W Toledo, Sewilli i Salamance były publiczne szkoły do wykładu magii, to jest nauk, uważanych za mające związek z jej tajemnicami. W tem ostatniem mieście, nauki te wykładały się w głębokiej jaskini, którą potem Izabella, żona króla Ferdynanda, zamurować kazała.

6. Str. 257. Z wież same dzwony na trwogę dzwoniły,
I wieże drżały w Paryżu.

Z pomiędzy wielu tradycyi o Michale Skocie, umieszczamy tu jedną, jako mającą związek ze słowami tekstu: „Jednego razu poruczono mu poselstwo do Francyi, w celu wyjednania u tamecznego króla zadosyć uczynienia za wielokrotne rozboje morskie, których poddani jego dopuszczali się na Szkotach. Nowy poseł, zamiast przyspasabiać się jak zwykle do podróży, zamknął się w swoim gabinecie, otworzył czarnoksięzką swą księgę, i wywoławszy dyabła, w postaci czarnego konia, rozkazał mu zanieść siebie do Paryża. Gdy

przelatywali nad morzem, chytry dyabeł zapytał go: „Co szepcą stare baby w Szkocyi, gdy się kładą do łóżka? — Mistrz mniej doświadczony odpowiedziałby może: *Pater noster* lub *Ave Maria;* co dałoby moc i prawo dyabłu, rzucić go natychmiast do morza; lecz Michał krzyknął nań głosem groźnym: „A tobie co tego? pełń co ja tobie każę!“ — i czart posłuszny niósł go dalej w milczeniu. Przybywszy do Paryża, przywiązał swego konia u bramy pałacu, a sam szedł śmiało do króla i sprawił się ze swego poselstwa. Łatwo jest pojąć, że poseł przybywszy w takiem *incognito*, i tak nieszanujący form dyplomatycznych, nie mógł znaleźć dobrego przyjęcia; i już król zabierał się do dania mu odmównej i pogardliwej odpowiedzi, gdy Michał prosił go jeszcze, aby się wstrzymał na chwilę, aż koń jego trzy razy nogą w ziemię uderzy. Za pierwszem uderzeniem zatrzęsły się wszystkie dzwonnice i wszystkie dzwony zadzwoniły same; za drugiem, trzy największe wieże w zamku królewskim runęły; i już straszliwy rumak podnosił nogę do góry, aby raz trzeci uderzyć, gdy przestraszony król przystał na wymagania Michała, byle się prędzej pozbyć takowego gościa. Pomimo wszakże tej mądrości i tej potęgi, Michał Skott, równie jak sławny jego poprzednik Merlin, dał się uwieść podstępom i padł ofiarą zdrady niewieściej. Żona jego, czy też kochanka, wyłudziła od niego tajemnicę, iż sztuka jego zasłania go od wszystkich niebezpieczeństw, prócz jednego, jakiemby dlań było spożycie bulionu, gotowanego z mięsa niepłodnej świni, który byłby dla niego najzjadliwszą trucizną. Zdrajczyni przyrządziła mu wkrótce wymienioną potrawę, poczem mędrzec umarł natychmiast, mając jednakże dość czasu, do skarania wprzód śmiercią niewiernej swej powierniczki.

7. Str. 258. Co szczyt Ejldonu rozszczepał na troje,
I przez Twid rzucił most z głazu.

Jednego razu Michał Skott był w wielkim kłopocie, z powodu dyabła, któremu musiał zawsze dawać coś do

czynienia. Kazał mu więc budować most kamienny na Twidzie, co dyabeł w ciągu jednej nocy uskutecznił. Następnie zalecił mu, aby podzielił na trzy części górę Ejldon, jeden tylko naówczas mającą wierzchołek. Dyabeł za noc wszystko wykonał. Nakoniec czarnoksiężnik zwyciężył niezmordowanego szatana, rozkazawszy mu wić liny kotwiczne z piasku morskiego.

8. Str. 260. Cudowna lampa wewnątrz jego gore,
Której blask duchy odraża.

Jan Posta, i inni autorowie piszący o magii naturalnej, mówią wiele o wiecznych lampach, znajdywanych jakoby w grobowcu Tulioli, córki Cicerona. Lampy te miały być dziełem czarów, a knot ich był z amiantu.

9. Str. 262. Że martwy zmarszczył się srogo.

Wiliam Deloraine mógłby znaleźć potwierdzenie swego zdania, w gminnych powieściach hiszpańskich, o sławnym Cydzie Rodrygu. Gdy ciało tego wielkiego bohatera leżało na paradnych marach, obok wielkiego ołtarza, w katedralnym kościele w Toledo, gdzie było wystawione przez lat dziesięć; żyd jeden przez urągowisko chciał je pociągnąć za brodę. Lecz zaledwie dotknął ręką zwisających wąsów, gdy umarły porwał się nagle, i miecz z pochwy do połowy wydobył. Żyd przelękniony uciekł, i skutkiem zbawiennego przestrachu, przyjął potem wiarę chrześciańską.

10. Str. 267. Karzeł barona trzymał jego konia.

Pomysł karła Lorda Kranstona, wzięty jest z podania gminnego o niejakim Gilpinie Horner, który się był zjawił i przebywał czas jakiś pomiędzy góralami na Pograniczu szkockiem. Osoba mieszkająca w pobliżu tamtych okolic, udzieliła mi w tym względzie następujących szczegółów: „Dwóch ludzi późnym wieczorem prowadziło konie na paszę, gdy usłyszeli nagle w zaroślach głos wykrzykujący te

tylko słowa: „Stracony! stracony! stracony!“ — „Co tam u dyabła straconego?“ — zawołał jeden z wieśniaków — i w tejże chwili ukazała się przed nimi istota, mająca wprawdzie kształt ludzki, ale zadziwiającej małości, i potworna w podstawie i rysach. Obaj wieśniacy uciekali jak mogli, tem bardziej, że straszydło pędziło tuż za nimi; gdy zaś jeden z nich upadł, przeskoczyło przez niego, i prędzej od nich samych stanęło i rozgościło się w ich domu. Jak długo potem w nim przebywało, z pewnością powiedzieć nie mogę, ale jednakże dość długo. Było to stworzenie z krwi i z ciała, bo jadło, piło i nadewszystko lubiło mleko, nie żałując go sobie, skoro mogło dostać. Charakter jego zdawał się być złośliwy, albowiem lubiło bić i męczyć dzieci. Oburzony tem dnia jednego gospodarz, tak je mocno uderzył pałką po głowie, iż wszyscy myśleli, że zabił. Karzeł upadł, ale wnet powstał na nogi, mówiąc tylko: „No, gospodarzu, ależ bijesz mocno!“ — Jednego wieczora, gdy kobiety zajęte były dojeniem krów, a karzeł bawił się tamże z dziećmi, usłyszano mocny i przenikliwy głos, wołający trzy razy: „Gilpin Horner!“ Karzeł porwał się i zawołał: „To ja! trzeba iść!“ — i to wyrzekłszy zniknął, i już go odtąd nie widziano więcej. — Z innego poważnego źródła wiem jeszcze tę okoliczność, że karzeł oprócz wyrazu: *stracony,* który ciągle powtarzał, wspominał też czasem imię jakiegoś Piotra Bertram, i usłyszawszy ów głos wołający, poznał, że to był głos jego. Zdaje się więc, że ten Piotr Bertram, musiał to być zły duch jaki lub czarnoksiężnik, od którego uciekło to szatańskie karlę. Dodać tu jeszcze muszę, że nie znam żadnej gminnej legendy, którąby tak szeroko znaną była w Szkocyi, i w którąby tyle nawet bardzo znakomitych i oświeconych osób wierzyło.

11. Str. 269. Obraz z kaplicą spalili.

25 czerwca 1557, Lady Joanna Bethune, wdowa po Lordzie Buccleugh, i wielka liczba Skottów, krewnych jej męża, oskarżonych zostało o czyhanie na życie Lorda Kran-

stona, znajdującego się na pielgrzymce w kościele *N. Panny Dolin,* i o spalenie tegóż kościoła, gdy ich nadzieja zdobyczy zawiodła.

PIEŚŃ TRZECIA.

1. Str. 275. Trafił na rozdział, jak omamić oko.

Ta czarnoksięzka moc ukazywania się w cudzej postaci, lub ukazywania innego całkiem pozoru rzeczy, zowie się w dziejach zabobonności szkockiej, techniczym wyrazem *glamour*. O skutkach jej, oprócz gminnych, mamy nawet historyczne podania. I tak, Froissart opowiada, że w r. 1381, gdy książe Anjou oblegał jakiś zamek na brzegach neapolitańskich, czarnoksiężnik jeden obiecał mu, iż za pomocą swej sztuki tak potrafi zgęścić w jednem miejscu powietrze, iż oblężonym będzie się zdawało widzieć most wzniesiony nad morzem, którem był otoczony zamek, i że tem przestraszeni oddadzą się na łaskę Książe zapytał go, czy rzeczywiście ludzie jego będą mogli wejść po tym moście do zamku? — „Za to nie mogę ręczyć, odpowiedział czarnoksiężnik, albowiem skoroby się z nich który w czasie przechodzenia przeżegnał, most runąłby natychmiast i wszyscyby potonęli razem w morzu“. — Książe zaczął się śmiać, a młodzi rycerze wołali: „Nie przeżegnamy się żaden, rozkaż, książę, niech czyni swe sztuki!“ — Lecz w tejże chwili hrabia Sabaudi wszedł do namiotu księcia, i ujrzawszy czarnoksiężnika rzekł: iż on to właśnie oddał ten zamek w ręce Karola de la Paix, teraźniejszego jego władzcy, złudziwszy przez czary oczy broniącej go załogi królowej Neapolitańskiej, której się zdało, że morze wzbiera nad wały. Czarnoksiężnik przyznał się do czynu i dodał: że on to właśnie jest tym człowiekiem, którego się Karol de la Paix

najwięcej obawia. — „Bardzo wierzę, odpowiedział hr. Sabaudyi, ale się postaramy o to, by się nie miał czego obawiać. Nie chcę aby kiedyś mówiono, że tacy jak my rycerze używali zaklęć i czarów dla pokonania swoich nieprzyjaciół“. — I odwróciwszy się do sług swoich, rozkazał ściąć go natychmiast.

2. Str. 276. — — — — — — — ale raz tak dzielny,
Nie mógł pochodzić od ręki śmiertelnej.

Doktór Henryk More, w liście swym, służącym za wstęp do *Saducismus triumphatus* Glanvilla, wspomina o podobnym fenomenie: „Pamiętam, mówi on, jednego wiejskiego szlachcica, prawego człowieka i biegłego matematyka, ale przytem pewnego rodzaju filozofa, niedowiarka i materyalistę. Dysputowaliśmy często o nieśmiertelności duszy, lecz wszystkie moje dowodzenia roztrącały się o nieprzeparty jego sceptycyzm. Powiadał mi, iż aby się o tem przekonać, potrzebuje koniecznie dotykalnego dowodu, i że szukając go właśnie, a nie bojąc się niczego, próbował nieraz wszelkich wiadomych mu czarnoksięskich obrzędów i zaklęć, aby wywołać ducha lub dyabła, ale że wszystko zawsze napróżno. Razu jednego wszakże, wieczorem, gdy był sam i wcale o tem nie myślił, uczuł się nagle uderzonym po ramieniu tak mocno, że się aż echo uderzenia po pokoju rozległo. Pierwsza myśl jego była, iż to jest tajemniczy znak jakiegoś ducha, który pragnie z nim mówić; wybiegł więc zaraz na dziedziniec domu, a stamtąd na samotne pole, ale nic nigdzie nie ujrzawszy, przekonał siebie nakoniec, iż to był tylko skutek uderzenia krwi lub wyobraźni. A wszakże pomimo wszelkich usiłowań rozumu, okoliczność ta większe, niż sam chciał przyznać, uczyniła na nim wrażenie. Gdy bowiem razu jednego dysputując z nim jak zwykle, i widząc bezskuteczność wszystkich moich umysłowych dowodów, przypomniałem mu owo uderzenie i rzekłem: „bądź pewny, iż ten, co cię natenczas po ramieniu uderzył, pierwszy cię kiedyś spotka w tamtym świecie,“ — spostrzegłem, że się

twarz jego zmieniła nagle i zbladła; zamilkł, i nigdy już więcej w tym przedmiocie nie mówił ze mną aż do śmierci, która nie długo potem nastąpiła".

Niech mi się też godzi dodać w tem miejscu opowiadanie, które słyszałem w Dreznie, z ust jego najuczeńczych i najgodniejszych ludzi tego kraju, p. Herdera, dyrektora zakładów górniczych w królestwie Saskiem, a syna sławnego poety i filozofa tegoż imienia. W r. 1836, księżniczka Augusta Saska, w towarzystwie p. Herdera i przybocznej swej damy dworu, udała się w gościnę do zamku Fischbach, na Śląsku, własności księcia Wilhelma Pruskiego, gdzie tenże wtedy z małżonką swoją przebywał. Pierwszego wieczora po przybyciu, p. Herder, który oprócz głębokiej znajomości nauk przyrodzonych, posiadał rzadki talent czytania poczyi, proszony był przez dostojnych gospodarzy, aby im co z dzieł swego ojca przeczytał. Towarzystwo zasiadło około podłużnego stołu w sali bibliotecznej; p. Herder czytał przekład romansów hiszpańskich o Cydzie. Nagle przerwał w pół wiersza, i obracając się szybko po za siebie, zapytał: „Co?" — uczuł bowiem, że go ktoś mocno klapnął po ramieniu i szepnął coś do ucha, czego zrozumieć nie mógł. Zdziwił się nie pomału nie widząc obok siebie nikogo; gdy zaś usprawiedliwiając powód przerwy, opowiedział co mu się zdało, gospodarze rzucili na się znaczące spojrzenie, co gdy księżniczka Augusta dostrzegła, ulegając jej naleganiom książę Wilhelm, opowiedział odwieczną o tym zamku legendę, podług której dawny posiadacz jego, jakiś rycerz niemieckiego zakonu, błądzi w nim dotąd, pokutując za grzechy; i lubo rzadko bardzo ukazuje się w postaci mglistej, szarej kolumny, mającej wszakże kształt ludzki: obecność swą objawia zwykle i często uderzając po ramieniu mieszkańców, a szczególniej nowoprzybyłych. Legenda ta znajomą jest powszechnie w zamku i okolicy, ale p. Her-

der nic o niej przedtem nie słyszał. Dama dworu, towarzysząca także naówczas księżniczce Auguście, w której właśnie domu i obecności p. Herder to opowiadał, a za prawdę słów której, najsumienniej mógłbym zaręczyć, dodała po wyjściu jego, iż tegoż wieczora, ukląkłszy do modlitwy, uczuła się uderzoną po ramieniu tak mocno, iż ból nawet trwał kilka sekund, lecz że przypisując to zwróconej na ten przedmiot wyobraźni, nie mówiła o tem przed nikim i nawet nie zawołała służącej, która już była odeszła. *(Przyp. Tłóm.).*

3. Str. 277. Bieg żywej wody zniszczył nagle czary.

Jest to artykułem wiary w przesądach gminnych, że bieżąca woda niszczy moc i skutki wszelkich czarodziejstw. Brompton opowiada, że pewni czarnoksiężnicy Irlandzcy, umieli mocą swej sztuki zamieniać kamienie lub kawałki gliny w tuczone wieprze, które przedawali na targach: lecz że te zamieniały się znowu w kamienie lub glinę, skoro wiozący je nowi nabywcy, przejechali przez jakibądź strumyk.

4. Str. 282. Deloraine z bólu jęczał nieprzerwanie,
Jakby mu nożem wiercono po ranie.

Sir Kenelm Digby, w rozprawie o sympatycznych sposobach leczenia, czytanej w Montpellier na zgromadzeniu wielu znakomitszej szlachty i ludzi uczonych, i ogłoszonej drukiem w r. 1658, opowiada sam o sobie następujące zdarzenie;

„P. Jakób Howell, znakomity pisarz szkocki, chcąc rozbroić dwóch pojedynkujących z sobą dobrych swoich znajomych, ujął ręką przez nieostrożność klingę pałasza jednego z nich, który wyrywając go w zapale gniewu, przeciął mu aż do kości wszystkie nerwy i muskuły dłoni. Widok krwi wspólnego przyjaciela uśmierzył zapęd walczących, którzy obwiązawszy mu na prędce ranę podwiązką, przyzwali biegłego chirurga; gdy zaś wieść o tem doszła do dworu, król, (Jakób VI), który bardzo szacował P. Howell, przysłał mu

jednego ze swoich przybocznych lekarzy. Przypadek chciał, że mieszkałem w bliskości P. Howell, który we cztery czy w pięć dni potem, przyszedł do mnie prosząc, abym ranę jego obejrzał i ażebym go leczył sympatycznym sposobem, którego używałem zwykle w podobnych razach, o czem właśnie ktoś p. Howell powiedział. Chirurg i lekarz królewski obawiali się gangreny; jakoż chory cierpiał nadzwyczajne boleści, a zwłaszcza palenie w ranie. Uprzedziłem go, że mój sposób leczenia, bez dotknięcia i nawet bez oglądania rany, może mu się zdawać przesądnym; gdy jednak przystał na wszystko, żądałem naprzód aby mi dał jaką płachtę, którąby była zbroczona krwią jego. Posłał więc do domu po ową podwiązkę, która mu w pierwszej chwili za bandaż służyła. Następnie kazałem podać miednicę wody, jakbym chciał tylko umywać w niej ręce; tymczasem wsypałem do niej potajemnie proszek witryolu, który miałem na pogotowiu, i skoro się rozpuścił, zanurzyłem w wodzie podwiązkę, zwracając przytem oczy na p. Howell, który w drugim końcu pokoju, nie patrząc wcale na mnie, z kilku obecnymi rozmawiał. Po chwili postrzegłem, że się wstrząsł nagle, jak gdyby jaką dziwną poczuł w sobie odmianę. Zapytałem go więc o przyczynę tego poruszenia. „Nie wiem co się stało, odpowiedział, ale nie czuję żadnej boleści; zdaje mi się owszem, iż jakiś chłód przyjemny rozlewa się po ranie, jakby ją mokrą obłożono płachtą; i wszelkie palenie ustało“. — „Ponieważ leki moje tak dobrze zaczynają skutkować, rzekłem, wracaj pan teraz do domu, odrzuć precz wszystkie bandaże, i dobrze oczyściwszy ranę, nie wystawiaj jej na zbyteczne zimno ani gorąco“. Wieść o tem, co się stało, doniosła się natychmiast do księcia Buckingham i od niego do króla. Obadwaj chcieli widzieć szczegóły mego działania. Dla usunięcia więc wszelkiej wątpliwości, tegoż dnia popołudniu wydobyłem z wody podwiązkę i rozwiesiłem ją przed wielkim ogniem. Ale zaledwo zaczęła nieco wysychać, gdy wpadł służący p. Howell, wołając, iż pan jego cierpi znowu straszne boleści, a mianowicie palenie, jakby rękę

trzymał nad żarem. Rozkazałem mu powiedzieć swemu panu, ażeby był spokojny, gdyż to wkrótce ustanie. Jakoż włożyłem znowu podwiązkę do wody, i nim służący wrócił do p. Howell, ten już nie czuł żadnego bólu, i po dniach kilku całkiem uzdrowiony został". — Sir Kenelm Digby, na żądanie króla, odkrył mu swą tajemnicę; sam zaś nauczył się jej od pewnego karmelitańskiego braciszka, który ją przywiózł z Persyi czy z Armenii, gdzie przez lat kilka przebywał.

5. Str. 284. Na Penchrist-Penie sygnał się pali,
Trzy na Priesthawie —

Różna liczba i względne położenie tych ogniów, tworzących linię telegraficzną między granicą a Edynburgiem, miały swoje pewne znaczenie. I tak, akt parlamentu z r. 1455 stanowi: aby zapalono jeden sygnał, gdy się Anglicy do granicy zbliżają; dwa, gdy już przejdą granicę; cztery, jeden przy drugim, gdy są w wielkiej liczbie. Cały kraj na to hasło powinien był stawać do broni; i dosyć było kilku godzin czasu, do zebrania kilkotysięcznego oddziału jazdy.

6. Str. 286. Na piramidach grobowych kurhanów.

Na szczytach wielu gór szkockich dotąd widzieć się daje pewny gatunek piramid, ułożonych z kamieni, i będących jak się zdaje, pomnikami dawnych grobowców.

7. Str. 286. Aż zawołały echa Lothianów.

Trzy hrabstwa w Szkocyi noszą to imie: Lothian średni czyli Edynburg, Lothian wschodni czyli Linlithgow, i Lothian zachodni czyli Haddingtown.

8. Str. 287. Po czarny haracz.

Tak nazywano opłatę składaną pogranicznym rabusiom, aby się od ich łupieży i okrucieństwa zasłonić.

PIEŚŃ CZWARTA.

1. Str. 290. A na ich czele walczył Dundee śmiały.

Margrabia Dundee (z familii Grahamów), wódz powstania w sprawie wygnanych Sztuartów, poległ w bitwie pod Killikrankie. — (Jest on ten sam, który pod imieniem Claverhousa gra jedną z głównych ról w romansie Waltera Skotta, p. t. *Purytanie Szkoccy*).

2. Str. 290. Po grząskich bagnach, po zamierzchłych borach,
Lud rzucał domy i krył się od wroga.

Za zbliżeniem się Anglików, pograniczni mieszkańcy szkoccy uciekali zwykle do lasów lub na niedostępne bagniska; często też kryli się w podziemnych lochach i jaskiniach, u wejścia których Anglicy zapalali niekiedy wielkie stosy liści suchych i słomy, i tym sposobem ukrytych wewnątrz albo dusili dymem, jak lisów, albo przymuszali do wyjścia.

3. Str. 291. Watt Tinlinn z Liddelu.

W dzieciństwie mojem słyszałem wiele powieści o tym człowieku, odznaczającym się męstwem, dowcipem i trafnem strzelaniem z łuku. Był on z professyi szewcem, i sługą familii Buklejów; ale wolał włócznię niż szydło. Razu jednego, angielski kapitan okręgowy, w hrabstwie Kumberlandzkiem, wpadł do Szkocyi i znaczne poczynił grabieże. Uwiadomiony o tem Watt Tinlinn, dognał go, odebrał łupy i sam uciekającego kapitana ścigał przez bagna pełne niebezpiecznych trzęsawic. Anglik jednak wydobył się z nich na brzeg twardy, i widząc grzęznącego w nich jeszcze Tinlinna, który zmuszony zsiąść z konia, za cugle go w ręku prowadził, zawołał z urąganiem: „Szewcze! patrz, czy dobrze przyszyłeś podeszwy; bo ci woda najdzie do butów!“ Za odpowiedź Tinlinn wypuścił strzałę, która trafiwszy w nogę kapitana, przeszła ją na wskróś i przybiła do siodła. „Widzisz,

zawołał natenczas, że umiem ćwiekować skórę, choć podeszew dobrze nie szyję".

4. Str. 291. Dumna ze srebrnych błyskotek co miała.

Mieszkańcy Pogranicza mało przywiązywali wartości i upodobania do sprzętów domowych, które w każdej chwili zabrane lub spalone być mogły. Głównym przedmiotem ich zbytku były różne błyskotki i stroje, któremi lubili zdobić swe żony.

5. Str. 291. Wiliam Howard, i lord Dacre potężny.

Wiliam lord Howard, trzeci syn księcia Tomasza Norfolk, dziedzic zamku Nawortu i wielkiej baronii tegoż imienia w hrabstwie Kumberland, żył rzeczywiście w początkach panowania królowej Elżbiety. Surowość, z jaką poskramiał pogranicznych rabusiów, będąc sam Lordem Nadgranicznym ze strony Anglii, uczyniła go sławnym w tradycyach gminnych. — Znane powszechnie imię Dacre, winno jest swój początek męztwu jednego z jej rodziny, który podczas krucyaty Ryszarda Lwie Serce, odznaczył się przy oblężeniu Akry, czyli Ptolemaidy. Jedna z gałęzi tej rodziny posiadała nadgraniczną baronię Gilsland, a naczelnicy jej mieli tytuł: „Strażników zachodniej granicy".

6. Str. 292. Prowadząc z sobą Niemców huf zaciężny.

W wojnach ze Szkocyą, Henryk VIII i jego następcy, używali powszechnie i w znacznej liczbie wojsk najemniczych, z cudzoziemców, a zwłaszcza z Niemców złożonych. Na obrazach bitew dawnej szkoły flamandzkiej widzieć można, iż niemieccy i niderlandzcy żołnierze, idąc do szturmu, prawe kolano mieli zawsze nagie, by się łatwiej wdzierać na mury.

7. Str. 293. — — — — Jan z Tirlestanu.

Sir Jan Skott z Tirlestanu żył za panowania Jakóba V, i gdy król zgromadziwszy przedniejszych baronów szkoc-

kich i ich wassalów, oświadczył chęć wtargnienia do Anglii, czemu wszyscy byli przeciwni: on jeden tylko okazał się gotowym pójść za rozkazem królewskim; i tej to właśnie wierności winien był wspomniane w tekście nagrody.

8. Str. 294. Gdzież tak potężny jak Lord z Hardenu;

Sir Walter Skott z Hardenu, żyjący za panowania królowej Maryi, był jednym z najsławniejszych dowódzców pogranicznych rabusiów szkockich, a pieśni i podania gminne zachowały mnóstwo szczegółów jego życia. Obronny jego zamek, położony był nad samym brzegiem mrocznego i przepaścistego wąwozu, w którego najskrytszych zakątkach pasły się trzody i przechowywały się wszelkiego rodzaju łupy, na nieprzyjaciołach zdobyte. Gdy zaś bydła i żywności zabrakło, para ostróg, podana do stołu na zakrytym półmisku, była znakiem dla goszczących w zamku wassalów, że trzeba było siąść na koń i nowych szukać zdobyczy. Sir Walter żonaty był z krewną swoją Maryą Skott, której dobroć i wdzięki, łagodząc nieraz surowy męża charakter, zjednały jej w pieśniach imię „Róży Yarrowu“.

9. Str. 294. Szli mając hasłem »błoń Bellendenu«.

Posiadłość tego imienia, położona u źródła Bortwiku, była środkowym punktem ogólnych posiadłości klanu Skottów, i stąd często służyła za miejsce i za hasło zebrania.

10. Str. 298. Gwoli pierwszemu co lepiej zapłaci,
Gotowa przelać krew wrogów lub braci.

Najemni awanturnicy, których hrabia Cambridge prowadził w pomoc królowi portugalskiemu przeciw Hiszpanom w r. 1380, podnieśli bunt z powodu nieregularnej wypłaty żołdu. Na jednem zgromadzeniu ich wodzów, Sir Jan Soltier, syn naturalny Edwarda, zwanego księciem Czarnym, w te słowa przemówił do nich: „Rada moja jest: dobrze się naprzód porozumieć nawzajem; podnieść sztandar świę-

tego Jerzego i ogłosić się przyjaciołmi Boga, a nieprzyjaciołmi całego świata; bo gdy się nas nie będą obawiać, skończy się na tem, że nie będziemy nic mieli". — Rada ta podobała się powszechnie, i sam dawca jej wodzem okrzykniony został.

11. Str. 300. Niósł rękawicę zwieszoną na spisie.

Rękawica na ostrzu włóczni była godłem dobrej wiary u dawnych mieszkańców Pogranicza, i gdy kto z nich nie dotrzymał słowa, podnoszono ten znak na pierwszem zgromadzeniu ogólnem, i ogłaszano go „człowiekiem bez czci i wiary." Obrzęd ten był straszny dla wszystkich.

12. Str. 303. Że się Deloraine cel ich nienawiści
Albo przysięgą z zarzutów oczyści...

W razach wątpliwych zwyczaje pograniczne dozwalały oskarżonym usprawiedliwiać się przysięgą, albo z orężem w ręku niewinności swojej dowodzić.

13. Str. 303. Gdy krew angielska wzbierała w Ankramie.

Sławna w dziejach szkocko-angielskich bitwa pod Ankram-Moor, zaszła w r. 1545. Anglicy, dowodzeni przez Sir Ralfa Evers i Sir Briana Latoun, zostali zupełnie pobici, i obaj ich wodzowie polegli. Wodzami Szkotów byli: Archibald Duglas, lod Buccleugh i Lesly.

14. Str. 307. Lecz mistrz mój w pieśniach...

Mowa tu jest o jedynym z najsławniejszych pogranicznych minstreli, nazwiskiem Wilie, który zabiwszy w pojedynku swojego współtowarzysza, został skazany na śmierć i ścięty w Dżedwudzie (Jedwood) Śmierć jego jest przedmiotem wielu pieśni i ballad gminnych.

15. Str. 308. On co tak prawa rycerskie Duglasów...

W r. 1468 Wiliam, hrabia Duglas, zwoławszy na ogólne zgromadzenie Lordów, właścicieli i starszych wiekiem mie-

szkańców Pogranicza, obowiązał ich pod przysięgą, zebrać i ułożyć porządkiem na piśmie, wszystkie ustawy, przepisy i urządzenia wojenne, wydane niegdyś przez dwóch przodków swoich Duglasów; poczem sam, wraz ze wszystkimi, ściśle ich zachowanie poprzysiągł.

PIEŚŃ PIĄTA.

1. Str. 313. Jaśniało *Krwawe Serce* Duglasów.

Sławny w dziejach Szkocyi król Robert Bruce, polecił umierając jednemu z Duglasów, aby wyjęte zeń serce zaniósł do Ziemi Świętej, dokąd zawsze za życia tęskniło. I odtąd to „krwawe serce“ stało się herbem tego domu.

2. Str. 313. Siedm Lanc z Wedderburny.

Tak zwano siedmiu synów Sir Dawida Home z Wedderburny, który zginął pod Flodden.

3. Str. 313. Swinton, pogrom Plantagenetów.

Familia Swintonów jest jedną z najdawniejszych w Szkocyi. W bitwie pod Baugé, we Francyi, książę Klarencyi, brat Henryka V, z domu Plantagenetów, został pokonany i zrzucony z konia przez Sir Jana Swinton.

4. Str. 313. Wiódł młody *Hepburn* i *Home* z *Dunbaru*.

Familia Home (czyt. Hom), pochodząca od hrabiów z Dunbaru, była zawsze w ścisłych stosunkach z domem Hepburnów, których ostatnim szczepem był zbyt głośny w dziejach szkockich Botwell, mąż królowej Maryi Stuart.

5. Str. 315. Młodzież gra w piłkę z palantem...

Gra w piłkę była niegdyś ulubioną w Szkocyi, a zwłaszcza na Pograniczu, i nieraz stawała się powodem zawziętych kłótni i nawet krwi rozlewu.

6. Str. 315. Nagły ten przechód od uczt do zapasów,
Tak bywał częsty za tych dawnych czasów
Że nie był dziwny nikomu.

Pomimo ciągłych prawie wojen i często popełnianych okrucieństw, mieszkańcy Pogranicza, nakształt przednich straży dwóch wojsk nieprzyjacielskich, skorzy byli do wzajemnych stosunków i zabaw, tak dalece, że z różnych postanowień rządu w obu krajach, zabraniających handlu i związków małżeńskich między angielskimi i szkockimi mieszkańcami granic, wnosić można, iż się lękano nawet, iżby te stosunki zanadto się ścisłymi nie stały.

7. Str. 329. Myśleli bowiem, że szatan się zjawił
W żywego człeka osobie.

Jednym z najdziwaczniejszych przesądów między ludem szkockim, było mniemanie, że się widziadło żyjącego człowieka ukazywać może niekiedy; co przypisywano sprawie szatana, i uważano za bardzo złą wróżbę.

8. Str. 330. Cud było patrzeć, gdyś konno za psami,
Ślad w ślad je głosem poduszczał za nami.

Złupiony przez pogranicznych rabusiów, puszczał się zwykle w pogoń z przyjaciółmi swymi i psami, których osobnym sposobem do tego rodzaju łowów wprawiano, i jeśli psy szły ciągle po tropie, miał nawet prawo przekroczyć za niemi granicę; przywilej, który był nieraz krwi rozlania powodem.

9. Str. 331. Woli kraj, w którym fanatyzm dziki
Wyklął jak zbrodnię urok muzyki.

Po zaprowadzeniu w Szkocyi reformy Kalwina, gorliwi jej zwolennicy, a mianowicie Purytanie, prześladowali za-

palczywie wszystkie sztuki piękne, a zwłaszcza muzykę, jako najbardziej działającą na zmysły.

PIEŚŃ SZÓSTA.

1. Str. 336. Bo nie przez zgubną moc magii czarnej,
Lecz przez rachubę liczby planetarnej.

Opinia gminna, jakkolwiek przeciwna nauce Kościoła, czyniła wielką różnicę między czarnoksiężnikami, czyli magami, a nekromantami, czyli czarownikami, i przechylała się stanowczo na stronę pierwszych. Rozumiano bowiem, że mają moc rozkazywać złym duchom, kiedy przeciwnie drudzy, słuchać ich tylko lub być z nimi w związku musieli.

2. Str. 336. Na pięści sokół w szkarłatnym kapturku,
Siedział trzymany na jedwabnym sznurku.

Damy wysokiego rodu, jako też baronowie i rycerze podczas pokoju, przy wszelkich uroczystych obrzędach, mieli zwykle na pięści sokoła.

3. Str. 337. I w samym środku wznoszącym się pawiem,
Z złoconym dziobem i odzianym w pióra.

Paw, w wiekach rycerstwa, uważany był nietylko jako najdelikatniejsza, lecz i jako szczególnie obrzędowa potrawa, bez której żadna większa uroczystość obejść się nie mogła. Po upieczeniu odziewano go na nowo piórami, i do pozłoconego dzióba kładziono gąbkę napojoną palącym się wyskokiem winnym. W chwili, gdy go podawano na stół awanturniczy rycerze, zwykli byli czynić publiczne śluby

dopełnienia jakiego czynu rycerstwa, „w obliczu Pawia i Dam“.

4. Str. 337. I nad łabędziem z Maryi jeziora.

Na jeziorze św. Maryi, blisko źródła rzeki Yarrowu, dają się widzieć dotąd stada dzikich łabędzi.

5. Str. 337. Nad głową dzika z Kaledońskich borów,
Śród chorągiewek różnych barw i wzorów.

Głowa dzika należała także do obrzędowych potraw w wiekach średnich. W Szkocyi otaczano ją mnóstwem chorągiewek, mających barwy, herby lub godła gospodarza domu.

6. Str. 338. Zgryzł rękawicę i potrząsnął głową.

Przygryźć palec swój lub rękawicę, znaczyło na Pograniczu, nietylko pogardę, lecz i ślub nieubłaganej zemsty.

7. Str. 340. Brał równie szkockie jak angielskie woły.

Jan Groem lub Graham, drugi syn hrabiego Montheit, zwany powszechnie „rycerzem błyszczącego miecza“, wpadłszy w niełaskę u szkockiego dworu, usunął się z wielką częścią krewnych swych i wassalów na Pogranicze Anglii, i zajął kraj tak zwany „spornym“, to jest, do którego oba kraje prawo własności rościły. Następcy przeto jego, nie ulegając żadnemu z nich, stali się najstraszniejszymi rabusiami granic i tak Anglią jak Szkocyą bez różnicy łupili. Kraj sporny podzielono nakoniec na dwie równe części, sądem polubownym. Piosnka Alberta Groem (czyt. *Grem*) w tekście, jest naśladowaniem gminnej.

8. Str. 342. I Surrey — Surrey, niestety!

Waleczny i nieszczęśliwy Henryk Howard, hrabia Surrey, był niezaprzeczenie najdoskonalszym rycerzem swojego

czasu. W sonetach jego znajdują się piękności godne złotych wieków poezyi. Zalety i sława jego wzbudziły podejrzenie i zawiść Henryka VIII, z domu Tudor, który go w r. 1546 ściąć kazał. — Mówią, że podczas jego podróży, sławny alchemik, Kornelius Agrippa, pokazał mu w czarnoksięzkiem zwierciedle, pozostałą w kraju kochankę jego, Geraldinę, na której cześć swój oręż i lutnię poświęcił.

9. Str. 345. Gdzie ród Saint-Clarów...

Rodzina Saint-Clair *(Sę-Kler)* jest pochodzenia normandzkiego; osiadłszy w Szkocyi za panowania Malkolma, została znacznie wzbogaconą nadaniami królów, a mianowicie Roberta Bruce. W rzędzie pierwszych jej posiadłości była baronia Roslin, z zamkiem tegoż imienia; następnie zaś przez związek małżeński z córką hrabiego Orkney, (inaczej hr. *Orkad*), doszła do posiadania tychże wysp i tytułu, nadanego jej przez Hakona, króla Norwegii, w r. 1379. Tytuł ten, po ustąpieniu Norwegów, potwierdzili Saint-Clairom królowie Szkoccy, ale samo hrabstwo zostało przyłączone do korony w r. 1481. — Imie Rozabella, było prawie dziedzicznem imieniem niewiast w tej rodzinie.

10. Str. 346. Tu na skrzydlatych Oceanu Smokach,
Królowie Morza,...

Dowódzcy skandynawskich rozbójników morskich, nawiedzający często brzegi Szkocyi, równie jak całą naówczas Europę, przybierali szumny tytuł, „Królów Morza“ *(Soekonungr)* okręty zaś ich w nadętym stylu Skaldów, (kapłanów i bardów Skandynawskich) zwane były „Smokami Oceanu“. *Odin,* było imię najwyższego Boga w mitologii skandynawskiej. — *Runy:* tajemnicze znaki albo litery (rodzaj hieroglifów), używane w napisach i religijnych obrzędach skandynawskich. — *Saga,* od imienia tak zwanego skandynawskiej bogini historyi, zwała się każda tradycya historyczna w tych krajach.

11. Str. 348. I w grobach rycerzy, blask bił od pancerzy,
Leżących we zbrojach bez trumny,

Piękna kaplica w Roslinie, gdzie były groby familijne Saint-Clair'ow, założone w r. 1446, do dziś dnia jeszcze się utrzymuje. Dawniejsi baronowie grzebani byli bez trumien, lecz odzianych we zbroje, kładziono ich wprost na kamiennej podłodze w grobach, pod kaplicą będących. Tradycya gminna zapewnia, że ile razy kto z tej rodziny miał umrzeć, cała ta kaplica i zamek jasniały jakimś tajemniczym blaskiem i zdawały się być jak w ogniu.

BALLADY I BAŚNIE.

ZAMEK KADYOW

BALLADA

Z WALTERA SCOTTA

poświęcona przez autora

PANNIE HAMILTON.

Gdy Hamiltonów możne pradziady
Żyły, panując na Kadyowie;
Brzmiały na zamku głośne biesiady,
Szli na wyścigi głośni bardowie.

W dziedzińcach jego grzmiały gonitwy,
Rycerska młodzież biegła z okoła;
Po salach jego, zwycięzców z bitwy
Wabiła w taniec piękność wesoła.

Dziś Kadyowu gmach w gruzach leży,
Grobowy pomnik dawnego stanu;
Wiatr tylko szumi w ruinach wieży,
I szemrze spodem fala Ewanu.

Ty jednak każesz, o jego dawnych
Dniach wspaniałości, uczt i wesela,
O jego panach wielkich i sławnych,
Śpiewać dawnego tonem minstrela.

Bo dusza twoja lubi na chwilę
Wzgardzić światowym zgiełkiem i pychą,
I na przeszłości świętej mogile
Dumać, i ze czcią łzę wylać cichą.

A więc, dziewico! niech się tak stanie!
Wzrok twój zapałem wieszcza przenika;
Na twoich brzegach, kręty E w a n i e!
Przeszłość powraca, obecność znika.

Patrz! kędy gruzów zwalone stosy
Przed chwilą trawa i mech krył szary:
Ostrza się wieżyc wznoszą w niebiosy,
Na nich herbowe wieją sztandary.

Patrz! gdzie skaliste rzeki nadbrzeże,
Piętrząc się dziko, cień ściele bury,
Powstają rzędem baszty i wieże,
I czarnym pasem ciągną się mury! —

Noc jest; w przejrzystych rzeki kryształach
Drży postać zamku, tło ich mrocząca;
Strażnicze ognie, płonąc po wałach,
Rumienią bladą jasność miesiąca.

Miesiąc zachodzi — zorze się płoni —
Wszystko się w zamku rusza i budzi;
Słychać w dziedzińcach parskanie koni,
Skomlenie psiarni, i gwary ludzi.

Padł most zwodowy — brzęczą łańcuchy,
Brzmią głucho deski — tłoczy się zgraja;
A każdy jeździec pełen otuchy,
Bodźcem rumaka zapał podwaja.

Przede wrzystkimi sam wódz na przedzie,
W myśliwskim stroju hasa na koniu:
A koń, na którym Hamilton jedzie,
Wiatry wyścigać umie po błoniu.

Sarna się kryje w najgęstsze łomy,
Jeleń w najdalsze ucieka bory,
Bo już straszliwy, głos im znajomy,
Głos trąb napełnił lasy i góry.

Lecz cóż to? słyszysz! wzdłuż rzeki brzega,
W gęstwinie dębów wiekami żywych,
Trzask drzew i głuchy ryk się rozlega,
Głośniej od wrzasku rogów myśliwych.

Najpotężniejszy z mocarzów lasu,
Czarno-brodaty żubr Kaledonu,[1])
Wypadł jak piorun, śród psów hałasu,
Pędzi, gdzie stoi wódz Hamiltonu.

Chyląc ku ziemi czoło straszliwe,
Krwią zaszłe oczy ciska na wrogów,
Ryczy, i jeżąc rozlotłą grzywę,
Szarpie darninę ostrzem swych rogów.

Dobrze wymierzył wódz niezmięszany,
Śród piersi byka grot utkwił cały.
Runął, krwawemi rzygając piany,
A trąby wkoło tryumf zagrały. —

Już jest południe: — pod gęstym dębem
Myśliwy orszak skrył się przed spieką;
Dym między drzewa wije się kłębem,
W lesie im ucztę warzą i pieką.

Z dumą wódz patrzał, leżąc na ziemi,
Na orszak krewnych, na stosy plonów. —
Czemuż nie widzi razem z drugiemi,
Najmężniejszego z krwi Hamiltonów? —

— „Gdzie jest, rzekł, Botwell nasz z Botwel-[lawy,
Pierwszy na naszych ucztach i łowach?
Czemu nie dzieli naszej zabawy,
Naszej zabawy w leśnych dąbrowach?“ —

Ponurym głosem rzekł Klaud z Paslei:
„Minęły czasy jego wesela!
Nigdy za stołem, nigdy śród kniei
Nie zobaczymy więcej Botwella!

„Kilka dni temu, jego spokojny
Zamek brzmiał echem szczerej radości,
Gdy do swych ognisk wróciwszy z wojny,
Częstował ucztą krewnych i gości.

„Kilka dni temu, piękna i tkliwa,
Marya jego, w dni swoich kwiecie,
Szczęśliwa żona, matka szczęśliwa,
Swe pierworodne karmiła dziecię,

„Lecz nagle rozkaz Murraja wroga,*)
Z ogniem i mieczem nasłał żołnierzy;
Na dachy jego spadła pożoga,
Zastęp obrońców pod gruzem leży.

„A jego żona! — szydząc z jej jęku,
I urągając z krzywdy i sromu,
W nocy, wpół nagą, z dzieckiem na ręku,
Z przywłaszczonego wypchnęli domu!....

„Cień jej dziś tylko, w mglistych osłonach,
Gdzie fala Esku szumi przez gaje,
Niesiony wiatrem, z dzieckiem w ramionach
Co noc bolesne jęki wydaje.

„Widzą go ludzie, słyszą rozpacze,
Jak woła imię swego Botwella,

*) Obacz przypisek na końcu.

Jak nad umarłem dzieckiem swem płacze,
I żąda pomsty z nieprzyjaciela!“ —

Skończył — struchleli żalem i gniewem,
Jeden krzyk zemsty zatrząsł dąbrową.
Skoczył Hamilton wsparty pod drzewem,
I mieczem z pochwy błysnął nad głową...

Wtem zatętniało pole kopyty —
Ktoś prosto ku nim pędzi przez błonia;
A w ręku jego sztylet dobyty,
Zamiast ostrogi bodzie nim konia.

Twarz jego blada, włos rozczochrany,
Wzrok słupem naprzód patrzy bez celu;
Jeździec i rumak krwią obryzgany —
„To on! to Botwell! — witaj Botwellu!“ —

Wołają, biegną, trzymają strzemię —
On z gorączkowym w twarzy zapałem,
Zskoczył, i z wzgardą rzucił na ziemię
Muszkiet dymiący świeżym wystrzałem.

I rzekł ponuro: — „Wiem, że wam miło
Myśliwskie trąby brzmiały dziś z rana;
Lecz milej stokroć mnie słyszeć było
Ostatnie jęki wroga, tyrana!

„Żubr co go wasze zwaliły strzały,
Z dumą dziś jeszcze deptał po puszczy;

Lecz dumniej stokroć Murraj zuchwały
Jechał na czele dwornej swej tłuszczy.

„Przez Linlitgowu kręte ulice,
Tłum go zebrany wiódł z okrzykami;
Z okien i ganków, ręce kobiece
Przed nim i za nim siały kwiatami

„Wracał zalawszy krwią Pogranicze,
Jarzmo swej władzy narzucił klanom;
I upojone dumą oblicze
Ku swym przybocznym zwracał dworzanom.

„Lecz co mi znaczy wroga potęga?
Co mi straż jego, orszak i pycha?
Gdy wiem, jak zdala muszkiet mój sięga,
Gdy w sercu mojem zemsta oddycha! —

„Ja i mój muszkiet weszliśmy w radę,
Obrałem miejsce w ciemnej ustroni;
Stamtąd widziałem całą gromadę,
Całą tę ciżbę ludzi i koni.

„Morton zausznik dzid szkockich borem.[2]
Z konnicą drogę torował panu;
W tyle, z dobytym w ręku klajmorem,
Szedł gęstym szykiem klan Makferlanu.

„Po bokach Duglas, i lord z Glenkerny,
I Knox się swoją świętością puszył;[3]

I dziki Lindsay, zdrajca niewierny,
Co się królowej płaczem nie wzruszył [4]).

„Między tym dworzan i wojsk natłokiem,
Z pod piór Muraja hełm złoty błyskał;
Koń jego ledwo stąpić mógł krokiem,
Tak wkoło niego lud się naciskał.

„On skinał czołem i wzrok ponury,
Z pod brwi nawisłych, wodził po tłumie;
I swą buławę podniósł do góry,
Jakby wskazywał, że dzierżyć umie.

„Lecz było w twarzy zwątpienie ducha,
Próżno chciał udać uśmiech wesela;
Zły duch snać jemu szeptał do ucha:
„Skrzywdziłeś, bój się zemsty Botwella!“ —

„Zagrzmiał mój muszkiet — krzyknęła zgraja,
Wspiął się do góry rumak książęcy:
Chyli się na bok pióro Murraja —
Runął o ziemię, by nie wstać więcej.

„Jak kochankowi, gdy wzajemności
Słowo z ust lubej posłyszy przecie;
Jak myśliwemu, szarpiąc wnętrzności
Wilka, co niegdyś pożarł mu dziecię:

„Tak, i sto razy milej mi było,
Widzieć, jak zdrajca w prochu się tarzał;

Słyszeć, gdy życie z krwią uchodziło,
Jak próżno nędznik jęki powtarzał.

„Ujrzałem mojej Maryi ducha,
Cieszył się z śmierci nieprzyjaciela;
Konającemu szeptał do ucha:
„Czujesz, morderco! zemstę Botwella!“...

„A więc do broni, krwi Hamiltona!
Wszystkim jak krzywda, zemsta nam wspólna.
Dziś czas rozwinąć wojny znamiona —
Murraj zabity, Szkocya wolna!“ —

Wszyscy z zapałem rwą się do broni,
Brzmi trąb odgłosem puszcza okolna:
„Chwała Botwellu! chwała twej dłoni!
Murraj zabity, Szkocya wolna!“...

Lecz patrz! zniknęło barda widzenie,
Uciehł mu w uszach okrzyk wojenny;
Ewanu tylko słychać mruczenie,
I po ruinach wiatr dmie jesienny.

Runęły wieże, spadły sztandary,
Chwast na ich miejscu powiewa znowu;
I znów jak przedtem mech okrył szary
Leżący w gruzach gmach Kadyowu.

I pieśń minstrela znikła gdzieś z echem,
Wiatr tylko jęczy resztą jej tonów;

A obok niego, z łzą i uśmiechem,
Stoi ostatnia z krwi Hamiltonów!...

Szczęśliwy śpiewak! czyja pieśń umie
Wzbudzić łzę żalu, uśmiech wesela;
Szczęśliwa dusza! która rozumie
Urok przeszłości, pieśni minstrela!...

Przypiski do ballady „Zamek Kadyow".

Zamek Kadyow, niegdyś baronialna stolica rodziny Hamiltonów, nad rzeką Ewan, w Szkocyi, zburzony został w wojnach domowych, za czasów Maryi Stuart. Hamiltonowie byli najwierniejszymi stronnikami nieszczęśliwej królowej, gdy naturalny jej brat, Jakób Murraj, przemocą złożył ją z tronu, i uwięziwszy w zamku Loch-Lewen, do dobrowolnej niby abdykacyi przymusił; poczem sam, pod tytułem Rejenta i opiekuna małoletniego jej syna, Jakóba VI, władzę królewską w Szkocyi sprawował. Panowanie jego było ciągłem prześladowaniem stronników Maryi, którzy też ze swojej strony, nie przestawali używać wszelkich sposobów przywrócenia jej na tron. Śmierć Murraja, będącą przedmiotem niniejszej ballady, w tych słowach opowiada historyk szkocki Robertson:

„Zabójcą Murraja był jeden z rodziny Hamiltonów, Botwell z Bottwellawy, a to z następującego powodu. Po przegranej bitwie stronników Maryi, pod Langside, Botwell, z wielu innymi, skazany był na śmierć, i lubo potem przebaczenie życia otrzymał, większa część dóbr jego oddaną została jednemu z dworzan Rejenta. Ten ostatni opanowawszy gwałtem zamek Botwella, żonę jego, ledwo co po połogu będącą, nago podczas zimnej nocy, wraz z dzieckiem wypędzić kazał. Gwałtowne pomięszanie zmysłów, i wkrótce śmierć jej i dziecka, były skutkiem tego nieludzkiego postępku. Zniewaga i strata ulubionej żony, połączona z dawną niechę-

cią, sprawiły, iż pałający zemstą Botwel, śmierć Rejenta poprzysiągł. Barbarzyńskie maksymy owego wieku, usprawiedliwiały wszelkie najgorsze środki pomszczenia się nad nieprzyjacielem. Długo Botwell śledził w skrytości obroty Rejenta, nim upatrzył sposobną porę wykonania swego zamiaru. Murraj poskromiwszy zbuntowane klany na pograniczu Szkocyi, wracał do Edynburga przez małe miasteczko, zwane Linlitgow. Tam Botwell czekać go przedsięwziął. Uzbroiwszy się w muszkiet, obrał sobie stanowisko na krytym krużganku, mającym okno na ulicę, w domu jednego z rodziny Hamiltonów, stryja swojego; podłogę okrył pierzynami, aby kroków słychać nie było; ściany zawiesił suknem czarnem, aby cienia jego nie dojrzeć, i po tych wszystkich ostrożnościach, spokojnie oczekiwał przejazdu Rejenta, który w niedalekim domu nocował. Doszły były Murraja wieści i ostrzeżenia o jakiemś grożącem niebezpieczeństwie, choć o nim nikt z pewnością nie wiedział. Postanowił więc był z rana, nie przejeżdżać przez miasto główną ulicą, lecz wrócić do tej samej bramy, przez którą był wczoraj przyjechał, i miasto polem ominąć. Ale że wielki tłum ludu, przed domem jego zebrany, zagradzał mu tę drogę, a raczej że był mężny i śmiały z natury, udał się ulicą przez miasto. Tenże sam natłok ludu, co mu wstecz jechać nie dopuścił, był przyczyną, że koń jego musiał iść bardzo powoli. Korzystając z tego zabójca, wziął go tak dobrze na cel, iż kula przeszła przez sam środek piersi, i zabiła konia pod Duglasem z Parkhedy, jadącym obok Rejenta. Murraj upadł; dworzanie jego i straż wpadli do domu, skąd wystrzał pochodził, lecz nim zdołali przebyć zaryglowaną bramę i wszystkie drzwi domu, Botwell wymknąwszy się tajemnem przejściem, dosiadł przygotowanego już konia, i bodąc go sztyletem zamiast ostrogi, uszedł przed ich pogonią; wpadł do zamku Kadyowu, gdzie mieszkał naczelnik rodziny i klanu Hamiltonów, i tam jak zbawca Szkocyi, w tryumfie przyjętym został. Prześladowanie przez Murraja nieszczęśliwej królowej Maryi Stuart i jej stronników; okropność krzywdy

wyrządzonej Botwellowi, a nadewszystko stronnicza nienawiść i obyczaje owego wieku, usprawiedliwiły w ich oczach popełnione zabójstwo. Stało się to w r. 1596.

1. Str. 389. Czarno-brodaty żubr Kaledonu,

Żubr, nie znajdujący się już nigdzie w Europie, oprócz jednej białowieskiej puszczy w Litwie, częstym niegdyś był zwierzem w Szkocyi, i tem różnił się od litewskiego żubra, że był całkiem biały, prócz brody, pyska i rogów czarnych, i że miał długą grzywę, do lwiej podobną.

2. Str. 393. »Morton zausznik dzid szkockich borem,

Morton, jeden z zabójców Dawida Rizzio, którego z rozkazu pierwszego męża Maryi Stuart, w oczach jej zamordowano.

3. Str. 393. I Knox się swoją świętością puszył:

Knox, pierwszy krzewiciel reformy w Szkocyi, której sam Rejent był najgorliwszym stronnikiem.

4. Str. 394. I dziki Lindsay, zdrajca niewierny,
Co się królowej płaczem nie wzruszył.

Lindsaj, najdzikszy i najokrutniejszy z frakcyi Rejenta, użyty przez niego do wymuszenia na uwięzionej królowej zrzeczenia się tronu, wykonał to polecenie z największą surowością i grubiaństwem; i gdy nieszczęśliwa Marya, zalana łzami, w chwili podpisania abdykacyi, odwróciła na chwilę oczy, przymusił ją do kończenia, ściskając gwałtownie jej rękę rękawicą żelazną.

WIECZÓR PRZED ŚWIĘTYM JANEM

BALLADA

Z WALTERA SCOTTA.

Groźny baron Smajlhomu.*) przede świtem sam
Siodła konia, i jedzie za mury. [w domu
Obejrzał się: nikogo! – ścisnął konia ostrogą,
I jak wicher zapuścił się w góry.

Nie w tę stronę gdzie wojna, gdzie Duglasa dłoń
Grzmi piorunem i lśni błyskawicą: [zbrojna
Gdzie ojczyzny nadzieja, dzielne hufce Bukleja
Stoją murem nad szkocką granicą.

Przecież od stóp do głowy, cały w zbroi stalowej,
I koń cały okryty żelazem;

*) Zamek Smajlhome *(Smejlhom* albo *Smajlholm-Tower)* w hrabstwie Roxbury, w Szkocyi, sławny z pięknego położenia i widoków, leży pomiędzy dzikiemi skałami, z których jedna nosi nazwisko strażniczej *(Watchfold)*. Treść ballady opiera się na podaniu miejscowem.

I bojowy miecz w ręku, i zwieszony na łęku
Lśni buzdygan i topór zarazem.

Gdzie pojechał, nikt nie wie; wiedzą tylko, że w gniewie
Był straszliwym przed samą swą drogą.
Lecz nikt przyczyn nie zbadał; Baron z nikim nie gadał,
Słowa o nic nie pytał nikogo.

Dnia czwartego z za góry, nasępiony, ponury,
Baron wraca; — twarz dzika i blada.
I koń widać podbity, kurzem, znojem okryty,
Drży pod jeźdźcem, i omal nie pada.

Baron wraca do dworu — ale nie z Ankram-Moru.*)
Gdzie pamiętny zwycięstwem i mordem,
Stoczył bój Duglas mężny, i lord Buklej potężny,
Z Sir Ewersem, angielskim milordem.

Skądże ten znak przy znaku, na puklerzu, szyszaku,
Od brzeszczotu, czy włóczni żelezców?
Ha! i topór stępiony, we krwi widać zbroczony —
Lecz nie we krwi angielskich najeźdźców! —

Most przejechał zwodowy, i u bramy zamkowej
Zsiada z konia, i gwizdnął trzy razy.

---

*) Bitwa zaszła pod Ankram-Moor, w r. 1545. Wódz Anglików, Lord Evers z synem, i przeszło 800 ludzi, między tymi wielu najznakomitszych rycerzy, poległo ze strony angielskiej.

Jakby czekał już wprzódy, na to hasło paź młody.
Przybiegł skokiem na pańskie rozkazy.

„Słuchaj, paziu mój młody! twej wierności dowody.
„Wiesz, że łaską odpłacam wzajemnie.
„Mów więc śmiało, licz na niej; mów, gdzie była twa pani?
„I kto był u twej pani beze mnie?“ —

— „Lady codzień o zmroku, boczną furtką u stoku,
„Wychodziła, gdy wszyscy już spali;
„I szła prosto na góry, gdzie od pory do pory
„Podczas wojny nasz sygnał się pali.

„Dnia pierwszego, mgły sine okrywały równinę,
„Krok w krok za nią więc mogłem iść blisko.
„Szła z pośpiechem i trwogą; lecz na górze nikogo!
„Samo jedno gorzało ognisko.

„Dnia drugiego, przed zmierzchem, w szparze skały pod wierzchem
„Siadłem skrycie, by schadzki dośledzić.
„Nagle spojrzę — aż stoi, młody rycerz we zbroi:
„Lecz skąd przyszedł? — nie umiem powiedzieć.

„Lady przyszła niedługo, i godzinę i drugą
„Rozmawiali z żywością wzajemnie.
„Lecz deszcz padał kroplami, wiatr szeleścił liściami.
„Nastawiałem więc ucha daremnie.

„Wczoraj wreszcie, pogoda! niebo czyste jak woda.
„Wietrzyk nawet poprzestał oddychać.

„Znów się skryłem w ustroni, skąd mi jakby na dłoni
„Było wszystko i widać, i słychać.

„I słyszałem z ust Lady, jej układy i zdrady,
„Jak mówiła, ściskając młodziana:
— „„ O! mój luby, mój drogi! jutro do mnie bez trwogi,
„„Przychodź jutro, przed świętym dniem Jana.

„„Mąż z Duglasem na wojnie; w zamku wszystko [spokojnie;
„„Ja ci furtkę u stoku otworzę.
„„Przede świętym dniem Jana, straż i czeladź bez pana,
„„Będzie piła i spała we dworze“. —

— „„Nie! ja nie mogę przyjść; nie! mnie nie wolno [przyjść;
„„Nie! ja nie śmiem przyjść jutro do ciebie! —
„„Mnie przed świętym dniem Jana, straż gdzie indziej [wskazana,
„„Aż świt pierwszy zabłyśnie na niebie“. —

— „„Któż cię zmusza? kto każe? Gdy się ja tu przyjść [ważę
„„Tyżbyś dla mnie nie ważył się na to? —
„„Przyjdź! noc będzie pogodna; chwila szczęścia swo-[bodna
„„Stanie sercu za wiosnę i lato!

„„Ja przekupię wprzód straże, ja psów spuszczać nie [każę,
„„Ja gałęźmi potrząsnę podłogi.
„„Przyjdź! zaklinam więc ciebie, w imię Boga na Niebie
„„Przyjdź! przyjdź do mnie! mój luby! mój drogi!“ —

— „„Choć stróż, będzie zjednany, choć przykute bry-
„„Choć gałęźmi potrząśniesz podłogę; [tany,
„„Wiesz, że ksiądz śpi przy wchodzie; on mnie pozna po
„„Każe w dzwony uderzyć na trwogę““.— [chodzie,

— „„Ksiądz na rozkaz przeora już w Drajburgu od
„„Pogrzebowe odprawia modlitwy, [wczora,
„„Za jakiegoś rycerza, co bez skruchy, pacierza,
„„Niespodzianie legł wczoraj śród bitwy“. —

„Rycerz podniósł twarz smutną a był blady jak płótno,
„I roześmiał się dziko i srogo:
— „„Ha, ha, ha! — rzekł —te modły, co tam księdza
[wywiodły,
„„Ha, ha, ha! czyż być za mnie nie mogą? —

„„O północy, jak skoro, duchy mocy nabiorą,
„„Jak zaklęłaś, tak będę u ciebie!““ —
„I to rzekłszy ponuro, znikł gdzieś nagle za górą,
„I Milady wróciła do siebie“. —

Baron milczał i słuchał, z oczu, z twarzy żar buchał,
Porwał sztylet, i krzyknął w zapędzie:
„Któż on? kto on? mów! jaki był herb, zbroja i znaki?
„Ja czy on, jutra widzieć nie będzie!“ —

— „Hełm i pancerz złocony, miecz na szarfie czerwo-
„Ponad hełmem trzy pióra sokole; [néj
„Na puklerzu wyryty, sokół strzałą przebity,
„A u góry trzy gwiazdy w półkole“. —

— „Paziu! kłamstwo w twej mowie! Ha i biada twej gło-
Krzyknął Baron, i porwał się z gniewem. [wie!“ —
„On być nie mógł na górze! on już nie żył w tej porze;
„On już leżał w mogile pod drzewem“. —

A paź ręce załamał: „Karz mię, zabij, gdym skłamał!
„Bo widziałem, słyszałem ja sam,
„Jak go Lady ściskała, jak go Lady nazwała
„Sir Ryszardem de Koldingham“. —

Baron pobladł jak chusta, wlepił oczy, ścisnął usta,
I stał niemy, aż przemógł swą trwogę.
„Nie! grób jego głęboki; skrzepłe były już zwłoki;
„Nie! nie mogę uwierzyć, nie mogę! —

„Gdzie około Melrozu, z gór ciasnego wąwozu
„Twid się w szersze rozlewa koryto,
„Tam na dzikiem rozdrożu, na Ejldońskiem tam
„Koldinghama śród nocy zabito. [wzgórzu,

„Olśniło cię ognisko, wiatr ci przyniósł nazwisko,
„Jeśli wreszcie uwierzyć ci muszę;
„Bo już trzy dni zań w chórze, tam w Drajburskim
„Księża psalmy śpiewają za duszę“. — [klasztorze,

To rzekł, i krok za krokiem, w zadumaniu głębokiem,
Szedł na zamek, gdzie sala wspaniała;
Tam jak maju pogoda, jasnolica i młoda,
Żona jego u okna siedziała.

Lecz w jej licach nie radość; czarny smutek a bladość!
Siedzi sama, i patrzy tęskniąca:
Na równiny, doliny; na Mertunu las siny,
Na blask Twidu przy świetle miesiąca.

Baron wszedłszy, pozdrowił, ale słowa nie mówił,
Wzrok w nią tylko zatapia ciekawy.
Ona drżąca powstała, ona pierwsza spytała
O nowiny z wojennej wyprawy.

„Dobre, dobre nowiny! Ankram-Moru równiny
„Trupy wrogów jak mostem zasłały.
„Buklej razem z Duglasem, proszą ciebie tymczasem
„Dawać baczność na nasze sygnały“. —

Lice lady Smajlhomu, krwią zabiegło od sromu.
Słowa więcej nie rzekli oboje;
Lecz przez kręte w słup schody, i przez długie prze-
W swe sypialne odeszli pokoje. [chody,

Ale sen był daleki, od obojga powieki.
Próżno Baron powtarzał sam w sobie:
„Nie! to próżna obawa! kto raz umarł, nie wstawa;
„Na wiek wieków zwodziciel śpi w grobie!“ —

Noc przed świętym dniem Jana, krótka, chociaż nie-
Przeszła prędko; — aż koło poranka, [spana,
Sen ogarnął Barona; lecz obawą dręczona,
Oka zmrużyć nie mogła kochanka.

Wzniosła głowę i słucha: — wkoło cisza, noc głucha,
Cały zamek w pomroce i we śnie.
Życie daćby gotowa, by dziś rycerz mógł słowa
Nie dotrzymać — nie przyszedł niewcześnie.

Nikt nie skrzypnął podłogą; — a wtem nagle —
Rozsunęły się poły firanek; [o! trwogo!
Lady spojrzy — aż stoi, tuż u łoża, we zbroi —
O! nieszczęsna! — to on! jej kochanek!

Przed oczyma ściemniało, serce w piersiach ustało,
Ręką tylko wskazała na łoże. —
„O! wiem ja, rzekł, w tej dobie, kto spoczywa przy [tobie;
„Lecz się nie bój! on powstać nie może.

„Nie otworzy powieki — on dziś, a ja na wieki;
„On w swem łożu, ja w zimnej mogile! —
„Trzeci dzień dziś upłynął, z ręki jego jam zginął,
„Księża za mnie się modlą w tę chwilę.

„Lecz sąd Boga surowy! Gdzie nas słodkie rozmowy,
„Gdzie nas miłość łączyła szczęśliwa:
„Duch mój żalem przykuty, czas czyścowej pokuty
„U sygnału na górze odbywa.

„Ale nie miałbym mocy, przyjść aż tutaj śród nocy,
„Bez twych zaklęć na święty dzień Jana. —
„Teraz, żegnaj na wieki! — mnie czas w kraj mój [daleki,
„Gdzie mnie zorza nie spłoszy poranna!“ —

W niej miłości odwaga, nad przestrachem przemaga:
— „O! Ryszardzie! o! powiedz mi słowo!
„Jest-żeś ty tam zbawiony? czy na wieki zgubiony?“ —
Rycerz westchnął, i tylko wstrząsł głową:

„Kto tu przelał krew braci, krwią na sądzie zapłaci;
„Niechaj o tem wie Baron twój mściwy.
„A że miłość nieprawa, tam za grzech się uznawa,
„Przyjm odemnie ten dowód straszliwy!“ —

Rzekł, i dłonią swą lewą, wsparł się o łoża drzewo,
A prawicą dotyka jej ręki.
Lady wstrząsła się, zbladła — i jak martwa upadła.
W całym zamku rozległy się jęki.

I nazajutrz tam rano, w drzewie łoża ujrzano
Wypalonych pięć palców ognistych,
Lecz z ust Lady ni słowa; - prawą tylko dłoń chowa,
U stóp męża w łzach tonie rzęsistych. —

W górach blisko Melrozu, w mrocznej głębi wąwozu,
Jest mnich wiecznem związany milczeniem;
Jest w Drajburgu, w tajemnym, ciemnym lochu
[podziemnym,
Mniszka drżąca przed słońca promieniem.

Ten pustelnik ponury, jak milczące wkrąg góry,
Ta jak noc, pokutnica posępna:
To jest Baron Smajlhomu, mściciel krzywdy
To jest jego małżonka występna. [i sromu —

LENORA

BALLADA

Z BÜRGERA.

Z ciężkich snów, o bladym ranku,
Lenora rwie się i płacze:
„O! Zbigniewie! o kochanku!
Kiedyż cię, kiedy zobaczę?“ —
On z potęgą króla Jana,
Bronił Wiedeń od Sułtana;
Ona w ciągłej boleści,
Bo ni listu, ni wieści.

Długo polski miecz zwycięzki
Strach w pohańczych tłumach szerzył,
Aż ciężkiemi złękły klęski,
Bisurmanin mir uderzył.
Całe wojsko z brzękiem, dźwiękiem,
Z hukiem kotłów, broni szczękiem,
W laurach, z bitew pogromu,
Wraca spocząć do domu.

I na drogi, na rozłogi,
Z wiosek, z miasta, z okolice,
Lud naprzeciw wybiegł mnogi,
Dzieci, starce, i dziewice.
Tu rodzina, tu drużyna
Wita brata, ojca, syna;
Lenora tylko jedna,
Niepowitana biedna.

Bieży szukać pośród szyków:
Lecz cię niema, o! Zbigniewie!
Bieży pytać wojowników:
„Gdzie mój Zbigniew?“ — żaden nie wie.
Aż gdy przeszło wojsko całe,
Ona tłukąc piersi białe,
Łzami zalana, zbladła,
Z żalu na ziemię padła.

Widząc to matka przybieży:
„Ach! córko! co ci się dzieje?“ —
Żałośnie w dłonie uderzy,
I oko łzami zaleje. —
— „Matko! matko! gdzież mój luby?
Próżne modły! próżne śluby!
On zginął Matko droga!
Ach! niema, niema Boga!“ —

— „Stój! stój! nieszczęsna! — O! Boże!
Bluźnierczej przebacz żałości! —

Proś Boga, On cię wspomoże,
On ojciec pełen litości". —
— „Cóż On mi zrobił dobrego?
O cóż mam prosić u niego?
On się światem nie trudzi,
Śmieje się z płaczu ludzi". —

— „Porzuć ten zbrodniczy lament,
Biada! kto Bogu złorzeczy.
Weź Przenajświętszy Sakrament,
On cię z szaleństwa uleczy". —
— „Daremnie, matko! daremnie!
Precz twe namowy ode mnie!
Sakrament mąk nie skróci,
Umarłych nie ocuci". —

— „Lecz skądże pewność, jeżeli
Zbigniew nad brzegiem Dunaju,
Z inną już łoża nie dzieli,
Niepomny ciebie i kraju? —
Córko! posłuchaj co radzę,
Niech żal ustąpi zniewadze;
Zapomnij go, a w Niebie
Bóg się pomści za ciebie". —

— „On rycerz! zdradzić nie może
Ani kochanki, ni kraju! —
W grobie on chyba ma łoże,
Albo gdzie na dnie Dunaju.

Tam chyba znajdę wesele,
Gdy z nim to łoże podzielę.
Lecz cóż mi pacierz nada? —
O! biada mi! o! biada!“ —

— „O! Boże! Boże litości!
Nie racz jej karać w twym gniewie;
Ona dziś w zbytku żałości
Sama rzeczonych słów nie wie! —
Córko! znoś ziemskie cierpienia,
Pomnij na Boga, zbawienie!
Tam wiecznej chwały wieniec,
Tam wieczny oblubieniec!“ —

— „O! matko! cóż mi zbawienie?
O! matko! cóż mi jest piekło? —
Z nim dla mnie tylko zbawienie,
Bez niego wszędzie mi piekło! —
Zbigniewie! byle przy tobie,
Niebo dla mnie w zimnym grobie,
Niebo w piekle; bez ciebie,
Piekło mi nawet w Niebie!“ —

Tak ogniem dzikiej rozpaczy
Paląc się, Bogu złorzeczy;
Próśb nie słucha, rad nie baczy,
Targa włosy, pierś kaleczy,
I ręce łamie bez końca;
Od samego wschodu słońca,

Aż do późnego mroku,
Jęk w ustach, łza na oku.

Noc była — nagle po błoniu
Zahuczał tętent podkowy,
I rycerz na czarnym koniu,
Wbiegł na dziedziniec zamkowy.
Skoczył z konia, szabla szczękła,
Rumak parsknął, klamka brzękła,
Przeze drzwi głos surowy,
Z temi się przedarł słowy:

— „Ha! Lenoro! jak się miewasz?
Jak myślisz o mnie po wojnie?
Śmiejesz się, czy łzy wylewasz?
Czuwasz-li, czy śpisz spokojnie?“ —
— „Tyż to! Zbigniew! Czy nie we śnie?
Skąd powracasz tak niewcześnie?
Dawno ciebie czekałam,
Nie spałam i płakałam!“ —

— „My tylko jeździm z północy! —
Późnom się wybrał od siebie;
Leciałem co koń miał mocy,
A przyjechałem po ciebie“. —
— „Co? po mnie? dziś o tej porze? —
Zimny wiatr świszcze na dworze.
Do mnie! do mnie, kochanku!
Poczekajmy poranku“. —

— „Nie mogę; nie moja droga!
Nie dbaj na zimno, na ciemno;
Koń parska, brzęczy ostroga,
Muszę jechać — siadaj ze mną!
Siadaj ze mną! dziś przededniem
Musimy stanąć pod Wiedniem.
Nie zwłócz chwili daremno,
Dziewczyno siadaj ze mną!“ —

— „Czyż to podobna do wiary,
Sto mil dziś ubiedz, mój miły? —
Słyszysz! jeszcze brzmią zegary,
Co jedenastą wybiły“. —
— „Nic to! nic to! — księżyc świeci,
Nocny jeździec prędko leci!
Nim ranne błyśnie zorze,
Staniesz na moim dworze“. —

— „Gdzież twój dwór?“ — „O! stąd daleko!
Bez próżnych wystaw, bez pychy:
W zielonem polu, nad rzeką,
Ciasny, posępny — lecz cichy“. —
— „Będzież tam miejsce i dla mnie?“ —
— Dosyć dla ciebie i dla mnie!
Śpiesz się! droga daleka,
Tłum gości na nas czeka“. —

Niepewną, bladą i drżącą,
Zbigniew na ganek prowadził,

I wpół niechcącą, wpół chcącą,
Przy sobie na koń posadził.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;
Coraz dalej! z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Jak mgła nikną, z każdej strony,
Łąki, pola, wsie i grody;
Leci rumak rozogniony,
Wprost przez lasy, wpław przez wody.
— „Ha! drżysz? księżyc świeci blado!
O! umarli prędko jadą! —
Nie strach umarłych tobie?“ —
— „Wieczny im pokój w grobie!“

Cóż to tam słychać za jęki,
I czarne kruki łopocą?
To śpiew śmierci, dzwonów dźwięki! —
Kogóż to chcą grzebać nocą? —
Niosą trumnę, koło truny
Blade lampy i całuny;
Przodem czarno ubrani,
Pieją smutnie kapłani.

— „Dość tych jęków, przyjaciele!
Później ciało złóżcie w grobie;
Teraz do mnie, na wesele!
Młodą żonę wiozę sobie.

Za mną, za mną! wszyscy wkoło,
Zanućcie mi pieśń wesołą;
Księże! mów słowo Boże,
Żegnaj małżeńskie łoże!“ —

Rzekł Zbigniew, i na te słowa
Wszystko znikło, wszystko ścichło,
Cała tłuszcza pogrzebowa
Tuż, tuż za nim śpieszy rychło.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;
Coraz dalej! z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Jako woda, po nad niemi
W tył się zdaje płyną chmury;
Tak przed niemi, tak pod niemi
Nikną pola, lasy, góry.
„Ha! drżysz? — księżyc świeci blado!
O! umarli prędko jadą! —
Nie strach umarłych tobie?“ —
— „Wieczny im pokój w grobie!“ —

— Patrz tam, patrz! na górze, w lasku,
W długie się wiążąc łańcuchy,
Przy mdławym księżyca blasku,
We mgle ciche tańczą duchy,
„Do mnie, do mnie, przyjaciele!
Do mnie, do mnie! na wesele!

Tańczcie wszyscy wokoło,
Zanućcie pieśń wesołą!“ —

I wnet z hukiem, i wnet z szumem,
Z jakim w puszczy wiatr szeleszcze,
Za rycerzem lecąc tłumem,
W dłoń posłuszna zgraja pleszcze.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;
Coraz dalej! z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Wkoło nich, w świetle księżyca,
Nikną pola, góry, drzewa.
Tuli się drżąca dziewica,
Do zimnej piersi Zbigniewa.
— „Ha! drżysz? — księżyc świeci blado!
O! umarli prędko jadą! —
Nie strach umarłych tobie?“ —
— „Ach! daj im pokój w grobie“. —

— „Koniu mój, koniu! kur pieje,
I rosa błyszczy po błoniu;
Czuję, już ranny wiatr wieje.
Prędzej, prędzej, prędzej koniu!“ —
Koń się wzmaga, nozdrzem pryska,
Nogą w niebo piasek ciska.
— „Ha! ot i dom Lenoro!
Umarli jeżdżą skoro“. —

Wnet widać żelazną bramę,
Której twarde rygle strzegły;
Rycerz dotknął, pękły same,
Drzwi się na oścież rozbiegły.
Przebóg! cóż to za zjawienie?
Wkoło krzyże a kamienie!
A mdławy blask miesiąca
O groby się roztrąca.
Wstają, lecą i płyną; —
Cóż ty teraz, dziewczyno?

Rumak ogniem parsknął z garła,
Wspiął się, zarżał, jak grom ryknął,
Ziemia się pod nim rozwarła,
Ogień buchnął, rumak zniknął.
Nagle słychać szelest głuchy,
Z grobów, z góry, tłumnie duchy
Wstają, lecą i płyną; —
Cóż ty teraz, dziewczyno?

W dłoni tuląc blade czoło,
Na kochanka piersi mdleje;
A chór duchów tańcząc wkoło,
Tę jej z cicha piosnkę pieje:
„Cierp, choć z żalu serce pęka,
Straszna Boga zemsty ręka!
Tu zwłoki zginąć muszą —
Boże! miej wzgląd nad duszą!“

Przypisek do ballady „Lenora“.

Treść poprzedzającej ballady wziął autor z powieści gminnej, upowszechnionej w Niemczech, a z małą co do szczegółów różnicą, i naszemu pospólstwu znajomej. W obu narodach musiała być kiedyś wierszem ułożoną, co zdają się potwierdzać małe z niej dotąd pozostałe ułamki, co dziwna, że też same w obu językach. I tak np. u nas, między innemi są cztery następujące wiersze:

»Miesiąc świeci,
Martwiec leci,
Sukieneczka szach, szach,
Panieneczko, czy nie strach?«

a które zupełnie prawie odpowiadają niemieckim:

»Der Mond, der scheint so helle,
Die Todten reiten so schnelle,
Graut Liebchen auch dir nicht?«

Słowa te podały Bürgerowi pierwszą myśl jego ballady. Późno raz bowiem przy blasku księżyca powracając do domu, napotkał śpiewającą je kobietę, a zastanowiony piękną ich prostotą, wypytawszy się o resztę powieści, napisał z niej w 1772 r. Lenorę, która przez znakomitego krytyka Schlegela, królową ballad nazwana, obudzając licznych naśladowców, nadała stały charakter balladom niemieckim, który po dziś dzień noszą.

MYŚLIWIEC

BALLADA

Z BÜRGERA.

Pan lasów bije w róg grzmiący,
„Dalej konno! dalej pieszo!“
Rwie się, hasa rumak rżący,
Wkoło zbrojno strzelce śpieszą:
Pan siadł — kopnął rumak skory,
Przez ciernie, ściernie i bory.

Ledwie pierwszy świt niedzielny
Złotem oblał krzyż kościoła,
Świętych dzwonów brzęk weselny
Na modlitwę wiernych woła:
Zdala wdzięczne brzmi śpiewanie,
Biegną tłumnie chrześcijanie.

Przez rozdroże szybko, żwawo,
Hasa na myśliwców przedzie. —

Lecz patrz! lecz patrz! w lewo, w prawo,
I stąd, i stąd rycerz jedzie.
Koń prawego jak śnieg biały,
Lewego jak żar roztlały.

Kto rycerz prawy? kto lewy?
Domyślam się coś, lecz nie wiem.
W czarnej zbroi jechał Lewy,
Wzrok piekielnem tlał żarzewiem;
Prawy w śnieżystem odzieniu,
Promień wiosny niósł w spojrzeniu.

„Witam ciebie! witam ciebie!“
Rzekł pan, zdjąwszy czapkę z głowy —
„Ni na ziemi, ni na niebie,
Niema zabawy nad łowy!“ —
Rzekł, spiął konia, i w dłoń klaszcze,
I w róg trąbi, i psy głaszcze.

Na to Prawy rzekł do niego:
„Zle się zgadza trąba w boru
Z brzękiem dzwonów, z śpiewem chóru!
Nie spolujesz nic dobrego;
Wierz mi, wróć się, porzuć łowy,
I złych aniołów namowy! —

„Poluj, poluj pośród boru,
Przerwał Lewy — „poluj dłużej!
Cóż ci dzwony? co bek choru?
Trąba za wtór im posłuży!

Na mnie się zdaj, o! młodzieńcze!
Bezpieczeństwo ja ci ręczę". —

„Oto mowa godna męża!
Dobrej radzie chęć ma sprzyja.
Komu straszny szczęk oręża,
Niech trzepie *Ave Maria.*
Marne groźby! próżne gniewy!
Dalej, dalej, mężu Lewy!" —

I hop, hop, hop, rumak skory,
Hasa, leci, śród trąb wrzawy,
Z dolin w doły, z gór na góry,
Obok rycerz Lewy, Prawy.
Wtem, jak śnieg biały, z gaika
Na pole jeleń wywyka.

„Na tu! na tu! dalej dzieci!
Prędzej konny, prędzej pieszy!" —
Pan na czele jak wiatr leci,
Za nim strzelców orszak śpieszy;
I z smycz lotne mknęły charty.
Hasa rumak kolcem sparty.

Hasa, leci w chmurach pyłu:
Patrzaj, patrzaj! w jednej chwili,
Strzelce z przodu, strzelce z tyłu,
W koło zwierza oskoczyli.
Koń pod jednym na kieł chwyta,
Jeździec zleciał pod kopyta.

„Mniejsza! krzyknął pan rozżarty,
Bierz go dyabeł! niech się wali!
Na tu! na tu! heżha charty!
Na przód, na przód! dalej, dalej!“ —
Hasa, leci rumak żwawy,
Obok rycerz Lewy, Prawy.

Zwierz na zbożne pędzi łany,
Złotym pływające kłosem.
Patrz! wieśniak łzami zalany,
Błagającym woła głosem;
„Panie! miej litość! przez Nieba!
Nie wytłaczaj biednym chleba!“ —

Skoczył Prawy i ostrzega:
„Wróć się, wróć się, mężu młody!“ —
Lecz Lewy umysł podżega
Do zabawy z cudzej szkody.
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową.

„Co? — krzyknął gniewem rozżarty,
Śmiesz mię spędzać z twego pola?...
Precz stąd! lub wnet spuszczę charty.
Towarzysze! za mną! hola!
Dalej za mną!“ — Tak pan wrzasnął,
I z harapa na wiatr klasnął.

„Na tu! na tu! heco! heco!“
Warczą rogi, brzęczą bronie;

Przez płot sadzą, w ogród lecą,
Pan i strzelce, psy i konie;
Trąbią, lecą przez zasiewy,
Obok rycerz Prawy, Lewy.

Przed bliskiemi jeleń sfory
Lekką stopą wiatr wyściga;
Z dolin w doły, z gór na góry —
Tuż zziajana psiarnia ściga.
Zwierz chcąc chytrze ujść od szkody,
Wpadł i skrył się między trzody.

Lecz przez góry, lecz przez bory,
Lecz przez łąki i przez błonie,
W zdradzające zwierza tory,
Lecą strzelce, psy i konie. —
Pasterz padłszy na kolana,
Tak ze łzami błaga pana:

„Panie! cofnij twoje łowy,
Użal się mojej biedoty!
Niejednej tu krówka wdowy,
Niejednej jagnię sieroty,
A ich wszystkiem, jest to jedno.
Ocal, panie, trzódką biedną!“ —

Skoczył Prawy i ostrzega:
„Wróć się, wróć się, mężu młody!“
Lecz Lewy umysł podżega
Do zabawy z cudzej szkody.

Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową.

„Precz mi z prośbą! precz mi z radą!
Ty mi dawać śmiesz nauki? —
Precz! lub wnet ciebie i stado
Psy me rozerwą na sztuki!
Dalej za mną!“ — Tak pan wrzasnął,
I z harapa na wiatr klasnął.

„Na tu! na tu! heco! heco!“
Za przykładem, za rozkazem,
Strzelce, konie, i psy lecą,
Walą zębem i żelazem.
Rzną się, warczą charty wściekłe,
Szarpiąc sztuki krwią ociekłe.

Ledwie wymknął z pośród tłuszczy,
Coraz słabszym jeleń lotem;
Krwią zbryzgany, zlany potem,
Znów się chroni w gęstwach puszczy:
Śród drzew miga, w głębi znika,
Wpadł do chatki pustelnika.

Szybko, żwawo, z biczów klaskiem,
Z hukiem i tętentem koni,
Z brzękiem, dźwiękiem i trąb wrzaskiem,
Zjadła psiarnia zwierza goni. —
A wtem z chatki, w szacie białej,
Wyszedł starzec osiwiały.

„Niebaczny! szanuj te progi,
Nie leć w przepaść zgubnej matni!
Jeszcze moment do przestrogi,
Jeden tylko — i ostatni! —
Wróć się, nie gardź radą zdrową,
Miecz zemsty nad twoją głową!“ —

Troskliwie Prawy nalega:
„Wróć się, wróć się, mężu młody!“
Lecz Lewy umysł podżega
Do zabawy z cudzej szkody.
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową.

„Rad mi żadnych nie potrzeba,
Groźba mię nie przejmie trwogą;
Choćbyś był z trzeciego Nieba,
Gardzę tobą i przestrogą! —
Próżne słowa! marne gniewy!
Dalej, dalej, mężu Lewy!“ —

W dłonie klasnął, w róg uderzył —
„Dalej, dalej!“ — konia spina. —
Wtem — o! dziwy! któżby wierzył?
Starzec, chatka, psy, drużyna,
Wszystko razem w oka mgnieniu
Znikło, jak sen przy ocknieniu.

Przerażony, w martwej ciszy,
Chce zatrąbić — trąby niema;

Krzyknął — sam siebie nie słyszy;
Tchu ni głosu w piersiach nie ma.
Spojrzy — wkoło mgłą okryty;
Chce uciekać — koń jak wryty.

A wtem z dołu, z góry, z boków,
Mgła się zgęszcza, ściemnia, chmurzy:
Pod nim zda się szum potoków,
Nad nim zda się szelest burzy;
Aż ze świstem wichru z chmury,
Głos, jak piorun, zabrzmiał z góry:

„Bezbożny! coś w bliźnim brata,
Stwórcy nie uczcił w stworzeniu;
Zaślepiony pychą świata!
Poznaj w wiecznem zatraceniu,
Że Bóg wszystkich stworzycielem,
Wszystkich ojcem — i mścicielem.

„Uciekaj przez wieków wieki,
Szczwany od czartów i piekła,
Dla przykładu w czas daleki,
Wszystkim, których chuć zaciekła,
Nie znając ni praw, ni granic,
Ludzi i Boga ma za nic!“ —

Głos zmilkł — a wtem z trzaskiem gromów,
Ziemia wstrząsa się, rozpada,
I z bezdennych jej rozłomów
Leci czarnych psów gromada,

I z ognistym biczem w dłoni,
Czarny jeździec do pogoni.

„Na tu! na tu! heco! heco!“
Klaskiem, wrzaskiem, huczy puszcza;
Gończe skomlą, charty lecą,
Jeździec głosem je poduszcza.
Tuż, tuż, z tyłu — już dopada —
„Uchodź, uchodź! albo biada!“

Pan się porwał, spiął rumaka,
Rumak skoczył, — i w podskoku
Zawisł w górze — i w obłoku,
Pędem wichru, lotem ptaka,
Leci, leci — a tuż wściekła,
Ślad w ślad za nim, psiarnia piekła.

Już, już, zda się, już go chwyta —
Z paszcz dym bucha, ogień świeci;
Już chce szarpać — wtem z kopyta
Koń się pomknie, i znów leci —
I nie stanie w pędzie wiecznym,
Aż na sądzie ostatecznym.

Stąd ten hałas dzikiej tłuszczy,
Który to w nocy, to we dnie,
Brzmiąc po skałach Czarnej Puszczy,
Przeraża strony sąsiednie. —
Nie wierzysz? spytaj! te dziwy
Każdy rad stwierdzi myśliwy.

Przypisek do ballady „Myśliwiec“.

Ballada ta, nosząca w oryginale tytuł: *Der wilde Jäger* (Dziki Strzelec), należy do najsławniejszych utworów Bürgera. Podanie znajome w Niemczech, na którem się ono opiera, jest następujące. Niejaki Falkenburg, dozorca lasów królewskich, całkiem oddany polowaniu, tak przytem był rozwięzły i srogi, że urągając się z religijnych obrządków, w niedziele, lub inne dni poświęcone modlitwom, wyjeżdżał zwykle na łowy, najdzikszych nad swymi poddanymi dopuszczając się okrucieństw. Po jego śmierci lud przyjął powszechne mniemanie, że za karę popełnionych zbrodni, przez zbytnią chęć do łowów, Bóg go potępił na wieczne polowanie po śmierci. Częstokroć w głębi ciemnych lasów w Niemczech, a zwłaszcza w pasmie gór, *Czarnym Lasem,* lub *Czarną Puszczą* (Schwarzwald) zwanych, dają się słyszeć jakieś hałasy. Pochodzą one, jak mi jeden uczony niemiecki naturalista powiadał, z krzyku ptastwa zwanego *Scolopax Galinago,* które się tłumnie po tych lasach znajduje; gmin jednak pragnie w nich rozróżniać znany głos Falkenburga, szczekanie psów i trąb dźwięki, i stąd słyszany szelest łowami Dzikiego Strzelca nazywa.

Razu pewnego, młody jeden myśliwy, zbłąkany nocą śród lasu, usłyszał blisko siebie ten hałas, a chcąc doświadczyć prawdy, *„Glück zu! Falkenburg!* zawołał! — „Dzięki ci!“ odpowiedział głos gruby — „za dobre życzenie, podzielmy się zdobyczą;“ — i kawał przegniłej zwierzyny upadł pod nogi zuchwałego młodzieńca, który wkrótce utracił dwa najlepsze konie, i nigdy z doznanego przestrachu przyjść do siebie nie mógł. Powieść ta, jakkolwiek od różnych różnie powtarzana, jest przedmiotem wiary gminu w całych prawie Niemczech.

GRAF HABSBURG

BALLADA

Z SZYLLERA.

W Akwisgranie, w zamkowych komnatach,
Namaszczalna cesarska biesiada.
Cesarz Rudolf, w obrzędnych swych szatach,
Tron wzniesiony u stołu zasiada.
Falcgraf Reński na złocie mu kraje,
Puhar z winem król Czeski podaje;
Wszyscy siedmiu wyborcy cesarza,
Jak wkrąg słońca chór planet niebieskich,
W złotych mitrach, w purpurach królewskich,
Stoją kołem przy tronie mocarza.

I z dziedzińców, z krużganków pałacu,
Z dźwiękiem muzyk, jak grom nieprzerwany,
Okrzyk tłumów skupionych na placu
Bije echem o okna i ściany.
Bo przeminął czas klęsk i swawoli,
Pychy możnych, a ludu niewoli,

Pan i sędzia jest znowu na ziemi.
Nie śmie szaleć bezkarnie gwałt zbrojny,
Nie drży słaby, zaufał spokojny,
Że jest moc i opieka nad niemi.

Cesarz puhar do góry wzniósł złoty,
I powłócząc wkrąg okiem radości:
„Nic tu nie brak do naszej ochoty,
„W pośród takich i uczty, i gości.
„Lecz nie widzę śpiewaka-minstrela.
„Pieśń natchniona jest duszą wesela,
„I duch wyższy na serce z niej wionie.
„Cześć mą dla niej wyssałem już z mlekiem,
„A com czuł będąc prostym człowiekiem,
„Czuć i uczcić potrafię na tronie". —

Ledwie skończył — z za tłumu rycerzy
Wyszedł mąż — z białym włosem na skroni,
W długiej, nakształt zakonnej odzieży,
Złotą arfę trzymając we dłoni.
„W strunach arfy jest cały świat ducha,
„W miarę tego, kto śpiewa, lub słucha,
„Jak pieśń wieszczą pojmuje, lub stwarza.
„Wiem, co duszę podnosi i krzepi,
„Lecz ty, panie, sam powiedz najlepiej,
„Co jest godne słuchacza-cesarza". —

Na to Cesarz z łagodnem wejrzeniem:
„O! na taką się pychę nie ważę.

„Wyższy Pan rządzi wieszcza natchnieniem,
„Co mu samo i cel swój pokaże.
„Bo jak wicher na morskim rozlewie
„Skąd i dokąd ma zawiać, nikt nie wie,
„Jako woda z swych źródeł podziemnych:
„Tak pieśń wieszcza wynika mu z duszy,
„Aż ją porwie za sobą i wzruszy
„Czucia śpiące w jej głębiach tajemnych". —

Z oczu starca jak światło wypadło,
I strun dźwięki zmięszały się z słowy:
„Przez Szwajcarską dolinę zapadłą,
„Możny graf jechał konno na łowy.
Dzielny koń, niecierpliwym poskokiem,
„Sadził w cwał po nad wzdętym potokiem,
„Na dźwięk trąbki już brzmiącej śród boru.
„Wtem głos dzwonka się rozlał rozłogiem —
„Był to kapłan, co szedł z Panem Bogiem,
„Poprzedzony chłopięciem od choru.

„Rycerz z wiarą i czcią chrześcijańską,
„Zskoczył z konia i ugiął kolano,
„Wielbiąc Ciało i świętą Krew Pańską,
„Dla zbawienia naszego wylaną. —
„Ksiądz tymczasem nad brzegiem strumienia,
„Zrzucał obów i zwierzchnie odzienia,
„By w bród łatwiej mógł na brzeg przejść drugi,
„Bo most woda zerwała przed dobą,
„A tam grzesznik złożony chorobą
„Czekał jego ostatniej posługi.

„A wtem rycerz przystąpił ku niemu.
„Sam mu konia za cugle prowadzi,
„Zmusza na nim nieść pomoc choremu,
„Trzyma strzemię, na siodło go sadzi,
„I sam pieszo zapuszcza się dalej. —
„Kapłan przebył bezpiecznie nurt fali.
„Błogosławiąc rycerza po drodze.
„I nazajutrz, o wschodzie jutrzenki,
„Do bram zamku, z winnemi podzięki,
„Odwiódł konia, trzymając za wodze.

„Ale rycerz powitał go słowy:
— „„Strzeż mię Boże! bym kiedy dla siebie
„„Użył konia na boje lub łowy,
„„Co niósł Zbawcę i Pana na Niebie.
„„Gdy być twoją własnością nie może,
„„Niech zostanie przy waszym klasztorze,
„„Na pobożne zakonu posługi.
„„Bogu memu w ofierze go składam,
„„Bo od Niego, co tylko posiadam,
„„Dzierżę z łaski — nie z własnej zasługi"". —

— „„Niechże Pan, który widzi w skrytości,
„„Dar twój tobie odpłaci w swej porze!
„„Niech cię wsławi i tu, i w wieczności,
„„Jakeś ty mu hołd oddał w pokorze.
„„Tyś Graf możny w szwajcarskiej krainie,
„„Dom twój z cnót i z hojności w niej słynie,
„„Sześć cór kwitnie w nim pięknych i skromnych.
„„Niechże każda — rzekł kapłan w natchnieniu —

„„Wzniesie berło twojemu plemieniu,
„„Ród twój wsławi u wieków potomnych!“ —

Cesarz słuchał i dumał głęboko,
Jakby dawne obudzał wspomnienie.
Wtem na starca iskrzące wzniósł oko,
I z ócz jego słów pojął znaczenie.
Był to kapłan spotkany przed laty. —
Cesarz krajem obrzędnej swej szaty
Zakrył śpiesznie łez rzewnych potoki. —
Lecz pojęto w orszaku cesarskim,
Że to on był tym Grafem Szwajcarskim,
I niebieskie wielbiono wyroki.

ŚWIETLANA

BALLADA

Z ŻUKOWSKIEGO.

Raz ciekawe przyszłej doli,
Różnemi kabały,
Dziewice w wilią Trzech Króli, [1])
Przyszłość zgadywały.
To policzonem ziarenkiem
Gołąbki karmiły; [2])
Biegły słuchać pod okienkiem, [3])
Biały wosk topiły [4]).
To w kielich wodą nalany,
Kładły pierścień pozłacany,
Każda z prawej ręki: [5])
Nad nim dzierżąc obrus biały,
Wszystkie razem w takt śpiewały
Godowe piosenki. —

Noc już była — księżyc blady
Świeci przez tumany.
Wtem najweselsza z gromady
Rzecze do Świetlany:
„Siostro! masz-li wiecznie łzami
Zlewać twarz rumianą?
Tańcuj z nami, śpiewaj z nami,
Kochana Świetlano!
Wróci wkrótce twój młodzieniec,
Wij mu z róży, z ruty wieniec,
Złoty pierścień z ręki
Rzuć do czary, potem w koło
Skacząc z nami, nuć wesoło
Godowe piosenki!“ —

— „Lube siostry! nie zmuszajcie
Śpiewać mię ni skakać;
Wy szczęśliwe, wy śpiewajcie,
Mnie pozwólcie płakać!
Rok już minął, żadnej wieści
O miłego bycie;
We łzach gorzkich i boleści
Młode wlokę życie.
Zginął-li? — czy mię niepomny,
W obcej ziemi, wiarołomny,
Z łez mych czyni śmiechy? —
Ja się modlę, ja łzy leję;
Utul boleść, wróć nadzieję,
Aniele pociechy!“ —

Wtem patrz! za starszych poradą,
Niosą stół dziewice;
Na nim dwa talerze kładą,
Palą cztery świece.
Stawią zwierciadło na stole,
Biało podesłane;
Piszą koło, i w tem kole
Sadzają Świetlanę.
„Siedź, i nic się nie bój wcale:
W czystym zwierciadła krysztale
Obaczysz kochanka,
Gdy z wieży północ uderzy,
Siądzie z tobą do wieczerzy,
Zabawi do ranka“. —

Już w izbie niema nikogo.
Naprzeciw zwierciadła,
Drżąca, blada, z tajną trwogą,
Dziewica usiadła.
Na najmniejszy szelest trzyma
Wytężone ucho;
Nie śmie w tył rzucić oczyma —
Wkoło ciemno, głucho.
Płomyk tylko świec nie jaśnie
To wybuchnie, to przygaśnie,
Zwęża się, to szerzy.
Wtem wiatr świsnął po dolinie,
Smutnie świerknął świerszcz w szczelinie,
Północ bije z wieży. —

Północ! — Nagle w martwej ciszy,
Strwożona dziewica,
Lekki klamki brzęk usłyszy.
Pot wybił na lica,
Srogie zimno ją przepadło,
Pierś się trwogą wzdyma —
Któż to patrzy we zwierciadło
Bystremi oczyma? —
W zbladłych ustach mdleje mowa;
A wtem ciche, miłe słowa
Głos wymówił znany:
„Po co bojaźń? po co trwoga?
Tom ja z tobą, moja droga!
Płacz twój wysłuchany!“ —

Obejrzy się — ku niej miły
Wyciągając ręce:
Łzy twe Niebo umodliły,
Koniec wspólnej męce! —
Śpiesz Świetlano! już w kościele
Kapłan na nas czeka;
Śpiesz, kochanko, na wesele,
Droga niedaleka!“ —
Za odpowiedź wzrok wzajemny.
Idą przez dziedziniec ciemny,
Na szeroki ganek;
Gdzie dwa konie niecierpliwe,
Brzęcząc cuglem, jeżąc grzywę,
Czekają u sanek.

Siedli; — konie w szybkim biegu
Zda się nie tkną ziemi;
Z pod kopytów chmura śniegu
Wzniosła się nad niemi.
Ciemno wkoło, pusto wkoło,
Step w oczach Świetlany;
I księżyca blade czoło
Omgliły tumany. —
Zimny strach jej serce chwyta;
Z trwogą dziewica zapyta:
„Bliskiż koniec jazdy?“ —
Ni pół słowa odpowiedzi:
Miły cichy, smutny siedzi,
Wzrok wlepiony w gwiazdy. —

Konie lecą śród bezdroży,
Po górach, po błoniu.
Patrz! samotny kościół Boży
Stoi na ustroniu.
Wicher drzwi otworzył z trzaskiem,
I widać w kościele,
Ołtarz rzęsnym płonie blaskiem,
Wkoło ludu wiele.
W środku katafalk ubrany.
I słychać, z jękiem zmięszany,
Smutny śpiew pogrzebu. —
Strach dziewicę zdjął na nowo:
Konie mimo — On surowo
Pogląda ku niebu. —

Nagle świsnął wiatr z za chmury,
Śnieg zrywając z ziemi;
Czarny kruk szumnemi pióry
Wije się nad niemi.
Coraz bliżej, coraz niżej —
Polękane konie,
Coraz dalej, coraz chyżej,
Lecą wprost przez błonie —
W mrocznej dali ogień błyska,
I wnet widać, chatka niska
Kryje się w ustroni.
Coraz ciemniej gwiazdy świecą,
Coraz prędzej konie lecą.
Lecą prosto do niej.

Przyleciały wnet przed ganek —
I ach! — cud niezwykły! —
Konie, sanki i kochanek
W oka mgnieniu znikły. —
Sama jedna wpośród nocy,
Sama wpośród wiei:
Skąd ratunku, skąd pomocy,
Skąd czekać nadziei? —
Wracać? — śnieg już zawiał ślady. —
W izbie błyska płomyk blady,
Tam więc wsparcia szuka.
Uzbrojona znakiem krzyża,
Powoli się ku drzwiom zbliża,
Zlekka w nie zapuka.

Z cichym szmerem się otwarły.
Lecz trwoga po trwogach!
W środku trumna, w niej umarły,
Krzyż i lampa w nogach. —
Wejść czy nie wejść? stojąc w progu
Dziewica się chwieje;
Weszła wreszcie, ufne w Bogu
Złożywszy nadzieje.
We łzach cała, drżąca, zbladła,
Z trwogą na kolana padła
W pełnej serca wierze;
Potem wziąwszy krzyż do ręku,
Poszła, siadła przy okienku,
Kończyć swe pacierze.

Księżyc zaszedł, brzask nie dnieje,
W izbie lampa blada,
Coraz słabsze światło sieje,
Coraz głębiej spada.
Wszędzie ciemno, pusto, głucho,
Wszystko w martwej ciszy;
Przebóg! lecz dziewicy ucho
Jakiż szelest słyszy?
Spojrzy trwożna — ku niej z góry,
Gołąbeczek śnieżno-pióry
Przylatuje z cicha;
Przyleciał, siadł na ramieniu,
W jasnem się jego spojrzeniu
Nadzieja uśmiécha.

Ciemno znowu, głucho znowu —
Lecz ach! — czy się zdaje,
Czy z pod czarnego pokrowu
Umarły powstaje? —
Powstał nagle, z mar zeskoczy,
Blade podniósł czoło,
Wpół otwarte, błędne oczy
Rzucając wokoło.
Pierś się zdaje znów oddychać,
Twarz czerwienieć; w ustach słychać
Jęk niezrozumiały;
Ku dziewicy się przysuwa —
Ach! cóż ona? — drży — lecz czuwa
Gołąbeczek biały.

Z szumem szybki lot roztoczył
Stróż dziewicy biednej,
Umarłemu na pierś wskoczył —
I wnet, w chwili jednej,
Gasną oczy, blednie lice,
W tył się cofnął krokiem,
I zaiskrzył na dziewicę
Pełnem grozy okiem.
I padł na wznak. — Lecz, dla Boga!
Co za rozpacz, co za trwoga
Nieszczęsną przejęła!
Na jego skroni jej wianek!
Umarły, to jej kochanek! —
Ach! — wtem się ocknęła.

Gdzież? — śród izby, u zwierciadła,
Za stołem wieczerzy.
Patrzy wkoło, zlękła, zbladła,
Widzi i nie wierzy.
A już trzykroć świt różany
Kogut wita pieniem;
Wszystko jasne!... myśl Świetlany
Mroczna snu widzeniem.
„Straszne widmo! cóż mi wieści?
W grobie ż tylko kres boleści?
Z śmiercią-ż tylko śluby? —
Czy się Niebo płaczem wzruszy? —
Gdzieżeś, duszo mojej duszy!
Gdzieżeś, o! mój luby?“ —

Wstała — pierś jej wzdyma trwoga —
Patrzy w dal Świetlana;
Z okien długa, długa droga
Widna, mgłą owiana.
Już się ranne słońce pali
Siejąc blask ukośny;
Wszystko cicho — nagle w dali
Brzęczy dzwonek głośny.
Po gościńcu, we mgłach śniegu,
Lecą konie w szybkim biegu,
Prosto przed jej ganek;
Przyleciały wnet, i staną.
Gość wysiada — patrz, Świetlano!
Kto gość? — twój kochanek!

Cóż, dziewico? sen widziany
Złą ci wróżył dolę? —
Patrz, twój miły! żadnej zmiany:
Też oczy sokole;
Tenże uśmiech, ten rumieniec,
Też słodkie rozmowy!... —
On to, on twój oblubieniec,
I żywy i zdrowy! —
Rozweselcież smutne czoła,
Otwierajcie drzwi kościoła,
Stańcie przed ołtarze!
Niechaj puhar wkrąg obiega,
Niech się z każdych ust rozlega:
„Chwała pięknej parze!“ —

Przypiski do ballady „Świetlana".

1. Str. 439. Dziewice w wilią Trzech Króli,

Przesądy i zwyczaje, na których się treść niniejszej ballady opiera, znajome powszechnie są i między naszem pospólstwem. Przeciąg czasu, między dniem pierwszym Bożego Narodzenia, a świętem Trzech Króli zawarty, jest zwykle czasem, w którym młode wieśniaczki, przez rozmaite sposoby, pragną dociec, jak i kiedy za mąż pójść mają. — Między wielu innymi, dwa są celniejsze, które tu pokrótce przytoczymy.

Osoba chcąca się dowiedzieć przyszłości, siada w samotnej izbie o północy, pomiędzy dwoma, lub choćby przed jednem zwierciadłem, w które się bezprzestannie wpatrywać powinna; a czyja się w niem postać, jakoby przechodzącej przez izbę osoby, patrzącemu okaże, z tym go prędzej czy później niezawodne czeka małżeństwo.

Drugi sposób jest taki: Wróżący powinien własną ręką nałożyć ogień, przyprawić i gotować przy nim wieczerzę, z trzech potraw, i samych tylko jarzyn składać się mającą. Poczem sam na dwie osoby nakrywszy do stołu, wychodzi na środek i woła: „Ty, co mi jesteś przeznaczony, lub przeznaczona, w małżeństwo, w Imię Ojca i Syna i Ducha Św. proszę ciebie na wieczerzę, Amen". — Postać osoby przeznaczonej, jakkolwiekby natenczas dalekiej, nieznanej lub jeszcze nieurodzonej, ukaże się przy stole, i obszedłszy go dokoła po trzykroć, znika. Wzywający niech

się strzeże, aby nakrywając do stołu, nie kładł noża ani widelca, gdyż te w ręku widziadła mogłyby stać się narzędziem zemsty i śmierci. Pomimo śmieszności tych przesądów, gmin, przynajmniej na Rusi i w Litwie, niezachwianą do nich przykłada wiarę.

2. Str. 439. Gołąbki karmiły;

Każda z młodych wieśniaczek, odliczywszy pewną ilość ziaren z jakiegobądź zboża, a szczególniej pszenicy, sypie je na podłogę, w jedną zmiecione kupkę. Kupki te formują koło, w środku którego sadzą koguta, lub innego jakiego domowego ptaka, niekarmionego całą dobę i z zawiązanemi oczyma. Po zdjęciu zasłony, ptak z skwapliwością zaczyna jeść ziarna; gdy się nasyci, liczą pozostałe. Dziewczyna której ziaren najmniej się zostanie, najpierwej ma pójść za mąż, i tak koleją.

3. Str. 439. Biegły słuchać pod okienkiem,

Z której strony wiatr szumi najbardziej, z tej niezawodnie do podsłuchującej przyjadą swaty.

4. Str. 439. Biały wosk topiły.

Wosk lub cynę, po roztopieniu, wlewają do zimnej wody, z form, jakie w niej przybierze, rokując przyszłość dla tej, która je topiła na ogniu.

5. Str. 439. Każda z prawej ręki:

Po wrzuceniu pierścionków, śpiewają nad nimi rozmaite piosnki, po każdej strofie wyciągając jeden. Strofa poprzedzająca, staje się przepowiednią dla tej, czyj pierścionek wyjęto.

RÓŻA

POWIEŚĆ

Z SOUTHEY'A.

I.

Witaj mi, córo wiosny! kwiatów jej królowo!
Strojna krasą jutrzenki, czy bielą śniegową,
Równieś miła poety i sercu i oku!
Niechby inne powaby wziąwszy czas zazdrosny,
Ciebie tylko zostawił zdobić berło wiosny:
Jeszczeby wiosna warta zwać się Różą roku!

II.

Miło jest, pod rozkwitłym spoczywając krzewem,
Gdy wkoło chłodnem skrzydłem lekki wiatr powiewa,
Słuchać, jak pod zielonem utajony drzewem,
Słodką ci, jak twe wonie, słowik piosnkę śpiewa!
Chwała tym, co go tobie za kochanka dali!
Sam słowik chyba godnie wdzięk róży pochwali.

III.

Zbiegają się dziewice z koszykami w ręku,
Napawać się jej wonią, napatrzyć się wdzięku.
Pójdźcie do mnie, dziewice! — Po co ten rumieniec? —
Niech mi każda obieca krasny upleść wieniec,
Lub dać kwiatek od piersi; ja wam na podziękę,
Albijońskiego barda powtórzę piosenkę,
A w niej powieść o róży: jak niezwykłym cudem,
Po raz pierwszy na ziemi, przed zdumionym ludem,
Płoniące się ku słońcu rozwinęła krasy. —
Bard ten biegły w podaniach, znał dawniejsze czasy,
Znał dawniejsze przygody; wiele ziem przebywał,
W nich usłyszał tę piosnkę, i kochance śpiewał.

IV.

Żyła w Betleem, Izraelskiej ziemi,
Dziewica sławna wdzięki anielskiemi,
Zillah ją zwano: a Judea cała,
Chwałą cnót Zillah i piękności brzmiała.
Głos chwały nęci, ciekawość zapala:
Liczni młodzieńcy zbiegali się z dala.
Cnota cześć budzi, miłość niecą wdzięki:
Liczni młodzieńcy pragnęli jej ręki,
Biedni młodzieńcy! — daremnie, daremnie!
Zillah was kochać nie może wzajemnie.
Zillah z cnót tylko szukająca chluby,
Bogu dziewicze poprzysięgła śluby! —
Poszli młodzieńcy — a w ciężkiej tęsknocie,
Płacząc na srogość, dziwili się cnocie.

V.

Przyszedł z innymi Hamuel bogaty,
Miał mnogie skarby, miał kosztowne szaty,
Pragnął mieć Zillah. — Daremnie, daremnie!
Zillah go kochać nie może wzajemnie.
Srogość na twarzy, ponurość w źrenicy,
Trwożyły serce nieśmiałej dziewicy. —
Nie próżna trwoga, przeczucia to wieszcze;
Wzrok on miał dziki, duszę dzikszą jeszcze.
I wnet rojona popchnęła go zawiść,
Z miłości w rozpacz, z rozpaczy w nienawiść.

VI.

Czemuż, niestety! obrażony w dumie,
Człowiek się w zemście powściągnąć nie umie? —
Hamuel zemstę poprzysiągł zbrodniczą,
Oczernił Zillah, i chwałę dziewiczą. —
O! biada temu, kto potwarze szerzy!
O! hańba temu, kto potwarcom wierzy!
Wierzono jednak: a Judea cała
Czczonej wprzód Zillah obelgami brzmiała. —
Hamuel możny, sam w świetnym urzędzie,
Zakupił świadki, pouwodził sędzie,
A ci bezbożni, skazali niegodnie,
Wzór niewinności, na karę za zbrodnie.

VII.

Był plac pod miastem, naprzeciw kościoła,
Żelazną kratą ogrodzon do koła.

Plac pełen zgrozy: gdzie przestępne głowy
Sprawiedliwości karał miecz surowy.
Tam, jak się zdało, od ludzi i Boga
Wzgardzoną Zillah, śmierć czekała sroga. —
Już wkoło słupa stos złożono suchy,
Już na tym stosie, twardymi łańcuchy
Niewinną Zillah przykuto do pala.
Już kat śmiertelną pochodnię zapala....
Ona spokojna — jakby ją wnet mieli
Na złotych skrzydłach w Niebo wznieść anieli —
W skromnem milczeniu dokoła powłoczy
Świtem już nieba śmiejące się oczy.
Widząc ten pokój, widząc blask spojrzenia,
Lud przestał wierzyć w prawdę przewinienia.

VIII.

Z innem uczuciem Hamuel stał blisko:
Zemsta go wiodła na to widowisko.
Nie długi tryumf! — bo wnet rozpacz wściekła,
Bo wnet zgryzota, poprzedniczka piekła,
W mściwe się cisnąć zaczynały serce.
Oczy dziewicy padły na oszczercę.
Wzrok był łagodny: a jednak się zdało,
Że piorunową przeraził go strzałą.
Wzrok był łagodny — cóż w nim trwogę budzi?
O! ty Aniele Stróżu w sercach ludzi,
Sumienie!... twoja to święta powinność,
W chwilach cierpienia, pokrzepiać niewinność,
W chwilach tryumfu, być mścicielem zbrodni!..

IX.

Przebóg! przy stosie błysnął blask pochodni.
Lud bieży ku niej. — Ach! stójcie szaleni!
Przygaście pożar rosnących płomieni,
Zbawcie niewinność! — Próżno! nikt nie słucha.
Wznoszą się ognie, dym kłębami bucha.
Ach! ty sam chyba, sprawiedliwy Boże!
Twoja dłoń tylko ratować ją może!...

On płacz dziewicy usłyszał z wysoka,
Ujrzał niewinność; tchnął, i w mgnieniu oka,
Przed Jego tchnieniem płomień się uniża:
I jak piorunu błyskawica chyża,
Jak wąż ognisty, od stosu odstrzela
Na głowy sędziów i oskarżyciela.

Struchlała głazem oniemiała rzesza...
Lecz cóż znów ciszę uroczystą mięsza? —
Wzniosły się w niebo okrzyki radości:
„Cześć Wszechmocnemu! chwała niewinności!“ —
Jakiż cud nowy? — Stos się w krew zamienił,
Pękły okowy, słup się zazielenił,
I w kształcie wieńca, nad dziewicy czołem,
Dwubarwne róże zakwitnęły społem.

Tak po raz pierwszy od utraty raju,
Róża w śmiertelnym zakwitnęła kraju;
Krasna jak skromność, jak niewinność biała,
Niebieskie wonie w powietrzu rozlała.

Przypisek Autora.

„Między miastem a kościołem w Bezicem, jest pole nazwane *Campus Floridus*, pole kwitnące, a to z następującego powodu. Piękna dziewica, oskarżona niewinnie o przestępstwo, skazaną została na spalenie żywcem w tem miejscu; i kiedy już stos podpalać zaczęto, ona wzniósłszy oczy ku niebu, błagała Boga, aby jako świadomy jej niewinności, wybawić ją raczył od tak srogiej a niezasłużonej kary, i to rzekłszy, na stos pałający spokojnie wstąpiła. Lecz w mgnieniu oka zagasły płomienie, rozzieleniły się na wpół spalone głownie, a na nich zakwitły róże czerwone i białe: były to pierwsze, które widziano na ziemi. A tak niewinna dziewica za łaską Boga uwolnioną została".

(*Wyjątek z podróży Jana Maundeville*).

WIERNOŚĆ

BALLADA

Z BÜRGERA.

Kto chce mieć kochankę dla siebie jedynie,
Rad stroni od miasta i dworu.
Pan dworski raz w pięknej kochał się dziewczynie,
I chcąc ją dla siebie zachować jedynie,
Strzegł w zamku dalekim śród boru.

Nie zważał na trudy, nie zważał na pory,
Bo miłość trud płaci sowicie.
Jak skoro mrok zapadł — przez góry, przez bory,
Do zamku, gdzie miła, niósł jego koń skory,
I stawał u celu o świcie.

Mgłą nocną owiany i rosą oblany,
Gnał raz pan co siły zdaleka.
Już widać, już widać cel drogi żądany:
„Pośpieszaj! pośpieszaj, mój koniu kochany!
Gdzie szczęście i rozkosz nas czeka!“ —

Już blisko, już blisko cel drogi żądany —
Jak ranna u wschodu jutrzenka,
Tak w oknach zamkowych świt błyszczał rumiany.
„Ach! nie śpiesz, słoneczko! ach! nie budź kochanej!
Ach! nie świeć w mej miłej okienka!“ —

I przybył pod zamku cieniste ogrody,
I konia zostawił zdaleka,
Gdzie łączkę rozkwitłą przepływał zdrój wody;
A sam biegł skwapliwie przez tajne przechody,
Gdzie mniemał, że rozkosz go czeka.

Wszedł cicho — lecz jakąż przejęty był trwogą!
Ach! jakże w nim serce zadrżało!
Gdy w zimnem łóżeczku nie znalazł nikogo.
„Któż porwał? zawoła, kochankę mą drogą?
Ach, przebóg! ach! co się z nią stało?“ —

I z izby do izby wołając, przebiega,
Lecz wszystko w ponurej śpi ciszy;
A echo się tylko po salach rozlega,
I mdlejąc powoli, po gmachu przebiega —
Wtem nagle podziemny jęk słyszy.

To stary murgrabia był w sklepie zamknięty,
Któremu straż zamku zlecona.
— „Gdzie moja kochanka? mów starcze przeklęty!
Mów! co się tu stało, żeś w sklepie zamknięty?
Gdzie ona? — mów prędzej! gdzie ona?“ —

— „Ach! wielkie się, panie, nieszczęście zdarzyło!
Młodzieniec tu jakiś nieznany,
Wpadł w nocy na zamek, ze zbrojną swych siłą,
Mnie wtrącił do sklepu i porwał twą miłą,
I twoje dwa wierne brytany“. —

Aż zimny mróz Pana po ciele przeszywa,
A z oczu mu szczery żar świeci;
A w sercu mu zemsta zawrzała straszliwa:
Z okropnem przekleństwem miecz z pochew dobywa,
I wpada na konia, i leci.

Nie trudno zgadł jaką ubiegli stąd drogą,
Po śladach na rosie, po błoniu.
Więc leci, i konia w bok kole ostrogą:
„Ach! daj się mi pomścić za krzywdę tak srogą,
Pośpieszaj! pośpieszaj, mój koniu!

„Ach! będę ich ścigał, choć na kraj gdzie świata! —
Pośpieszaj! pośpieszaj, mój koniu!
Sowita cię za to nie minie zapłata:
Bez pracy, bez trudu, wieść będziesz twe lata
Przy złotym obroku, na błoniu!“ —

Tak woła, i w górze miecz wstrząsa dobyty.
A koń się wyciągnął jak strzała.
Aż jakby z pod ziemi skry krzesze kopyty,
Aż echem piorunu grzmi tętent odbity,
A w jeźdźcu aż kipi krew cała.

Wtem kiedy na wzniosły pagórek wybiegą,
Przy świetle bladawem jutrzenki
Młodzieńca z dziewicą w dolinie spostrzegą;
A wierne brytany do Pana przybiegą
I łasząc się, skaczą do ręki.

„Stój! zdrajco bezczelny!“ — Pan gniewny zawoła,
A w sercu wre zemsty chęć wściekła;
„Jeżeli masz śmiałość nadstawić mi czoła,
Pójdź do mnie, psie podły! a miecz mój podoła
Dziś jeszcze cię wtrącić do piekła!“ —

Młodzieniec nie łatwo dostępny był trwodze,
Miał męstwo i siłę straszliwą.
Na takie obelgi, gniew zawrzał w nim srodze;
Bystremu koniowi zawściągnął więc wodze,
I skoczył ku Panu co żywo.

I jeden i drugi miecz wstrząsa nad głową,
I obaj skoczyli wnet z koni;
I z okiem iskrzącem, i z twarzą surową,
Spotkali się, zwarli; — szczęk huczy dąbrową,
A iskry się sypią z ich broni.

I jeden i drugi nastaje i siecze,
Już obu krew broczy pancerze:
Jak ognie się jakie krzyżują ich miecze,
Z obudwu znój ciężki, z obudwu krew ciecze,
Obadwaj są równi rycerze.

Wtem kiedy już obaj osłabli na sile,
Zawołał młodzieniec: „O! panie!
„Jeżeli się zgodzisz, przestańmy na chwilę!
Nie bój się podstępu! odpoczniem na sile,
A ja ci otworzę me zdanie“. —

Pan utkwił miecz w ziemię, i czekał spokojnie
Co powie młodzieniec nieznany.
— „Daremnie, o! panie! walczymy tu zbrojnie,
Gdy możem rzecz całą załatwić spokojnie,
Chciej tylko! bez bitwy, bez rany.

„Na lepsze krew winni oszczędzać rycerze.
Niech spór nasz rozstrzyga sąd damy.
Lecz słowem rycerskiem zaręczmy się szczerze,
Że kogo z pomiędzy nas sobie wybierze,
Bez sprzeczki ją temu oddamy“. —

Pan przystał na układ, i myślał sam w sobie:
„Mnie przenieść powinna nad niego!
Ach! czyżem jej w każdej nie wierny był dobie?
Ach! czyżem ją kiedy naraził ku sobie?
Czyż kiedy zabrakło jej czego? —

„Mnie przenieść powinna!“ — tak myślał Pan z cicha,
I zdał się na słodką nadzieję.
Lecz ona dość piła z jednego kielicha —
A ja was, panowie, ostrzegam nie z cicha,
Że miłość zdawniała nie grzeje.

Niedługo się dama w namyśle wahała,
Bo gdy się rycerze zbliżyli,
Nowego, młodszego, wnet sobie wybrała,
I białą mu rękę z uśmiechem podała,
I usta ku niemu nachyli.

Więc Pana żegnali, i dalej jechali,
Młodzieniec nieznany z dziewczyną.
Pan ścigał ich wzrokiem, aż znikli w oddali;
Gniew szarpie za serce, twarz wstydem się pali,
A z oczu mu gęste łzy płyną.

Sprzecznością tych uczuć i myśli miotany,
Daremnie chciał przemódz swe bole;
I upadł zemdlony pomiędzy brytany;
Te skaczą wokoło, i liżą mu rany,
I liżą znój ciężki na czole.

To znowu mu w oko dzień wzniosło stracony,
I życie po członkach rozlało.
Wiernością brytanów do głębi wzruszony,
Przypomniał z żałością na skarb swój stracony,
Bo jeszcze go serce kochało.

Aż kiedy łzy smutku ulżyły mu brzemię,
Co z oczu płynęły jak rzeka,
Chciał wracać do domu; więc podniósł się z ziemie —
Lecz nogę zaledwie postawił na strzemię,
Gdy słyszy wołanie zdaleka.

Więc spojrzy, aż oto młodzieniec nieznany
Przybiega doń w pyle i znoju.
— „Dziewica, od której dziś jestem wybrany,
Przysyła mię po twe dwa wierne brytany,
Lub oddaj, lub stawaj do boju!“ —

Pan wsparł się na mieczu, i słuchał spokojnie
Co mówił młodzieniec nieznany.
—„Daremnie, młodzieńcze! chcesz walczyć wnet zbroj-
Gdy możem rzecz całą załatwić spokojnie, [nie,
Chciej tylko! bez bitwy, bez rany“.

„Na lepsze krew winni oszczędzać rycerze.
My spór nasz na wolę psów zdamy.
Lecz słowem rycerskiem zaręczmy się szczerze,
Że który którego za pana obierze,
Bez sprzeczki go temu oddamy“. —

Rad przystał na układ młodzieniec nieznany,
I skrycie się cieszył z umowy:
Albowiem w swej myśli był pewnym wygranej,
Nie wątpił, że zwabić potrafi brytany,
I wabił je ręką i słowy.

I woła, i cmoka, i bije w kolana,
Słodkiemi łakotki przynęca;
Lecz wierne brytany przyskoczą do Pana,
I skaczą wokoło, i liżą kolana,
A zębem swym straszą młodzieńca.

BAŚŃ O UŚPIONEJ KRÓLEWNIE
I O NAJŚMIELSZYM KRÓLEWICU

z Żukowskiego.

Był sobie król i królowa.
On zdrów, młody — ona zdrowa;
Przecież rok, drugi i trzeci,
Jak niema, tak niema dzieci.
Król w myślach smutkiem się trawi,
Komu swe berło zostawi;
Królowa także się troska.
Lecz cóż? taka wola Boska!
Dręczyli się, umęczyli,
W końcu się uspokoili.

Aż królowa raz wieczorem,
Poszła dumać nad jeziorem,
Dumać zawsze o tem jednem,
O sierocem życiu biednem,

I przez jakąby ofiarę
Odwrócić tę Niebios karę.
Idzie, duma — aż z jeziora,
Płynie wielki rak — potwora,
Z wąsem jak sum, a w kirysie,
Jakby jaki rycerz lśni się:
I kiwnąwszy zlekka głową,
Tak się ozwie: „O! królowo!
„Dobre tobie niosę wieści:
„Koniec troskom i boleści!
„W trzy ćwierć roku od tej pory
„Będziesz matką pięknej córy“. —
— „Ach! ty raku mój nad raki!
„Skądże tobie rozum taki,
„Byś mógł wiedzieć co się stanie?“ —
Rak jej na to zapytanie
Nic nie odrzekł, lecz się zwinął,
Plusnął w wodę, i gdzieś zginął.

Snem królowej to się zdało;
Lecz jak mówił, tak się stało.
W trzy ćwierć roku od tej pory
Była matką pięknej córy,
A tak pięknej, chociaż małej,
Że jej równej, na świat cały
Ludzkie oczy nie widziały.
Król niezmiernie rad z dzieciny,
Sprosił cały kraj na chrzciny,
A nasamprzód, państwa stróżek,
Jedenaście możnych wróżek.

Byłać wprawdzie i dwunasta,
Ale stara, zła niewiasta;
Tej nie prosił, — nie dla tego,
Że stara i nic dobrego —
Lecz był powód. —

W dworskich składach,
Po królewskich pra-pradziadach,
Był, osobliwszej roboty,
Serwis cały szczerozłoty.
Jak raz na dwanaście osób.
Król bez niego w żaden sposób
Nie chciał nigdy dać obiadu. —
Aż tu kłopot! — Czy ze składu,
Czy z kredensu, dość, że skrycie
Ktoś dwunaste skradł nakrycie;
Lecz kto? lecz jak? gdzie i kiedy?
Ani śladu! — Król więc tedy
Rada w radę z swym marszałkiem;
I wolał nie prosić całkiem
Tej dwunastej wróżki starej,
Niż dać serwis nie do pary.

Baba co nie pękła z złości. —
A tymczasem tłumy gości,
Co na bal proszeni byli,
Zebrali się, jedli, pili,
I nakoniec, jak w tym kraju
Było zdawna w obyczaju,

Czy kto krewny, czy nie krewny,
Niósł podarki dla królewny.
A po krewnych i za drużbą,
Przyszły wróżki z dobrą wróżbą,
I przez rymy, przez zaklęcia,
Zarzekały los dziecięcia:
„Będziesz cudem tego świata,
„Będziesz można i bogata,
„Będziesz cudna jasnolica,
„Znajdziesz męża królewica,
„Będziesz wiek wesoło trawić,
„Lud cię będzie błogosławić,
Będziesz miła, będziesz tkliwa,
„Będziesz dobra i szczęśliwa!“ —
Takie, w kolej od dziesięciu
Wróżek, wróżby szły dziecięciu.
Jedenasta z wróżbą nową
Idzie także: — lecz nim słowo
Wyrzec mogła: — sen czy mara?
Jedną razą wróżka stara
Zjawiła się przy kolebce,
I już rym swych zaklęć szepce:
„Mnie na ucztę nie proszono,
„Nie karmiono, nie pojono,
„A jać dar mój niosę przecie. —
„Krótko tobie na tym świecie,
„Królewiątko! żyć radośnie,
„W siedemnastej życia wiośnie,
„Zaraziwszy dłoń wrzecionem,
„Zaśniesz na śmierć wiecznym zgonem.“ —

To wyrzekła, w dłoń klasnęła.
Zaśmiała się, i zniknęła. —
Lecz jak zmienić wróżby wieszcze? —
Szczęściem wróżka, która jeszcze
Nie darzyła niemowlęcia,
Tak skończyła rym zaklęcia:
„Kłamiesz! to się tak nie stanie!
„Będzie to sen, nie skonanie.
„Sen ten będzie trwał lat dwieście,
„Lecz nie wiecznie; — aż nareszcie,
„Zjawi się najśmielszy z ludzi,
„Co ją znajdzie i obudzi.
„Z nim, i z królem, i z królową,
„Odrodzi się jak na nowo;
„Będzie widzieć wnuków wnuki,
„I dopóty żyć, dopóki
„Sama zechce". —

To skończywszy,
Królowi się pokłoniwszy,
Wróżki poszły. — Król w rozpaczy,
Różnie słowa ich tłómaczy,
Wzdycha, płacze, mizernieje.
I cóż za dziw? nie śpi, nie je,
Myśl złą wróżbą wciąż zajęta:
O dobrych ani pamięta,
A choć wspomni, to nie wierzy.
Myśli wciąż, jak zapobieży
Tej u niego jednej pewnej,
Co śmierć wróży dla królewny.

Aż ktoś z dworzan tak doradza:
„Królu panie! twoja władza!
„Zakaż w kraju lnu i przędzy,
„I drwij z przeklęstw starej jędzy“. —
W myśl królowi poszła rada.
Więc nie tracąc chwili, siada,
I do swojej Rady Tajnej
Pisze ukaz nadzwyczajny.
„Ja król, pan wasz, chcę i każę:
„By w całym państw mych obszarze,
„Nikt — ni szlachta, ani chłopi,
„Nie sieli lnu, ni konopi;
„A kto będzie siał, ten zwije
„Sam z nich stryczek na swą szyję.
„Zabrania się też prząść nici,
„I zaleca się policyi
„Przez wszelkie jakiebądź środki,
„Zniszczyć wszystkie kołowrotki,
„A nadewszystko wrzeciona. —
„Wola moja niecofniona,
„Kto ją słyszy, niech wykona!“ —
Po wydaniu tej ustawy,
Król zbył troski i obawy,
Znów jadł, pił, spał, żył radośnie.
A tymczasem córka rośnie,
Rośnie — matki już dorasta,
I już wiosna siedemnasta!.... —
Cóż się stanie z wróżbą ową? —
Dnia jednego, król z królową,
Gdzieś w gościnę, na czas pewny,

Pojechali bez królewny.
Smutno było to królewnie.
Napłakawszy się więc rzewnie,
Co tu począć? myśli sobie.
Nudno! — „Aha! wiem co zrobię,
„Co mam w domu sama siedzieć?
„Pójdę — rzekła — pałac zwiedzić!“ —
Jakoż poszła. — Ochmistrzyni,
Kilka frejlin idzie przy niej.
Idą naprzód do tronowej,
Od tronowej do balowej,
Z tamtej znów do innej sali;
I tak coraz dalej, dalej,
Przyszły wreszcie do narożnej,
Do okrągłej wieży próżnej,
Gdzie jak zamek zamkiem, pewno
Nie był nigdy król z królewną.
W środku tam nic szczególnego.
Mur z kamienia ciosowego,
Kręte schody, tuż przy murze,
Wiodą w górę; a na górze,
Widać drzwiczki do ganeczka. —
Królewiątko, jak sarneczka,
Skik, skik, w górę — wbiegła sama.
Ochmistrzyni, wielka dama,
Leźć po schodach nie tak rada.
Frejlinom też nie wypada
Iść wprzód, zwłaszcza kiedy gniewna.
Więc zostały; — a królewna
Już tymczasem na wierzchołku.

Wbiega, patrzy — aż na stołku,
U nizkiego okieneczka,
Siedzi sobie staruszeczka,
Niziuteńka, siwiuteńka,
Jak gołąbek; — prawa ręka
Na powietrzu, palce w ruchu,
I coś kręci na fartuchu.
Co takiego? — kawał drewna,
Nakształt strzałki! — Więc królewna,
Cicho, cicho, choć w obawie,
Podkrada się — i ciekawie
Patrzy, co to za narzędzie?
A staruszka kądziel przędzie.
I to liźnie lewą rękę,
To coś mruczy jak piosenkę.
„Wrzecioneczko, wij się, wij się!
„Kądziołeczko, nie tak rwij się!
„Praca nasza nie igraszka,
„Wiążem sidło, złowim ptaszka!“ —
A królewna z udygnieniem
Spyta jej: — „Za pozwoleniem,
„Co to robisz, proszę?“ — „Przędę“. —
— „Naucz-że mnie, i ja będę!“—
I już ręką wyciągnioną
Sięga nici: — wtem wrzeciono
Ach! — ukłuło; — krew z paluszka
Wytrysnęła — a zła wróżka
Zaśmiała się w głos, i znikła. —
A w królewnie mdłość niezwykła
Rozlewa się — wzrok się klei —

I usnęła. — Tuż z kolei,
Sen ogarnął ochmistrzynię,
I frejlinę po frejlinie;
I co żyło w całym dworze,
Wpadło w letarg. —

W tejże porze
Król powraca. — Co to znaczy?
Ni doboszów, ni trębaczy,
By go witać za powrotem!
Cały odwach śpi pokotem.
Straż przy bramie, choć stojąca,
Lecz pijana, czy drzemiąca,
Z zwisłą głową i rękoma,
Stoi martwa, nieruchoma.
Co to znaczy? — Król się gniewa,
Chce coś fuknąć — a wtem ziewa,
Ziewa, ziewa — i wpół słowa
Zasnął mówiąc. — I królowa,
I jej dama honorowa,
I szambelan z całą świtą,
Nawet laufer przed karetą,
Z podniesioną, jak biegł, nogą:
I woźnica z miną srogą,
Z zamachniętym biczem w dłoni,
I forysie, i sześć koni,
Jak jechali, tak w pół placu
Już zasnęli. — I w pałacu,
Jak kto gdzie stał, tak śpi: — straże,
Prezentując broń; kucharze,

Kręcąc rożen; — nawet płomię,
Choć nie zgasło, nieruchomie
Stoi w górę: — i u góry,
Dym jak buchał, tak w kłąb bury
Zwił się, i śpi: nad kominy
Stercząc tylko jak słup siny.
A jak pałac, tak z nim cała
Okolica zadrzemała,
I powoli, czas za czasem,
Pokryła się gęstym lasem,
Czarnym borem; — a do boru,
Ani drogi, ani toru,
Ni przystępu, ani zbliska!
Wszędzie głogi, a bagniska.
Żaden wiatr tam nie dowiewa,
Nie zaszumią nigdy drzewa;
Żaden ptaszek nie zapiśnie,
Żaden zwierz się nie przeciśnie;
Nawet chmura kiedy płynie,
To go zawsze bokiem minie;
Nawet słońca jasność słodka
Niema kędy wejść do środka.
Tak jest gęstą mgłą objęty.
Słowem, był to bór zaklęty.

A tymczasem, jak dzień po dniu,
Tak szedł tydzień po tygodniu,
Tak szedł miesiąc po miesiącu,
Rok po roku — aż i w końcu
Sto lat przeszło. — Z razu ludzie

Rozprawiali o tym cudzie,
Potem coraz mniej wierzyli
Potem całkiem zaprzeczyli.
Została się wieść niepewna,
Że w tym borze śpi królewna,
I że kto najśmielszy z ludzi,
Ten ją znajdzie i rozbudzi.

Z razu było dość młodzieży,
Z książąt, grafów i rycerzy,
Co przed laty, jak wieść niesie,
Szli próbować szczęścia w lesie.
Ale jedni, pełni trwogi,
Powrócili od pół drogi,
To nie mogąc znaleźć toru,
To nie śmiejąc wejść do boru.
Było jednak i tych wiele,
Co przez głogi i topiele
Przedarli się w las; lecz z lasu
Nikt nie wrócił. — Czas od czasu,
Coraz to mniej, coraz rzadziej
Było takich, coby radzi,
Dla niepewnej tam królewny,
Narażać się na zgon pewny.
W końcu niema i nikogo.

A czas zawsze swoją drogą
Jak szedł, tak szedł; — aż nareszcie
Upłynęło i lat dwieście.
Czasby ocknąć się królewnie.

Już jej o tem śni się pewnie...
Lecz przyjdzież najśmielszy z ludzi,
Co ją znajdzie i obudzi? —
Nie potrzeba o to bać się,
Co ma stać się, musi stać się.
Posłuchajcie!

Dnia jednego,
Wiosennego, wesołego,
Syn królewski — (król już nowy
Był w tym kraju) — lubiąc łowy,
Z wielką psiarnią, z wielkim dworem,
Przyjechał tam i wieczorem
Jakoś zbłądził. — Jedzie, jedzie,
Przez noc całą; aż na przedzie,
Widzi — czarną mgłą okryta,
Stoi puszcza nieprzebyta.
Nigdzie drogi, nigdzie toru,
Ni przystępu! — Więc wzdłuż boru
Jedzie, jedzie — aż spotyka
Staruszeczka, pustelnika.
Więc go wita, więc go pyta,
Co za puszcza nieprzebyta? —
A staruszek wstrząsłszy głową,
Zaczyna mu słowo w słowo
Opowiadać, co sam pewnie
Wie od starszych: o królewnie,
Co w królewskim wielkim dworze
Śpi zaklęta w owym borze:
Śpi lat dwieście, i śpiąc czeka

Na kochanka, na człowieka,
Co najśmielszy będzie z ludzi,
Co ją znajdzie i rozbudzi.
Opowiadał potem dalej,
Jak już byli tak zuchwali,
Co jej szukać próbowali:
Lecz jak jedni wejść nie śmieli.
A co weszli w las — zginęli.
A królewic słucha, słucha —
Był to młodzian pełen ducha,
Pełen serca. — Jednym razem
Wstrząsł się cały, i żelazem
Jak nie zepnie swego konia!
A koń wichrem, wprost przez błonia,
Jak nie skoczy!... w oka mgnieniu
Wpadł do boru, i w drzew cieniu
Zniknął z jeźdzcem. —

Cóż tam w borze? —
Dziwy dziwów! cuda Boże!
Raj nie gaj, nie puszcza dzika,
Oczom jeźdzca się odmyka.
Zamiast głogów — róż ogrody;
Zamiast bagnisk — żywe wody
Połyskują, szumią, brzęczą.
Rój motylów jasną tęczą
Leci nad nim; ptaszki zgrają,
Lecą przed nim, a śpiewają.
Kwiaty pachną — wszędzie wonność,
Wszędzie jasność a zieloność!

A koń leci, ani staje;
A przed koniem same gaje
Rozchodzą się, czynią drogę:
A królewic nie już trwogę,
Ale taką czuje radość,
Że i w niebie jejby zadość!
A tymczasem konia bodzie,
Leci, leci — aż na przodzie,
Widzi pałac — cud struktury!
Z alabastru białe mury,
Dach się błyszczy jak ze złoła,
Wrota na ścież — więc we wrota,
Pędzi prosto do pałacu.
Wjechał na plac: — aż na placu,
Tłumy ludzi w różnych strojach,
W złotogłowach, w jasnych zbrojach,
Stoją, siedzą, leżą — ale
Żaden się nie ruszy wcale,
I czy stoi, czy kto leży,
Śpi i chrapie jak należy.
A wśród placu, jakby wryta,
Stoi pyszna kocz-kareta,
Z herbem dworskim, sześcią koni.
Nasz królewic zajrzał do niej,
Lecz nie widząc, jak był pewny,
Młodej, ładnej — więc królewny,
Wprost pod pałac gnał w zawody.
Przebył ganek, wbiegł na wschody.
Wszedł do sali — do tronowej,
Stamtąd prosto do balowej,

Stamtąd znów do innej sali;
I tak coraz dalej, dalej,
Doszedł wreszcie do narożnej
Owej wieży — już nie próżnej —
Bo tam właśnie ochmistrzyni,
I freiliny obok przy niéj,
Przed wschodami śpią na ziemi.
Spojrzał bystro między niemi,
Czy nie znajdzie tej, co szuka.
Lecz nie! serce nie oszuka,
A tu mówi, że jej niema.
A więc rzucił wkrąg oczyma.
Patrzy, widzi wschody kręte,
I u góry wpół przymknięte
Małe drzwiczki; — coś widocznie
Tam go ciągnie; — lecz cóż pocznie?
Przejść nie sposób! ochmistrzyni
Leży wzdłuż, freiliny przy niej,
Chyba deptać. — Lecz poradził,
Krok w tył — skoczył, i przesadził.
Dopadł drzwiczek, popchnął, wbiega,
I postrzega — cóż postrzega?
O! radości! — „Tak! to pewna!
„To jest ona! to Królewna!“ —
Tak, to ona! — bo gdzież w świecie
Taka druga? —

Jakby dziecię,
Spokojniutka, miła, cicha,
Drzemie zlekka: — pierś oddycha;

Usta drgają, jak śród krzewu
Listek róży od powiewu;
Po przez rzęsy jasność oczek
Lśni jak gwiazdka przez obłoczek.
Włos w pierścieniach oblał szyję,
W twarzy róże, a lilije.
Na wysmukły, cienki stanik.
Rzucon lekki półkaftanik,
Purpurowy, złotem tkany,
Gronostajem bramowany.
Zresztą w bieli, lekkiej, mglistej,
I w zasłonie wpół przejrzystej.
W dole tylko z pod fartuszka,
W koturniku, drobna nóżka
Lśni się złotem. — Cudo dziewic!
Śpi jak anioł! — a królewic,
W zadumaniu, w zachwyceniu,
Cały w sercu, a spojrzeniu,
Nieruchomy stał — i ona
Spała przed nim niewzruszona.

Lecz jak przerwać sen zaklęty? —
Od miłości on natchnięty,
Skoczył ku niej, zgiął kolano,
Wlepił oczy w twarz rumianą.
Usta drgnęły jak uśmiechem,
Pierś jej żywszym tchnie oddechem;
W licach zakwitł kwiat rumieńca,
Jakby czuła wzrok młodzieńca.
A młodzieniec! w uniesieniu,

W upojeniu, w omamieniu —
O! któżby się pohamował? —
Schylił się — i pocałował.

A wtęm nagle izba cała
Blaskiem słońca zajaśniała.
I królewna się ocuca!
Błędnem okiem wkoło rzuca,
I ujrzawszy królewica,
Rumieni się i zachwyca.
A tymczasem, jak w pałacu,
Tak na ganku i na placu,
Jak kto gdzie spał tak się budzi.
Znów gwar, hałas, ciżba ludzi.
Ochmistrzyni jeszcze ziewa,
Na freiliny już się gniewa.
Dobosz widząc, że król jedzie,
Bije werbel; a na przedzie,
Laufer jak stał bieży dalej,
Furman z kozła z bicza pali,
I zajeżdża. — Król, królowa,
I jej dama honorowa,
I szambelan z resztą świty,
I hajduki z za karety,
Wysiadają, dłoń podają,
Króla we drzwi wprowadzają.
Straże bronie prezentują,
W kuchni znowu jeść gotują.
Kuchmistrz miechem w ogień dmucha,
Ogień trzaska, dym znów bucha.

Słowem, wszystko się ruszyło,
Odrodziło się, ożyło,
A wszystko jak dawniej było.
Prócz nowego tylko gościa,
Królewica jegomościa,
Co z królewną wraca z wieży.
Król naprzeciw niego bieży,
Królowa tuż za nim kroczy,
Za królową dwór się tłoczy,
A u wszystkich wielkie oczy!...
A królewic im rzecz całą
Opowiada, jak się stało. —
Słysząc to król i królowa,
Ledwo mogli przyjść do słowa,
By mu wdzięczność swą objawić,
I z królewną błogosławić.

Cóż wam jeszcze mówić dalej? —
Kochankowie się pobrali.
Król znów sprosił gości wiele,
Sprawił ucztę, a wesele,
Lusztyk, bal! — I ja tam byłem,
Miód i wino z gośćmi piłem.
A com od nich się dowiedział,
Tom wam, jak mógł, opowiedział.

BAŚŃ O ZŁOTYM KOGUTKU.

z Puszkina.

W trzydziewiątem wschodniem państwie,
W trzydziesiątem gdzieś sułtańskiem,
Żył był sobie sułtan Dadom.
Straszny kłótnik! ni sąsiadom,
Ni poddanym, ni w swym domu,
Nigdy, nigdzie i nikomu,
Nie dał chwili żyć spokojnie.
Albo wojnę wiódł po wojnie,
Albo lud ciemiężył w kraju,
Lub w dywanie i seraju,
Żartem, śmiechem, różną próbą
Kłócił, jątrzył między sobą
Odaliski, muftych, baszów,
Aż do pięści i pałaszów.
Bo najmilsza dlań zabawa,
Był harmider, hałas, wrzawa,
Nigdzie ładu ni porządku! —

Jednak z czasem — czy z rozsądku,
Czy z lenistwa — dość, że z wiekiem
Sułtan cichym stał się człekiem,
I nakoniec ku starości,
Sam zapragnął spokojności.

Aż tu kłopot! bo sąsiedzi,
Widząc że on cicho siedzi,
Nuż na niego! nuż wojować,
Napastować a rabować,
I wet za wet, żuk i żaby,
Deptać wroga, kiedy słaby! —

A więc sułtan, by swe właści
Zabezpieczyć od napaści,
Musiał trzymać wojsk bez liku.
Wojsko ciągle w zbrojnym szyku
Dzień i noc pod bronią stało:
Lecz i to nie pomagało.
Bo naprzykład: wojsko w nocy
Strzeże granic od północy;
Aż tu goniec: „Marsz na prawo!
„Wróg od wschodu“. — Wojsko żwawo
Dalej na wschód! — Aż znów goniec:
„Marsz na zachód!“ — Z końca w koniec
Wojsko ciągle tak biegało,
Aż mu w końcu nóg nie stało.

Krew ze złości wre w sułtanie,
Aż się tarza po dywanie.

Nie śpi, nie je, wychudł srodze.
Co po życiu w ciągłej trwodze? —
Więc rad nie rad rady słucha,
Szle do mędrca, do eunucha,
Do sławnego astrologa,
By mu pomógł zwalczyć wroga.

Astrolog się też nie leni,
Przyszedł, stanął, i z kieszeni
Dobył złotego kogutka.
„Padyszachu! rada krótka,
„Każ przynieść żerdź, na tej żerdzi
„Ten kogutek się przytwierdzi.
„Żerdź każ zatknąć w środku placu,
„Przed oknami, przy pałacu.
„A będzie to stróż twój wierny,
„Twego państwa jak odźwierny.
„Póki pokój, mój kogutek
„Będzie siedział spokojniutek;
„Ale niechże skądbądź kiedy
„Przyjdzie wojna: zaraz wtedy
„Mój kogutek się strzepoce,
„Krzyknie, skrzydłem załopoce,
„I obróci się w tę stronę,
„Skąd twe państwo zagrożone“. —

Sułtan cieszy się, dziękuje,
Złote góry obiecuje,
A astrolog sułtanowi
Pokłonił się i tak mówi:

„Padyszachu! mnie nie trzeba
„Ani złota, ani chleba,
„Tylko łaski twej źrenicy,
„I tej jednej obietnicy,
„Że najpierwszą prośbę moją,
„Spełnisz jakby wolę swoją“. —
Sułtan przyrzekł — i spokojny,
Jadł, pił, przestał bać się wojny.

A kogutek na swej tyce,
Strzegł stolicę i granice.
Póki pokój, póty cicho.
Lecz jak tylko jakie licho
Zagroziło z której strony,
Wnet kogutek jak szalony,
Obracał się, kręcił, miotał,
I trzepotał i łopotał:
A co wrzasku, a co krzyku!
„Kukuryku! kukuryku!“
Niema rady! wszystkich głuszy,
Póki wojsko nie wyruszy,
Nie wyruszy w tamte strony,
Gdzie on dzióbkiem obrócony.
I znów potem cicho siedzi. —
Dowiedzieli się sąsiedzi,
I raz, drugi, w pień wycięci,
Poskromili chciwe chęci.

Rok, i drugi, niema wojny!
Kogutek i kraj spokojny.

Sułtan nabrał sił i mocy.
Aż tu raptem jednej nocy
Słyszy — stuk, stuk, do pałacu.
„Co tam? kto tam?“ — a na placu
Hałas, tertes! — wpada basza:
„Padyszachu! zguba nasza!
„Ratuj! kogut krzyczy znowu“. —
Sułtan z łoża, z złotogłowu,
Hyc, wyskoczył — patrzy z ganku.
A kogutek bez ustanku
Trzepoce się, kręci, wije,
Na wschód zwrócił dziób i szyję:
„Kukuryku! kukuryku!“ —
A więc na koń, i do szyku!
I najstarszy sam sułtanic
Poszedł z wojskiem bronić granic. —
Kogutek się uspokoił,
Sułtan znowu pił i poił.

A tymczasem dni mijały,
Jeden, drugi, tydzień cały,
A o wojsku ani słychu. —
Bają różnie, lecz po cichu:
Jeden przeczy, drugi twierdzi. —
Aż tu znowu krzyk na żerdzi. —
E! źle! — co tu rady długie? —
Sułtan zebrał wojsko drugie,
A z niem młodszy syn ostatni,
Poszedł na ratunek bratni.

Kogutek znów skrzydła zwija.
Znów dzień, drugi, tydzień mija.
A o wojsku ani słychu. —
A więc już i nie po cichu,
Dzieci skwierczą, żony płaczą,
Że swych mężów nie zobaczą.
A kogutek znowu wrzeszczy,
Jeszcze mocniej! — Strach złowieszczy
Przejął baszów i Dadoma.
Ale nie czas siedzieć doma.
Kto mógł oręż dźwigać w dłoni,
Na koń, na koń, i do broni! —
Sułtan konno sam na przedzie,
Na wschód trzecie wojsko wiedzie.

Wiedzie, wiedzie, dniem i nocą,
By w czas synom przyjść z pomocą.
Sam na czele czat swych przednich,
Szuka śladu wojsk poprzednich.
Nigdzie żadnych! — ani szańców.
Ni bojowisk, ni mieszkańców.
Aby powziąć choć języka. —
Okolica pusta, dzika!
Trzy dni idą samym borem,
Trzy dni polem; — aż wieczorem
Dnia siódmego wchodzą w strome
Góry dzikie, nieznajome.
Weszli, przeszli. — Z drugiej strony,
Jak wzrok zajrzy, smug zielony;

I u wyjścia z gór rozbity,
Stoi namiot złotolity.

Spojrzy Dadom i w dłoń klaśnie. —
Całe wojsko, jak śpi właśnie,
Na równinie trupem leży. —
Do namiotu sułtan bieży,
Aż tu przed nim — o! żałoba!
Widzi synów — martwi oba.
Bułat w ręku, ostrz bułata
Tkwi nawzajem w sercu brata. —
„O! wy dzieci moje, dzieci!“
Ryknął Dadom: „Wpadły w sieci
„Sokolęta przed sokołem!“ —
I uderzył w ziemię czołem. —
Całe wojsko, jak tam stało,
Jednym płaczem zapłakało.
Zapłakały echem góry! —

Wtem z namiotu — słońce z chmury
Twarz huryski! postać pańska!
Sułtanówna Szachmachańska
Wyszła — idzie — wpół się sroma,
Wpół uśmiecha do Dadoma...
Jak przed słońcem ptastwo nocy,
Dadom zamilkł; nie ma mocy
Wyrzec słowa; głowę kłoni,
I już myśli tylko o niej.
Ona w namiot go wprowadza,
Obok siebie za stół sadza,

I z uśmiechem spocząć wabi
Na łabędzi puch jedwabi. —
Dadom nie już o żałobie,
Lecz zapomniał sam o sobie;
I dzień za dniem, tydzień równo,
Przeucztował z sułtanówną.

Ale pora wracać doma!
Wojsko woła na Dadoma.
Więc w kolasce, przy dziewicy,
Wraca z wojskiem do stolicy.
W kraju już się rozgłosiło,
Co było i co nie było.
Więc kto żyje, co tchu stanie,
Wybiegł z miasta na spotkanie,
I tłum cały biegł ulicą,
Za Dadomem i dziewicą.
Sułtan z okiem pełnem łaski,
Kłania, wita lud z kolaski.
Aż przed zamkiem, w szacie białej,
Sam jak łabędź osiwiały,
Mędrzec eunuch stoi w progu.
„A! jak się masz, astrologu!
„Cóż to się tak nam przyglądasz?
„Zbliż się, powiedz, czego żądasz? —
— „Padyszachu!“ mędrzec rzecze,
„Co się zwlecze, nie uciecze.
„Za podany ci ratunek,
„Musim skończyć nasz rachunek. —

„Patrz! kogutek tkwi na tyce.
„A więc, pomnisz obietnicę,
„Że najpierwszą prośbę moją
„Spełnisz, jakby wolę swoją?“ —
— „Zgoda! — Dadom odpowiedział,
„Spełnię wszystko, bylem wiedział
„Co chcesz; ufaj łasce pańskiej!“ —
— „Chcę dziewicy Szachmachańskiej.
„Sam bezemnie jej byś nie miał“. —
Sułtan pobladł i oniemiał.
„Co ty? kto ty? czyś szalony?“
Krzyknął wreszcie zaperzony.
— „Padyszachu! a umowa!“ –
— „Obiecałem — ani słowa!
„Lecz wszystkiemu jest granica.
„I na djabłaż ci dziewica? —
„Wiesz kto jestem! proś więc u mnie
„Co chcesz, ale proś rozumnie.
„Chcesz? dziel z nami kasę naszą;
„Chcesz? mianuję ciebie baszą;
„Wreszcie dam pół państwa mego“. —
— „Nie potrzeba mi niczego,
„Prócz twej dawnej obietnicy,
„Szachmachańskiej jasnolicej“. —
Tu już sułtan jak za młodu,
Wobec miasta i narodu,
Zapędził się, wzniósł kułaki:
„Ach! ty taki! ty owaki!“
Zawrzeszczał na czem świat stoi.
„Nie chciałeś mieć łaski mojej,

„Figaż tobie, djable stary! —
„I nie ujdziesz mi bez kary,
„Czarowniku! — hej! powrozy!
„Wiąż go, łapaj, i do kozy!“ —
A staruszek się opiera,
Szamoce się, z rąk wydziera,
I kryje się pod kolaską.
A wtem sułtan grubą laską
Jak nie machnie — w samo ciemię!...
Ani jęknął — bryk o ziemię.

Sułtan zląkł się, i stolica
Przelękła się; a dziewica
Aż zachodzi się od śmiechu,
Jakby z żartu, a nie grzechu.
Sułtan już się zaczął krzywić,
Lecz się nie śmiał jej przeciwić,
I wysiada pod przysionek...
Wtem coś brzęczy jakby dzwonek.
Kogutek się zerwał z tyki:
„Kiki-riki, kiki-riki!“
Coś inaczej jak na wojnę. —
Wszystkich oczy niespokojne
Patrzą — nowość niesłychana!
A kogutek do sułtana
Obces w oczy — dziób go w ciemię!...
Aż i sułtan, hrum o ziemię.

A ta znowu w śmiech nie w smutek. —
„Py-li, py-li!“ — i kogutek

Jakby swojski leci do niej.
Zwinął skrzydła, siadł na dłoni,
A ona wtem — jak siedziała,
Smyk w górę! — i poleciała.

A w stolicy żal i trwoga.
Sułtana i astrologa
Pochowano obok siebie.
Był pogrzeb, a po pogrzebie
Stypa. — I ja na niej byłem,
I płakałem, i miód piłem. —
A miód jak baśń: pijesz — miło;
Skończysz — jakby nic nie było.

SPIS RZECZY.

Str.

Dziewica z Jeziora, poemat Waltera Skotta, w sześciu pieśniach 3

Pieśń ostatniego minstrela, poemat Waltera Skotta, w sześciu pieśniach 225

Zamek Kadyow, ballada z Waltera Skotta 387

Wieczór przed świętym Janem, ballada z Waltera Skotta 401

Lenora, ballada z Bürgera 411

Myśliwiec, ballada z Bürgera 423

Graf Habsburg, ballada z Szyllera 433

Świetlana, ballada z Żukowskiego 439

Róża, powieść z Southey'a 451

Wierność, ballada z Bürgera 457

Baśń o uśpionej Królewnie i o najśmielszym Królewicu, z Żukowskiego 465

Baśń o złotym kogutku z Puszkina 483

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.